



DIANA PALMER

Powrót do domu

DIANA PALMER

Powrót do domu

Tłumaczenie
Katarzyna Ciężyńska

Tytuł oryginału: *Wyoming Homecoming*

Pierwsze wydanie: HQN, Toronto 2022

Opracowanie graficzne okładki: Madgrafik

Ilustracja na okładce: iStock, monkeybusinessimages

Redaktor prowadzący: Alicja Oczko

Opieka redakcyjna: Jakub Sosnowski

Korekta: Sylwia Kozak-Śmiech

© 2022 by Diana Palmer

© for the Polish edition by HarperCollins Polska sp. z o.o.,

Warszawa 2023

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieła w jakiegokolwiek formie.

Niniejsze wydanie zostało opublikowane w porozumieniu z Harlequin Books S.A.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych lub umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

HarperCollins jest zastrzeżonym znakiem należącym do HarperCollins Publishers, LLC.

Nazwa i znak nie mogą być wykorzystane bez zgody właściciela.

HarperCollins Polska sp. z o.o.

ul. Domaniewska 34a

02-672 Warszawa

www.harpercollins.pl

ISBN: 978-83-276-9201-6

Opracowanie ebooka

Katarzyna Rek

Dedykuję doktorowi Markowi McCrackenowi z North Georgia Medical Center w Gainesville w stanie Georgia, który się mną opiekował w minionym roku, kiedy na skutek zakażenia koronawirusem zachorowałam na zapalenie płuc.

Jeszcze raz serdecznie dziękuję!

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Dom pogrzebowy wypełniał tłum ludzi. Charlie Butler był dobrze znany w Catelow w stanie Wyoming, posiadał spore ranczo tuż za granicami miasta, na ziemi należącej jeszcze do hrabstwa Carne. Prawdę mówiąc, jego ziemia graniczyła z niewielkim ranczem, które w minionym roku kupił Cody Banks. Zmęczony ludźmi po długim namyśle opuścił wynajmowany dom w mieście, bo potrzebował przestrzeni, żeby swobodnie oddychać. A przede wszystkim potrzebował odskoczni od swojej pracy.

Był szeryfem hrabstwa i lubił to, co robił. Pełnił tę funkcję już drugą kadencję, podczas ostatnich wyborów nie pojawił się żaden poważny rywal, który mógłby mu zagrozić. Najwyraźniej sprawdził się w wystarczającym stopniu, by zadowolić zarówno swoich krytyków, jak i tych niewielu, których nazywał przyjaciółmi.

Przyszedł tu sam, stał w mundurze z dala od tłumu. Chciał oddać szacunek zmarłemu. Debora, nieboszczka żona Cody'ego, była powinowatą Butlera, więc również on w jakimś sensie należał do rodziny. Cody darzył sympatią starszego farmera. Kiedy Butler toczył długą walkę z rakiem, którą ostatecznie

przegrał, często do niego wpadał i sprawdzał, czy ma ciepło, czy nie trzeba zrobić mu zakupów lub zaspokoić innych potrzeb. Niedaleko domu pogrzebowego, w radiowozie, Cody zostawił swojego zastępcę, który po mszy miał poprowadzić procesję na cmentarz.

Spojrzał w stronę zamkniętej trumny, obok której stała kobieta z małą dziewczynką. Znał je... Skrzywił się. Dawne czasy, minęło prawie sześć lat. To było na parkingu szpitala w Denver, gdzie właśnie zmarła jego ukochana żona, która była lekarką. Krzyczał na tę kobietę i dziecko, oskarżając je, że ją zabiły, przekonany, że dziewczynka zaraziła żonę infekcją wirusową, która dla pewnych osób bywa śmiertelna. Dopiero wiele dni później dowiedział się, że kobieta była z dziewczynką w domu pogrzebowym, gdzie organizowała ostatnie pożegnanie swojego brata i bratowej, ofiar tragicznego wypadku. Jego żona Debora, daleka kuzynka zmarłej, wybrała się tam, bo chciała się z nimi zobaczyć i wyrazić swój żal. To wówczas zaraziła się śmiertelnym wirusem, lecz nie od tej kobiety ani dziecka, tylko od pracownika domu pogrzebowego, który jakiś czas później zmarł z tego samego powodu.

Cody niemal oszalał z bólu. Byli małżeństwem zaledwie dwa lata, ale większość tego czasu spędzili osobno, gdyż żona robiła karierę jako neurolog w znanym szpitalu w Denver. Przyjeżdżała do domu na dzień czy dwa w miesiącu, czasami nawet rzadziej. To był głównie związek na odległość, ale Cody i tak bardzo ją kochał. Za bardzo. Kiedy zmarła, uznał, że jego życie się skończyło. Dzięki kuzynowi Bartowi Riddle'owi, miejscowemu ranczerowi, jakoś się pozbierał i próbował żyć

dalej. Było ciężko. Nie myślał wtedy jasno. Wściekał się na najbardziej niewinnych ludzi. Na tę kobietę i dziecko, które stały teraz obok trumny.

Gdy tylko pojawił się w drzwiach, obie wyglądały na przestraszone. Kobieta wzięła dziewczynkę za rękę i wyprowadziła ją do toalety. Kiedy wróciły, Cody stał na drugim końcu pomieszczenia i rozmawiał z jednym z członków rady miejskiej. Patrzyły na niego mocno spłoszone, a on czuł się z tym fatalnie. Tak bardzo je zranił, że pomimo upływu tylu lat wciąż napawał je lękiem. Chciał je przeprosić, jakoś się wytłumaczyć, ale nie mógł podejść na tyle blisko, żeby to zrobić.

Pomyślał, że kobieta jest elegancka. Nie była piękna ani nawet ładna, za to miała doskonałą figurę i kremową cerę. Starannie uczesane długie blond włosy spływały jej na plecy i sięgały pasa. Oczy miała jasne, niemal srebrnoszare. Była ubrana w konserwatywny kostium. Cóż, pracowała w kancelarii w Denver, przypomniał sobie, i najpewniej musiała się tak ubierać. Była asystentką adwokacką. Często się zastanawiał, czemu nie studiowała prawa. Jego kuzyn Bart Riddle twierdził, że nie miała pieniędzy na naukę. Poza tym nie chciała wieczorami zostawiać małej bratanicy Lucindy pod opieką obcej osoby. Kochała dziewczynkę całym sercem, Lucy była jedyną rodziną, jaka jej pozostała, ostatnim ogniwem łączącym ją ze zmarłym bratem.

Słowa Barta poruszyły Cody'ego. Jego rodzice od dawna nie żyli, ale miał kuzynów, natomiast Abigail Brennan nie miała nikogo prócz dziewięcioletniej Lucindy. Na drzewie

genealogicznym to dość odległa więź, ale można powiedzieć, że byli z Abigail powinowatymi. Szwagierka Debby po śmierci pierwszego męża poślubiła Lawrence'a, brata Abigail. Lawrence i Mary zginęli w wypadku samochodowym dosłownie kilka dni przed śmiercią jego żony Debby. Właśnie dlatego Debby wybrała się do domu pogrzebowego.

– Czemu trumna jest zamknięta? – spytał Barta, który właśnie dołączył do niego, przystając obok rośliny w doniczce na końcu sporej sali.

– Zmarł na raka – odparł kuzyn. – Mówił, że nie chce, żeby gapiła się na niego banda prostaków, gdy będzie leżał w trumnie, więc w testamencie napisał, że ma być zamknięta. – Zmarszczył czoło. – A ty co tak sam stoisz?

– Trudna sprawa. – Cody westchnął. – Chciałem podejść do Abigail i przeprosić za to, co powiedziałem przed sześciu laty, ale na mój widok wzięła dziewczynkę za rękę i szybkim krokiem poszły do toalety.

Bart, który bardzo dobrze znał historie tych wszystkich ludzi, najpierw skinął głową, a potem powiedział cicho:

– Szkoda... Ona i to dziecko nikogo teraz nie mają. Wiesz, że wychowywał ją brat. Ich rodzice zginęli w wypadku samochodowym, kiedy chodziła do szkoły. Co za ironia losu, że jej brat z żoną zginęli w podobny sposób. Charlie – wskazał głową na trumnę – był jej ostatnim żyjącym krewnym, oczywiście poza Lucy. – Zaśmiał się cicho. – Nie za bardzo sprawdzał się w tej roli. Przysyłała mu kartki na urodziny i Boże Narodzenie. Zamierzała tu przyjechać i się z nim

zobaczyć, ale on nie chciał mieć dzieciaka pod swoim dachem. – Spojrzał na Lucindę, która była podobna do ciotki i miała takie same platynowe włosy. – Nie lubił dzieci, i bardzo szkoda, bo to miła dziewczynka, wszyscy tak mówią. Grzeczna, urocza i nie pyskuje.

– Znam dużo grzecznych i uroczych ludzi, którzy gdy tylko wejdą do internetu, zamieniają się we frankensteina – zauważył Cody.

– Święta prawda.

– Co Abigail robi z domem Charliego? – spytał Cody.

– Pojęcia nie mam. Pracuje w Denver, za daleko, żeby stąd dojeżdżać do kancelarii.

– To dobre ranczo. Strumyk, dużo pastwisk. Zdaje się, że nawet zachował stado bydła rasy black angus, pomimo spadku koniunktury.

– A jeśli wolałaby tu znaleźć pracę? – Bart spojrzał na Cody'ego. – Colie, żona J.C. Calhouna, jest w drugiej ciąży i marzy o tym, żeby zostać w domu z dziećmi, a Calhoun jako szef ochrony na ranczu Rena Coltera zarabia wystarczająco dużo, by utrzymać powiększoną rodzinę. Czyli jej etat będzie do wzięcia, a w takim miasteczku jak Catelov nie ma wielu asystentów adwokackich.

Cody się skrzywił.

– Nie sądzę, żeby chciała mieszkać tak blisko mnie, na pewno woli Denver – odparł cicho. – Żałuję, że nie mogę cofnąć tego wszystkiego, co jej tamtego dnia powiedziałem.

Przeraziłem i ją, i tę małą dziewczynkę – dodał ze smutkiem. – Kocham dzieci. Wciąż mnie boli, gdy sobie przypomnę, jak w panice uciekły do samochodu. – Zamknął oczy. – Dobry Boże, ileż to naszych uczynków latami nas zadręcza.

Bart położył rękę na jego ramieniu i odparł w zadumie:

– Przeszłości nie zmienimy, ale mamy wpływ na to, co tu i teraz. I tylko na to.

– To prawda. – Cody miał ponury wzrok, twarz mu stwardniała. – Sześć lat, a ja nadal ją oplakuję. Wciąż obwinałem wszystkich oprócz siebie, ale gdybym się uparł, przyjechałaby tu, zamieszkała ze mną i znalazła pracę w naszym szpitalu rejonowym.

Bart powstrzymał się przed komentarzem, że Debora była wyjątkowo ambitna. Chciała być najlepsza w swojej dziedzinie, a mogła to osiągnąć tylko wtedy, gdy pracowała w dużym szpitalu, gdzie są szanse rozwoju. Wiedział coś, czego Cody zdawał się nie dopuszczać do siebie. Debora nie zadowoliliby się gotowaniem, sprzątaniami i bawieniem dzieci. Po ślubie wprost oznajmiła mężowi, że w najbliższej przyszłości dzieci nie wchodzi w rachubę, a Cody od razu się z tym pogodził. Tak bardzo ją kochał, tak mocno był nią opętany, że gdyby zapragnęła polecieć na Księżyc, szukałby sposobu na zbudowanie statku kosmicznego. Bartowi taka obsesyjna miłość wydawała się destrukcyjna. Jest takie stare powiedzenie na temat związków, pomyślał, że jedno całuje, a drugie nadstawia policzek. Cody był zakochany. Debora była czuła, lecz jej prawdziwą miłością była praca, nie mąż. W ciągu dwóch lat

małżeństwa dużo więcej czasu spędzili osobno niż razem. Niestety Cody widział tylko to, co chciał zobaczyć.

– Pożegnaj się z Abby – oznajmił z wahaniem Bart.

– Idź – odparł Cody. – Będę tu stał i podpieram ścianę. – Gdy Bart uniósł brwi, dodał cicho: – Jeżeli ruszę w tamtą stronę, ona natychmiast stąd ucieknie. W porządku, nie zostanę długo. Lubiłem Charliego, chciałem go pożegnać. Nie przyszedłem tu terroryzować kobiety i dziecka.

Ostatnie słowa zabrzmiały gorzko, pomyślał Bart, idąc w kierunku Abigail. Cody nie zdawał sobie sprawy, że wzbudza strach także w mężczyznach, nie tylko w Abigail i Lucindzie. Przez swoją pracę stał się twardy i surowy. Już nie był wyluzowanym przyjacielskim facetem, który osiem lat temu zwrócił na siebie uwagę Debory podczas jej pobytu w Catelów. Dziś Cody kazałby Debby szukać mężczyzny, którego łatwiej kontrolować. Zaśmiał się pod nosem. Zastanawiał się, czy Cody zdaje sobie sprawę, jak bardzo się zmienił, odkąd został szeryfem. Szczerze w to wątpił.

Abigail zegnała się właśnie ze starszą kobietą, która chodziła do szkoły z Charliem.

– Powinna pani wrócić do domu – powiedziała, ściskając dłoń Abby i uśmiechając się też do Lucindy. – Małe miasteczka to najlepsze miejsce do wychowywania dzieci. Poza tym Colie jest w ciąży i niedługo zrezygnuje z pracy w biurze adwokackim, więc będą potrzebowali nowego pracownika. – Uniosła brwi. – Ranczo Charliego jest bardzo ładne, dom został niedawno odnowiony, a w stodole są kociaki.

– O rety, ciociu, kociaki! – zawołała rozpromieniona Lucinda.

Stojąc po drugiej stronie pomieszczenia, Cody ujrzał zachwyty na twarzy dziecka, i poczuł na ramionach wielki ciężar, jakby ktoś położył na nich betonową płytę. Tak bardzo pragnął zostać ojcem, ale Debora twierdziła, że mają mnóstwo czasu, by pomyśleć o dzieciach. Nie przepadała za nimi, a Cody wręcz przeciwnie, jednak kochał ją tak mocno, że dla niej był gotowy poświęcić swoje marzenia. Teraz, patrząc na radość Lucindy, na ten błysk w jej oczach, poczuł znów to pragnienie, tym razem nawet jeszcze głębsze i silniejsze.

– Dobrze wyglądasz – z uśmiechem powiedział Bart do Abby, delikatnie ją ściskając. – Jak ci się podoba Denver?

– Nienawidzę go. – Skrzywiła się. – Lucinda chodzi do szkoły, której nie znosi, mieszkamy w małym ciasnym mieszkanku na ostatnim piętrze obok jakiegoś pijaczyny, a pod nami urzęduje perkusista. – Nachyliła się ku niemu. – Ćwiczy o drugiej w nocy! – Zaśmiała się.

Cody dojrzał jej roześmianą twarz i poczuł się przytłoczony cierpieniem, którego był powodem. Odwrócił się i ruszył do wyjścia. Widok radości na twarzach Abigail Brennan i małej Lucindy sprawiał mu ból, ponieważ na niego patrzyły, jakby popełnił wszystkie siedem grzechów głównych i zasłużył na okrutną karę.

Gdy zauważyła, że Cody wychodzi, Abby odetchnęła i spytała bez ogródek:

– Po co on tu przyszedł?

– Przyjaźnił się z Charliem i byli kuzynami – odparł Bart. – Grywali razem w szachy. Cody’ego zmęczyło życie w mieście, więc kupił ranczo Dana Harlowa, które sąsiaduje z ranczem Charliego. – Gdy Abby wzdrygnęła się ze strachu, dodał łagodnym tonem: – Nie martw się, on do dziś żałuje, że tak się zachował wobec ciebie i Lucy. Powiedział, że dałby wszystko, żeby to cofnąć.

Abby odwróciła wzrok. Nie musiała mówić Bartowi o swojej przeszłości, bo ją znał. W Catelow wszyscy się znali. To była duża rozrastająca się rodzina, gdzie nie ma żadnych tajemnic. Ojciec Abby był beznadziejnym pijakiem. Przegrał cały majątek jej matki, a w dniu ich ślubu tych pieniędzy było całkiem sporo. Gdy szczęście przy stole do gry odwróciło się od niego, zaczął ostro pić, a frustrację wyładowywał w agresji wobec bliskich. Abby i jej matka starały się ubraniem zakrywać siniaki. Gdy ojciec zmarł, Abby wreszcie mogłaby odetchnąć z ulgą, gdyby nie to, że zabrał ze sobą jej matkę. Wtedy przyjechał po nią starszy brat Lawrence i zamieszkała z nim oraz jego żoną Mary. Oboje szczerze ją kochali, a ona była im wdzięczna za dom, który jej dali, nawet jeśli był w Denver.

Tuż po ukończeniu liceum Abby zaczęła pracować w firmie prawniczej Lawrence’a jako asystentka administracyjna i natychmiast zapisała się do szkoły wieczorowej, żeby zostać asystentką adwokacką. Chociaż była bardzo inteligentna, nie spełniała warunków, by otrzymać jakiegokolwiek stypendium, a prywatne szkoły były za drogie. Po śmierci rodziców straciła nawet rodzinny dom. Był obciążony hipoteką, więc musiała go

sprzedać, gdy Lawrence zabrał ją do siebie, by zamieszkała z nim i Mary.

Abby kochała brata i jego żonę, lecz czuła, że jest dla nich ciężarem. Mary była w ciąży, dodatkowa sypialnia była potrzebna jako pokój dla dziecka. Protestowali, zapewniali, że ją kochają i jest u nich mile widziana, jednak zdecydowała, że się wyprowadzi, by zrobić miejsce dla długo oczekiwanego dziecka, i przeniosła się do małego mieszkania. Wkrótce potem na świat przyszła Lucinda. Abby pokochała ją od pierwszej chwili, wciąż znajdowała pretekst, by wpaść z wizytą i zobaczyć dziewczynkę. Była nią zafascynowana w tym samym stopniu co ubóstwiający ją rodzice.

Potem wydarzył się wypadek samochodowy i Abby przeżyła udrękę pogrzebu. Debora przyjechała oddać hołd Mary i od jednego z pracowników domu pogrzebowego, który zresztą też wkrótce zmarł, zaraziła się śmiertelnym wirusem. Z wysoką gorączką została hospitalizowana. Prosto z domu pogrzebowego, gdzie odbywało się ostatnie pożegnanie Lawrence'a i Mary, Abby pojechała do szpitala dowiedzieć się o zdrowie Debory.

Cody wpadł na nie na parking. Od pomocy pielęgniarzkiej dowiedział się, że Debora pojechała do domu pogrzebowego i tam zaraziła się śmiertelnym wirusem. Zakładał, że winna była dziewczynka, ponieważ też gorączkowała. Abby zatrzymała się na oddziale ratunkowym, prosząc, by ktoś zbadał Lucy i dał jej leki. Zrezygnowała z odwiedzin u Debory, skoro Lucy była chora, i właśnie szła do samochodu, żeby

wrócić do mieszkania Lawrence'a. Jej przyjaciółka miała zaopiekować się bratanicą, żeby Abby mogła wrócić do szpitala.

Właśnie wtedy Cody spotkał je na parkingu i wyładował na nich swój żal.

Na samo wspomnienie jego nieokiełznanej furii Abby wstrząsały dreszcze. Tak czy owak, bała się mężczyzn. Jeżeli chodzi o niechęć do zamążpójścia, właśnie to zdarzenie okazało się gwoździem do trumny. Najpierw ojciec, teraz Cody. Męska wściekłość i agresja przerażały ją, a rzadko widziała ojca w innym stanie. Postanowiła, że skupi się na wychowaniu Lucy i nigdy nie zwiąże się z mężczyzną.

– Hej, w porządku, już wyszedł – powiedział łagodnie Bart, dostrzegając wyraz jej twarzy.

Abby odchrząknęła.

– Człowiek myśli, że ze wszystkiego można się otrząsnąć i dać sobie z tym radę. Ale czasami nie można.

– Coś się stało, ciociu Abby? – spytała Lucy, chwytając ją za rękę. Miała oczy Lawrence'a, jasnoniebieskie, bystre i pełne empatii.

Abby uśmiechnęła się i odparła:

– Wszystko w porządku, kochanie, naprawdę.

– To dobrze. – Lucy westchnęła. – Jestem głodna.

Abby sobie uprzytomniła, że nie jadły śniadania, a czekały je jeszcze ceremonia pogrzebowa i pochówek na cmentarzu.

– To trochę potrwa, wytrzymasz? – spytała.

– Tak, ciociu. – Lucy uśmiechnęła się leciutko.

Dziewczynka nie sprawiała problemów, była kochająca, pracowita i delikatna. Niestety szkoła, do której uczęszczała w Denver, okazała się siedliskiem przemocy, której nie zawsze dało się opanować. Dyrektorka przywykła do częstych wizyt Abby w sprawie licznych incydentów, których ofiarą padała Lucy, a także jej koleżanki i koledzy. Gdy Abby twierdziła, że w klasach jest niebezpiecznie, dyrektorka z ciężkim westchnieniem tłumaczyła, że musi brać pod uwagę sytuację polityczną, co ją przytłacza, i bardzo niewiele może zrobić. Przepraszała, współczuła, jednak Abby wiedziała, że nie ma nadziei na zmiany. I z każdym dniem rósł strach Lucy. To była zła okolica, niestety Abby nie mogła sobie pozwolić na mieszkanie w lepszej dzielnicy. Z kolei mieszkanie Lawrence’a i Mary zostało wynajęte tuż po ich śmierci. Gospodarz domu natychmiast umieścił tam inną rodzinę, dając Abby tylko kilka dni na sprzątanie i zabranie prywatnych rzeczy.

Objęła się ramionami.

– Bardzo bym chciała tu wrócić i zamieszkać. Tyle że on tu jest – zakończyła z goryczą.

– Abby, nie będziesz musiała go widywać, jeżeli nie zechcesz – odparł Bart, świadom nagłego zainteresowania Lucindy. – On wie, jak bardzo was przestraszył – dodał, wskazując na drzwi, którymi wyszedł Cody.

Abby odetchnęła głęboko, a jej jasne oczy posmutniały.

– Nie znoszę mojej pracy. Nie znoszę miejsca, gdzie mieszkamy. Nie znoszę tego, że wciąż muszę biegać do szkoły i skarżyć się dyrektorce na to, co się tam dzieje, żeby zapewnić Lucy bezpieczeństwo – stwierdziła gorzko. – W szkole są dwa gangi, które się nienawidzą, i co rusz dochodzi do przemocy.

– W takim razie wracaj do domu – energicznie oznajmił Bart, okraszając te słowa uśmiechem. – Zrobię dla was wszystko, co w mojej mocy, no i bardzo się ucieszę, kiedy będę miał pod bokiem bliskie osoby. Poza Codym – dorzucił z grymasem. – Zresztą widuję go tylko na służbowych spotkaniach albo pogrzebach.

– Jesteś dobrym kuzynem, chociaż łączy nas tylko powinowactwo – powiedziała ciepło.

Lucy oparła głowę na jego ramieniu i oznajmiła:

– Lubię cię, kuzynie Barcie. Jesteś bardzo miły.

– Ty też, skarbie – odparł, wyciskając całusa na jej jasnych włosach.

– Powinieneś się ożenić i mieć dzieci – stwierdziła Abby, widząc czułość, z jaką traktował jej bratanicę.

– Próbowałem – wyznał ze smutkiem – ale nie mam szczęścia. Nie znalazłem kobiety, która chciałaby zamieszkać na niedużym ranczu na prowincji.

– Nie jest małe – zaproponowała. – A ty jesteś najmilszym mężczyzną, jakiego znam.

– Z całym szacunkiem, Kieszonko, ale jestem jedynym mężczyzną, którego znasz.

– O rany! – Wybuchnęła śmiechem. – Już zapomniałam, że nadałeś mi to okropne przezwisko!

– Kiedy byłaś w wieku Lucy i chodziłaś do szkoły, ciągle upychałaś wszystko do kieszeni, więc na własne życzenie stałaś się Kieszonką – odparł wesoło. – I jak, wracasz do domu?

Milczała, z niepokojem patrząc na otwarte drzwi wyjściowe. Tuż za progiem dojrzała mundur szeryfa.

– Będziesz tu bezpieczna – nalegał Bart. – Lucy także. Zapewniam, że w naszych szkołach nie ma przemocy, a w kancelarii pracują bardzo sympatyczni ludzie.

– Pewnie mają całą listę asystentów, którzy tylko czekają, aż ten etat się zwolni.

– Jutro tam z tobą pójde i przedstawię cię szefowi – zdecydowanym tonem oznajmił Bart.

Abby spojrzała na Lucy, która pogodnie się uśmiechała. Owszem, przybyła tu na pogrzeb, a jednak wydawała się szczęśliwsza niż w ich mieszkaniu w Denver. Tamtejsza szkoła stanowiła zagrożenie, a sytuacja pogarszała się z tygodnia na tydzień, na przykład jedna z nauczycielek została zaatakowana we własnej klasie. Coś jeszcze straszniejszego przydarzyło się pewnej dziewczynce tylko trochę starszej od Lucy.

– Okej – odparła.

– Okej? – Bart się zaśmiał. – W takim razie niech żyje okej!

Pogrzeb przebiegał w godny sposób, lecz przywołał ponure wspomnienia. Rodziców Abby pochowano w Catelow. Abby nienawidziła ojca i bała się go, ale matkę kochała i wciąż za nią tęskniła. Ceremonia pogrzebowa Lawrence'a i Mary odbyła się w Denver, tam też zostali pochowani. Rozmawiała o tym z bratem podczas pogrzebu ich rodziców. Stwierdził, że ma dość Catelow i nie chce tu wracać nawet w sosnowej skrzynce, więc siostra uszanowała jego wolę.

Abby jakby od nowa przeżywała cierpienie z powodu straty brata i bratowej, a Lucy wyczuła jej nastrój. Ujęła dłoń ciotki i ścisnęła ją, gdy zebrani wstali, by odśpiewać *Amazing Grace*. Po policzkach Abby spłynęły łzy wywołane nie tylko śmiercią Charliego. Płakała, bo odeszła już prawie cała jej rodzina, poza ukochanym dzieckiem, które trzymało ją za rękę, i kuzynem Bartem.

W drugiej ręce ścisnęła chusteczkę. Osuszyła nią oczy. Charlie Butler, który potwornie cierpiał, był już w lepszym miejscu. Tak samo jak Lawrence i Mary, a także jej rodzice. Ona została, żeby opiekować się Lucy, a powrót do Denver wydawał się koszmarnym rozwiązaniem.

Otrzymała w spadku dobrze prosperujące ranczo. Prawnicy ją o tym poinformowali, choć jeszcze nie odczytano testamentu, zaplanowano to na później. To była niespodzianka. Wiedziała, że zmarły był spowinowacony także z Codym Banksem, zatem byłoby bardziej naturalne, gdyby to jemu zapisał ranczo. Jednak tego nie zrobił. Zastanawiała się dlaczego, lecz najpewniej nigdy nie pozna powodu.

Teraz musiała zdecydować, co dalej. Bart wspomniał, że przedstawi ją szefowi kancelarii, gdzie pracowała Colie Calhoun. Uznała, że nie zaszkodzi przynajmniej aplikować na to stanowisko. Jeśli je dostanie, zamieszkają z Lucy na ranczu i będzie dojeżdżała do pracy. Miała nieduży, ładny, oszczędny w użytkowaniu samochód. Zapisze Lucy do tej samej szkoły podstawowej, do której uczęszczała przed wieloma laty. Znała większość rodzin w tej okolicy. To byłby prawdziwy powrót do domu.

Pochowali Charliego w rodzinnym grobowcu, tylko trzy groby od miejsca pochówku matki i ojca Abby. Po krótkiej modlitwie przy grobie kuzyna Abby stanęła z Lucy nad grobem rodziców. Kiedy patrzyła na wyryte na nagrobku litery, wydało jej się wręcz nierealne, że pod tym kamieniem spoczywają jej bliscy.

Lucy znów chwyciła ją za rękę.

– To twoja mamusia i tatuś, ciociu? – spytała cicho.

Abby przytaknęła. Gardło miała ściśnięte.

– I twoi dziadkowie, kochanie.

– To teraz wcale nie mam dziadków – odparła dziewczynka z cichym westchnieniem. – Mamusia straciła swoją mamę, jak była taka mała jak ja, a zaraz potem umarł dziadek. Ale wciąż mam ciebie, ciociu.

– A ja wciąż mam ciebie. – Abby uśmiechnęła się do niej.

Wysoki mężczyzna w mundurze szeryfa przypatrywał się im z pewnej odległości. Czuł ich smutek. Abby nie miała łatwego

życia, nawet w dzieciństwie. Wszyscy wiedzieli, że jej ojciec stosował przemoc w stosunku do niej i jej matki. Nic dziwnego, że obawiała się mężczyzn. Po tym, jak jakiś czas temu potraktował ją na szpitalnym parkingu, stwierdziła pewnie, że wszyscy mężczyźni to szaleńcy i lepiej ich unikać.

Przeniósł wzrok na dziecko, które mocno ścisnęło jej dłoń. Zacisnął zęby. Odwrócił się, znów zde gustowany sobą na wspomnienie tamtego incydentu. Dałby wiele, żeby cofnąć czas i unieważnić to, co się wówczas wydarzyło. Ale na to było już za późno.

Dzień po pogrzebie Bart pojawił się w motelu, żeby zabrać Abby na spotkanie w kancelarii, w której pracowała Colie Calhoun. Lucy także z nimi pojechała, a kiedy Abby w gabinecie rozmawiała o ewentualnej pracy, czekała na nią w poczekalni.

James Owens, najstarszy z partnerów w kancelarii, był mężczyzną przyjacielskim i uprzejmym. Miał żonę i troje wnucząt. Słyszał już o kwalifikacjach Abby i wysoko je cenił. Abby nie miała pojęcia, że Bart prosił Colie, by szepnęła za nią słówko.

– Asystent adwokacki zawsze nam się przyda – oznajmił Owens – a jak dotąd nie zgłosił się do nas nikt, kto posiadałby takie doświadczenie. Jeśli byłaby pani zainteresowana, z przyjemnością panią zatrudnimy. – Powiedział o proponowanym wynagrodzeniu i benefitach, a na koniec dodał: – Znam też ładny dom do wynajęcia.

– Jeden z moich kuzynów właśnie zmarł i zapisał mi swoje ranczo – wyjaśniła ze smutnym uśmiechem. – Podobno ma

dobrego menedżera i fachowych pracowników, więc mnie przypadnie rola tej, która trzyma się z daleka, żeby mogli robić to, co robią najlepiej. Ale chcę pracować – dodała. – Nie należę do osób, które lubią wysiadywać w domu. Poza tym mieszka ze mną moja mała bratanica. Muszę ją tu zapisać do szkoły. – Ściągnęła brwi. Miała jeszcze jedno zmartwienie, a mianowicie co zrobi z Lucy między końcem jej lekcji a swoim powrotem z pracy.

– Menedżer na pani ranczu nazywa się Don Blalock – powiedział Owens. – Jego żona Maisie ma córeczkę mniej więcej w wieku pani bratanicy, więc będą chodzić do tej samej szkoły. Założę się, że jakoś to pani zorganizuje. Maisie to bardzo miła kobieta.

Wyraźnie rozpogodzona Abby stwierdziła:

– A tak się martwiłam, kiedy tu przyjechałam. Życie w Denver... cóż, w szkole Lucy nie brakuje przemocy, nie lubię też okolicy, gdzie mieszkamy. Przykro mi, że straciłam kuzyna, ale to jest jak cud, że zostawił mi ranczo. Przede mną i przed Lucy otwierają się całkiem nowe perspektywy.

– Dobrze będzie wam się tu żyło, pani i bratanicy.

Abby spoważniała i dodała cicho:

– Wie pan, że mój ojciec...

– Tak, wiem – wpadł jej w słowo. – To małe miasto, wszyscy się znają. Ale było, minęło, teraz będzie inaczej. – Uśmiechnęła się. – Jeśli chce pani pracować, czekamy w poniedziałek o ósmej trzydzieści.

– Będę w poniedziałek o ósmej trzydzieści. Bardzo panu dziękuję, panie Owens.

– Nie ma za co. A przy okazji, prowadziliśmy sprawy pani zmarłego kuzyna, u nas zdeponował swój testament. Otworzymy go jutro na ranczu, jeśli to pani odpowiada. Może być dziesiąta rano?

– Tak, oczywiście.

– Może się pani już tam wprowadzić.

– Poczekamy na otwarcie testamentu – odparła cicho. – Dla ludzi, którzy dla niego pracowali, to będzie trudna chwila. Chcę zrobić wszystko zgodnie z zasadami.

– W takim razie w porządku – skwitował z uśmiechem. – Ktoś od nas pojawi się tam jutro, żeby dokonać prawnych formalności.

Abby uścisnęła mu rękę i wyszła do poczekalni, gdzie siedziała bratanica. Jedna z asystentek administracyjnych dała jej coś do picia.

Kobieta uśmiechnęła się do Abby.

– Witam, jestem Marie, jedna z koleżanek Colie. Zastępuję jej najlepszą przyjaciółkę Lucy, która z nią pracowała, ale przeniosła się z mężem do Billings. Witamy w firmie.

– Skąd wiesz? – Abby się zaśmiała.

– Przypadkiem przechodziłam obok gabinetu pana Owensa i coś tam usłyszałam. Spodoba ci się tu. Prawnicy są bardzo mili i świetnie się nam razem pracuje.

– Jestem ogromnie wdzięczna, że tak szybko znalazłam pracę. – Abby zerknęła na Lucy. – Nie znosiłyśmy Denver.

– Mam syna, który jest mniej więcej w tym samym wieku co Lucy – odparła Marie. – Szkoły są tu fantastyczne, na pewno jej się spodoba.

– Przynajmniej nie będę musiała nachodzić dyrektorki i prosić o ochronę Lucy. – Abby pokręciła głową. – Szkoły bardzo się zmieniły od czasu, kiedy chodziłam do podstawówki.

– Nie musisz mi mówić.

– W takim razie do poniedziałku.

– Do zobaczenia... Aha! – Marie szeroko się uśmiechnęła. – W przyszłym miesiącu mój Matt urządza przyjęcie urodzinowe. Lucy będzie na liście gości. Sama piekę i robię domowe lody.

– O rety! – ucieszyła się dziewczynka.

– Też możesz przyjść, Abby – dodała Marie. – Mam osobny stolik dla mamusiek, żebyśmy mogły się rozerwać i zaspokoić nasze kubki smakowe, kiedy dzieciaki się bawią.

Abby się zaśmiała.

– Teraz to na pewno przyjdę – odparła. – Uwielbiam torty i lody.

– Ja też – poparła ją Lucy.

– Więc do poniedziałku – podsumowała Marie. – Pa, Lucy. Miło było was poznać.

– I nawzajem – powiedziały zgodnie Abby i Lucy.

Nazajutrz rano Abby i Lucy pojechały na ranczo, które leżało za miastem, pośród sosen wydmowych i osik, z ostrym zarysem pasma górskiego Teton w tle. Położone w dolinie ranczo przecinał srebrzysty strumyk. Jesień była w pełnym rozkwicie. Liście na drzewach czerwieniły się i złociły, a powietrze było na tyle rześkie, żeby włożyć kurtkę. W strumieniu zapewne są pstrągi, pomyślała Abby. Była zapalonym wędkarzem, choć łowiła głównie na trzcinową wędkę z przynętą, ale chętnie nauczyłaby się korzystać z wędki z kołowrotkiem. Prawdę mówiąc, obie z Lucy mogłyby się tego nauczyć.

To było bardzo duże ranczo. Wydawało się, że upłynęło sporo czasu, zanim dotarły do głównego budynku mieszkalnego, mijając rozrzucone tu i ówdzie budynki gospodarcze. Jednym z nich była szopa, gdzie przechowuje się sprzęt. Dwa inne wyglądały na stajnię i stodołę. Ogrodzenia były dość nowe i sprawiały wrażenie solidnych. Na pastwiskach pasło się sporo czarnego bydła rasy black angus.

Abby zaparkowała przed wejściem od frontu. Duży piętrowy dom był rustykalny w stylu, ale też elegancki, z szerokim gankiem od frontu. Na ganku znajdowały się huśtawka i kilka bujanych krzeseł. Schody były solidne. Sądząc po ciemnej mahoniowej barwie, drewniana elewacja niedawno została zabejcowana.

Wysiadły z auta. Abby obawiała się, że ludzie, którzy tu mieszkali i pracowali, będą niezadowoleni, że farmę przejmuje ktoś z zewnątrz.

Kiedy drzwi wejściowe się otworzyły, na ganek wyszła wysoka uśmiechnięta kobieta o siwych, spiętych w koczek włosach i przewiązana kolorowym fartuchem.

– Abigail Brennan, a niech mnie! Wspaniale cię znów widzieć.

Z Abby zeszło całe napięcie.

– Hanna! – Pośpieszyła w objęcia przyjaciółki jej matki.

– A to kto? – spytała Hanna, pochylając się, kiedy na ganek weszła Lucy i uśmiechnęła się do niej.

– Jestem Lucy – powiedziała nieśmiało dziewczynka.

– A ja jestem Hanna. Witajcie na ranchu Circle B.

ROZDZIAŁ DRUGI

Przyjazd gości nie został niezauważony. Było późne popołudnie, niektórzy z mężczyzn wracali właśnie z odległych części rancza, gdzie doglądali bydła. Jednym z nich był menedżer Don Blalock.

Wysoki szczupły mężczyzna, spokojny i z miłym uśmiechem, wchodząc do kuchni, gdzie Abby piła kawę, uchylił kapelusza.

Abby wstała, żeby się przywitać.

– Odziedziczyłam to ranczo po moim kuzynie – oznajmiła z przyjaznym uśmiechem. – Jestem asystentką adwokacką. O bydle wiem tyle, że gulasz z wołowiny jest pyszny. – Ściągnęła wargi, bo menedżer wydawał się rozdarty między śmiechem a przerażeniem. – Zamierzam trzymać się z boku, żebyście mogli jak najlepiej robić to, co potraficie. Bardzo wątpię, żeby w ostatnich miesiącach mój kuzyn był pomocny z powodu ciężkiej choroby – dodała. – Więc jeśli nie musimy ogłosić bankructwa, to dla mnie sprawa oczywista, że pan wie najlepiej, jak tym wszystkim zarządzać i co trzeba robić. Chciałabym, żebyście wszyscy tu zostali.

Don Blalock wyglądał jak ktoś, komu zdjęto z barków wielki ciężar.

– Proszę pani – odezwał się cicho. – Nawet pani nie wie, jak bardzo to doceniamy. Ostatnimi czasy brakuje pracy dla robotników rolnych, a to ranczo, wraz z kilkoma innymi, utrzymuje wielu ludzi. Gdyby upadło, część z nas już nie znalazłaby pracy, zwłaszcza moi starsi pomocnicy. Świetnie radzą sobie z ciesielką i innymi dorywczymi zajęciami, ale nie daliby sobie rady w bardziej wymagającej i cięższej pracy.

– Na pewno starczy dla nich zajęć, to nie problem – odparła Abby. – Zależnie od tego, jakie będziemy mieć wyniki, może uda się dodać jakieś bonusy na Boże Narodzenie. Niczego nie obiecuję – dodała szybko – ale zrobię, co w mojej mocy.

– Dziękuję.

– Proszę na chwilę usiąść i napić się kawy – zaprosiła Abby.

– Właśnie zaparzyłam świeży dzbanek – powiedziała Hanna i naląła mu kawy do kubka.

– Lubię krowy – odezwała się Lucy, po czym wróciła do kanapki z masłem orzechowym, którą przygotowała jej Hanna.

– Ja też je lubię – z uśmiechem odparł Don.

– Będę pracować jako asystentka adwokacka u pana Owensa – wyjawiała Abby, popijając kawę. – Wspomniał, że pan i pana żona Maisie macie córeczkę w wieku Lucy i że Maisie, odwożąc córkę do szkoły, pewnie się zgodzi zabrać też Lucy, a potem ją odebrać.

– Z całą pewnością się zgodzi. – Don patrzył na nią przez chwilę. – Uprzedzam tylko, że jeśli spróbuje pani zaproponować jej za to jakieś pieniądze, wyleję kawę do zlewu i znikam stąd.

Abby potrzebowała kilku sekund, żeby go zrozumieć, i wybuchnęła śmiechem.

– Okej, w takim razie dziękuję.

– Żyjemy w małej społeczności – mówił dalej Don. – Wszyscy sobie nawzajem pomagamy.

– Pamiętam... – Westchnęła, odsuwając na bok złe wspomnienia. – Musimy któregoś dnia usiąść nad rachunkami – dodała. – Nie mam pojęcia, jakie mamy wydatki, z czego je opłacamy ani komu jesteśmy winni. – Zamilkła na moment. – Potrafię zarządzać pieniędzmi. Prawdę mówiąc, żyliśmy z Lucy w Denver bardzo skromnie, ale są sprawy, o których muszę wiedzieć.

– Pani Brennan, nie musi pani pracować – stwierdził Don Blalock. – Pan Butler ma tu stado bydła czystej krwi. A raczej miał, bo teraz należy do pani. Jest warte małą fortunę. Mamy samce rozplodowe, które przynoszą sporo pieniędzy, a każdej jesieni sprzedajemy najlepsze cielaki.

– Och, muszę pracować – odparła z uśmiechem. – Nie umiem siedzieć beczynn timer i kocham moją pracę.

– Ja swoją też. – Spojrzał na nią z jeszcze większym szacunkiem. – Dziękuję, że nadal tu pracuję, ja i reszta personelu.

– Proszę im przekazać, że dopóki żyję, nie muszą się martwić o pracę – obiecała. – A jeszcze nie wybieram się na tamten świat. – Westchnęła. – Będę tęsknić za kuzynem. Poza Lucy był moim ostatnim żyjącym krewnym.

– Maisie i ja podzielimy się z wami naszą rodziną – stwierdził z wesołym błyskiem w oku. – Mamy jakieś piętnaście bratanic, bratanków i siostrzeńców. I niezliczoną liczbę powinowatych. Zmieszczenie ich wszystkich w domu, kiedy mamy jakieś uroczystości, to prawdziwe wyzwanie.

– Będę pana trzymać za słowo. Brzmi zachęcająco.

– W mieście też nie brak rozmaitych spotkań – dodał. – Są kolacje charytatywne, potańcówki, mamy świetne lodowisko. Jeden z naszych mieszkańców ożenił się ze złotą medalistką olimpijską w łyżwiarstwie, a lodowisko należy do kobiety, która kiedyś brała udział w zawodach, a potem trenowała łyżwiarzy na olimpiadę.

– Super. Czyli musimy zabrać łyżwy, jak będziemy się pakować! – zawołała Lucy. – Bardzo lubię jeździć na łyżwach.

– Ja też – przyznała Abby. – Sporo weekendów spędzamy na lodowisku. Chociaż nie będziemy konkurencją dla złotych medalistów – dodała z uśmiechem.

Don się zaśmiał i dokończył kawę.

– Jeśli będzie pani potrzebowała pomocy w przeprowadzce, pojedę z chłopakami do Denver ciężarówką i przewieziemy wasze rzeczy.

– Naprawdę? – spytała zaskoczona, bo ludzie w dużych miastach nie tak szybko się zaprzyjaźniają. W każdym razie nikt, kogo tam знаła, nie zaproponowałby pomocy przy przeprowadzce.

– Jasne – odparł zdumiony pytaniem.

– Więc może z następną sobotą? Stawiam wszystkim pizzę. – Zmarszczyła czoło. – Jest tu pizzeria?

– No jasne, że tak – odparł. – A chłopcy bardzo lubię tę z mięsem i z dużą ilością sera.

– Zapamiętam... i dziękuję, panie Blalock.

– Wystarczy Don. – Uchylił kapelusza. – Miło było poznać. Powiem chłopakom, że nie muszą się już martwić.

Abby skwitowała to uśmiechem.

– Dzięki tobie to jego szczęśliwy dzień – powiedziała Hanna, kiedy podgrzała kawę dla Abby. – Wszyscy byli śmiertelnie przerażeni, że przyjedzie paniusia z miasta, której zależy tylko na pieniądzach, i szybko to wszystko sprzeda.

– Nie ja, ja się tu urodziłam.

– Don nie, ale Maisie tak. Jej matka była z domu Wiley.

– Mój Boże, chyba nie z tych Wileyów, którzy mieszkali przy Long Bridge Road?

– Właśnie z tych.

– Pan Wiley pomógł nam pewnej zimy, kiedy kompletnie nas zasypało. – Skrzywiła się. – Ojciec był zbyt pijany, żeby się przejmować, czy zamarzniemy i umrzemy z głodu. Pan Wiley odsnieżył nasz podjazd i przywiózł nam coś do jedzenia. To było takie miłe... takie dobre. Mama rozplakała się ze wzruszenia.

– Maisie jest taka sama – powiedziała Hanna.

– Wydaje mi się, że chodziłam z nią do klasy, ale nie znałam jej dobrze. – Abby westchnęła. – Nie lubiłam być za blisko z ludźmi. Wiesz, nikogo nie mogłam zaprosić do domu, bo tata był nieprzewidywalny.

– Nie musisz mi tłumaczyć. Zbyt dobrze pamiętam twojego ojca... Ale jego już tutaj nie ma. Zobaczysz, że bardzo polubisz życie na ranczu. Ot, choćby to, że w stodole są kociaki. – Zaśmiała się, gdy oczy Lucy się zaświeciły.

– Słyszałyśmy o tym w domu pogrzebowym, zanim Bart do nas dołączył. To taki dobry człowiek. Czemu się nie ożenił?

– Była taka jedna głupia kobieta, która go omotała, a potem wyszła za kogoś innego – wyjaśniła Hanna. – Później spotykał się jeszcze z dwiema kobietami, ale obie go rzuciły. Jest ostrożny.

– Pewnie też taka byłabym na jego miejscu – odparła Abby. – Cóż, jestem. – Odetchnęła głęboko, myśląc o Codym Banksie. – Nie chcę mieć do czynienia z mężczyznami. Troszczę się tylko o Lucy. – Uśmiechnęła się do dziewczynki. – Chcę, żeby była szczęśliwa.

– Jestem bardzo szczęśliwa, ciociu – odparła Lucy z błyszczącymi oczami. – Będę jeszcze szczęśliwsza, jak pójdziemy do stodoły zobaczyć kotki.

– Dobrze, rybko. Ale najpierw dokończ kanapkę.

Pracownicy farmy przewieźli ich rzeczy z Denver do Catelow. Wyjechali o świcie i zajęło im to większą część dnia. Kiedy wszystkie rzeczy Abby i Lucy znalazły się w domu na ranczu,

a dawne rzeczy Charliego przeniesiono na strych, żeby zrobić miejsce dla nowych lokatorek, Abby zamówiła dla wszystkich pizzę. Rozsiedli się w pokoju dziennym na krzesłach i podłodze, jedli pizzę i popijali piwo, które Abby kupiła w drodze powrotnej.

Miała wrażenie, jakby została członkiem licznej rodziny, a nie czuła się tak od śmierci brata i Mary. Uznała, że szybko pokocha życie w Catelow. Musi tylko poradzić sobie z irracjonalnym lękiem, jaki budził w niej Cody Banks.

O ironio, pierwszego dnia pracy Abby w kancelarii pojawił się Cody Banks wraz z drugim mężczyzną ubranym w elegancki i drogi garnitur.

Podeszli do recepcjonistki Marie. Cody nawet nie spojrzał na Abby, której biurko stało przy oknie od frontu.

– Chcieliśmy zobaczyć się z panem Owensem w związku ze sprawą Blakely’ego – z uśmiechem oznajmił Cody.

– Zaraz sprawdzę, czy pan Owens jest u siebie. – Marie też się uśmiechnęła, zadzwoniła i zapowiedziała interesantów. Wysłuchała szefa i odparła: – Tak, proszę pana. – Rozłączyła się. – Zaraz do panów przyjdzie.

Ledwie skończyła, pan Owens zjawił się w holu i powitał gości.

– Chodźmy do mnie – powiedział, klepiąc Cody’ego w ramię. – Mój śledczy nad tym pracuje.

Kiedy weszli do gabinetu i zamknęli za sobą drzwi, jego głos ucichł. Abby głęboko nabrała powietrza i wróciła do

dokumentów sprawy, którą się zajmowała. To idiotyczne, powiedziała sobie, żeby po sześciu latach wciąż czuć się tak zastraszoną. W końcu to tylko mężczyzna, a nie jakiś ryczący potwór. Pamiętała jednak, jak tamtego wieczoru wrzeszczał na nią i przeklinał. Zupełnie jakby widziała ojca, niebezpiecznego człowieka, który nad sobą nie panuje. Głęboko odetchnęła i wróciła do pracy.

Po kilku minutach mężczyźni wyszli z gabinetu. Pan Owens wymienił z nimi uścisk dłoni, zapewnił, że udzielił im wszystkich informacji, jakie posiada, i odprowadził ich do drzwi wyjściowych.

Abby siedziała z pochyloną głową. Nawet po wyjściu Cody'ego nie podniosła wzroku.

Kociaki w stodole miały białe futerko i niebieskie oczy. Lucy była nimi oczarowana. Siedziała na sianie, trzymając dwa z nich na kolanach, głaskała je i śmiała się, kiedy pomrukiwały.

– Och, ciociu, tutaj jest jak w niebie – powiedziała z szerokim uśmiechem. – Tak bardzo nie lubiłam tamtego miejsca, gdzie mieszkaliśmy.

– Ja też, kochanie – odparła Abby, opadając na siano obok dziewczynki. Obie miały na sobie dżinsy, niebieskie bluzki i lekkie kurtki, bo była wczesna jesień. Niedługo brzozy i topole przywdzieją nowe barwy, liście będą opadać i chrzęścić pod stopami. – Już od dawna nie czułam się taka szczęśliwa – dodała.

– Ale możemy tu zostać, prawda? – zaniepokoiła się Lucy. – Ten zły człowiek tu nie przyjdzie?

– On jest szeryfem, kochanie. – Abby uśmiechnęła się z trudem. – Jestem pewna, że ma ważniejsze rzeczy na głowie niż odwiedzanie ludzi, którzy nie chcą... cóż, nie chcą go widzieć.

Uspokojona Lucy dalej głaskała kociaki.

– To było dawno temu – podjęła Abby w zadumie. – Jego żona właśnie zmarła, dosłownie kilka dni po śmierci twoich rodziców. Był smutny, cierpiał i...

– Przecież my nic nie zrobiliśmy! – zaprotestowała Lucy.

– Wiem. Ale on myślał inaczej.

Lucy przez chwilę milczała, po czym oznajmiła:

– Ja się tak nie zachowywałam, kiedy mamusia i tatuś... odeszli.

– Ja też nie, ale ludzie różnie reagują. – Przysunęła się do bratanicy. – Obie trochę to wyolbrzymiamy, zaczęłyśmy myśleć, że szeryf to jakiś potwór. A przecież on chroni ludzi. Na tym polega jego praca i musi być w tym dobry, bo zaczyna już drugą kadencję na tym stanowisku. Przez wiele lat, zanim został szeryfem, był zastępcą szeryfa. – Abby wyjrzała przez drzwi stodoły na pastwisko, gdzie pasło się bydło. – Marie z mojego biura mówi, że on nie toleruje mężczyzn, którzy krzywdzą kobiety, i wykorzystuje wszelkie dostępne metody, żeby wsadzić takiego człowieka do więzienia. Podobno jego ojciec pił i bił jego i jego matkę.

– Och – powiedziała Lucy. – To smutne. – Zauważyła wyraz twarzy ciotki. – Czy twój tata też cię bił, ciociu?

Abby przygryzła wargę, nim odparła:

– Mnie, twojego tatę i twoją babcię. Jak się upił, był agresywny.

– Czy dlatego tak się przestraszyłaś, kiedy szeryf na nas krzyczał?

– Być może... nie wiem. – Odetchnęła i spojrzała na Lucy. – Skoro mamy tu mieszkać, musimy dogadywać się z ludźmi. Tak czy inaczej, szeryf nie ma żadnego powodu, żeby nas nachodzić, więc pewnie rzadko będziemy go widywać.

– To dobrze. – Lucy podniosła wzrok. – Czy on ma dzieci?

– Nie. Jego żona była lekarką – odparła Abby. – Bardzo skupiała się na pracy. – Chwyciła nitkę na brzegu nogawki dżinsów. – Większość czasu spędzała w Denver.

– Nie tęskniła za nim?

– Popatrz – powiedziała Abby. – On się bawi twoimi sznurówkami. – Zaśmiała się, wskazując małego kociaka. Udało jej się odwrócić uwagę Lucy.

Abby miała o czym myśleć, nie chciała na dodatek poświęcać myśli szeryfowi.

Zabrały do domu kociaka, który się z nimi bawił. Po krótkiej wizycie u weterynarza, gdzie pobrano mu krew i zaszczepiono, już z nimi został. Był słodki i zabawny, i już pierwszej nocy

w domu zajął łóżko Lucy, ignorując ładne kocie legowisko, które kupiły razem z innymi niezbędnymi kocimi rzeczami.

Abby zaczęła protestować, lecz kiedy zobaczyła uśmiech Lucy, gdy kociak wcisnął się pod kołdrę i przytulił do jej ramienia, poddała się. Dały mu na imię Patrick z powodów, których żadna z nich nie potrafiła wyjaśnić. Obie się z tego śmiały. Śmiech to było coś nowego. Tak długo żyły w niedostatku, smutku i bólu. Przeprowadzka na ranczo była jak piękny sen. Abby modliła się tylko, by nigdy się nie skończył. Z biegiem dni Abby coraz bardziej wciągała się w nową pracę, coraz lepiej czuła się w kancelarii i wtapiała się w zespół, poznała też sklepy w mieście i wiedziała, gdzie najlepiej robić zakupy spożywcze. Wybrała się z Lucy na przyjęcie urodzinowe Matta i poznała kilka matek. Wszystkie wzbudziły w niej sympatię. Lucy również dobrze się bawiła.

Abby pojechała też obejrzeć miejscowe lodowisko. Z radością przekonała się, że nie tylko wypożyczają tam łyżwy, ale też je sprzedają. Jak powiedziała właścicielka, ta uboczna działalność okazała się całkiem lukratywna. Abby od razu postanowiła, że kupi dla siebie i Lucy łyżwy figurowe, a nie hokejowe, jakie już miały i bardziej się nadawały dla początkujących. Dziewczynka uwielbiała ten sport, co udowodniła w Denver, i świetnie radziła sobie na lodzie. Tak samo Abby. Wydawało się, że sporo ludzi z Catelow, a także okolic sąsiadujących z hrabstwem Carne, spędza wolny czas na lodowisku. Kiedy tam była, spotkała parę, która przyjechała z Billings i brała lekcje jazdy na łyżwach u medalistki

olimpijskiej. Abby postanowiła, że jeśli ranczo będzie dobrze prosperować, to zapisze Lucy do szkoły łyżwiarskiej. W Denver brakowało im na to funduszy.

Dzięki Donowi Blalockowi ranczo nie wymagało od niej żadnej interwencji. Don okazał się prawdziwym czarodziejem. Wieczorami Abby siadywała z nim przy komputerze nad rozliczeniami i uczyła się, jak pracuje dział sprzedaży. Nie miała wcześniej pojęcia, że coś takiego tu istnieje. Don wyjaśnił, że trzeba mieć do tego odpowiednie kwalifikacje zawodowe, a także charakteryzować się dużym poczuciem odpowiedzialności.

– I właśnie dzięki temu – dodał z uśmiechem – ranczo jest wypłacalne. A skoro tak, to warto tym ludziom płacić.

Każdego dnia tyle było do zrobienia, że Abby czuła się wręcz oszołomiona. Samo utrzymanie sprzętu do siodłania koni, pilnowanie i karmienie zwierząt wydawało jej się koszmarem. Powoli zbliżała się zima, ranczo już szykowało się na niskie temperatury i zmianę aury, która wiele spraw skomplikuje. Kiedy się dowiedziała, jak ogromne jest ranczo, jeszcze bardziej cieszyła się, że ma kogoś takiego jak Don.

Maisie zawoziła Lucy na lekcje i przywoziła ją do domu. Dziewczynka bardzo polubiła nową szkołę, zwłaszcza gdy przekonała się, że nie jest tu narażona na żadną przemoc. Dyrekcja świetnie sobie radziła, nauczyciele byli kompetentni, zaangażowani i sumienni, a kiedy pojawiały się problemy z dyscypliną, mogli liczyć na wsparcie dyrektora. Zresztą wielu pedagogów urodziło się i wychowało w Catelow. Abby bardzo

się ucieszyła, gdy okazało się, że bratanica szybko się tu odnalazła.

Wszystko układało się wprost idealnie, Abby nie miała żadnych prawdziwych zmartwień, aż pewnego popołudnia Hanna zadzwoniła do kancelarii z wiadomością, że Lucy poszła do stodoły odwiedzić drugiego kotka i zniknęła bez śladu.

– Tak mi przykro – mówiła przez łzy. – Piekłam ciasto i nie przyszło mi do głowy, że jak pójdzie zobaczyć kocią mamę i małego, coś może jej się stać. Ale i tak poprosiłam jednego kowboja, żeby miał na nią oko, niestety wypadło mu coś pilnego i musiał wracać do pracy. To moja wina.

– Przestań. – Abby próbowała ją uspokoić, chociaż była pełna obaw. W takich jak ta wiejskich okolicach pojawiały się niedźwiedzie, kojoty i inne drapieżniki. Poza tym była sobota i w lesie na pewno przebywali myśliwi, a Lucy nie miała na sobie ubrania w kolorze, który byłby z daleka widoczny. Poczula się jak w koszmarze. – Znajdę ją – powiedziała. – Mam przy sobie komórkę, w razie czego zadzwonię po pomoc, ale najpierw wpadnę do domu, by się ciepłej ubrać.

– Bardzo przepraszam, przeszkodziłam ci w pracy.

– Pracowałam dla pana Owensa nad pewną sprawą po godzinach – odparła Abby. – Kiedy zadzwoniłaś, właśnie kończyłam. Przestań się martwić.

– Może powinniśmy kogoś powiadomić... Szeryf... – Hanna przygryzła wargę, przypominając sobie o trudnościach, jakie się z tym wiązały.

– Jeszcze nie – odparła Abby.

– Dobrze, w porządku.

Abby włożyła ciepłą kurtkę i wysokie buty, gęste włosy schowała pod wełnianą czapkę, wsunęła skórzane rękawiczki i ruszyła do stodoły. Poprosiła jednego z mężczyzn, żeby osiodłał łagodnego wierzchowca. Kiedyś sporo jeździła konno, a w ten sposób mogła dotrzeć do miejsc niedostępnych dla samochodu. No i z końskiego grzbietu łatwiej było dojrzeć ślady stóp na ziemi, jeśli jechało się powoli. Don, gdy tylko dowiedział się, w czym rzecz, natychmiast zorganizował ekipę poszukiwawczą, a kowboje mieli przeczesywać wyznaczone przez niego obszary.

Wcześniej tego popołudnia zaczął padać śnieg, co jesienią w Wyoming nie było niezwykłym zjawiskiem. Spadło go bardzo niewiele, jednak Abby uznała to za błogosławieństwo, bo w śniegu łatwiej można dostrzec ślady małych stóp.

Ruszyła po śladach do lasu, zastanawiając się, czemu, na Boga, dziewczynka w ogóle się tam wybrała. Ranczo leżało w dolinie, przepływał przez nie strumień, a tuż za jego granicami zaczynał się gęsty las z jodłami, brzoźami i topolami. Daleko po drugiej stronie wznosiło się wysokie wzgórze. Przez ciemny las trzeba się było przedzierać przez wysokie poszycie. Abby żałowała, że nie wzięła ze sobą nożyc ogrodniczych i nie włożyła ochraniaczy na spodnie, bo przeprawa nie była łatwa. Wjechała na teren gęsto zarośnięty ciernistymi krzewami jeżyn. W lecie będą mogły je zbierać, piec ciasta z owocami i robić przetwory, ale teraz krzewy okazały się poważnym problemem.

Zamartwiała się o Lucy. Czy dziewczynka miała na sobie ciepły płaszcz, czy bardzo się bała? Po co w ogóle wybrała się do lasu? Abby zdusiła strach, wiedziała, że musi być dzielna. I jechała dalej.

Cody Banks skończył już służbę. Sobota była spokojna, więc cieszył się ciszą na ranchu, które kupił kilka miesięcy wcześniej. Bardzo lubił samotność, a przede wszystkim cieszył się, że mieszka w domu, w którym nie kryją się wspomnienia o Debby, jego zmarłej żonie. Za długo już żył przeszłością, tak długo, że żałoba stała się jego sposobem na życie. Tutaj, wśród hektarów pastwisk i lasu, mógł się zatracić w naturze.

Obok niego siedział piękny pies, husky syberyjski, którego Debby zostawiła dla niego u pielęgniarki w Den-ver tuż przed swoją śmiercią. Darzył to zwierzę szczerą miłością. Suka miała już sześć lat, ale nadal była aktywna i radosna jak szczeniak. Cody ją rozpuścił, kupował jej smakołyki i pozwalał spać w nogach łóżka. Była jak dziecko, którego z Debby nie mieli. Cody bardzo pragnął mieć dzieci, ale Debby pieła się po szczeblach kariery i nie była zainteresowana dziećmi ani prowadzeniem domu. Wiedział o tym, kiedy się z nią żenił. Kochał ją całym sercem, więc to nie było najważniejsze. Ale teraz, gdy w wieku trzydziestu sześciu lat został sam, a z rodziny nie żył już prawie nikt poza kuzynami, samotność trochę za mocno mu doskwierała. Gdyby nie Anyu, jego husky, byłby całkiem sam na tym świecie. Poklepał sukę, a ona podniosła na niego wzrok i spojrzała jasnoniebieskimi oczami. Miała śmiejący się pysk i białe futro z ciemnoszarymi pasemkami. Jej imię Anyu w języku Inuitów oznaczało śnieg.

Cody dowiedział się tego od tymczasowego zastępcy, Inuity z pochodzenia, gdy po raz pierwszy został wybrany na szeryfa.

Miał na sobie wysokie buty, kurtkę z kożucha, a na głowie jasnoszary kapelusz. Bez munduru czuł się dziwnie, spędzał w nim większość czasu, jednak na ranchu nie było to konieczne.

Szedł właśnie nieutwardzoną drogą sąsiadującą z jego ziemią, biegnącą po terenie należącym do Charliego, który dopiero co zmarł, kiedy jakiś dźwięk przyciągnął jego uwagę. Był samotny i myśli o Debby, wspomnienia ich wspólnego życia, często do niego wracały. Szedł dalej przez chwilę, i zatrzymał się gwałtownie. To nie był głos zwierzęcia. Bardzo przypominał głos dziecka.

Cody zawołał, ktoś mu odpowiedział, więc ruszył w tamtą stronę. Poszycie było bardzo gęste, toteż ze skórzanej pochwy przypiętej do pasa wyjął nóż myśliwski i zaczął ścinać krzewy jeżyn, które w lecie rodziły mnóstwo owoców.

Kiedy dotarł na miejsce, znalazł dziecko złapane w pajęczynę ciernistych gałęzi.

– Nie mogę się zgubić – powiedziała dziewczynka z oczami pełnymi łez. – Może mnie pan stąd wyciągnąć, proszę pana?

– Oczywiście, że tak. Poczekaj moment. Jesteś ranna? Nic ci się nie stało? – spytał łagodnie.

– Jestem tylko podrapana – odparła przez łzy. – Kiedy tu przyszedłem, nie widziałam, że jest tak gęsto. Czołgałam się za Myrą, ona się przedostała, a ja utknęłam.

– Myra? – spytał w roztargnieniu, ścinając drapiące gałązki i delikatnie wyciągając ciernie z kurtki dziewczynki.

– To nasza kotka. Ma dwa małe. Duży stary pies ją przestraszył i uciekła, a ja poszłam jej szukać. Ale to było bardzo daleko.

– Myra pewnie już czeka na ciebie w domu – powiedział z uśmiechem. – Koty są sprytne, potrafią się oddalić od domu i same wrócić. – Gdy rozległo się psie wycie, zawołał: – Tu jestem, kochanie!

Anyu przebiegła przez pastwisko i na jego cichą komendę zatrzymała się, kiedy dotarła do krzaków. Pochyliła głowę i powąchała dziewczynkę, która zawołała:

– Jaki ładny pies! I ma niebieskie oczy. To pana pies?

– Tak. – Skinął głową, wciąż skupiony na tym, żeby ją uwolnić. – Nazywa się Anyu. Ma sześć lat.

– To husky, prawda? Jest piękna. Zawsze marzyłam o psie... Dobrze, że mamy chociaż kota. Mieszka z nami i śpi w moim łóżku.

– Nie mam nic przeciwko kotom, ale kocham Anyu. Jest wspaniałym kompanem.

– A ma pan małe dzieci? – spytała, bo wydał jej się bardzo miły.

Jego twarz stwardniała.

– Tylko Anyu – odparł dopiero po chwili. – Proszę, sprawdź, czy możesz już do mnie wyjść. Ale powoli, nie porwij kurtki.

– Okej. – Posuwała się naprzód bez pośpiechu, krok za krokiem, aż w końcu wydostała się z ciernistych krzewów. – Dziękuję panu.

– Nie ma za co.

Podniosła na niego wzrok, a musiała naprawdę wysoko podnieść głowę.

– Jest pan kowbojem? – spytała.

– Nie do końca. – Uśmiechnął się lekko. – No, w pewnym sensie...

– U nas w domu jest dużo kowbojów. Wszyscy są bardzo mili. Mogę pogłaskać pańskiego psa?

– Jasne, ale niech najpierw powącha twoją rękę. Jest trochę nieufna wobec obcych.

– Okej. – Wyciągnęła dłoń.

Anyu powoli ją powąchała, potem jakby się zaśmiała i jasnoniebieskimi oczami spojrzała na dziewczynkę, która powiedziała podekscytowana:

– Nigdy nie widziałam psa o niebieskich oczach.

– Jak się nazywasz i gdzie mieszkasz? – spytał.

– Jestem Lucy. Mieszkam tam. – Wskazała dość ogólnie kierunek, z którego przyszła. – Na ranchu. Z ciotką Abby.

Zrobił dziwną minę, a po chwili oznajmił:

– Chodźmy już do domu, odprowadzę cię.

– Nie powiedział pan, jak pan się nazywa...

– Hm... – Skrzywił się. – To raczej nie jest dobry pomysł. Jeszcze nie. Może będę musiał... och, do diabła. – Zacisnął zęby, bo właśnie zbliżyła się do nich amazonka.

Ściągnęła wodze, a gdy koń się zatrzymał, zsunęła się z siodła.

– Lucy! – Podbiegła do dziewczynki i chwyciła ją na rękę, powstrzymując łzy. – Lucy, gdzieś ty była? Wszędzie cię szukam.

– Utknęłam w tych ciernistych krzakach – odparła Lucy. – Myra się przestraszyła i uciekła, więc poszłam jej szukać. On mnie uwolnił – dodała, uśmiechając się do wysokiego mężczyzny ze spiętą twarzą w nasuniętym na czoło stetsonie. – Ma pięknego psa! To husky, nazywa się Anyu.

Abby z trudem odchrząknęła, próbując nie pokazać, jak bardzo jest skrępowana i zdenerwowana.

– Dziękuję – powiedziała szczerze. – Tak się przestraszyłam. Nigdy tego nie robiła.

– Nie ma za co.

– Czy pana pies skaleczył sobie łapę? – spytała Lucy. – Niech pan zobaczy, trochę utyka.

Cody spojrział na Anyu. Rzeczywiście wyraźnie oszczędzała jedną łapę.

– Może cierń jej się wbił – powiedział, przyklękając. – Gdy tylko wypuszczę ją z domu, biega jak szalona. – Obejrzał łapę, ale nie dostrzegł cierni, jednak Anyu popiskiwała, kiedy trzymał jej prawą łapę.

– Mam nadzieję, że nic jej nie jest. Jest taka słodka. Pozwoliła mi się pogłaskać, ciociu – dodała Lucy, nieświadoma napięcia między nimi. – Chciałabym, żebyśmy miały psa...

– Nic jej się nie stało? – spytała Abby, obserwując, jak Cody Banks czule zajmuje się zwierzakiem. To był zupełnie inny człowiek niż ten, który przed laty zwyzywał je na szpitalnym parkingu.

– Tak myślę, ale zajrzemy do weterynarza, niech ją obejrzy. Mogła się uderzyć o kamień. – Wstał.

– Dziękuję – powtórzyła Abby, bo brakowało jej słów. – Byłam w biurze. Zwykle nie pracuję w soboty, ale pan Owens potrzebował materiałów do streszczenia sprawy, które właśnie pisze. Hanna odwróciła się tylko na chwilę, żeby włożyć ciasto do piekarnika, a Lucy zniknęła, po prostu się ulotniła.

– W zeszłym roku mieliśmy taki przypadek, że dziewczynka zaginęła, bo szukała królika. – Skrzywił się. – Nie skończyło się to dobrze. Kiedy ją znaleźliśmy, była półżywa z odwodnienia i wychłodzenia. Cały oddział pościgowy jej szukał, razem z policją i strażakami... – Uśmiechnął się mimowolnie. – To mała społeczność. Wszyscy się znamy i dbamy o siebie nawzajem.

Abby zadumała się na moment, po czym odparła:

– Niestety o Denver raczej nie da się tego powiedzieć.

– Nie lubię Denver – wtrąciła Lucy. – A tutaj bardzo mi się podoba.

– Lepiej wracajmy do domu. – Abby pociągnęła Lucy w stronę konia.

– Niech pani wsiądzie – powiedział Cody. – Podam pani Lucy.

Gdy Abby była już w siodle, pozwoliła, by Cody posadził przed nią Lucy.

– Proszę jechać ostrożnie – powiedział, cofając się. – Jeśli śnieg się utrzyma, droga może być śliska, a pewnie trochę się utrzyma. – Gdy Abby skinęła mu głową, dodał niby z powagą, ale i z uśmiechem: – Koniec z poszukiwaniem zaginionych kotów, młoda damo.

– Pa, pa. – Lucy pomachała mu. – Pa, Anyu. – Uśmiechnęła się do suczki.

Powoli się oddalały. Cody stał w miejscu z ręką na głowie psa.

– Ten pan był bardzo miły – powiedziała Lucy. – Ciął cierniste krzaki, żebym mogła się spod nich wydostać. Wczołgałam się tam za Myrą, a jak się potem podniosłam, nie mogłam stamtąd wyjść. Tyle było tych gałęzi i cierni. Ma pięknego i miłego psa. Kim jest ten pan, ciociu?

Abby się zawahała. Właśnie zobaczyła zupełnie innego Cody'ego Banksa niż ten, którego dotąd znała.

– Ciociu Abby? – nalegała Lucy.

– To nasz szeryf – odparła wreszcie Abby. – Cody Banks.

ROZDZIAŁ TRZECI

Zdumiona Lucy spojrzała na ciotkę.

– To nasz szeryf? – spytała. – Przecież on jest bardzo miły. Pomógł mi wyjść z krzaków i pozwolił pogłaskać psa.

– Ludzie się zmieniają, Skrzacie – powiedziała Abby, używając przydomku, jaki jej brat nadał swojemu jedynemu dziecku. – Może nasz szeryf też się zmienił? – dodała cicho.

– Jego pies jest śliczny – mówiła dalej Lucy. – I ma piękne niebieskie oczy.

– To husky syberyjski – odparła Abby. – Wydaje mi się, że wiele z nich ma niebieskie oczy.

– Och, ale nie takie jak Anyu – autorytatywnie stwierdziła Lucy. – Jej oczy są jak niebo w chłodny bezchmurny dzień.

Abby się uśmiechnęła. Ją także Cody Banks zaskoczył czułością i troską wobec Lucy. Wspomnienie mężczyzny, który przed laty tak bardzo je przeraził, zaczęło blednąć, zastąpione przez obraz człowieka, który ratuje dzieci i kocha swojego psa. Mogła sobie tylko wyobrażać, jak bardzo kochał Debby. Abby tak naprawdę nigdy nie była zakochana, choć raz tak jej się zdawało i źle się to skończyło. Oczywiście podkochiwała się

w filmowych gwiazdorch. Szczerze mówiąc, wystrzegła się mężczyzn i traktowała ich nieufnie. Traumatyczne wspomnienia o brutalnym ojcu sprawiły, że wybrała samotne życie. Pewnego razu matka jej powiedziała, że zanim ojciec wpadł w sidła alkoholu, był wspaniałym człowiekiem. Czy zatem można przewidzieć, jak zachowa się mężczyzna za zamkniętymi drzwiami? Nie można. Dlatego Abby poza pracą preferowała samotność. Miała też Lucy, która sprawiła, że jej życie nabrało nowego sensu. Wciąż tęskniła za bratem i Mary, ale Lucy stała się dla niej prawdziwym błogosławieństwem i szczęściem.

W ciągu całego swojego dotychczasowego życia Abby była tylko w jednym poważniejszym związku, a działo się to w czasach, kiedy kończyła szkołę średnią. Chłopak się z nią umawiał, ponieważ jego ojciec chciał się zatrudnić w firmie prawniczej jej brata. Miał nadzieję, że spotykając się z Abby, zjedna sobie Lawrence'a. Kiedy Abby się o tym dowiedziała, poczuła, jakby ktoś wylał jej na głowę kubeł zimnej wody, zwłaszcza że była przekonana o swojej absolutnej i dożgonnej miłości do tego chłopaka. Nie pomogło, gdy ją rzucił, okraszając moment rozstania chamskimi uwagami na temat jej wyglądu, ubioru i zachowania, a także plugawie skomentował fakt, że odmówiła mu seksu. Miała wtedy zaledwie osiemnaście lat, a z powodu pochodzenia i bolesnych rodzinnych doświadczeń jej samoocena i tak była już bardzo niska. Choć starała się z tym walczyć, tamte koszmary wciąż do niej wracały, nieustannie ingerując w jej tu i teraz. Efekt był taki, że obawiała się mężczyzn, choć zarazem gdzieś w głębi jej duszy kryły się inne

marzenia. Wiedziała jednak, że nawet gdyby poznała mężczyznę, który chciałby się z nią ożenić, to mała dziewczynka, dla której stała się przybraną matką, na pewno go odstraszy, bo nie będzie mu się uśmiechało branie odpowiedzialności za cudze dziecko. Natomiast Abby kochała Lucy i nigdy by jej nie oddała do adopcji. Więc pewnie to dobrze, że niespecjalnie interesowała się mężczyznami.

Pomyślała o nowym wizerunku Cody'ego Banksa. Już nie budził w niej strachu. Był miły dla Lucy, a wobec niej uprzejmy. Zapewne zawsze tak traktował dzieci. Ktoś jej wspomniał, że był ojcem chrzestnym kilkorga dzieci w okolicy i nigdy nie zapominał o prezentach na urodziny czy pod choinkę. Wydawało się, że ten nowy, zrównoważony i uprzejmy człowiek zdominował tego sprzed lat, który cierpiąc po stracie żony, ział nienawiścią i wykrzykiwał straszliwe słowa.

Trzeba przyznać, że kochał Debby obsesyjnie. Ludzie mówili, że nigdy już nie był taki sam, kiedy postanowiła pracować w dużym klinicznym szpitalu w Denver i tylko od czasu do czasu bywała w domu. Tak jakby stanowił w jej życiu jedynie dodatek, podczas gdy ona dla niego była całym światem.

Abby nawet nie potrafiła sobie wyobrazić, jak to jest być tak kochaną przez mężczyznę, dla którego nic innego w życiu się nie liczy. Niestety dla Debby liczyła się tylko praca, to, że jest lekarzem. Nie można tej profesji odmówić szlachetnego posłannictwa, a Debby miała dobry kontakt z ludźmi. Przy tym

wróżono jej, że zrobi prawdziwą karierę jako neurochirurg. Lecz gdy zmarła, wszystko to znikło, a Cody został sam.

A teraz, po śmierci Charliego Butlera, Cody został kompletnie sam. Był spowinowacony z Charliem tylko przez żonę, więc choć darzyli się sympatią, ranczo w spadku dostała Abby, wnuczka siostry zmarłego. Wcześniej Abby tego nie kwestionowała, teraz zaczęła się nad tym zastanawiać. Cody miał swoje ranczo, które graniczyło z odziedziczoną przez nią ziemią. Czemu Charlie pominął Cody'ego i jej zapisał majątek? Żałowała, że nie może zadać mu tego pytania. Chociaż darzył ją swoistą sympatią, nie okazywał jej czułości i szczerze mówił, że nie przepada, gdy Lucy płacze się mu pod nogami. Nie lubił dzieci, co może tłumaczyć, dlaczego nigdy się nie ożenił.

– To jak, ciociu, możemy mieć psa? – spytała tęsknie Lucy, burząc jej zadumę.

– Tak, możemy, ale trochę później – odparła pogodnie, tak naprawdę niczego nie obiecując. – Zaczekajmy, aż się tu porządnie urządzimy, dobrze?

– Cudownie! – zawołała dziewczynka. – I proszę, niech to będzie husky, taki sam, jakiego ma szeryf.

Gdy tętno Abby przyśpieszyło, pomyślała, że to dziwna reakcja.

– Jeszcze się nad tym zastanowimy, dobrze?

Lucy uściskała ją za nogi.

– Kocham cię, ciociu.

Abby zaśmiała się i podniosła dziewczynkę z ziemi.

– Też cię kocham, Skrzacie.

Cody Banks był zły na siebie, że nie zauważył, co się dzieje z Anyu. A dziecko od razu wiedziało, że suczka kuleje. Miłe dziecko, pomyślał, jadąc do weterynarza z Anyu, która leżała na siedzeniu pasażera SUV-a. Dziewczynka miała sympatyczny uśmiech i ujmujący sposób bycia. Ciotka ją kochała, to było oczywiste. Cody bardzo pragnął mieć dzieci, ale Debby... No cóż, była mu tak droga, że zgadzał się na wszystko, czego chciała, nawet na jej pracę, nie skarżąc się, że rzadko ją widuje, a jeśli już, to zwykle tylko dzień czy dwa z rzędu. Pracował i starał się nie myśleć, że gdyby go kochała tak mocno jak on ją, zatrudniłaby się w miejscowym szpitalu, a nie w Denver w stanie Kolorado. Ale Debby była ambitna, a ponieważ nie mieli dzieci, które mogłyby czuć się zaniedbane, nic nie mówił.

I czuł się bez niej samotny. Być może dlatego kupił ranczo, bo kochał zwierzęta. Miał kilka sztuk bydła, a stadko się powiększało, oraz kury nioski. Zatrudniał kowboja na pełny etat, brata menedżera Abby Dona Blalocka, i dwóch pracowników tymczasowych, którzy pomagali kolczykować nowe sztuki bydła i wypalać im piętno. Oczywiście gdyby miał duże stado, okoliczni ranczerzy zgłosiliby się z pomocą przy znakowaniu, szczepieniu i wszystkich innych czynnościach, jakich wymaga prowadzenie rancza. Catelow to była niewielka społeczność składająca się z przyjaznych i życzliwych ludzi. Cody nie wyobrażał sobie, że mógłby mieszkać gdziekolwiek indziej.

Zastanawiał się kiedyś, czemu Debby nigdy nie zapraszała go do swojego mieszkania w Denver. Zawsze znajdowała jakąś wymówkę, a to była na dyżurze pod telefonem, a to musiała wybrać się na spotkanie, a to znów miała prywatnych pacjentów. Zabawne, że póki byli małżeństwem, w ogóle tego nie zauważał. Pewnie po prostu było tak, jak twierdziła, pracowała tak ciężko, że nie znajdowała czasu nawet na wizyty kochającego męża.

Zaparkował przed gabinetem weterynaryjnym i wszedł z Anyu do środka. Kiedy recepcjonistka poprosiła, żeby usiadł, technik weterynarii wyszła z gabinetu i powiedziała:

– Doktor zaraz się zjawi.

– Dziękuję.

Technik pogłaskała Anyu, zachwycając się jej jasnoniebieskimi oczami, po czym wyszła, zostawiając Cody'ego i Anyu w sterylnym gabinecie ze zdjęciami psów i kotów różnych ras oraz kolorowymi plakatami na ścianach.

Cody obejrzał już połowę sportowych ras psów, gdy pojawił się doktor Shriver. Był wysoki i małomówny, ale czuły dla zwierząt.

Kiwnął Cody'emu głową i spojrział na kartę.

– Mówił pan, że ona kuleje.

– Tak. Nie zauważyłem tego, dopóki... ktoś inny nie zwrócił mi uwagi, że oszczędza łapę. – Wyraźnie był zły na siebie. – Powinienem to wcześniej zauważyć.

– Często nie widzimy tego, co dostrzega ktoś z zewnątrz – sentencjonalnie stwierdził Shriver. – Zobaczmy, co się dzieje. – Podniósł Anyu i postawił ją na stole do badania. Kiedy poruszył jej łapą, zaskomlała i zabrała ją. – Może złamała palec – mruknął pod nosem doktor Shriver, po czym spojrzał na Cody’ego: – Musimy zrobić prześwietlenie i badania. Zostawi ją pan u nas?

– Jasne. Mam dzisiaj mnóstwo spraw. – Skrzywił się. – Czasem całymi dniami nie ma nic pilniejszego niż zatrzymanie pojazdu do kontroli czy bójka. I raptem tyle się dzieje, że powinienem mieć dwudziestu funkcjonariuszy więcej, niż mam. Na Boga, wczoraj mieliśmy napad na bank.

– Mówili o tym w wiadomościach. A ludzie myślą, że w małych miastach nie ma takich problemów.

– Przystępstwa zdarzają się wszędzie – stwierdził Cody. – Zadzwoń pan do mnie, jak będzie już coś wiadomo?

– Oczywiście. Ale wyniki badań możemy dostać dopiero za dwa dni. Dobrze się nią zaopiekujemy, jeśli pan ją zostawi.

– Chyba mogę to zrobić. – Uściskał śmiejącego się psa. – Bądź grzeczną dziewczynką.

Spojrzała na niego pięknymi, błyszczącymi jasnoniebieskimi oczami, jakby chciała zapewnić, że go nie zawiedzie.

Cody wrócił do biura szeryfa. Właśnie pracował nad dziwnym przypadkiem. Pewien mężczyzna ze Wschodniego Wybrzeża zaprzyjaźnił się z Charliem Butlerem, który zapisał ranczo Abigail Brennan. Człowiek ów nazywał się Horace Whatley

i zdobył zaufanie Charliego, powołując się na świetne referencje z największych rancz w Teksasie. U Charliego zdiagnozowano wtedy raka i bardzo cierpiał. Zatrudnił Horace'a, przyjmując na wiarę jego słowa. Młody mężczyzna był zrównoważony i łatwo nawiązał kontakt z innymi kowbojami. Z wdzięczności za pracę był wyjątkowo życzliwy dla Charliego i chętny do pomocy w każdy możliwy sposób.

Jednak po kilku tygodniach zaczęły się dziać dziwne rzeczy. Horace otrzymał stanowisko pomocnika brygadzysty, co wiązało się z pewną odpowiedzialnością, a niedługo potem brygadzysta Dick Blakely dostał ataku serca i musiał zrezygnować z pracy. Stanowisko zaproponowano Horace'owi, który ochocho skorzystał z szansy na awans. Charlie mu wyjaśnił, na czym będą polegać jego obowiązki, a Horace był przekonany, że sobie poradzi.

Kowboje z zasady nie lubią donosić na kolegów. Razem pracują, sporo wiedzą o sobie i nie mają zwyczaju plotkować. Ale dla Dona Blalocka, menedżera rancza, stało się jasne, że człowiek odpowiedzialny za bydło nie wykonuje swojej pracy. Sztywny harmonogram karmienia bydła wprowadzony przez Dona był ignorowany, Horace zwrócił się też do innego dostawcy karmy i złożył zamówienie. Don znał tego dostawcę, ale nie chciał robić z nim interesów, gdyż był to człowiek pozbawiony skrupułów i sprzedawał produkty gorszej jakości. Na takim ranczu jak to, które specjalizowało się w hodowli rasowego bydła, mogło to doprowadzić do załamania się programu hodowlanego. Więc Don poszedł do Charliego i wszystko mu wyłożył.

W konsekwencji Charlie wezwał Horace'a do gabinetu i przedstawił zarzuty. Powiedział mu wprost, że nie miał prawa robić tego, co zrobił, i drastycznie przekroczył swoje uprawnienia. Horace argumentował, że miał dobre pomysły i chciał je wypróbować, bo wiedział, że pan Butler będzie zadowolony z rezultatów. Charlie wymienił nazwisko sprzedawcy, z którym Horace robił interesy, i zażądał szczerzej odpowiedzi na pytanie, jakie naprawdę ma doświadczenie w pracy z bydłem.

Horace ponownie powołał się na swoje referencje i nadal nalegał na wprowadzenie eksperymentalnych zmian w programie hodowlanym. Charlie odparł mu na to, że jeśli będzie się upierał, zostanie zmuszony do szukania innej pracy. Horace przyjął do wiadomości tę decyzję, choć zrobił to bardzo niechętnie.

Chory i rozdrażniony Charlie wezwał Dona Blalocka i kazał mu obdzwonić wszystkich, którzy ponoć wydali Horace'owi referencje.

No i dotarł do bardzo interesującej prawdy. Otóż żadna z osób, które rzekomo go rekomendowały, nie widziała go na oczy, a dwie z nich zagotowały się ze złości, że ktoś śmiał je tak bezczelnie wykorzystać. Don Blalock zapewnił poszkodowanych, że nikt na ranczu o tym się nie dowie poza osobami, które były w to zaangażowane.

Uzbrojony w informacje Don wrócił do Charliego, który zaszokowany słuchał o impertynencji nowego pracownika i jego kłamstwach.

Horace znów został wezwany do gabinetu, a Don Blalock przedstawił mu wyniki przeprowadzonego śledztwa.

Horace zaniemówił, a gdy usłyszał od Dona, że dwóch ranczerów, na referencje których bezprawnie się powoływał, rozważa podjęcie kroków prawnych, po prostu się wystraszył. I przyznał, że wyolbrzymił swoje umiejętności, ale jest chętny do nauki i chce zdobywać doświadczenie, jeśli tylko pan Butler da mu szansę na naprawienie szkody. Dodał na koniec, że kocha zwierzęta i będzie rzetelnie robił to, co mu każą.

Don po chwili zadumy spytał Horace'a, czy kiedykolwiek wcześniej w ogóle był na ranczu, a po usłyszeniu odpowiedzi Don i Charlie zdumieni się niepomierne. Horace odparł bowiem, że nie, nie był, ale oglądał w telewizji dużo starych westernów, a także śledził na YouTube liczne nagrania pokazujące na żywo życie na ranczu. Grał nawet w grę wideo, gdzie trzeba było zajmować się hodowlą bydła, był zatem przekonany, że jest dostatecznie przygotowany do tego zadania.

Kiedy Charlie pozbierał się po tych rewelacjach, oznajmił młodemu człowiekowi, że do tej pracy potrzeba o wiele więcej doświadczenia, niż w swojej naiwności zakładał. zaproponował mu stanowisko oborowego, lecz Horace nie był chętny. Obawiał się, że nie jest dość silny do pracy fizycznej. Swoją drogą, mówił prawdę. Miał lekką nadwagę, a jego kondycja fizyczna pozostawiała wiele do życzenia.

Wydawał się też zaszokowany, kiedy Charlie powiedział, że brygadziści na jego ranczu zaczynali jako kowboje. Nie było żadnej szkoły, która przygotowywałaby do tego zawodu,

a doświadczenie zdobywało się w praktyce, ucząc się wszystkiego od zera. Poradził Horace'owi, żeby wrócił do gier wideo, i dał mu tygodniową odprawę.

Horace stwierdził, że Charlie traci szansę na to, by jego ranczo stało się naprawdę wyjątkowe. Ze smutkiem potrząsnął głową i wyszedł.

Charlie i Don uznali, że sprawa jest zamknięta, ale się mylili. Horace zaczął krążyć po mieście i opowiadać ludziom, że opiekuje się bydłem na ranczu Circle B i będzie prezentował rasowe bydło pana Butlera na zbliżającej się wystawie w Denver.

To przelało czarę goryczy. Charlie wezwał swojego adwokata i kazał mu poinformować niegdysiejszego pracownika, że ludziom, którzy z premedytacją kłamią, grożą surowe kary. Horace lekceważąco uśmiechnął się do prawnika i z uporem powtórzył, że Charlie go zatrudnił, a cała ta sprawa to tylko nieporozumienie. Adwokat, który nie miał poczucia humoru, za to łatwo wpadał w złość, poinformował młodego człowieka, czego może się spodziewać, jeśli nie zamknie gęby.

Horace przestał opowiadać dyrdymały, ale pozostał w mieście, wciąż uparcie utrzymując, że ma fantastyczne pomysły na poprawę jakości rasowego bydła, i że wkrótce znajdzie pracę, a wtedy to udowodni.

Charlie i jego adwokat zaczęli podejrzewać, że Horace Whatley ma problemy ze zdrowiem psychicznym, ale pozostało to tylko w sferze domysłów, gdyż niedługo potem Charlie zmarł, a nikt nie wiedział, co stało się z Horace'em.

Jednak obecnie znów się pojawił w okolicy i napomykał, że za jakiś czas ponownie zacznie pracować w Circle B.

Gdyby zaczął starać się o zatrudnienie na ranchu Abby, mógłby ją wpędzić w niezłe kłopoty, bo ewidentnie miał coś nie w porządku z głową. Don Blalock by ją ostrzegł, Cody był tego pewien, ale byłoby lepiej, gdyby sam ją uprzedził. Albo poprosił o to Dona.

Cody postanowił przeprowadzić małe śledztwo w sprawie wprowadzającego wszystkich w błąd zagubionego w życiu pana Whatleya. Zaczął od telefonów.

Jeden z mieszkańców, Bart Riddle, daleki kuzyn Cody'ego, przyznał, że zna Whatleya.

– Co możesz mi o nim powiedzieć? – spytał Cody.

– Ma problemy – odparł Bart. – Przykro mi, że Charlie go nie przejrzał. Gdyby był w pełni sił, a nie bliski śmierci i dodatkowo osłabiony chemią, od razu rozpoznałby kłamstwo. Bo ja szybko się dowiedziałem, co jest grane. Sprawdziłem typka i wyszło na jaw, że nie ma żadnych referencji.

– Charlie też do tego doszedł, choć dopiero po jakimś czasie – stwierdził Cody. – Wiesz może, skąd on pochodzi?

– Niestety tak. I tu dopiero robi się ciekawie. Należy do rodziny Whatleyów z Miami. Są obrzydliwie bogaci i z tego, co mogłem się zorientować, starają się trzymać kłopotliwego krewnego możliwie jak najdalej od domu. Jego rodzice zmarli dawno temu, ale jest siostra, która wręcz histerycznie odżegnuje się od brania odpowiedzialności za brata. Próbowала,

i mocno się na tym przejechała. Obecnie wypłaca mu nieprzyzwoicie duże kieszonkowe, by mógł się ścigać po świecie ze swoimi fantazjami, byle jak najdalej od domu i rodziny. Jakiś czas temu przedstawiał się jako słynny szef kuchni, który pracował na jachtach miliarderów. Zatrudniła go elegancka restauracja w Nowym Jorku.

– I? – Cody słuchał jak zahipnotyzowany.

– Pierwszego wieczoru wywołał pożar w kuchni. Spłonęła do szczytu – wyjawiał Bart. – Potem obejrzał stary telewizyjny serial *The High Chaparral* i przyjechał do nas, by pomóc prowadzić ranczo.

– Dobry Boże... Czyli on naprawdę jest chory psychicznie.

– Tak, i jest to poważna choroba, ale poszedł do sądu, żeby nikt nie miał prawa zmuszać go do leczenia wbrew jego woli. – Bart zamilkł na moment. – I szkoda, że wywalczył takie orzeczenie. Rozmawiałem z jego siostrą. Powiedziała, że kiedy bierze leki, jest najmiłszym człowiekiem, jakiego zna, ale bez leków zamienia się w bombę zegarową. Ma urojenia, to człowiek kompletnie nieprzewidywalny. Wydaje się, że przynajmniej na razie jesteśmy na niego skazani, bo mu się tu podoba. I to bardzo.

– Niech to szlag... – mruknął Cody. – Nie dość, że mam problem z Anyu, to jeszcze przyplątał się niebezpieczny czubek. To cholernie frustrujące.

– A co się dzieje z Anyu? – spytał Bart, bo wiedział, ile ten pies znaczy dla Cody'ego.

– Kuleje. Nawet tego nie zauważyłem, ale mała bratanica Abigail zwróciła mi na to uwagę. Zostawiłem Anyu u weterynarza. Jeszcze do mnie nie oddzwonili.

– Pewnie cierń wbił jej się w łapę albo to coś równie niegroźnego – powiedział Bart, a po chwili spytał: – Jak poznałeś tę małą?

– Szukała w lesie kota, który wystraszył się i uciekł. Utknęła w krzakach jeżyn i nie mogła się wydostać. Znalazłem ją, kiedy byliśmy z Anyu na spacerze.

– No! – To dopiero była wiadomość. Bart wiedział, jak bardzo Abby i Lucy bały się Cody’ego. – Założę się, że Abby szalała ze strachu. Kocha to dziecko.

– Tak, owszem – z uśmiechem odparł Cody. – Kiedy do nas podjechała na koniu, myślałem, że zemdleje. – Westchnął. – Nigdy bym nie pomyślał, że dziewczyna z miasta potrafi radzić sobie z koniem.

– Kiedy się przeprowadziła do Denver i zamieszkała z bratem, brała udział w rodeo – przypomniał mu Bart. – Była w tym niezła, ma dobrą rękę do koni i w ogóle do zwierząt. Wszystkie bardzo ją lubią.

– Zauważyłem. – Cody westchnął. – Cóż, wracam do moich papierów. Gdybyś usłyszał coś więcej o naszym oborowym, daj mi znać, dobrze?

– Jasna sprawa. Może uzależni się od science fiction i wybierze się do NASA nauczyć ich, jak budować lepsze statki kosmiczne.

– No jasne, potrzebują dodatkowej pomocy – ironizował Cody – choć ich partnerem jest już Elon Musk, a Starship ma być międzyplanetarnym statkiem kosmicznym. Co to za gość!

– Tak, niesamowity.

– Niedługo się odezwę.

– Na razie.

Abby miała za sobą długi dzień w biurze. Nic złego się nie działo, ale szef zlecił jej bardzo żmudne zadanie. Musiała raz jeszcze sprawdzić wszystkie odnośniki do prawa, które cytowała w materiałach dla pana Owensa, żeby skutecznie mógł bronić swojego zdania w sądzie. Generalnie była zadowolona z nowej pracy, z tym że jej życie bardzo się zmieniło. Owszem, wróciła do korzeni, do miejsca swego urodzenia, ale po latach spędzonych w Denver, w którym mieszkało ponad siedemset tysięcy ludzi, potrzebowała trochę czasu, by się tu odnaleźć.

Kiedy wróciła do domu, Lucy poderwała się sprzed telewizora i przybiegła ją uścisnąć.

– Dobrze, że już jesteś. – Lucy spojrzała na nią z promiennym uśmiechem. – Tu jest tak ładnie, ciociu. Mam tylu przyjaciół i mieszkamy na ranczu z prawdziwymi kowbojami.

– No właśnie, całkiem nowe życie – pogodnie odparła Abby. – Wiesz co? Gdzieś jeszcze nie byliśmy, pora to nadrobić. Jutro sobota, może wybierzemy się na lodowisko?

– Och, cudowny pomysł!

– Też tak uważam. Potrzebujemy odpoczynku po tygodniu pracy i nauki. Pojedziemy po śniadaniu, zgoda?

– No jasne!

Nawet o tak wczesnej porze lodowisko było pełne ludzi. Abby i Lucy włożyły łyżwy i ostrożnie wyszły na lód, trzymając się za ręce.

– Tylko mnie nie puszczaj. Bardzo się denerwuję i mogę upaść – powiedziała Abby.

– Spoko, ciociu. – Lucy się zaśmiała. – Dopilnuję, żebyś nie rymsnęła na lód.

Zmieszały się z tłumem. Z początku jechały powoli, potem przyśpieszyły, kiedy z głośników popłynęła muzyka. To był miły dodatek, spokojne, dość ciche i kojące dźwięki. Melodia bez słów, głównie klasyczne kawałki, które idealnie pasowały do takiej jazdy, jaką lubiła Abby.

Kiedy była młodsza, chciała zostać mistrzynią łyżwiarstwa figurowego na lodzie, ale wtedy na lodowisku w Catelov nie było instruktorów jazdy, a do Denver było daleko. Poza tym ojciec nigdy nie pozwoliłby jej uciec spod jego dominacji. Nie wolno jej było nawet opuszczać podwórka poza weekendami, kiedy był zbyt pijany, żeby się przejmować, że matka bierze ją na lodowisko. W ciągu tygodnia po powrocie ze szkoły była jak więzień. Nie mogła nawet zaprosić koleżanki, żeby się z nią pobawić. Po śmierci rodziców, gdy wyjechała do Denver i zamieszkała z Lawrence'em, straciła zainteresowanie łyżwiarstwem figurowym, ograniczyła się tylko do oglądania

rywalizacji łyżwiarzy podczas olimpiad. Ale gdy znów włożyła na nogi łyżwy, powróciły stracone marzenia.

Jechała zamysłona, gdy Lucy ścisnęła jej rękę i powiedziała:

– Musisz być tu szczęśliwa. Niczego nam tu nie brakuje, mamy nawet koty.

– Więc taka jest twoja recepta na szczęśliwe życie? Koty? – wesoło podsumowała Abby.

– A tak, koty – zgodziła się zadowolona z siebie dziewczynka.

– Nie wiem, co ja bym bez ciebie zrobiła, Lucy. Dzięki tobie świat poweselał i codziennie odkrywam coś nowego.

– Dziękuję.

– A ja myślałam, że tajemnicą życia jest liczba czterdzieści dwa. – Gdy Lucy spojrzała na nią pytająco, wyjaśniła: – To z książki. Powstał też film na jej podstawie. Światem rządzą tam białe myszy, a tajemnicą życia jest liczba czterdzieści dwa. Książka nosi tytuł *Autostopem przez Galaktykę*, a autorem był znakomity pisarz Douglas Adams.

Kiedy w skrócie opowiedziała treść powieści, Lucy była oczarowana i spytała, czy mogą poszukać nakręconego na jej podstawie filmu i wypożyczyć go w sieci.

– Oczywiście – odparła Abby. – Obejrzymy go dziś po kolacji, okej?

– Super.

Cody dzwonił kilka razy z pytaniem o swojego psa, ale dotąd nie poznał wyników badań. Proszono, żeby poczekał, aż

weterynarz uzyska wszystkie niezbędne informacje.

Zabrało to kilka dni. Dopiero w następnym tygodniu doktor Shriver zadzwonił do biura z prośbą, żeby Cody przyjechał jak najszybciej.

Ruszył do kliniki weterynaryjnej z piskiem opon.

Kiedy wszedł do środka, doktor Shriver czekał na niego w poczekalni. Zaprosił go do gabinetu i zamknął drzwi.

– Proszę usiąść.

Cody usiadł.

Weterynarz odetchnął głęboko. To była ta część jego praktyki, której szczerze nienawidził.

– Pański pies ma raka – oznajmił po chwili.

Cody poczuł się tak, jakby serce mu pękło. Anyu była wszystkim, co miał na tym świecie.

– Jest źle? – zapytał z trudem. – Można ją leczyć?

– Bardzo źle – odparł weterynarz. – Są przerzuty w organach wewnętrznych i w kościach.

Cody siedział przez chwilę w milczeniu, wreszcie wydusił z siebie:

– Może ją pan wyleczyć?

Doktor Shriver pochylił się do przodu i splótł dłonie na biurku.

– Chce pan usłyszeć prawdę czy mam koloryzować?

– Prawdę... całą prawdę.

– Mogę zastosować chemio- i radioterapię. Jesteśmy do tego przygotowani. To kosztuje tysiące dolarów, lecz Anyu i tak umrze, a terapia to częste przyjazdy na zabiegi. Dochodzi jeszcze kwestia bólu.

Oczywiście, że zapłaci. Ma oszczędności i zrobi wszystko, żeby przedłużyć jej życie.

Doktor Shriver wyczytał to z jego twarzy.

– Szeryfie Banks – powiedział spokojnie. – Ona bardzo cierpi. Dziko żyjące zwierzęta ukrywają to przed innymi zwierzętami, a domowe nieraz ukrywają to przed ludźmi. Więc kiedy odkrywamy u nich chorobę, często jest już za późno na skuteczną kurację.

– Gdyby to był pański pies, którego by pan kochał, co by pan zrobił? – spytał Cody ze ściśniętym gardłem.

– Zabrałbym ją do domu, by przeżyła resztę życia tak jak chce – padła cicha odpowiedź. – Nie narażałbym jej na leczenie, które tylko przedłuży jej życie, ale jej nie uratuje.

Cody spojrzał na niego.

– Ile?

– Może pół roku. Może dużo mniej.

Zapadła cisza.

– Skąd będę wiedział, kiedy będzie musiała tu wrócić...

Shriver wstał i położył mu rękę na ramieniu.

– Będzie pan wiedział, szeryfie.

Cody też wstał. Poczuł się starszy, niż wskazywałaby na to jego metryka, i kompletnie pozbawiony sił.

– Sześć miesięcy... Zrobię wszystko, żeby to było najlepsze pół roku jej życia – rzekł po chwili. – Będę ją jeszcze bardziej rozpieszczać niż do tej pory.

– Tak właśnie bym postąpił. – Doktor Shriver się uśmiechnął, ale w jego oczach był smutek. – Pięć miesięcy temu straciłem moją golden retrieverkę. Miała czternaście lat. Mieszkała częściowo u mnie, częściowo u mojej siostry, ale ostatni rok spędziła u mnie. Jej odejście piekielnie boli. – Spojrzał Cody'emu w oczy. – Wiem, jak człowiek się wtedy czuje. Przykro mi. Gdybym mógł ją wyleczyć w jakikolwiek sposób, zrobiłbym to.

– Wiem. – Cody urwał. – Dziękuję. Mogę ją zabrać?

– Oczywiście – odparł lekarz. – Dam panu dwa lekarstwa, które ulżą jej w bólu. Mamy własną aptekę. Poproszę jedną z dziewczyn, żeby przyprowadziła Anyu, a ja przyniosę lekarstwa. Gdyby pan czegoś potrzebował, jestem do dyspozycji.

– Dziękuję, doktorze.

Położył torbę z lekami na tylnym siedzeniu, natomiast Anyu posadził z przodu obok siebie. Wyglądała, jakby nie miała żadnych trosk. Wyściskał ją, myśląc z bólem, że niedługo zostanie całkiem sam. Nie miał nikogo prócz Anyu. Była dla niego wszystkim.

Ale cuda się zdarzają. Może wyzdrowieje, powiedział sobie. Może choroba ustąpi. To nie była beznadziejna sytuacja. Może pomyłono się podczas badań. Zmierzwił futro Anyu. Oczywiście będzie jej podawał leki... ale doktor mógł się pomylić.

– Pojedziemy do domu, zjemy chili i będziemy oglądać zapasy – powiedział do ładnego puszystego psa. – Co ty na to?

Jej niebieskie oczy śmiały się do niego.

Uśmiechnął się. Anyu była dla niego nieustającym źródłem radości. Nie może jej stracić. Po prostu nie może. Chyba stać go na pokrycie kosztów chemii i radioterapii. Przemyśli to przez parę dni i podejmie decyzję.

Zabrał suczkę do domu, gdzie rozsiedli się na kanapie z domowym chili i wodą do popicia, i oglądali zapasy. To był świetny sposób na to, by zapomnieć o pracy, wyluzować się, zrelaksować.

Był właśnie w połowie drugiego meczu, kiedy zadzwonił telefon. Anyu zaczęła wyć. Zaśmiał się. Zawsze wyła na dźwięk telefonu.

– Szeryf Banks – rzekł cierpko.

– Szeryfie, może pan przyjechać do biura? – spytał jego nowy zastępca.

– Co się dzieje?

– No, mamy tu coś w rodzaju morderstwa...

– Jak, do diabła, może być coś w rodzaju morderstwa? – zirytował się Cody.

– Kilka minut temu przyszedł do nas mężczyzna i powiedział, że znalazł ciało niedaleko domu Butlera, na poboczu drogi, w krzakach. Mówi, że jest detektywem z Miami i z solidarności zawodowej chętnie nam pomoże rozwiązać tę sprawę.

– Morderstwo. Ciało. Jakiś obcy detektyw, który je znalazł. – Cody wziął uspokajający oddech. – Okej, gdzie jest ciało? Przywieźliście je?

– W tym szkopuł, szeryfie. Detektyw widział ciało, ale najwyraźniej zniknęło. Chce nam pomóc je znaleźć.

Cody gapił się na ścianę. Najpierw Anyu, teraz to. Cholerny, przeklęty dzień.

– Okej, przyjadę do biura i zobaczymy, o co chodzi.

– Dziękuję, szeryfie.

– Ten detektyw sprawia wrażenie, że wie, co robi?

– Chyba tak. Przypomina detektywa z telewizji, Remingtona Steele'a. Nie jest przystojny, ale ubiera się jak tamten. Bardzo elegancko.

– Już jadę. – Cody się rozłączył.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Jak powiedział młody zastępca szeryfa, detektyw z Miami był ubrany w drogi elegancki garnitur, do którego włożył biały jedwabny krawat. Włosy miał uczesane podobnie jak wspomniany detektyw z telewizyjnego serialu. Jedyne, czego mu brakowało, to wzrostu. Był niższy niż Cody, z tym że on miał ponad metr osiemdziesiąt, więc wiele osób nie dorównywało mu pod tym względem.

– Pan jest szeryfem? – spytał mężczyzna z szerokim uśmiechem, wyciągając rękę. – Mike Steele z Miami.

Cody uścisnął mu dłoń.

– Miło mi. Szeryf Banks. O co chodzi z tym ciałem? – spytał z powagą.

– Znalazłem je! Leżało w krzakach dzikiej róży na południe od domu na ranczu Butlera – zapewnił detektyw.

– W jakim było stanie? – spytał Cody, bo śnieg po ostatniej burzy śnieżnej już stopniał, więc można było sporo zobaczyć.

– Ciało? – spytał Mike Steele i zmarszczył czoło. – Cóż, było ubrane tak jak się noszą kowboje i miało strzałę w piersi.

– Słucham? – Cody zamrugał.

– To znaczy dziurę po kuli. Tak, dziurę po kuli. – Uśmiechnął się. – Proszę wybaczyć, to nie ten schemat.

– Gdzie dokładnie był ten ślad po kuli?

Steele na moment głęboko się zadumał, po czym odparł:

– W jego piersi.

– Ślady po prochu strzelniczym?

– Och... – Detektyw skrzywił się. – Naprawdę nie zauważyłem.

– Takich śladów trudno nie zauważyć – stwierdził Cody, ukrywając podejrzenia co do prawdziwej tożsamości „Mike’a Steele’a z Miami”. Na razie musiał postępować, jakby wszystko było w porządku. – W jakim stanie było ciało?

– Cóż, było martwe – brzmiała błyskotliwa odpowiedź.

– To oczywiste. Pytam, czy było mokre, suche, w stanie rozkładu, rozczłonkowane?

– Och, to jasne, że nie! – Dzielny detektyw aż zadrżał. – Było w jednym kawałku.

– Świetnie. Więc gdzie jest teraz?

– Hm... – Detektyw uniósł brwi. – No cóż, zniknęło.

– Powinien pan do nas zadzwonić, zanim pan tu przyszedł – oznajmił Cody. – Czemu pan nie zadzwonił z miejsca zbrodni?

Pytania wyraźnie zdenerwowały detektywa z Miami. Wyglądał jak ktoś, kto rozpaczliwie szuka odpowiedzi. I nagle się rozpromienił.

– Moja komórka się rozładowała – oznajmił triumfalnym tonem. – Zostawiłem ją w pokoju w motelu, żeby się naładowała, więc nie mogłem ani zadzwonić, ani zrobić zdjęcia na miejscu zbrodni.

– Cholerna szkoda – stwierdził Cody. – Zdjęcia bardzo by nam pomogły. Ale możemy tam z panem podjechać i zabezpieczyć ślady.

Detektyw zawahał się, ale szybko się rozpogodził.

– Świetnie. Dobrze pamiętam, gdzie to było.

Wyszli na zewnątrz, Cody poprowadził go do SUV-a i wskazał miejsce pasażera, a sam usiadł za kierownicą.

– Dokąd? – spytał.

– Ale bryka – usłyszał w odpowiedzi. – Ma najnowocześniejsze wyposażenie. Całkiem jak ze *Star Treka*.

– Jest pan fanem filmu? – spytał Cody.

– O tak. Jeździłem na wszystkie zjazdy i konferencje. Raz popłynąłem nawet w rejs z obsadą.

– To musiało być interesujące.

– I było. Jedne z najlepszych dni w całym moim życiu – dodał detektyw z radosnym uśmiechem.

– Więc dokąd jedziemy? – spytał Cody, gdy wyjechali na główną autostradę.

– To było obok dużej bramy z logo Circle B – odparł Steele. – Jakies dwa, trzy metry dalej w trawie – dodał.

– Hm... – Cody ściągnął brwi. – Dziwne, że żaden z kowbojów go nie zobaczył.

– Było bardzo wcześnie rano, zanim zaczęli pracę.

– Skąd pan wie, o której zaczynają pracę? – spytał Cody.

– Mam wszystkie urządzenia do śledzenia i podsłuchu – odparł gładko detektyw.

– Oby miał pan dobry powód, żeby ich używać – rzekł Cody. – Do korzystania z niektórych potrzebny jest nakaz sądowy.

– Nakaz sądowy? – Zakasłał. – No tak, nakaz sądowy. Więc je ustawiłem, kiedy znalazłem ciało.

– To dobra decyzja, myśli pan prawidłowo. – Cody zerknął na niego. – Czyli zostawił pan tu te urządzenia?

– Oczywiście. Zawsze jestem przygotowany na wszystko. Proszę, to tam. – Wskazał palcem. – Dokładnie tam leżało ciało.

Cody zjechał na pobocze i zatrzymał się obok bramy, na której widniał napis, że tu mieści się ranczo Circle B i przejście jest wzbronione.

Wysiedli z SUV-a i zaczęli się rozglądać.

– To tutaj. – Detektyw wskazał na zarośniętą trawę miejsce.

Nie było tam żadnych urządzeń śledzących, żadnego wyraźnego naruszenia terenu, żadnych śladów na niewielkiej pokrywie śniegu, który spadł wcześniej tego dnia. Może tylko niewielkie wgniecenia w trawie, gdy się dobrze przyjrzeć.

Gdy Cody zaczął tam iść, usłyszał szum silnika zbliżającego się pojazdu. Odwrócił się w samą porę, by dojrzeć, jak Abby dojechała przez bramę małym samochodem. Zaraz potem wysiadła z niego z Lucy.

– Cześć, szeryfie Banks! – zawołała, podchodząc do niego z szerokim uśmiechem.

Ogarnęło go miłe ciepło.

– Cześć, Lucy. – Też się uśmiechnął. – Jak się masz?

– Dobrze – odparła. – A jak Anyu?

– Jest bardzo chora – wyznał ze smutkiem. – Gdybyś nie zauważyła, że kuleje, o niczym bym nie wiedział.

– Tak mi przykro. – Spojrzała na niego ze szczerym współczuciem.

Cody walczył z rozpaczą, lecz mimo to uśmiechnął się do dziewczynki. Była słodka, miła i dobra. Znów gorzko pożałował tego, że przed laty tak bardzo ją przestraszył.

– Chciałabym mieć psa, ale ciocia mówi, że teraz nie mamy na to czasu. Ale obiecała, że kiedyś będziemy go miały. Bardzo lubię psy, a pana pies jest piękny.

– Tak, to prawda – odparł Cody. – Jest wszystkim, co mam na tym świecie – dodał cicho, choć nie powinien tak mówić do małej dziewczynki.

– A ja mam tylko ciocię Abby... – W jej wzroku zagościła smutna powaga, a także mądrość ponad jej wiek, jakby widziała i rozumiała ból Cody'ego.

Poczuł zaskakującą więź z tą dziewczynką.

Abby chwilę porozmawiała z detektywem, a potem podeszła do nich.

– Czy powinnam zadzwonić do Dona, żeby zabrał Lucy do domu? – spytała.

Cody walczył z silnymi emocjami. Choroba psa poruszyła go do głębi. Pomyślał o traumie, jaką przeżyłoby dziecko, gdyby gdzieś tutaj znaleźli ciało. Spojrzał na Abby i skinął głową.

– To dobry pomysł.

Abby zadzwoniła na komórkę Dona i dość ogólnikowo wyjaśniła, że chciałyby na jakiś czas zostawić Lucy z Maisie i ich córką.

Don podjechał, gdy wciąż mówiła do niego przez telefon, i zdumiony spojrział na detektywa z Miami. Zupełnie jakby skądś go znał. Jednak nic nie powiedział, bo zdał sobie sprawę, że niedoszły oborowy, którego przypominał ten mężczyzna, nie nosił się tak elegancko, a zresztą dokładnie nie pamiętał, jak tamten nieszczęśnik wyglądał, bo minęło już kilka tygodni.

Don się zaśmiał.

– Właśnie patrolowałem teren. Zdaje się, że ktoś nielegalnie tu wchodził. – Spojrzał na Cody'ego, unosząc brwi.

– Porozmawiamy o tym później, Don – obiecał Cody. – A teraz mamy do ciebie prośbę, żebyś zabrał tę młodą damę do domu. – Uśmiechnął się do Lucy, a ona odpowiedziała mu tym samym.

– Nie ma sprawy. Lucy, chcesz się przejechać na wielkim koniu? – spytał.

– Tak. Mogę, ciociu? – dodała, patrząc na nią błagalnie.

– Oczywiście, że tak. – Chciała podsadzić Lucy, ale Cody był szybszy.

Bez trudu podniósł dziewczynkę i podał ją Donowi, który posadził ją przed sobą w siodle. Kiedy drobnymi rękami obejmowała go za szyję, zrobiło mu się miło.

– Dziękuję, szeryfie Banks – powiedziała.

– Nie ma za co. – Pomyślał, że dziewczynka jest urocza. Taką córeczkę pragnął mieć z Debby. Ale to marzenie dawno umarło.

– Zaopiekuję się nią jak należy – powiedział Don.

– Wiem – odparła Abby. – Bądź grzeczna u Maisie.

– Będę grzeczna, ciociu.

Don uchylił kapelusza i pogalopował z Lucy.

Abby odwróciła się do szeryfa i detektywa.

– O co chodzi z tym ciałem?

– Leżało tutaj – powiedział przybysz z Miami.

Stał z boku plecami do Dona, dopóki ten nie odjechał. Teraz ruszył naprzód, wskazując ledwie widoczne wgniecenie w trawie, ale Cody go powstrzymał, chwytając za rękę.

– To miejsce zbrodni, dopóki nie ustalimy inaczej – stwierdził zdecydowanym tonem. – Przyślę tu mojego śledczego, żeby je przeszukał.

– Ale jak możemy cokolwiek znaleźć, skoro nie ma ciała? – Młody detektyw był dziwnie zdenerwowany.

– Zdziwiłby się pan. Mam do pana jeszcze kilka pytań – powiedział Cody.

Zadzwoił telefon detektywa, a ten tylko spojrzął na numer i zacisnął zęby.

– Przepraszam, muszę odebrać. – Oddalił się.

Wtedy Abby zbliżyła się do Cody'ego.

– Pewnie pan zauważył, że te wgniecenia w trawie odpowiadają wymiarom pana gościa, tego detektywa – szepnęła. – W każdym razie na moje oko tak właśnie jest.

– To nie wszystko, co zauważyłem – odparł.

– Bardzo mi przykro z powodu pańskiego psa – powiedziała nerwowo. – Kiedyś też miałam psa, kiedy byłam siedmioletnim dzieckiem i tu mieszkałam. Mój ojciec pił, a pies próbował obronić mnie i mamę... – Urwała. Nie była w stanie o tym mówić, choć minęło tyle lat.

– Nie znałem pani w tamtych latach – cicho powiedział Cody. – My też nie byliśmy zbyt towarzyscy. Nie jest pani jedyną osobą, która miała ojca alkoholika, i to takiego, który używał pięści. Dlatego zostałem funkcjonariuszem prawa. Staram się chronić inne dzieciaki przed tym, co sam przeszedłem.

– A ja dlatego zostałam asystentką adwokacką – odparła po chwili. – Żeby ratować ofiary przemocy. W kancelariach nie

spotyka się szczęśliwych ludzi, tylko złamane życie, stracone marzenia, ofiary przemocy.

– Pani szef, Owens, rzetelnie i uczciwie prowadzi kancelarię – zauważył. – Jest powszechnie szanowany w naszej społeczności nawet przez tych, których pomaga wsadzić za kratki.

– Zauważyłam. – Uśmiechnęła się.

Cody, rozmawiając z Abby, wciąż jakby odruchowo zerkał na detektywa, który nerwowo rozmawiał przez telefon.

– Doskonale wychowuje pani Lucy – dodał. – Jest miłym, dobrym i byстрыm dzieckiem.

– Mój brat był taki sam – odparła cicho. – Wciąż za nim tęsknię.

– A ja wciąż tęsknię za żoną. – Milczał przez chwilę. – Nosimy blizny, które nigdy nie znikną.

– Doskonale wiem, o czym pan mówi.

Spojrzał na nią w zadumie.

– Oboje przeszliśmy piekło. Przykro mi, że jeszcze coś pani dołożyłem od siebie, kiedy opłakiwała pani brata i szwagierkę.

Starła się zdusić wspomnienie tamtej okropnej chwili, ale wciąż budziło grozę.

– Nigdy nikogo tak bardzo nie kochałam – wyznała cicho. – Ale kiedyś byłam świadkiem szalonej miłości, która niestety tragicznie się skończyła. Przyjaźniłam się z jednym z pracowników kancelarii Lawrence’a, który oszalał na punkcie

poznanej w barze dziewczyny. Była prawdziwą piękną. Zakochał się do szaleństwa i kupił nawet pierścionek, bo chciał się z nią zenić. Potem odkrył, że była dziewczyną do towarzystwa. Wszyscy w biurze mu współczuli, aż pewnego dnia nie pojawił się w pracy i nikt nie wiedział dlaczego. Popęłił samobójstwo, zastrzelił się w swoim mieszkaniu. – Wzdrygnęła się. – Tak bardzo ją kochał, a ona widziała w nim tylko klienta. Biedny chłopak, wyruszył w drogę donikąd i już nie wrócił...

– Mężczyźni często wiążą się z niewłaściwymi kobietami, czasami nawet kolejno próbują wielu związków, zanim znajdą tę jedną jedyną.

– Tak, rozumiem, co ma pan na myśli. Prawie jej nie znałam, ale Debora była jedną z najlepszych osób, z jakimi się zetknęłam. Na pewno była bardzo dobrym lekarzem.

– Jednym z najlepszych. – Samo mówienie o niej bolało.

Zerknął na detektywa, który wciąż stał z telefonem przy uchu i prawie krzyczał, że nie przyjedzie do domu i że ludzie powinni zająć się swoimi sprawami. Potem rozłączył się i już w milczeniu gotował się ze złości, aż zdał sobie sprawę, że tych dwoje przypatruje mu się z zaciekawieniem.

– Moje biuro – oznajmił z powagą, unosząc telefon, zanim schował go do etui przy pasku. – Drobne problemy, nic ważnego.

– Ten denat – podjął Cody – był mniej więcej pańskiego wzrostu?

Mike Steele znieruchomiał i niespokojnie spojrział na nieprzeniknioną twarz szeryfa.

– Cóż, prawdę mówiąc, rzeczywiście tak było.

– I nie ma pan pojęcia, co się z nim stało?

– Nie. – Detektyw dziarsko się uśmiechnął i dodał: – Po prostu musimy go poszukać, prawda?

– Gdybyśmy tu ściągnęli wszystkich moich ludzi, żeby szukali ciała, którego nie można znaleźć, jak miałbym wyjaśnić roboczogodziny, które tu spędzimy? Wie pan, ludziom trzeba płacić, a to byłoby sporo nadgodzin.

– Och, jeśli o to chodzi, możecie liczyć na mój znaczący wkład finansowy – beztróska skwitował detektyw. – Trzeba znaleźć ciało.

Szeryf Banks przesunął kapelusz na tył głowy, spojrział z góry na detektywa i oznajmił:

– Muszę zobaczyć pańskie dokumenty. Nie wiem nawet, jak pan się nazywa.

– Przecież już mówiłem, jestem Mike Steele.

– Poproszę pańskie prawo jazdy.

– Prawo jazdy? – Detektyw z Miami wyraźnie pobladł.

– Tak, muszę je zobaczyć.

– Przecież mówiłem panu... – Zawahał się.

Cody podszedł krok bliżej, a minę miał groźną.

– Chcę zobaczyć pańskie prawo jazdy, panie Steele. Teraz, już, natychmiast.

Wreszcie do niego dotarło, że nie ma innego wyjścia. Z ociąganiem wyjął prawo jazdy i pokazał je Cody’emu.

– Horace Whatley... – Szeryf uniósł wzrok. Don Blalock opowiadał mu o mężczyźnie, który udawał specjalistę od bydła, śmiejąc się przy tym serdecznie. To był ten sam człowiek. Ale teraz nikt się nie śmiał.

Cody oddał mu prawo jazdy.

– Panie Whatley – rzekł chłodno. – Zgłaszanie fałszywego przestępstwa to wykroczenie, które może podlegać jurysdykcji karnej. Marnuje pan nasz czas, ale tak naprawdę powinienem pana aresztować i sprawić, żeby odpowiadał pan przed sędzią.

– Proszę, nie – odparł Whatley, tracąc całą brawurę. – Wyślą mnie do domu, do mojej siostry. – Zmarkotniał. – Ona traktuje mnie jak idiotę. Wszyscy tak mnie traktują. Chcą mnie tak otumanić lekami, żebym nie wiedział, jak się nazywam, i... zamknąć w odosobnieniu. – Spojrzał w oczy szeryfa. – Nie jestem aż tak szalony, jak im się zdaje, po prostu lubię się wcielać w wymyślone przez siebie postacie... w moje fantazje. – Westchnął. – Mam własny majątek, mogę sam o siebie zadbać, i tak zrobię, jeśli mi tylko pozwolą. Nigdy w życiu nikogo nie skrzywdziłem. – Znów podniósł wzrok. – Proszę, nie pozwólcie, żeby mnie odesłali do Miami.

– Rozumiem, że właśnie z siostrą rozmawiał pan przez telefon?

– Tak... – Skrzywił się. – Dzwonili do niej, kiedy udawałem specjalistę od hodowli bydła. Nie było jej akurat w kraju, dopiero dzisiaj się z nią skontaktowali, to znaczy jej prawnicy. Nie chciałem nic złego, naprawdę mam dobre pomysły dotyczące żywienia zwierząt. Przeczytałem wszystkie fachowe magazyny, wszystkie opinie ekspertów. Proszę, nie odsyłajcie mnie do domu. – Jego mina zmiękczyłaoby twardsze serce niż serce Cody’ego. – Przestanę szukać pracy na ranczach. Ma pan moje słowo.

– Tylko wtedy panu zaufam, jeśli przestanie pan wymyślać historie o zaginionych ciałach i innych kryminalnych bzdurach – rzekł stanowczo Cody. – Dostanie pan tylko jedną drugą szansę. Potem wraca pan do siostry. Zrozumiano?

– To znaczy mogę zostać? – zawołał Horace bliski łez. – Będę się trzymał z daleka od kłopotów. Obiecuję. Będę najlepszym obywatelem tego miasta. Będę nad tym ciężko pracował. Obiecuję – powtórzył.

Cody lekko się uśmiechnął.

– Okej, ale koniec eksperymentów z karmą dla bydła i udawania, że ma pan doświadczenie w pracy na ranczu, a przede wszystkim koniec z wymyślonymi zwłokami. I jakimikolwiek mistyfikacjami. Rozumie pan?

– Rozumiem. – Horace uśmiechnął się radośnie, a kiedy napotkał wzrokiem Abby, zaczerwienił się. – Panno Brennan, domyślam się, że nie potrzebuje pani pomocników?

– Żałuję, ale nie – odparła szczerze. – Panie Whatley, czemu nie kupi pan sobie rancza? Skoro ma pan dochody, to niezła inwestycja. Czasy są ciężkie, rancza na sprzedaż pojawiają się na rynku nawet tu, w hrabstwie Carne.

– Własne ranczo? – Rozpromienił się. – Nigdy nie miałem nic własnego. Dają mi pieniądze i wypychają za drzwi, żebym im nie wchodził w drogę i nie przynosił wstydu. Własne ranczo... – Odetchnął głęboko. – Tak, zrobię to! – Uśmiechnął się triumfalnie i pomknął do samochodu.

– Boże, w co ja się wpakowałem? – jęknął Cody, patrząc na Abby. – Ależ pani narozrabiała...

– Może i narozrabiałam, ale chodzi o to, że nikt inny go nie chce. Jest całkiem sam... trochę jak my. – Zamilkła na moment. – Pomyślałam, że gdy spróbuje żyć i pracować na własny rachunek, może się tu odnajdzie. A jeśli będzie miał swoje ranczo, nie starczy mu czasu na fantazjowanie w każdym tygodniu o czymś nowym.

– Okej, rozumiem pani intencje. – Przemknął wzrokiem po jej twarzy. Nie była ładna, ale kiedy się uśmiechała, to jakby zaświeciło słońce. – A tak przy okazji, jeżeli znajdzie pani jakiegoś denata, to proszę zadzwonić do mnie, nie do pana Whatleya.

– Tak jest – obiecała ze śmiertelną powagą, kładąc rękę na sercu.

W ten oto sposób w niedługim czasie Horace Whatley został właścicielem prawdziwego rancza z prawdziwymi kowbojami

i natychmiast zaczął je przekształcać na swoją modłę.

Pan Owens był zatroskany. Zwykle opanowany i spokojny, przez kilka ostatnich dni wydawał się zaskakująco roztargniony.

– Nie wiesz przypadkiem, co martwi pana Owensa? – spytała Abby, gdy z Marie wyskoczyły na lunch do pobliskiego baru i usiadły w narożnym boksie, gdzie nikt ich nie słyszał.

– Ma bratanka Jacka – odparła Marie. – Chłopak co chwila trafia do domu poprawczego, rodzice nie dają sobie z nim rady. Z powodu jakiejś dziewczyny zaatakował innego chłopaka, pan Owens ledwie wybronił go przed więzieniem. – Potrząsnęła głową. – Znam wiele takich historii – dodała. – W dobrej, przyzwoitej rodzinie pojawia się czarna owca, która nie potrafi albo nie chce żyć zgodnie z oczekiwaniami. Chłopak otrzymał dwa stypendia i oba odrzucił. Babka zostawiła mu trochę pieniędzy, ale je przepuścił i wciąż ma kłopoty z prawem. Nie jego wina, rozumiesz, to zła policja go dręczy, jak twierdził jego ojciec. Aż do dnia swojej śmierci obrzydliwie go rozpuszczał.

– Znam ten typ – oznajmiła Abby. – W Denver spotkasz rozmaitych ludzi. Pracowałam jako recepcjonistka w kancelarii brata, zanim poszłam do szkoły, żeby zostać asystentką adwokacką. Grozili nam nawet śmiercią.

– My też dostajemy takie groźby – ku zaskoczeniu Abby odparła Marie. – Ot, choćby dwa tygodnie temu James dostał taką groźbę w związku ze sprawą o ziemię, którą prowadził. Pozwany nie był zadowolony z rozstrzygnięcia.

– Czy świat nie byłby idealny, gdybyśmy żyli w harmonii z innymi ludźmi? – stwierdziła Abby w zamyśleniu.

– A co słyhać na ranchu? – spytała Marie.

– Wszystko świetnie. Lucy jest przeszczęśliwa nie tylko na ranchu, lecz także w nowej szkole. I ma nowego bohatera – rzuciła rozbawiona. – Nigdy nie zgadniesz, kto to!

– Nasz szeryf. – Gdy Abby uniosła brwi, dodała: – Mówił kilku osobom, jaka to miła i dobrze wychowana dziewczynka. Nie wspominając o tym, że to Lucy zwróciła mu uwagę na chorą łapę Anyu, bo on tego nie zauważył.

– Jest bardzo spostrzegawcza – z dumą stwierdziła Abby. – Jak jej tata. Codziennie za nim tęsknię. Brak mi też Mary. Tak bardzo kochali Lucy. Mam nadzieję, że dobrze ją traktuję.

– Z tego, co widzę, spisujesz się doskonale. – Marie pochyliła się do przodu. – Mój mąż pracuje z mężem jednej z techniczek weterynarii w gabinecie doktora Shrivera. Przekazał mojemu mężowi smutne wieści.

– To znaczy?

– Suka szeryfa Banksa ma raka.

– Och nie – zmartwiła się Abby.

– To takie smutne. Po śmierci żony tylko ona mu została. Debora zostawiła mu szczeniaka tuż przed śmiercią. Kiedy ją straci, to chyba oszaleje.

– Powiedział, że ma tylko Anyu. – Abby poczuła przytłaczający ciężar smutnej samotności.

– Bo tak czuje. Wielka szkoda, że nie mieli dzieci, ale Debora, choć wyszła za męża, nie podjęła się roli prawdziwej żony i matki, i nigdy nie osiadła w Catelow. To miasto było dla niej za małe. Za bardzo siebie ceniła... – Marie nie była wredną plotkarą, ta uwaga do niej nie pasowała. – Przepraszam, zabrzmiało kąśliwie, ale mówiąc całkiem szczerze, ona wcale nie była świętą, choć taki jej pośmiertny wizerunek kreuje Cody. Mam przyjaciółkę, która mieszkała blisko niej w Denver... – Rozejrzała się czujnie i zamilkła, gdyż kilka osób zmierzało do sąsiedniego boksu.

Kiedy wychodziły z baru, Marie się zatrzymała.

– Przecież ty też mieszkałaś i pracowałaś w Denver. Nie spotkałaś nigdy Debby? – spytała.

– Zetknęłam się z nią, to wszystko. Chodziłam wtedy do szkoły, Lawrence nie miał z nią kontaktu, a Mary prawie o niej nie wspominała. – Zmarszczyła czoło. – Zabawne, że nigdy nie wpadło mi to do głowy. Pochodzimy z Lawrence'em z tego samego miasteczka, co Debby, czyli z Catelow, ale oni nigdy nie gościli jej u siebie i z pewnością nie byli przez nią zapraszani. – Przerwała na moment. – Kiedyś niechcący usłyszałam ich rozmowę. Mary mówiła, że nie miałyby odwagi wpaść do Debby, ale nie usłyszałam dlaczego.

– Mieli naprawdę dobry powód... – Marie zamilkła gwałtownie, gdyż kolejne osoby opuszczały bar. – Mój Boże, spójrz, która godzina! – zawołała, patrząc na zegarek. – Spóźnimy się, a biedny pan Owens nie jest ostatnio w najlepszym humorze.

Ruszyły więc do biura, zapominając o żonie Cody'ego.

Abby było przykro z powodu psa szeryfa. Zastanawiała się, czy można go leczyć, tak jak leczy się ludzi.

Wspomniała o tym Hannie, kiedy Lucy odrabiała lekcje w swoim pokoju.

– Owszem, mają rozmaite leki i opracowane kuracje, tylko że to kosztuje krocie – odparła Hanna. – A po tych wszystkich terapiach biedny pies i tak umiera, ale najpierw przeżywa piekło. Jest wożony w tę i z powrotem do różnych ludzi, którzy nawet jeśli są mili i serdeczni, podłączają go do rozmaitych urządzeń, wbijają w niego igły, a on jest chory i przerażony. Tak głównie postrzega to zwierzę, choć wiadomo, że weterynarze robią, co mogą, żeby ratować nasze zwierzęta. Ale to im nie przywraca zdrowia. Może jeśli zdiagnozują chorobę odpowiednio wcześnie u młodego zwierzaka, którego właścicieli stać na leczenie. – Westchnęła. – Nie chciałabym stanąć przed takim wyborem. Mój stary Thomas ma czternaście lat. Jest słodkim kotem, ale nie jestem pewna, czy zmuszałabym go do przeżywania tego wszystkiego, nawet gdyby było mnie na to stać. – Zerknęła na Abby, zdejmując jedzenie z ognia. – Rozumiem, że słyszałaś o psie szeryfa Banksa.

– Tak, słyszałam. To takie smutne...

– On zwariuje – podsumowała Hanna. – Po prostu straci rozum z rozpaczy. Kocha tę sukę jak dziecko. Wszędzie ją ze sobą zabiera, nawet do pracy.

– Żałuję, że nic nie możemy na to poradzić – powiedziała cicho Abby.

Hanna wytarła ręce w fartuch.

– W takich sytuacjach niestety niewiele można pomóc. Po prostu być obok, kiedy będzie potrzebował życzliwego przyjaciela.

– Tak, być obok... – powtórzyła w zadumie Abby.

Mężczyźni remontowali stodołę, głośno postukując młotkami, i przerzucali się uwagami, kiedy na podjeździe pojawił się luksusowy SUV. Była sobota, Abby nikogo się nie spodziewała.

Wyszła na zewnątrz z kawałkiem jabłka, który wzięła z miski obranych i pozbawionych gniazd nasiennych owoców, przygotowanych przez Hannę do szarlotki.

To był pan Whatley z Miami, który najpierw udawał specjalistę od hodowli bydła, a potem detektywa. Powściągnęła uśmiech, kiedy ostrożnie wysiadał z auta, stając na stopniu, który najwyraźniej kazał dodać do dużego wysokiego pojazdu.

Potem ruszył na ganek. Miał na sobie porządne dżinsy, wysokie buty, koszulę z zatraskami i kurtkę z kożucha, która sprawiała wrażenie dwa rozmiary za dużej. Na głowę włożył kowbojski kapelusz z opaską z firmową sprzączką.

– Pan Whatley. Witamy w naszych progach – powitała go uprzejmie. – Czym mogę panu służyć?

– Panno Brennan. – Uchylił kapelusza. – Uczę się prowadzić ranczo i potrzebuję kilku rad.

– Cóż, panie Whatley – odparła z wahaniem – jedyne, co wiem na temat prowadzenia rancza, to że zostawia się to ludziom, którzy się na tym znają. Ja się nie znam.

– Och, nie o to chodzi. Muszę znaleźć miłą kobietę, taką jak ciotka Bee, która gotowała dla szeryfa Taylora w *Andy Griffith Show*.

Abby wiedziała, że okazując zaskoczenie, nie pomoże sobie. Gość przedstawił swój problem, trzeba mu pomóc w miarę możliwości, i tyle.

– No cóż, panie Whatley, najlepiej dać ogłoszenie w lokalnej gazecie w dziale *Poszukuję pracownika* – pośpieszyła z radą.

– Och nie, to nie wystarczy. Każdy może się zgłosić – odparł szybko. – Potrzebuję osoby sprawdzonej, z dobrą opinią. Płacę naprawdę dobrze, nigdy nie proszę o nic do jedzenia po północy i nie zrobię nic, żeby narobić jej kłopotów. Obiecuję – dodał na koniec.

Abby łamała sobie głowę, szukając odpowiedzi, kiedy podeszła do niej Hanna.

– Julia Donovan – oznajmiła – właśnie owdowiała i grozi jej utrata domu, ponieważ mąż zostawił dom i cały swój majątek głupawemu i podłemu bratu, czyli jej szwagrowi, który przejął nieruchomość i dał Julii dwa tygodnie na znalezienie innego mieszkania. Chodząca dobroć, prawda? Mam wielką nadzieję, że ten gamoń potknie się o pień i wpadnie głową w pokrzywy. – Uśmiechnęła się słodko.

Abby z trudem powstrzymała śmiech i zamiast tego zakasłała.

– To miła osoba? – spytał pan Whatley.

– A nie powinien pan najpierw spytać, czy umie gotować?

– Och, przywykłem do złych kucharek. Moja siostra ledwie potrafi zagotować wodę. Uprzejmość jest najważniejsza – oznajmił z powagą.

– Więc gotuje jak anioł. I należy do ludzi, których inni wykorzystują, bo wszystkim się opiekuje.

Pan Whatley z zapalem kiwnął głową.

– Właśnie takiej gospodyni szukam. Może mi pani powiedzieć, jak się z nią skontaktować?

– Oczywiście, że tak. Zapiszę panu jej numer telefonu, ale najpierw sama zadzwonię i uprzedzę, że chce się pan z nią spotkać w sprawie zatrudnienia. Jest dosyć nieśmiała.

Pan Whatley z jeszcze większym entuzjazmem pokiwał głową.

– Dobrze się składa, bo ja też jestem nieśmiały. Trudno mi nawiązać kontakt z ludźmi. Pani to nie dotyczy, panno Brennan – dodał, kiedy Hanna weszła znów do domu. – Ani nawet szeryfa. Ale dużo czasu spędzam sam.

– Wielu z nas może powiedzieć to samo – odparła cicho.

Hanna wróciła z numerem telefonu.

– Proszę dać mi trochę czasu, panie Whatley. Porozmawiam z nią, a potem niech pan do niej zadzwoni.

– Bardzo pani dziękuję. I życzę obu paniom bardzo dobrego dnia. – Uchylił kapelusza, z trudem wsiadł do ogromnego auta i odjechał, machając im na pożegnanie.

– Myślisz, że będzie mu odpowiadała? – spytała Abby.

– Myślę, że jest dokładnie taką osobą, jakiej mu trzeba – stwierdziła Hanna. – Jej mąż był podłym, bezmyślnym, skąpym człowiekiem. Dawał jej jakieś grosze, więc mogła sobie kupić nową sukienkę tylko od wielkiego dzwonu. Dom pewnie zawali się temu szwagrowi na głowę, kiedy się tam wprowadzi – dodała z szerokim uśmiechem. – Dobrze mu tak. Julia polubi pana Whatleya, on ją też. Ona ma tylko dwadzieścia osiem lat – dorzuciła.

– Pan Whatley chyba nie jest dużo starszy – zauważyła Abby, na co Hanna znacząco poruszała brwiami. – Och, ty sprytna diablico! – zawołała Abby.

– No co ty, po prostu pomagam naturze. A przede wszystkim to będzie ratunek dla biednej Julii Donovan. Ten jej gnuśny i ponury szwagier dał jej tylko dwa tygodnie, żeby znalazła sobie jakiś ką, i nic go nie obchodzi, że ona nigdy nie pracowała, bo mąż jej na to nie pozwalał.

– Ten szwagier to jedyny brat jej męża?

– Tak, a ojciec wychował synów na swój wzór i podobieństwo. Czyli, mówiąc wprost, nie dostali szansy na

godne i sensowne życie. Ale Julia ją dostanie. I niech ją Bóg błogosławi, bo pomyśli, że znalazła się w niebie.

– Jesteś nie diablicą, a aniołkiem – wesoło podsumowała Abby.

Abby zauważyła, że przez resztę tygodnia pan Owens był nerwowy, a jego myśli krążyły daleko od kodeksów prawa. Jedną ze swoich spraw przekazał innemu adwokatowi w firmie, Sally Toller, i wciąż gdzieś wydzwaniał. A kiedy nie dzwonił, siedział przy biurku, patrząc gdzieś niewidzącym wzrokiem, i wyglądał, jakby dźwigał cały świat na barkach. Abby zastanawiała się, czy to bratanek sprawia mu tyle problemów. Pan Owens był miłym człowiekiem. Miała nadzieję, że szybko uporządkuje rodzinne sprawy.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Cody zajmował się sprawą napadu na bank. To było pierwsze tego rodzaju przestępstwo od początku jego kadencji, i to dość zagadkowe. Bandyta miał na twarzy pełną maskę z wizerunkiem byłego prezydenta, a do tego nosił w kaburze rewolwer starego typu. Nie odezwał się ani słowem, podsunął tylko kartkę pod nos panny Dorothy Hanover i pokazał broń. Oddała mu zawartość swojej szuflady, i była tak zdenerwowana, że zapomniała nacisnąć bezgłośny przycisk alarmu, ale nikt jej nie winił. Zbliżała się do siedemdziesiątki, a to nie było codzienne zdarzenie.

Ludzie w mieście martwili się o swoje oszczędności, ale prezes banku zapewnił, że wszystkie ich aktywa są chronione. Zaś szeryf Banks złapie sprawcę, dodawał z największym przekonaniem. Ich szeryf jest jednym z najlepszych w stanie Wyoming. Cody zaczął chodzić z nieco bardziej podniesioną głową, choć jeszcze nie miał winowajcy.

Zazwyczaj tego rodzaju sprawa powinna być w jurysdykcji lokalnej policji, ale szef przebywał na krótkim urlopie z okazji narodzin pierwszego dziecka. To był chłopiec, a szef policji twierdził, że pierwsze dni życia dziecka są najcenniejsze, więc

bierze sobie wolne, żeby spędzić czas z rodziną. Burmistrz roześmiał się i życzył mu wszystkiego dobrego. Obowiązki szefa policji przejął jego zastępca Bill Harris, który był najstarszy w tym gronie i podupadły już na zdrowiu, więc ściganie sprawcy napadu na bank przekraczało jego możliwości. Bardzo go lubiano, ponieważ przed laty, gdy pracował jako dzielnicowy, niestrudzenie krążył po mieście. Dzięki temu zdobywał masę użytecznych informacji i znał wszystkich mieszkańców. Dla wielu policjantów był prawdziwym bankiem informacji, czasami wprost bezcennym podczas rozwiązywania kolejnych spraw.

Cody starał się nie wchodzić w kompetencje Billa, ale on ucieszył się z takiej pomocy. Cody słynął z nieustępliwości w pogoni za przestępcami i nigdy nie odpuszczał, dopóki nie dopadł sprawcy. Już sama taka opinia była znaczącym osiągnięciem. Ale też populacja Catelow była bardzo niewielka i wszyscy wiedzieli, gdzie mieszkają ci ewentualnie podejrzani i jakie mają kontakty. Nie tak jak w dużym mieście, gdzie są tysiące ludzi, którzy mogą popełnić zbrodnię.

Cody siedział na krześle dla gościa w tymczasowym gabinecie Billa. Zdjął kapelusz i położył go na drugim krześle.

– Napad na bank. W naszym mieście. – Potrząsnął głową. – Nie pamiętam nawet, kiedy coś takiego się tu zdarzyło.

– Ja pamiętam. – Bill przeciągnął ręką po łysej głowie. – To było w latach sześćdziesiątych, a sprawcą okazał się szesnastoletni chłopak, który chciał kupić mamie ładny prezent na urodziny. Poważnie chorowała, byli tylko we dwoje i nie

mieli pieniędzy. Kiedy go złapali, próbował odebrać sobie życie, ale potraktowali go łagodnie. W końcu był małoletni i miał czystą kartę. Dostał status przestępcy dotąd niekaranego, a kiedy osiągnął pełnoletniość, wyczyściliśmy jego kartotekę. Studiował potem prawo, przez lata pracował jako prokurator, później został sędzią sądu hrabstwa.

– Matka musiała być z niego dumna – rzekł Cody.

– I była, ponieważ ciężko pracował, żeby się zrehabilitować. Ludzie w mieście pomogli. – Uśmiechnął się. – To jedna z najlepszych rzeczy w Catelow. Ludzie tu potrafią przebaczyć i są bez uprzedzeń.

– Zauważyłem – odparł Cody.

– Mamy jakichś podejrzanych? – spytał Bill.

– Na razie nie. Maską została kupiona nie u nas, zresztą w mieście jest tylko jeden sklep, gdzie sprzedają takie maski. Nie znaleziono broni. – Pokręcił głową. – Środek dnia, wokół pełno ludzi, a gość obrabia bank i znika. Kasjerka była tak wstrząśnięta, że nie wcisnęła alarmu. Świadkowie twierdzą, że na tej kartce napisał całkiem poważne groźby. Mają dzień czy dwa wolnego od pracy, muszą się po tym otrząsnąć. – Milczał przez chwilę. – Zabrał ze sobą nawet tę kartkę, więc nie mamy szansy na zdobycie odcisków palców czy zlecenie ekspertyzy grafologicznej. Kasjerka powiedziała, że kiedy w nią wycelował, broń wydawała jej się trzy razy większa. Wiem, co miała na myśli. We mnie też celowano z broni.

– W pewnym sensie to ryzyko zawodowe – stwierdził Bill.

– Tak, oczywiście.

– Mój śledczy zbiera odciski palców – dodał Bill. – Musimy pobrać odciski od wszystkich w banku, żeby je potem przejrzeć i porównać. Czyli będzie niezły bałagan. Żałuję, że szefa nie ma. On jest świetnym śledczym.

– Ty też jesteś dobry, Bill – zaprotestował Cody. – Mnie także go brakuje, ale gdyby mi się urodziło dziecko, przez tydzień nie ruszyłbym się z domu.

– Jego żona to słodka dziewczyna. Wiele przeszła w okresie narzeczeńskim, ale teraz są naprawdę szczęśliwi. Cieszę się ich szczęściem. Wciąż tęsknię za moją żoną, a nie ma jej już ponad piętnaście lat.

– Mojej sześć... Najpierw ona, a teraz Anyu...

– Co z Anyu? – spytał Bill.

Cody milczał przez chwilę, by się uspokoić.

– Ma raka. Za dużo przerzutów, żeby zastosować radykalne leczenie. Niewiele by pomogło, a tylko przedłużyłoby cierpienie. Nie pozwolę, żeby ją uśpili. Powiedziałem, że zabiorę ją do domu i będą rozpieszcząć, i tak robię. Dali mi dla niej leki przeciwbólowe. – Zacisnął zęby. – Tylko ona mi została – rzekł szorstko.

– One są dla nas jak dzieci, co? – powiedział cicho Bill. – Ja mam trzy, same kundły, ale zrobiłbym wszystko, żeby je ratować.

– Nie wyobrażam sobie bez niej życia.

– Wiesz, Bóg zamyka okno tylko wtedy, kiedy otwiera drzwi. – Bill przekrzywił głowę. – Rozumiesz, co chcę powiedzieć?

– Tak, rozumiem... – odparł po chwili zadumy. – Tylko że to cholernie trudne.

– Jesteśmy jak liście unoszone na wodzie i płynące z biegiem rzeki – powiedział łagodnie Bill. – Wydaje nam się, że mamy nad czymś kontrolę, że jesteśmy wszechmocni, ale koniec końców nawet wolna wola ma swoje granice. Musimy wziąć pod uwagę, że być może jest jakaś siła wyższa, która decyduje o naszym losie. Jeśli tak jest, łatwiej nam po prostu płynąć, dać się nieść wodzie, zamiast nerwowo próbować wydostać się na brzeg. Gdybyśmy tak robili – przerwał na moment – stracilibyśmy wielką przygodę, jaką jest nasze życie.

– Powinieneś zostać kaznodzieją, Bill – przyjaźnie podsumował Cody.

– Tak, powinienem, lecz nie do tego zostałem powołany. Ale skoro już o tym mowa, to chyba jestem tu bardziej kapelanem niż... No wiesz, tylu funkcjonariuszy ma takie czy inne problemy, a ja tylko siedzę i pozwalam im się wygadać i wyplakać na moich szerokich ramionach.

– Nawet nie wiesz, jak to pomaga, gdy ma się kogoś, kto cię wysłucha.

– Ty nie masz nikogo takiego.

– Mam Anyu.

– Tak, ale ona ci nie odpowie. Mam nadzieję – dodał Bill z udawanym przerażeniem.

– Nie, jak dotąd nie. – Cody uśmiechnął się, chwycił kapelusz i wstał. – Będę cię na bieżąco informować. Jak będziesz rozmawiał z szefem, przekaż, że mu zazdroszczę. Bardzo chciałem mieć dziecko – powiedział z żalem.

– Czytałem o jakimś gościu, który w wieku pięćdziesięciu lat po raz pierwszy został ojcem. – Bill ściągnął wargi. – Daleko ci do takiego wieku, synu.

– Czasami czuję, jakbym miał tyle lat. – Cody wzruszył ramionami. – Nigdy nie wyleczę się z Debby. Każda inna będzie gorsza. Nie wyobrażam sobie tego. – Ruszył do drzwi. – Dam ci znać, gdy czegoś się dowiem.

– Koniecznie.

Cody zamknął drzwi i ruszył do SUV-a. Siłą woli odsunął od siebie myśli o Debby i Anyu. Miał sprawę do rozwiązania.

Jakiś tydzień później przed domem zaparkowała furgonetka. To był samochód Dona Blalocka. Don coś z niego wyjął i ruszył po schodkach.

Kiedy zapukał, Abby była akurat przy drzwiach. Otworzyła je i z wrażenia aż rozdziawiła usta. Don trzymał najbardziej urocze futrzane stworzonko, jakie widziała.

– Mam sierotę, która potrzebuje domu – oznajmił. – Znalazłem ją w krzakach, gdy przeganiaaliśmy ciężarne krowy na bliższe pastwisko. Jest przemarznięta i głodna.

– Nic więcej nie mów. – Abby wzięła od niego szczeniaka i przytuliła go. Pies zaczął skomleć i wtulił łeppek w jej pierś. – Och, to wystarczy – powiedziała. – Nie oddam tego szczeniaka, póki nie umrę.

– Tak właśnie myślałem – z błyskiem w oku skwitował Don. – Pamiętam, że Lucy chciała psa, a pani powiedziała, że się zastanowi. Ale jak rozumiem, już się pani nie zastanawia.

– Jasne, że nie. Ten maluch tu zostanie.

Hanna podeszła do nich i pogłaskała szczeniaczka.

– Jest urocza – powiedziała.

– Właśnie takiej chcemy w naszym domu. – Abby westchnęła. – Cóż, jakoś przeżyjemy, jak zacznie rozrabiać.

– Brat Maisie szkolił kiedyś psy dla policji – powiedział Don. – Może go pani spytać o wskazówki.

– Dzięki, tak zrobię.

– Wezmę od niego numer telefonu i wyślę pani SMS-em.

– Świetnie. Muszę z nią jak najszybciej pojechać do weterynarza.

– Mogę z nią teraz pojechać, jak pani chce. Trzeba ją dokładnie obejrzeć i zaszczepić.

– Naprawdę? Właśnie mamy coś do zrobienia...

– To nie zajmie dużo czasu. – Zabrał od niej szczeniaka, który od razu przytulił się do niego. – Jest słodka, będzie wspaniałym przyjacielem.

– Bardzo dziękuję, Don.

– Nie ma za co.

Po powrocie ze szkoły Lucy najpierw odrobiła lekcje, ale cały czas się zastanawiała, czemu Abby i Hanna zachowują się tak dziwnie.

– Jakoś inaczej wyglądacie – powiedziała w końcu.

– Mamy niespodziankę – odparła Abby i usłyszała, że przed domem zatrzymuje się samochód. – Która lada moment pokaże się w drzwiach – dodała.

Don wszedł po schodkach ze szczeniakiem w ramionach. Suczka została wykąpana. Była teraz śnieżnobiała z czarnymi plamkami na uszach i pięknymi dużymi niebieskimi oczami.

– Och, wygląda jak Śnieżka! – zawołała Lucy, radośnie podskakując. – Możemy ją zatrzymać, ciociu? Proszę! Bardzo proszę!

– Tak, możemy, i jakie śliczne imię dla niej wymyśliłaś. Będzie się nazywała Śnieżka.

– Śnieżka – powtórzyła Lucy.

Kiedy Don ostrożnie podał dziewczynce szczeniaka, suczka polizała jej twarz, a Lucy się roześmiała.

– Została zaszczepiona. – Don przekazał Abby papiery od weterynarza. – Musicie do niego zadzwonić i podać imię psa, bo na razie figuruje tam jako pies Abby – dodał wesoło.

– Zaraz to zrobię i bardzo dziękuję, Don.

– Nie ma za co. Kolacja pachnie nieźle. Założę się, że Maisie też już czeka na mnie z kolacją. Jadę do domu.

– Jeszcze raz dzięki!

Uniósł rękę na pożegnanie i wyszedł.

Abby zadzwoniła do weterynarza, podała imię psa oraz numer swojej karty kredytowej, żeby zapłacić za wizytę i szczepienie. Tego wieczoru i przez kolejny dzień aż do późnej nocy mieszkańcy domu na ranczu na nic nie mieli czasu, zbyt zajęci tuleniem nowego szczeniaka.

Anyu szła z Codym przez ranczo. Każdego kolejnego dnia poruszała się odrobinę wolniej, a Cody widział, że chodzenie sprawia jej coraz większy ból. Podawał jej leki i się zamartwiał. Podnosiła na niego wzrok i patrzyła śmiejącymi się oczami, niestety coraz gorzej się ruszała. Aż przyszedł dzień, kiedy nie mogła się podnieść.

Cody zadzwonił do weterynarza.

Ostatni dzień życia Anyu Cody spędził z nią na kanapie, gdzie leżała do niego przytulona. Tak wyglądało ich długie, bolesne pożegnanie. Była tak ważną częścią jego życia, kompanem, partnerem, najlepszym przyjacielem. Ostatnim ogniwem, które łączyło go z Debby. Nie wiedział, jak sobie bez niej poradzi. Głaszcząc jej miękkie czyste futro i patrząc w ponurą przyszłość, z trudem walczył ze łzami, które napływały mu do oczu.

Wreszcie zaniósł ją do SUV-a i delikatnie położył na przednim siedzeniu.

– Przejdziemy się, dobrze? – powiedział do niej, siadając za kierownicą.

Anyu cicho zaskomlała i spojrzała na niego niebieskimi oczami, które już się nie śmiały. Źrenice miała powiększone z bólu, który mógł sobie tylko wyobrażać.

– Koniec z cierpieniem, moja śliczna – szepnął i po raz ostatni ją uścisnął. Oczy piekły go od łez. Czuł się, jakby znów rozstawał się z Debby. – Jak ja będę bez ciebie żył? – szepnął załamującym się głosem.

Potem zamrugnął i uruchomił silnik. Miał wrażenie, jakby zawoził ofiarę na gilotynę. I to nie jakąś tam ofiarę. To piękne futrzaste stworzenie było całym jego życiem.

Doktor Shriver czekał na niego w drzwiach. Odprawił gestem techniczkę, która zwykle zajmowała się pracą papierkową, i wprowadził ich do gabinetu.

Cody niósł Anyu na rękach, tuląc ją do siebie.

– Chodzenie sprawia jej ból – powiedział przez zaciśnięte zęby.

– Proszę ją tu położyć – rzekł lekarz.

Cody poszedł za nim na tył gabinetu, gdzie znajdował się stół operacyjny. Ostrożnie położył na nim Anyu, która wciąż skomlała, jakby wszystko sprawiało jej ból. Cody spojrzał na weterynarza, wzrokiem błagając o cud.

Doktor położył mu rękę na ramieniu.

– Proszę mnie posłuchać – zaczął cicho. – Ból będzie tylko narastał, ona tego nie zniesie. Będzie musiała brać tyle leków przeciwbólowych, że przestanie pana rozpoznawać. No i tak czy owak... – Nie mógł wypowiedzieć tego słowa. Obok niego jedna z asystentek uspokajała Anyu.

– Nie ma nadziei? Żadnej? – spytał Cody.

– Bardzo mi przykro. Nie, nie ma – odparł doktor, po czym odciągnął go na bok, żeby asystentka go nie słyszała. – Musiałem uśpić moje zwierzaki. To bardzo trudne, za każdym razem przez kilka dni dochodziłem do siebie. Coś panu poradzę. Proszę nie czekać i na to nie patrzeć. Anyu dostanie leki i nie będzie wiedziała, co się z nią dzieje, a my będziemy do niej mówić i ją uspokajać. – Przerwał na moment. – Pewnego dnia pan też odejdzie, a ona będzie na pana czekać. Ja tak właśnie myślę o moich zwierzętach, których już nie ma. Dzięki temu jest to do zniesienia. Wszyscy stąd odejdziemy. Nic w życiu nie jest stałe. To tylko chwilowe rozstanie.

– Rozumiem, doktorze. I gdyby to był inny zwierzak, zostawiłbym go i wyszedł. – Uśmiechnął się przez łzy. – Ona nigdy mnie nie zostawiła. Ja też jej nie zostawię.

– Dobrze, jak pan uważa.

Weterynarz pozwolił Cody'emu stać obok stołu i trzymać łapę Anyu. Po raz ostatni spojrzała na niego łagodnymi, niebieskimi i pełnymi miłości oczami. Potem podali jej zastrzyk... i na zawsze zamknęli jej oczy.

Abby jadła lunch w barze, a jedna z techniczek doktora Shrivera siedziała przy sąsiednim stoliku z drugim pracownikiem kliniki weterynaryjnej.

– To było takie trudne – powiedziała techniczka. – Naprawdę myślałam, że zanim to się skończy, będziemy musieli podać Cody’emu środki uspokajające. Powinniśmy go powstrzymać przed jazdą samochodem. Nigdy nie widziałam, żeby ktoś tak cierpiał.

Abby zakłuło serce. Nadstawiała uszu, żeby usłyszeć jak najwięcej.

– To żona dała mu tego psa, prawda? – spytała techniczka.

– Tak. A teraz jakby stracił ją po raz drugi – odparł jej współpracownik.

– Nie powinien zostawać i na to patrzeć. W zeszłym roku musiałam uspić mojego szesnastoletniego kota i to mnie po prostu przerosło. Poprosiłam, żeby Lily z nim była, kiedy go usypiali. – Westchnęła. – Został skremowany. Na półce nad kominkiem trzymam urnę z jego prochami.

– Też tak zrobiłem.

– Szeryf tego nie chciał. Zabrał ją do SUV-a i pojechał do domu. Powiedział, że miała swoje ulubione miejsce pod jabłonką, więc tam ją pochowa.

– Szkoda, że nie ma już żadnej rodziny – rzekł młody mężczyzna.

– Wiem, a nie powinien być teraz sam. Strata zwierzaka, którego się kochało, to jak strata członka rodziny. Ludzie oplakują zwierzęta tak samo jak swoich bliskich. Zwłaszcza ktoś taki jak Cody. On nie ma już nikogo.

– Niestety to prawda.

Abby wstała i zostawiła napiwek. Nie zjadła połowy lunchu, ale musiała stąd wyjść.

Cody rzadko sięgał po alkohol, ale była ku temu okazja. Koszmarna okazja. Miał butelkę 0,75 litra jacka daniel'sa, której dotąd nie otworzył. Był to prezent od jednego z zastępców na Boże Narodzenie. Teraz otworzył butelkę i nalał sobie pełną szklanekę.

Poniewczasie zrozumiał, że weterynarz miał rację. Nie powinien tam zostawać. Do końca swoich dni będzie miał przed oczami ostatnie chwile życia Anyu, będzie słyszał jej ciche skomlenie, będzie czuł, jak drgnęły jej łapy. Będzie widział, jak życie z niej ucieka. Leżała nieruchomo jak śnieg na srebrnym metalowym stole. Jakimś cudem nie wybuchnął płaczem. Zaniósł Anyu na rękach do SUV-a, włożył ją do środka i zawiózł do domu.

Wykopał pod jabłonką spory dół, a potem poszedł poszukać jakiegoś prześcieradła, żeby ją przykryć. Nie był w stanie patrzeć na jej pysk, kiedy kończył tę bolesną, ale konieczną pracę.

Usypany z ziemi wzgórek wyglądał dobrze. Do końca jego życia Anyu będzie blisko niego. Zazwyczaj nie był

sentymentalny, zamierzał jednak położyć kwiaty na jej grobie.

Pomyślał, że nigdy nie położył kwiatów na grobie Debby. Chciał sprowadzić jej ciało do Catelów i tu ją pochować, ale właściciel zakładu pogrzebowego stanowczym tonem przekazał mu jej wolę. Chciała zostać pochowana na cmentarzu w Denver, w pobliżu szpitala, gdzie pracowała. Jeden z jej kolegów, neurolog Craig Stern, stanął po stronie zakładu pogrzebowego. Twierdził, że znał Debby, a ona wszystkich poinformowała, gdzie chce być pochowana, gdyby umarła. Cody'emu wydawało się dziwne, że Debby rozmawiała o takich sprawach z kolegą z pracy, a nie ze swoim mężem. Stern wyglądał, jakby za dużo wypił. Na pogrzebie prawie słańiał się na nogach, a kiedy na cmentarzu odmówiono ostatnią modlitwę za duszę Debby, Cody dostrzegł w jego oczach łzy.

Cody uznał, że to zapewne bliski współpracownik żony ze szpitala, a może nawet jej mentor, który ją wprowadzał w skomplikowany świat nowych teorii w neurologii. Był świetnie ubrany, z wyglądu trochę starszy od Cody'ego. Widząc jego stan psychiczny, Cody miał nadzieję, że w szpitalu nie czekają na niego pacjenci. Potem przestał o tym myśleć. Bardzo niewiele wiedział o pracy Debby. Nigdy nie rozmawiała z nim o szpitalu ani o swoich kolegach. Teraz to już była tylko historia. Debby odeszła na zawsze. Stracił światło swojego życia.

Myślał o tym, sącząc kolejnego drinka. Jego zastępca był na dyżurze. Cody zdołał sklecić jakieś krótkie wyjaśnienie swojej nieobecności w pracy przez najbliższe dwa dni. Oczywiście

wszyscy w Catelow wiedzieli już o Anyu. Plotki szybko się tu rozchodzą.

Dokończył drinka. To już trzeci czy czwarty? Nie pamiętał. Wszystko mu się rozmyło.

Przeniósł wzrok na kanapę, którą zawsze dzielił z Anyu. Do oczu napłynęły mu łzy. Nawet ich nie powstrzymywał. Nikt ich nie zobaczy. Kompletnie nikt.

Niespodziane stukanie do drzwi na tyłach domu zaskoczyło Cody'ego. Podniósł się z trudem, modląc się w duchu, żeby to nie było nic pilnego, bo ledwie trzymał się na nogach. I za nic w świecie nie mógł usiąść za kierownicą. Chwiejnym krokiem poczłapał do drzwi, a gdy wyrzwał przez małą szybkę, zamrugał ze zdziwienia.

Kiedy otworzył drzwi, Abby lekko skrzywiła się na jego widok, ale nic nie powiedziała. Natomiast on miał coś do powiedzenia.

– Niech pani wraca do domu – rzucił szorstko. – Piłem, i to dużo.

Abby wyczuła zapach alkoholu w jego oddechu, ale akurat ten pijak nie wydał się jej niebezpieczny. Raczej udręczony, nieszczęśliwy, zmęczony, rozdarty.

– Tak mi przykro, Cody – powiedziała ze współczuciem.

– Zostałem z nią, kiedy...

– Byłam w domu brata z naszym starym umierającym kotem. Nigdy więcej bym tego nie zrobiła. – Potrząsnęła

głową. – To jakby wyrwać człowiekowi serce.

Skinął głowę. Na jego twarzy było widać wszystkie lata jego życia, ciemne oczy były przekrwione, chwiał się na nogach. Abby zamknęła drzwi i podeszła do niego.

– Nikogo już nie mam – wycedził przez zęby.

Niewiele myśląc, Abby otoczyła go ramionami i trzymała tak, opierając głowę o jego szeroką klatkę piersiową zakrytą miękkim materiałem koszuli. Pachniał mydłem, skórą i wodą kolońską. To był dobry zapach.

Zawahał się, ale tylko na sekundę, i objął ją mocno. Opuścił głowę, jego twarz znalazła się tuż przy jej szyi, gdzie włosy opadały gęstymi i miękkimi falami. Abby poczuła jego łzy. Wsunęła palce w jego gęste brązowe włosy z jaśniejszymi pasmami i kołysała go w ramionach. Nie odezwała się ani słowem, po prostu go tuliła.

Cody był zaskoczony, bo podniosła go na duchu. Nie umiał zdecydować, czy mu się podobało poczucie bezradności, które temu towarzyszyło, ale było mu miło, kiedy go przytulała i pocieszała. Nie przypominał sobie, by ktokolwiek się o niego troszczył, kiedy cierpiał. Na pewno nie Debby. Pewnego razu, gdy wrócił do domu zrozpaczony i udręczony, ponieważ musiał do kogoś strzelić, powiedziała mu, żeby się pozbierał. Nie strzelił do przestępcy, tylko do człowieka, którego znał. Kula trafiła go w biodro i roztrzaskała kość. Przewieziono go do szpitala w Denver na operację. Później pozwał hrabstwo i biuro szeryfa. To tylko zwiększyło cierpienie Cody'ego. Debby przyjechała wtedy do domu na weekend, ale już drugiego dnia

rano, kiedy ktoś do niej zadzwonił, wróciła do Denver. Poszła z komórką do łazienki, żeby tam z kimś porozmawiać. Cody był załamany, a Debby stwierdziła, że ten człowiek najwyraźniej był przestępcą i dostał to, na co zasłużył. A Cody jest idiotą, że doprowadził się do takiego stanu z powodu strzału, który nie był nawet śmiertelny. Zostawiła go z mglistą obietnicą, że przyjedzie za miesiąc. Nie pocałowała go na pożegnanie.

A teraz Abby, ta sama Abby, która się go bała, kołysała go w ramionach, ponieważ stracił ukochanego psa. Debby by tego nie zrobiła. Trzymała się z daleka od wszelkich tragedii. Czasami zadawał sobie pytanie, jakim jest lekarzem. Kochał ją całym sercem, zaś ona traktowała go dość chłodno nawet w łóżku. Seks postrzegała jako obowiązek i zawsze skrupulatnie łykała tabletki antykoncepcyjne. Zdawało się, że nigdy nie cieszy się Codym. On uwielbiał z nią być, ponieważ ją kochał, jednak miał świadomość, że jej nie sprawia to przyjemności. Kiedyś wspomniała, że jest zbyt konwencjonalny, po prostu nudny, jeśli chodzi o seks. Pozwalała mu robić to, co chciał, ale równie dobrze mógłby kochać się z poduszką. Nie znosił tego wspomnienia.

To był jedyny drażniąco niekomfortowy aspekt ich małżeństwa. No, może poza jej uporem, żeby mieszkać w Denver z powodu kontynuowania nauki. Z Catelow było tam dość daleko. Cody proponował, że do niej przyjedzie, gdy tylko znajdzie wolną chwilę, ale Debby zawsze znajdowała jakąś wymówkę. Jakby uważała, że jego miejsce jest w małym miasteczku, a nie w wielkim mieście.

Dlaczego dotąd nie zwracał na to uwagi? Nigdy nie chciała, by choćby się zbliżył do jej mieszkania w Denver. Teraz go to zaintrygowało. Raz, jeden raz go tam wpuściła i nie zostawiła go samego ani na sekundę. Kiedy wychodził, na jej twarzy widział ulgę, a pokazała mu tylko pokój dzienny.

Stale się rozglądała, nawet gdy Cody odwiedzał ją w szpitalu, co mu się kilka razy zdarzyło, gdy czuł się bardzo samotny. O tym też wtedy nie myślał. Nie myślał o wielu dziwnych zachowaniach Debby. Na przykład o wieczorze, kiedy chciała iść do przyjaciół na drinka. Był tam ten lekarz, Craig Stern, który zjawił się też na jej pogrzebie i uparcie twierdził, że prosiła, by ją pochować w Denver. Cody czuł się wtedy niekomfortowo, ale lekarz wydawał się jeszcze bardziej skrępowany. Debby spędziła wieczór u boku Cody'ego, a doktor Stern przez cały czas skutecznie go unikał. Później Debby była milcząca i zdystansowana. Odniósł wrażenie, że się ucieszyła, kiedy oznajmił, że musi wracać do Catelow i nie może zostać z nią na noc.

Nie był w stanie zbyt długo skupiać się na tej myśli. Poza tym ufnie wtulona w niego kobieta obudziła w nim instynkt opiekuńczy. Abby była bardzo niezależna, ale miała dobre serce.

– Chodźmy – powiedziała po chwili, wzięła go za rękę i poprowadziła do kuchennego stołu. – Proszę usiąść, musi pan coś zjeść.

– Nie powinna pani być w pracy? – spytał, starając się nie okazać, że zakręciło mu się w głowie.

– Wzięłam wolne popołudnie – odparła, odwracając się do kuchenki. Otworzyła lodówkę. Znalazła w niej bekon, jajka i masło. Wyjęła je, potem znalazła patelnię i zaczęła szykować jajka na bekonie, a do tego grzanek z masłem. Zaparzyła też dzbanek kawy.

Cody siedział i obserwował ją zafascynowany. Od siedmiu lat nie widział kobiety, która krząta się po kuchni. Debby nie potrafiła gotować, kupowała gotowe dania ze sklepu albo coś na wynos z restauracji. Abby była kobietą wielu talentów. Jeździła konno, pracowała w kancelarii, gotowała, prowadziła duże ranczo, oczywiście z pomocą Dona Blalocka, a do tego miała wielkie serce. Dowodem tego była opieka, jaką roztaczała nad swoją bratanicą. A teraz ni stąd, ni zowąd pojawiła się u niego, żeby go wesprzeć. Czuł się już lepiej. Sama jej obecność poprawiała mu nastrój.

Oczywiście nie zamierzał jej tego powiedzieć. Nie był przesadnie emocjonalnym człowiekiem, tylko stróżem prawa, który wykonuje odpowiedzialną pracę. Tyle że w tym momencie nie mógł jej wykonywać, gdyż był kompromitująco jak na szeryfa wstawiony.

Głośno beknął i lekko zachwiał się na krześle.

– Proszę – powiedziała, stawiając na stole jedzenie. – Niech pan coś zje, od razu poczuje się pan lepiej.

– Wygląda dobrze.

Uśmiechnęła się.

– Czasami jemy z Lucy typowe śniadanie na lunch albo kolację, zwłaszcza kiedy długo pracuję.

Zmarszczył czoło, patrząc, jak Abby nalewa kawę do dwóch kubków.

– Mieszka pani w dość odosobnionym miejscu. Ranczo jest ponad trzy kilometry od głównej drogi. Nocą jest tam niebezpiecznie.

– Zamykam drzwi na klucz.

– Proszę dać mi znać, kiedy będzie pani siedziała do późna w pracy, to wyślę jednego z moich zastępców, żeby panią eskortował do domu.

Dodała śmietankę do swojej kawy i próbowała się odnaleźć w tej nowej, bardzo różnej od dotychczasowej, przyjacielskiej relacji, jaka się między nim rodziła.

– Już się pani mnie nie boi? – spytał, i było widać, że to dla niego ważne.

– Nie – odparła cicho. – Oczywiście, że nie. – Uśmiechnęła się. – Nie jest pan groźnym pijakiem.

– Tak naprawdę to nigdy się nie upijam. – Oczami wyobraźni znów zobaczył Anyu, jak nieruchomo i ufnie leży na metalowym srebrnym stole, a życie z niej powoli ucieka. Na jego twarzy pojawiło się napięcie.

– Myśli pan o tym, prawda? – spytała łagodnie. – Ona już czuje się dobrze. Goni zające w śniegu i się śmieje.

Odetchnął głęboko, znów walcząc ze łzami. To było tak cholernie bolesne. Od tej chwili zostanie sam. Kompletnie sam. Nie miał nikogo. Ostatnie, co łączyło go z Debby, zniknęło.

– Wczoraj wieczorem Lucy powiedziała, że chciałyby się dowiedzieć, jak tresować psa – powiedziała Abby, nie patrząc na niego.

– Lucy ma kota, prawda? – spytał zdumiony, bo w zamglonym umyśle się kołatało, że dziewczynka nie ma psa, tylko kota.

– Tak, ale Don znalazł w śniegu porzuconego szczeniaka. Przyniósł go nam, a potem zawiózł do weterynarza, żeby go zbadali. To suczka. Jest śnieżnobiała i ma niebieskie oczy. Lucy oszalała na jej punkcie. W Denver nie mogliśmy mieć żadnych zwierząt, ale teraz jest przeszczęśliwa. Ma kociaka i szczeniaka. Tylko nie mamy pojęcia, jak się takiego szczeniaka chowa.

Jego emocje były tak silne, że w pierwszej chwili te słowa przeleciały mu przez głowę. Dokończył przygotowany naprędce posiłek i usiadł wygodnie z kawą, patrząc na Abby.

– Lucy to słodkie dziecko – rzekł w końcu.

– Tak. – Uśmiechnęła się. – Ma wielkie serce. Jest wrażliwa. W szkole, do której chodziła w Denver, było strasznie, bo są tam groźne gangi. Napadnięto nauczycielkę, a małą dziewczynkę, niewiele starszą od Lucy, trzej chłopcy zaciągnęli do toalety i... – Urwała. – Może pan sobie wyobrazić, co się stało.

– Znaleźli ich? – spytał z napięciem. Sama myśl o tym, co się dzieje w niektórych szkołach, gdy uczniowie mają święte prawo

czuć się bezpiecznie, budziła w nim wściekłość.

– Tak, i wniesiono oskarżenie. Ale wszyscy byli młodociani. Skierowano ich do domów poprawczych, gdzie mają przebywać tylko do uzyskania pełnoletniości. A raczej mieli przebywać, bo pewnie już są na wolności i prześladują kolejne nieszczęsne dziecko.

– A tamta dziewczynka?

– Rodzice zabrali ją na terapię. Kiedy ostatnio o niej słyszałam, dobrze sobie radziła. – Westchnęła. – To takie straszne. Wie pan, to się zdarzyło w szkole. W naszym społeczeństwie nie ma żadnej kontroli nad dziećmi.

– Nie wie pani nawet połowy tego, co się dzieje – powiedział Cody. – Obecnie rząd ma wszystko na wpływ. Rodzice, którzy dyscyplinują swoje dzieci, mogą zostać aresztowani, jeśli dziecko poskarży się na nich odpowiednim służbom. Dzieci, które są świadkami traumatycznych wydarzeń, muszą zostać przesłuchane przez psychologa. – Uśmiechnął się siłą woli. – A cokolwiek pani powie, ktoś może się obrazić i zmiesza panią z błotem w mediach społecznościowych.

– Takie osoby można ścigać sędownie – przypomniała mu. – Możemy wyśledzić ich adres IP. To nie jest nawet trudne. – Zaśmiała się. – Zdumiewające, jak wiele dzieciaków myśli, że wszystko, co zamieszczają w sieci, jest okej, i że obrażając inne dzieci, są kompletnie anonimowi. A przecież nie są.

– W zeszłym miesiącu aresztowaliśmy chłopaka za nękanie innego ucznia w sieci. Ofiara próbowała się zabić, szczęśliwie

się nie udało. Sprawa będzie miała finał w sądzie.

– To dobrze – rzekła krótko.

– A pani dobrze gotuje – stwierdził z uśmiechem.

– Dziękuję. – Poczowała się trochę skrępowana tą pochwałą, ale gdy spojrzała w jego przekrwione oczy, znów dostrzegła w nich ból. – Gdy wyjdę, zostanie pan tu sam. – Umknęła wzrokiem, patrzyła na swój kubek z kawą. – Mamy wolny pokój. Hanna może panu przygotować łóżko. – Gdy spojrzała na niego, dostrzegła, że patrzy na nią zaszokowany. – Wiem, jest pan dorosłym, twardym mężczyzną, który nie potrzebuje niańki. Ale potrzebuje pan ludzi blisko siebie, przynajmniej na tę noc. – Spojrzała na niego z niepewnym uśmiechem.

Cody przeniósł wzrok na kanapę i skrzywił się, bo już nigdy nie ujrzy na niej Anyu.

– Hanna jest naprawdę doskonałą kucharką. Dziś na kolację szykuje strogonowa.

Natychmiast wrócił do niej spojrzeniem.

– Bardzo lubię strogonowa.

– Więc?

Uśmiechnął się. Była taka dobra. Może to nic złego, jeśli przez jeden wieczór pozwoli się rozpieszczać. Poza tym była tam Lucy, do której czuł ogromną sympatię.

– Okej. – Dopił kawę. – Dziękuję – dodał szorstko.

– Och, nie musi mi pan dziękować. Ja tylko się panu podlizuję.

– Słucham? – spytał zdumiony.

– Szeryfie, jeśli smacznie pana nakarmimy i dobrze się panem zaopiekujemy, przybędzie pan z odsieczą, gdy zaatakują nas Marsjanie.

Cody potrzebował kilku sekund, żeby to do niego dotarło, a jak już dotarło, to po prostu się uśmiechnął.

– Dziwna z pani dziewczyna – powiedział.

– Dzięki, że pan zauważył. Pracuję nad tym. Nie musi pan dzisiaj być pod telefonem?

– Jestem na to zbyt pijany.

– Co mi przypomina... Gdzie jest ta butelka whisky?

Wciąż trochę kręciło mu się w głowie.

– W koszu na śmieci. Wypiłem całą.

– O rety – odparła zmartwiona.

– Nie ma się czym martwić, potrafię to strawić.

Może potrafił, ale tym razem się nie udało. Ledwie minutę później wstał z krzesła i pognął do łazienki.

Abby poszła za nim, zmoczyła ręcznik, który znalazła w szufladzie, i wytarła mu twarz, kiedy było już po wszystkim.

Cody tylko stał i na nią patrzył.

– O co chodzi? – spytała.

– Nikt się nigdy mną nie opiekował. W każdym razie od śmierci mojej matki.

– Cóż, nie ma tu nikogo więcej, kto mógłby to zrobić – odparła rzeczowo. – Proszę. – Podała mu szklanekę z płynem do płukania ust. – Zadzwoń do Hanny i poproszę, żeby panu pościeliła w pokoju gościnnym.

– Okej... – Zawahał się. – Dzięki.

Przyjrzała się jego twardej, udreżonej twarzy.

– Wyjdzie pan z tego – powiedziała łagodnie. – Potrzeba czasu. I ludzkiej życzliwości.

Nie odpowiedział jej, ale się uśmiechnął.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Hanna zdziwiła się po rozmowie telefonicznej z Abby, ale spełniła jej prośbę i posłała łóżko dla Cody'ego w pokoju gościnnym, zastanawiając się, ile będzie musiała przyrzucić strogonowa, żeby starczyło dla głodnego mężczyzny i trzy też głodne biesiadniczki.

Lucy weszła do pokoju ze szczeniakiem na rękach.

– Co robisz, Hanno? – spytała.

– Szeryf będzie u nas nocował – odparła z uśmiechem.

– Naprawdę? – spytała zdumiona dziewczynka. – Czemu?

– Stracił swojego psa. Twoja ciocia powiedziała, że jest bardzo smutny i nie powinien zostać sam.

– To znaczy, że Anyu... – Lucy urwała. – Ojej, jaka szkoda. To bardzo smutne. Biedny szeryf. Może potrzymać Śnieżkę – dodała natychmiast. – Ona go pocieszy.

Hanna spojrzała na nią czule.

– Masz bardzo dobre serduszko.

Lucy tylko się do niej uśmiechnęła.

Kiedy Abby mu powiedziała, że pojedą jej autem, Cody się zawahał.

– Tu nie ma dyskusji, musi pan ze mną jechać – stwierdziła z mocą. – Nie może pan prowadzić, a na piechotę za daleko. Poza tym – dodała żartobliwie – może tak się zdarzyć, że jeden z pana zastępców zobaczy pana za kierownicą i zdziwi się, dlaczego dzisiaj szeryf jeździ zygzakiem.

– No dobra, ma pani rację – zgodził się pogodnie.

– Lepiej się pan czuje? – spytała, kiedy szli do jej samochodu.

– Dużo lepiej. To bardzo miło z pani strony, że zaprosiła mnie pani, żebym u was przenocował.

– Miałam przyjaciółkę, która w taki sposób mi pomogła, kiedy straciłam brata i bratową – odparła. – Pracowała ze mną w kancelarii. Nigdy tego nie zapomnę. – Zerknęła na jego ściągniętą z bólu twarz. – Strata zwierzęcia, które się bardzo kocha, nie różni się tak bardzo od straty bliskiej osoby. Ludzie wreszcie zrozumieli, jaką traumą jest strata ukochanego zwierzaka. Proces żałoby wygląda bardzo podobnie.

– Nigdy wcześniej tego nie rozumiałem – rzekł po chwili, kiedy samochód już ruszył. – Anyu była jednym z niewielu zwierząt domowych, jakie miałem. Kiedy mieszkałem w domu rodzinnym, posiadanie zwierzęcia nie wchodziło w rachubę. Teraz prócz bydła kręci się tu sporo rozmaitych stworzeń. – Uśmiechnął się. – W jednym z budynków gospodarczych mieszka rodzina szopów pracy. Na drzewie obok domu siedzi sowa i każdego wieczoru na mnie pohukuje. Jest nawet dzięcioł.

– Karmi pan ptaki? – spytała.

– Tak.

– Ja też. Wszędzie mamy karmniki, lubię te fruujące stworzenia.

– Ja także.

Zatrzymała się na skrzyżowaniu i czekała na zmianę świateł. Nie podjęli przerwanej rozmowy, ale cisza nie była krępująca, milczeli jak para starych przyjaciół. Jakie to dziwne, że tak właśnie się poczułam, pomyślała.

Cody myślał podobnie. Abby była troskliwą kobietą. Nigdy takiej nie spotkał, przynajmniej od śmierci matki. Nie był pewien, czy mu się to podoba. Tak długo był sam, że przywykł do samotności. Ale Abby miała rację co do tego wieczoru i nocy. Nie mógł znieść myśli, że zaraz po tym, jak pochował Anyu, siedziałby sam w pokoju na kanapie, którą z nią dzielił.

– Jak idzie śledztwo w sprawie napadu na bank? – spytała, kiedy prawie dotarli na ranczo.

– Powoli, bo nie możemy znaleźć żadnych miejscowych powiązań. Ale to dopiero początek. Wyjaśnimy tę sprawę.

– Wiem, że ją wyjaśnicie. Pana kuzyn twierdzi, że jest pan najbardziej upartym śledczym, jakiego znał.

– Bart to dobry człowiek.

– To prawda. – Spojrzała na niego. – Tak samo jak nasz Don Blalock. Nie wiem, jak bym sobie bez niego poradziła. Kompletnie nie znam się na prowadzeniu rancza.

– Jest pani bardzo szczerą, prawda? – spytał nagle, patrząc przekrwionymi oczami na jej profil.

– Kłamstwa to strata czasu i wysiłku – odparła po prostu.

– Ciekawie to pani ujęła, ale chyba ma pani rację.

– Jak się domyślam, w pracy słyszy ich pan całe mnóstwo.

– O tak. Wie pani, nikt nigdy nie jest winny. To policja prześladowuje ludzi. Na przykład złodziej twierdzi, że tylko patrzył na rzecz, o której kradzież jest oskarżany. – Potrząsnął głową. – Ten gość był na parkingu dilerów samochodów. Próbował uruchomić samochód, zwierając na moment kable, żeby go ukraść. – Westchnął. – Jeśli tak wygląda przyglądanie się, to ja jestem niedźwiedziem grizzly.

Zerknęła na niego rozbawiona.

– Nie wygląda pan na niedźwiedzia grizzly. W każdym razie nie za bardzo, to tylko odległe podobieństwo.

– Mam taką nadzieję.

– No i dojechaliśmy! – rzuciła z uśmiechem.

Wysiedli i weszli do środka kuchennym wejściem, jak prawie zawsze robiła Abby.

– Jesteśmy w domu! – zawołała, nie zauważając nagłego blasku w oczach towarzyszącego jej mężczyzny.

Lucy przybiegła ich powitać, mocno tuląc do piersi szczeniaka.

– Cześć, szeryfie Banks. Będzie pan u nas nocował?

Na widok podekscytowanej twarzyczki nie mógł powstrzymać uśmiechu.

– Tak, taki mam zamiar.

– Hanna pościeliła panu łóżko – powiedziała. – A na kolację jest strogonow.

– Brzmi nieźle – odparł Cody, cały czas patrząc na szczeniaka. Tak naprawdę suczka nie przypominała Anyu, która była czarno-biała. To maleństwo było bielusieńkie, tylko końcówki uszu miało czarne.

– To jest Śnieżka – przedstawiła Lucy. – Pan Blalock znalazł ją samusieńką w śniegu i przyniósł ją do nas. Dlatego nazwałam ją Śnieżką.

– Jest bardzo ładna – powiedział Cody, uśmiechając się do dziewczynki.

Lucy z wahaniem podeszła nieco bliżej.

– Chciałby pan ją potrzymać? – spytała nieśmiało.

– Bardzo bym chciał, Lucy – odparł cicho.

Podawała mu Śnieżkę, która spojrzał na niego jasnoniebieskimi oczami, a kiedy Cody ją przytulił, polizała go po twarzy. I jego ból jakby zmalął.

Lucy uśmiechnęła się z ulgą. Chciała pocieszyć szeryfa, bo był smutny, a dzięki małej suczce się rozpogodził, więc dobrze zrobiła.

Abby patrzyła na niego, gdy tulił szczeniaczka, i nagle pomyślała, że byłby z niego wspaniały ojciec. Z taką czułością

i delikatnością traktował Śnieżkę.

Cody podniósł wzrok i przyłapał ją, jak mu się przyglądała z dziwnym wyrazem twarzy. Uniósł brwi.

– Co? – spytała.

– Pani mina – odparł, gładząc miękkie białe futerko. – O czym pani myślała?

No dobra, postanowiła, skoro pyta, to mu odpowiem.

– Że byłby pan wspaniałym ojcem. – Lekko się zaczerwieniła, bo była to bardzo osobista uwaga.

Patrzył na nią łagodnie ciemnymi oczami z zagadkowym wyrazem twarzy.

– Kocham dzieci – oznajmił po chwili – ale Debby chciała być najlepszą lekarką w swojej specjalności, a nie matką, więc dzieci... no cóż... nie mieściły się w jej planach.

– Rozumiem. – Abby dowiedziała się o wiele więcej, niż chciałyby przyznać, więc tylko spytała, czy Cody napije się kawy.

– Chętnie – odparł. – Oddaję ci twojego szczeniaczka, Lucy. Jest słodka, tak jak ty.

– Dziękuję, szeryfie Banks. – Rozpromieniona dziewczynka wzięła od niego suczkę i przytuliła. – Mamy też koty. Dużo kotów.

– Moje mieszkają w stodole. Nazywamy je mysią brygadą. Dzięki nim myszy trzymają się od nas z daleka.

– Mam też własnego kota. Śpi ze mną w łóżku i nazywa się Patrick.

Ta dziewczynka fascynowała Cody'ego. Nie miał zbyt wiele do czynienia z dziećmi poza tragicznymi sytuacjami związanymi z pracą. Lucy była zdecydowanie najbardziej interesującym dzieckiem, jakie spotkał.

Hanna weszła do kuchni, żeby postawić na tacy kawę, śmietankę i cukier, a do tego talerz ciasteczek.

– Dziękuję, Hanno – powiedziała Abby i już miała podnieść tacę.

– Ja to zrobię – rzekł Cody, z uśmiechem biorąc tacę.

Poczuła ten uśmiech gdzieś w piersi, zmieszał ją, a jednocześnie sprawił jej wielką przyjemność.

– Dziękuję – powiedziała trochę nieswoim głosem.

– Nie ma za co. – Ruszył pierwszy do salonu i postawił tacę na niskim stoliku.

Przez kilka minut w milczeniu pili kawę i przegryzali ciasteczka. Lucy siedziała obok, głaskała szczeniaka i popijała gorącą czekoladę.

– Domowe ciasteczka – z rozmarzeniem powiedział Cody. – Nie jadłem domowych ciasteczek od śmierci mojej matki.

– Hanna jest wspaniałą kucharką – stwierdziła Abby.

– Ty też, ciociu – wtrąciła Lucy. – Ciocia potrafi piec ciasto francuskie – wyjawiała szeryfowi. – I domowy chleb.

– Domowy chleb. – Cody znów się rozmarzył. – Mieliśmy tu piekarza, który piekł taki chleb, ale trzy lata temu przeprowadził się do Kalifornii.

– Upiekę bochenek specjalnie dla pana – obiecała Abby.

– Byłoby bardzo miło.

– Zazwyczaj jestem miła – odparła.

– Hm... – Cody uniósł brwi. – Tylko zazwyczaj?

Zerknęła na bratanicę.

– Lucy, mogłabyś dać jej trochę wody? Zobacz, jak dyszy.

– Bo tu jest ciepło. – Dziewczynka poderwała się na nogi. – Zaraz wracam.

– Po tym, jak tamta dziewczynka w szkole Lucy w Denver została zaatakowana, chłopcy rzucali Lucy komentarze, których nawet nie rozumiała. Kiedy mi je zacytowała, stało się dla mnie oczywiste, że zatrzymanie sprawców nic nie zmieniło, po prostu zło zagnieździło się w szkole. Pomaszerowałam więc tam i wszystko wygarnęłam dyrektorce, a także wysłałam list polecony do przewodniczącego rady szkoły. – Ściągnęła wargi. – Na dole dodałam nazwisko i adres mojego adwokata. Dostałam mnóstwo przeprosin i obietnic, ale właśnie wtedy zmarł nasz kuzyn Butler i przeprowadziłyśmy się tutaj. – Zadumała się na moment. – Tu jest całkiem inaczej. Byłam zbyt młoda, żeby to docenić, kiedy się stąd wyprowadzaliśmy, ale od powrotu nie wyobrażam sobie, żebym mogła mieszkać gdzie indziej. Lucy uwielbia swoją nauczycielkę i w ogóle szkołę, i ma wielu nowych przyjaciół.

– Często powtarzam, że to wyjątkowa społeczność. Tak naprawdę to więcej niż społeczność, to prawie jak wielka rodzina. Debby bardzo się tu nie podobało. Przyjeżdżała tylko wtedy, kiedy musiała. – Skrzywił się. – Zawsze myślałem, że zakochała się w mundurze, a nie we mnie. – Podniósł wzrok, żeby sprawdzić, czy Abby zrozumiała, co miał na myśli.

– Wiadomo, że mundur przyciąga kobiety – odparła z uśmiechem. – Wszyscy jesteście dobrze zbudowani, bo musicie mieć krzepę, a mundur to podkreśla. Ale wielu oficerów straciło pracę, bo uległo kultowi bohatera.

– To prawda, że mundur przyciąga kobiety. Przez lata miałem z tym problemy. Kiedy byłem żonaty, po prostu ignorowałem sprawę, ale teraz może to skomplikować proste śledztwo.

– Nic pan na to nie poradzi, że jest pan przystojny – stwierdziła otwarcie.

– Ja? – Uniósł brwi.

– Oczywiście, że pan. – Trochę pogapiła się na niego. – Przystojniak z pana i niech mi pan nie mówi, że od nikogo pan tego nie usłyszał. – Gdy uparcie milczał, dodała z anielską cierpliwością: – Nie ode mnie, bo to się nie liczy, ale od innych kobiet.

– Och. – Wypił łyk kawy, nie patrząc na nią. – Dlaczego nie od pani?

– Już nigdy nie chcę mieć do czynienia z mężczyznami – wyznała szczerze.

– Abby, jest pani dorosłą kobietą...

– Mój ojciec był agresywnym pijakiem – wpadła mu w słowo. – Matka mówiła, że kiedy go poślubiła, wydawał się najśłodszym mężczyzną na świecie, ale za zamkniętymi drzwiami stawał się zupełnie innym człowiekiem. – Podniosła na niego wzrok. – Skąd można to wiedzieć? Tak naprawdę nie da się poznać człowieka, dopóki nie zamieszka się z nim pod jednym dachem. A wtedy jest już za późno.

Cody dotąd nie zastanawiał się nad tym, jak bardzo dzieciństwo wpłynęło na jej postrzeganie mężczyzn. On także miał w tym swój udział, gdy z furią zaatakował ją przed szpitalem.

– Tylko utwierdziłem panią w przekonaniu, że mężczyźni to samo zło – powiedział, patrząc na jej zaróżowione policzki. – Nie jestem taki – dodał cicho. – Byłem kompletnie owładnięty bólem, ale po jakimś czasie, gdy dotarło do mnie... Proszę mi uwierzyć, nigdy niczego tak nie żałowałem, jak swojego zachowania wobec pani i Lucy. Nic złego nie zrobiłyście, ale obie macie przeze mnie blizny. Chciałbym wam to jakoś wynagrodzić.

– Pozbierałyśmy się i dajemy radę – stwierdziła po prostu.

– Nieprawda. Jest pani sama.

– Owszem, ale z wyboru. Mam dobrą pracę, otaczają mnie życzliwi ludzie, wychowuję małą dziewczynkę, mam w stodole koty, a od niedawna szczeniaka. Czego więcej mi trzeba? – spytała wesoło.

– Własnych dzieci – odparł z powagą. Jego ciemne oczy patrzyły przenikliwie, a ona nie była w stanie uciec od niego wzrokiem.

Miała ciarki, jej tętno szalało. Nie takie miała plany, kiedy go zaprosiła, żeby tu przenocował. Czowała się bezbronna. To było nieoczekiwane... i przerażające.

– Mam Lucy – powtórzyła.

– Lucy to mała laleczka – rzekł z uśmiechem. – A także to czuła i mądra dziewczynka, którą spotkała wielka tragedia, ale dzięki Bogu ma panią. A pani ma ją. Ale to jednak nie to samo.

Przez chwilę patrzyła na niego uważnie, aż wreszcie spytała:

– Chciał pan mieć dzieci?

– Tak, i to bardzo... Ale Debby nie chciała. Była skupiona na karierze. Teraz myślę, że w ogóle nie zamierzała wychodzić za mąż. Poznaliśmy się na festiwalu, kiedy przyjechała z wizytą do przyjaciółki, a dwa dni później wzięliśmy ślub. Zawsze wydawała się zaszokowana swoją decyzją. Kiedyś wspomniała, że wcześniej była z kimś związana, ale po ślubie już do tego nie wracała. Ten ślub to był pewnie chwilowy kaprys... – Uśmiechnął się smutno. – Kochałem ją obsesyjnie, a ona przyjeżdżała do domu tylko kilka razy w roku. Wpadała na parę dni i szybko musiała wracać, bo zawsze miała w Denver jakieś seminarium, warsztaty czy po prostu pracę. Starłem się dać jej wolność, której potrzebowała. Nigdy jej nie zatrzymywałem. A może powinienem? – Podniósł wzrok. – Bo w sumie wyglądało to tak, jakbym to ja wziął z nią ślub, a ona ze mną

nie. – Po raz pierwszy w życiu powiedział o swojej żonie coś negatywnego.

– Są kobiety, które nie potrafią poświęcić się rodzinie – odparła. – W kancelarii brata w Denver mieliśmy aplikanta. Kiedy on w każdy weekend pracował nad streszczeniami spraw, jego żona twierdziła, że spędza czas z przyjaciółkami. Aż pewnego dnia wyszła z domu i już nie wróciła. Mieli dwie córeczki, po prostu je porzuciła. – Pokręciła głową. – Nigdy nie zrozumie takich życiowych decyzji. Rodzicielstwo to święty obowiązek. Nie w potocznym tego słowa znaczeniu. Naprawdę święty.

– W dzisiejszym społeczeństwie takie podejście nie jest popularne – stwierdził Cody. – Kiedy oboje rodzice pracują, dzieci w dużym stopniu wychowywane są przez żłobki, nauczycieli, opiekunki, rówieśników, telewizję i gry wideo. Wielu rodziców nie prowadzi swoich dzieci do kościoła, nie uczy dobrych manier, nie wpaja podstawowych zasad, a programy szkolne ograniczają się do tego, co zdaniem rządu dzieci powinny wiedzieć. Dawniej rodzice uczyli dzieci moralności, właściwego zachowania i postępowania w różnych sytuacjach. Teraz w naszym kraju niemal na każdej większej ulicy w dużych miastach jest zakład poprawczy. I te dzieciaki odziedziczają nasz świat.

– Boże, dopomóż ludziom, którzy będą musieli z nimi żyć w tym świecie.

– Dlatego mieszkam w Catelow – powiedział Cody. – Tu pewne rzeczy się nie zmieniają.

– Dlatego i ja tu jestem. – Uśmiechnęła się. – Nie lubię zmian.

Przez chwilę jej się przyglądał. Nie była piękna, ale miała piękne oczy i zgrabną figurę. No i bardzo podobały mu się jej długie włosy. Ale najbardziej cenił jej wielkie serce. Nigdy jeszcze nie spotkał takiej kobiety.

– Urosły mi rogi? – spytała zaintrygowana jego obserwacją.

– Nie, po prostu pomyślałem, że pani serce jest tak duże jak ten dom.

– Och. – Zaczerwieniła się.

– To bardzo miłe, że pani mnie zaprosiła – powiedział cicho. – Myślę, że gdybym został dzisiaj sam, pewnie bym zwariował. – W jego oczach zagościł smutek. – Nie wiem, jak sobie bez niej poradzę.

Lucy wróciła biegiem do pokoju ze szczeniakiem w ramionach.

– Śnieżka wypila trochę mleka – oznajmiła. – A teraz chce jej się spać. Może zostać na noc w moim pokoju?

– Oczywiście, że tak.

Dziewczynka usiadła obok Cody'ego i spojrzała na niego z ciepłym uśmiechem.

– Może pan potrzymać Śnieżkę, kiedy tylko pan zechce – zaoferowała.

– To bardzo miło z twojej strony, Lucy – odparł przyjaźnie.

– Nigdy dotąd nie miałam żadnego zwierczaka. Mieszkałyśmy w okropnym miejscu i nie mogłyśmy trzymać w domu nawet kota. Ludzie nie byli tacy jak tutaj. To super, że tu przyjechałyśmy i zamieszkałyśmy na ranczu.

– Też nie przepadam za dużymi miastami – poparł ją Cody.

Hanna weszła do pokoju, wycierając ręce w fartuch.

– Właśnie wstawiłam strogonowa – oznajmiła. – Mam chwilę, żeby zajrzeć do kotów w stodole. Lucy, jeśli masz ochotę...

– Tak! – zawołała dziewczynka. – Są takie słodkie.

– Też chciałbym zobaczyć wasze koty – powiedział Cody.

– Super! – Lucy pognała do tylnych drzwi.

– Mogę jednak potrzebować pewnego wsparcia, jeśli się pani nie pogiewa – dodał Cody pod nosem. – Nie jestem przyzwyczajony do alkoholu i może wypilem trochę za dużo.

– Proszę się nie przejmować, szeryfie. – Abby chwyciła jego muskularne ramię. – Niech pan sobie wyobrazi, że jestem ciepłą kulą ortopedyczną.

– I miękka. – To miał być niewinny żarcik, ale pod wpływem impulsu, którego sam nie rozumiał, cmoknął ją w czubek nosa. – Proszę pilnować, żebym się o nic nie potknął, dobrze? – Ruszył do przodu, jakby nie zrobił nic bulwersującego.

Abby była poruszona. Taka prosta pieszczota, a ona w środku cała drżała. Nie była przyzwyczajona do towarzystwa mężczyzn. Pewnie o to chodziło. Szeryf był silny i przystojny...

– Jeśli w porę dostrzegę szarżującego wściekłego byka, odciągnę pana na bok i uratuję panu życie – przyrzekła solennie.

Zaśmiał się. Rzadko to robił, Abby jeszcze nie słyszała jego śmiechu.

– Chyba nie jestem aż tak pijany.

Wiatr przybierał na sile. Rozwiewał jej włosy, odgarniając je z twarzy i unosząc z ramion. Z uśmiechem zamknęła oczy i uniosła twarz do wiatru.

– Jest pani jak żywioł – powiedział Cody.

– Co? – Uniosła powieki.

– Lubi pani wiatr, deszcz, burze.

– Uwielbiam.

– Ja też.

Trudno było normalnie oddychać, zwłaszcza gdy ścisnął ją ramieniem.

– Duży kamień – powiedział, zanim zdecydowała, co zrobić.

Zamrugła. Przed nimi leżał bardzo duży kamień, a ona właśnie prowadziła Cody'ego prosto na niego.

– Może pani stracić licencję przewodnika.

– Zawstydz mnie pan. Nie zwróciłam uwagi. Tak, kocham wiatr, burze i deszcz. A już najbardziej śnieg.

– To dobrze, bo co roku mamy tu więcej śniegu niż trzeba.

Jak na zawołanie właśnie zaczął padać, białe płatki wirowały w powietrzu.

– Założę się, że spadnie go więcej – powiedziała.

– Tak, pewnie będzie go sporo. Mam nadzieję, że moi ludzie poradzą sobie sami ze stłuczkami. Nie mam dziś dyżuru pod telefonem, ale jak będzie za dużo pracy, na pewno się odezwą.

– Nie jest pan w stanie usiąść za kierownicą ani zajmować się stłuczkami – zauważyła.

– Wiem, wiem – mruknął.

Abby zatrzymała się i spojrzała na niego przez wirujące płatki śniegu.

– Złapał pan wirusa żołądkowego, który nie odpuści co najmniej przez dobę. Opiekujemy się panem, bo ktoś nam powiedział, że jest pan chory.

– Kłamczucha z pani – zażartował. – Kreatywna kłamczucha.

– Ćwiczę, gdy opowiadam Lucy kłamstwa o Świętym Mikołaju i wielkanocnym króliku – szepnęła.

Ścisnął ją mocniej.

– Dziękuję – powiedział schrypniętym głosem.

Uśmiechnęła się do niego, jej twarz promieniała, oczy błyszczały.

– Po to są przyjaciele.

Patrzył na nią badawczo, walcząc z silnym impulsem, żeby całować ją do utraty tchu. Powstrzymał się w ostatniej chwili,

kiedy właśnie podbiegała do nich Lucy.

– Myra karmi swoje małe! – zawołała. – I Śnieżkę też.

– Myra to bardzo wyluzowany zwierzak – podsumowała Abby.

Zamyślony Cody stał w milczeniu. Abby tak szybko zdobyła miejsce w jego życiu. Ona i Lucy. Nie rozumiał tego, ale zaakceptował to z wdzięcznością. Jak przyjemnie, gdy człowiek nie jest całkiem sam na tym świecie.

Siedzieli i obserwowali Myrę z małymi. Śnieżka biegała wkoło na krótkich grubych łapach, aż w końcu zwinęła się w kłębek na kolanach Lucy.

– Śnieżka wyrośnie na dużą dziewczynę – zauważył Cody, badawczo się jej przyglądając.

– Skąd pan wie? – spytała Lucy.

– Ma duże łapy i masywną klatkę piersiową. Nie wiem, jaka to mieszanka, ale z pewnością miała wśród przodków malamuta albo husky.

– Jeden z naszych kowbojów ma sukę malamuta – powiedziała Abby. – Don mówił, że urodziła małe, a jedno z miotu zaginęło. Poprosiłam tego kowboja i powiedziałam mu o Śnieżce. Odparł, że jest nasza z jego błogosławieństwem. Nie są pewni, kto był ojcem. – Ściągnęła wargi. – Myślę, że to mógł być wilk.

– Wilk? – Lucy szeroko otworzyła oczy. – Bardzo lubię wilki.

– Ja też – przyznał Cody. – Żle się o nich mówi, ale mamy tu w okolicy co najmniej dwie watahy wilków. Są oznakowane i monitorowane, żadnego z nich nie przyłapano na tym, żeby zaatakował krowę.

– Dobrze wiedzieć – powiedziała Abby. – Co prawda nie chciałabym, żeby zabito wilka, nawet gdyby to zrobił. Poprosilibyśmy, żeby go gdzieś przeniesiono.

– Jeśli Śnieżka ma geny wilka, będziecie dla niej potrzebowały tresera. Wilki są też duże.

– Brat Maisie tresuje psy poszukujące. Don obiecał mi dać jego numer.

– Dobry pomysł – stwierdził Cody. – Nie twierdzę, że Śnieżka będzie niebezpieczna, ale trochę tresury nigdy nie zaszkodzi.

– Na YouTube widziałam rosyjskiego charta – oznajmiła Lucy. – Był taaaki duży. I też biały.

– Śnieżka naprawdę może być spora. Największy problem, jaki będziecie z nią mieć, to pilnować, żeby nie uciekła. Husky to prawdziwi artyści pod tym względem, trudno je utrzymać w zamknięciu. Anyu kiedyś mi uciekła i znalazłem ją osiem kilometrów dalej. Bawiła się z innymi psami... – Zamilkł, bo wspomnienie zabolowało.

Abby dyskretnie wsunęła dłoń w jego rękę i ścisnęła ją.

– Będzie łatwiej – powiedziała cicho.

– Tak mówią... – Spojrzał na nią.

– Czy Debby lubiła psy? – spytała.

– Nie – odparł niechętnie. – Prawdę mówiąc, w ogóle nie lubiła zwierząt, więc pies w prezencie od niej to była spora niespodzianka. Tuż po tym, jak... odeszła – omal się nie zakrztusił tym słowem – skierowano mnie do pielęgniarki, która mieszkała w pobliżu. Debby zostawiła liścik, w którym napisała, że w mieszkaniu pielęgniarki czeka prezent dla najdroższego mężczyzny w jej życiu. Kiedy tam poszedłem, okazało się, że to szczeniak. Pielęgniarka wydawała się zdenerwowana, nie bardzo chciała dać mi psa, nawet kiedy pokazałem jej liścik... Zabawne, że akurat teraz sobie to przypomniałem.

– Pewnie Debby myślała, że pokocha pan psa, który będzie dotrzymywał panu towarzystwa – powiedziała Abby.

– To może nie być aż tak proste. Po sześciu latach wiele z tego, co się wtedy wydarzyło, wydaje się bez sensu – odparł enigmatycznie.

– Takie jest życie – skwitowała Abby. – Może napijemy się kawy? I czekolady? – Mrugnęła do Lucy.

– Super. Mogę iść do domu i poprosić Hannę?

– Tak, kochanie, idź.

– Okej. – Lucy wzięła na ręce Śnieżkę i ruszyła w stronę domu.

– Słodkie dziecko – powiedział Cody. – Wielkie oczy i wielkie serce.

– Tak. Tęskni za rodzicami, ale z czasem jest łatwiej.

– Pani też pewnie za nimi tęskni. To były ostatnie osoby z pani rodziny.

– Cóż, taka jest prawda. Lawrence i ja mieliśmy przynajmniej siebie, i oboje mieliśmy Mary. – Uśmiechnęła się smutno. – Była cudowną osobą. Lucy jest do niej bardzo podobna.

– Pani też jest chodzącą dobrocią.

– Czasem okazuje się to wadą. W biurze w Denver mówili, że jestem zbyt naiwna. Różni ludzie wchodzili z ulicy, prosząc o jałmużnę, a ja zawsze znajdowałam dolara czy dwa.

– Jeśli to jest naiwność, to bardzo mi się podoba. Nigdy nie odwróciłem się od człowieka w potrzebie.

– Tak właśnie myślałam. Podobno pana rywal w ostatnim wyścigu na stanowisko szeryfa narzekał, że pana reputacja nie pozwoli mu wygrać. Otrzymał tylko jeden procent głosów, więc muszę mu przyznać rację.

– To moja druga kadencja na stanowisku szeryfa. Przez jakiś czas, zanim wylądowałam za biurkiem, byłem zastępcą. Nie jestem pewien, czy znów wystartuję, bo to bardzo wymagająca praca. Może poważnie zajmę się ranczem, to całkiem przyjemne alternatywne rozwiązanie.

– Debby nie przeszkadzała pana praca? – spytała z wahaniem. – Mam na myśli, że jest niebezpieczna. Naprawdę niebezpieczna.

– Mówiąc szczerze, nigdy o tym nie pomyślała. – Gdy Abby chciała coś powiedzieć, ale jednak zrezygnowała, Cody dodał: –

Pani by pomyślała.

– Tak, na pewno tak. Gdybym poślubiła kogoś, kto nosi odznakę, dużo bym o tym myślała. Zamartwiając się, siedziałabym o drugiej nad ranem z kubkiem kawy i z worami pod oczami.

To go zaszokowało. Nigdy się nie zastanawiał, co dla niego znaczył brak troski Debby. Nie tęskniła za nim, kiedy wracała do pracy. Nie martwiła się, że jakiś bandzior może go zastrzelić. Nigdy mu nie powiedziała, żeby na siebie uważał. Kiedy był chory, mówiła, żeby wziął się w garść i wracał do pracy.

– Nie powinnam nic mówić. Przepraszam – dodała Abby.

Cody wstał, ujął jej dłoń i przyciągnął ją do siebie.

– Ona nigdy się mną nie przejmowała – wyznał z trudem, patrząc Abby w oczy. – Gdyby tu była, kiedy Anyu... kiedy ją straciłem, zirytowałyby się, że cierpię z tego powodu. Nie współczuła ludziom, którzy czują ból.

– Przecież była lekarzem.

– Wiem, i też nigdy tego nie zrozumiałem. Po raz pierwszy w życiu byłem do szaleństwa zakochany i zaślepiony pożądaniem. Nigdy nie widziałem jej takiej, jaka była naprawdę. Po sześciu latach podałem w wątpliwość wiele rzeczy, których wcześniej nie zauważałem. – Jego ciemne oczy złagodniały. – Abby, powinna pani wyjść za mąż i urodzić szóstkę dzieci – dodał cicho. – Obiad dochodzi na ogniu, a pani gra z nimi w piłkę na podwórku... – Roześmiał się.

– To prawda, marzę o dużej rodzinie – odparła. – Lawrence był ode mnie dużo starszy. Kiedy opuścił dom rodzinny, czułam się jak jedynaczka, tak jak teraz Lucy. Duża rodzina to fantastyczna sprawa, zwłaszcza kiedy przychodzą święta, na przykład Boże Narodzenie.

– Też tak uważam. Jako jednak czuję się samotny.

Przyglądała się jego twarzy, zastanawiając się, jak wyglądałyby jego dzieci. Uśmiechnęła się i powiedziała, a raczej głośno pomyślała:

– Miałyby brązowe oczy.

– Co? – zdziwił się.

– Pańskie dzieci miałyby brązowe oczy.

– Niekoniecznie, bo z tym dziedziczeniem bywa różnie. Mój dziadek od strony matki miał niebieskie oczy, babka brązowe, a matka zielone!

– No, no.

Delikatnie pogłaskał jej policzek i nie cofnął dłoni.

– Ma pani wyjątkową skórę – zauważył. – Bez żadnych skaz. Idealną.

– Mam ją po babce. – Uśmiechnęła się melancholijnie. – Miała piękną cerę.

Powiódł kciukiem po jej miękkich wargach, aż zadrżały. Był bardzo wysoki, zmieszana Abby podniosła na niego wzrok.

Pochylił głowę, a jego kciuk rysował wzory na jej wargach, rozbudzając w niej głód, jakiego wcześniej nie znała.

– Powinniśmy... naprawdę powinniśmy... wracać do domu – wyjąkała.

– Tak, tak, jak najbardziej powinniśmy... – odparł, zbliżając wargi do jej warg, po czym powolną pieśczołą sprawił, że rozchyliła usta.

Znieruchomiała i nagle zacisnęła rękę na rękawie jego kurtki. A jednak nie ruszyła się z miejsca. Minęło wiele lat, odkąd ostatnio ktoś ją całował, i wtedy wcale jej się to nie podobało. Teraz było inaczej. Kompletnie inaczej.

– Smakuje pani kawą i czekoladowymi ciasteczkami – szepnął, uśmiechając się leciutko. – Pysznie.

Gdy jego słowa do niej docierały, odrobinę rozchylił wargi i przycisnął je znów do jej ust.

Wstrzymała oddech i wspięła się na palce, żeby się od niej nie odsunął.

Duże dłonie chwyciły ją w pasie. Cody uniósł ją odrobinę.

– Oboje wyszliśmy z wprawy – stwierdził schrypniętym głosem.

– Tak...

– Mam na to dobre rozwiązanie.

– Tak?

– Możemy wspólnie praktykować.

Znów ją pocałował. Abby puściła jego rękaw, zarzuciła mu rękę na szyję i trzymała go tak ze wszystkich sił.

To był długi, nieśpieszny, słodki pocałunek, który trwał i trwał, aż dobiegł ich cichy głos płynący z drzwi na tyłach domu.

– Gdzie jesteście? Hanna zaparzyła kawę.

Odskoczyli od siebie, a Abby zawołała trochę zbyt wysokim głosem:

– Już idziemy, kochanie.

Cody wziął ją za rękę, odetchnął głęboko i powiedział, prowadząc Abby przez drzwi stodoły:

– No tak, będziemy potrzebowali sporo praktyki.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Kilka dni wcześniej Abby kupiła grę monopol, żeby miały z Lucy co robić w wolnym czasie. W sobotę rano Lucy oglądała ulubione kreskówki, jednak żadna z nich nie przepadała za wysiadaniem przed telewizorem.

A zatem kiedy Hanna zebrała naczynia i pozmywała, Abby rozłożyła grę na stole.

– Chodź, Hanno, nie możemy grać tylko we troje – zawołała Abby.

– Nie jestem dobra w grach planszowych – mruknęła pod nosem starsza kobieta.

– To wspaniale! Mam większą szansę na wygraną – ucieszyła się Abby.

– Bardzo lubię monopol. Grałyśmy w to z ciocią wieczorami, jak mieszkałyśmy w mieście – entuzjasmowała się Lucy.

– A ja grywałem w nią z szefem policji, jak byliśmy dziećmi – powiedział Cody.

– W szkole mówili, że ma kolejne dziecko – zauważyła Lucy.

– Mają małego synka – odparła Abby. – Szef policji przyjaźni się też z panem Owensem.

– Znam jego żonę, będą mieli dużo więcej dzieci. – Hanna się zaśmiała. – Ona kocha wszystkie maluszki.

– Och, ja też – przyznała cicho Abby. – Muszę znaleźć jakiś pretekst, żeby ich odwiedzić i potrzymać dzieciaczka.

– Nie dopuszczą cię nawet do drzwi od frontu, dopóki malec nie skończy co najmniej dwóch miesięcy – oznajmiła Hanna. – Jego żona przeraźliwie boi się, że malec się przeziębii albo złapie jakieś zarazki.

– Pewnie zachowywałabym się tak samo – odparła Abby. – Zwłaszcza przy pierwszym dziecku.

Hanna rzuciła kostką i jęknęła.

– Och nie.

Wylądowała na Park Place, gdzie Abby miała dwa hotele.

– Och, czy to nie smutne? – zadumała się Abby, po czym uśmiechnęła się do Hanny. – To cię będzie kosztowało kupę forsy, obiecuję.

– Może bank da mi pożyczkę? – droczyła się Hanna.

Abby zabrała ze stołu bank i zrobiła minę.

– Ja tylko dbam o twoją uczciwość – powiedziała z przymrużeniem oka.

– No i świetnie. Tylko poczekaj. Jutro ugotuję wam wątróbkę z cebulą.

– Nie! – Abby postawiła bank z powrotem na stole.

Obserwując ich przekomarzenie się, Cody poczuł się jak w prawdziwej rodzinie.

Nagle ciszę przerwał temat muzyczny z popularnego filmu akcji. Cody wyjął z kieszeni telefon i spojrzał na numer.

– To Bill Harris – powiedział i już chciał odebrać.

Abby zabrała mu aparat i położyła palec na ustach.

– Witam pana, Bill – powiedziała, odbierając. – Tak, Cody jest u nas. Złapał jakiegoś wirusa pokarmowego, a w domu nie ma nikogo, kto by się nim zaopiekował, więc my to robimy.

Po drugiej stronie padła jakaś odpowiedź i rozległ się śmiech. Abby słuchała, kiwając głową.

– Przekażę mu. Jestem pewna, że jutro wróci do pracy. Już czuje się trochę lepiej.

Rozmówca znów coś odpowiedział, po czym Abby się rozłączyła.

– Bill mówi, że mają podejrzanego o napad na bank.

Cody cały się sprężył, ale Abby wyglądała na zatroskaną.

– Kto to jest? – spytał niecierpliwie.

– Och, nasz przyjaciel z Miami – odparła ze smutkiem.

– Dobry Boże, on nie jest przestępcą, nie rabuje banków!

– Bill twierdzi, że są świadkowie – stwierdziła ponuro.

– A niech to... Ale w waszej kancelarii jest świetny adwokat. Założę się, że zgodzi się reprezentować pana Whatleya.

– Tak, na pewno zrobi to z ochotą. Na Boga, niemożliwe, żeby pan Whatley obrabował bank. On nie potrzebuje pieniędzy.

– Jutro się tym zajmiemy. Na razie zamierzam kupić kolejną linię kolejową – rzekł i z zamiarem puszczenia konkurentów z torbami wrócił do gry.

Kiedy już wszyscy byli gotowi położyć się spać, dużo bardziej trzeźwy Cody zatrzymał się w salonie i ujął dłoń Abby.

– Chcę, żeby pani wiedziała, jak ogromnie jestem wdzięczny...

– Nie trzeba. – Popatrzyła na niego ciepło. – Sąsiedzi sobie pomagają. Cieszymy się, że możemy pana gościć. Pewnie pan zauważył, że brak tu męskiego towarzystwa – dodała żartobliwie.

Zaśmiał się cicho.

– Owszem, zauważyłem. – Spojrzał na nią z góry. – Podoba mi się to.

– Hm... A niby co?

– Że nie ma tu innych mężczyzn. – Nie mógł uwierzyć, że to powiedział. Odchrząknął. – To znaczy nigdy nie wiadomo, z kim tak naprawdę się wiążemy. Niektórzy mężczyźni nie są tacy, jacy się wydają. Jeśli facet jest hazardzistą albo playboyem, albo bije żonę, nie dowie się pani tego, dopóki pani z nim nie

zamieszka. – Jego twarz posmutniała. – Widziałem mnóstwo nieszczęśliwych rodzin. Ból, cierpienie, frustracja, zrujnowane życiorysy. Taka moja praca, ale nigdy do tego nie przywyknę.

– I nigdy nie miał pan z kim o tym porozmawiać po powrocie do domu – zauważyła cicho.

– To prawda. Miałem Anyu – odparł ze ściśniętym gardłem. – Siedziała ze mną na kanapie i śmiała się, gdy do niej mówiłem.

Abby położyła rękę na jego ramieniu.

– Potrzeba czasu, żeby poradzić sobie ze stratą. Z początku bardzo boli.

Patrzyli sobie w oczy, wspominając ukochane osoby, które stracili.

– Chciałbym mieć tuzin dzieciaków i żonę, która byłaby w domu i opiekowała się nimi. – Jeden z kącików jego warg opadł. – Debby tego nie chciała. Nie lubiła dzieci. Zresztą psów też nie lubiła. – Zmarszczył czoło. – Zabawne, że dała mi szczeniaka, prawda?

– Pewnie wiedziała, że pan kocha zwierzęta.

– Tak naprawdę wcale mnie nie znała. Pobraliśmy się w jakiejś gorączce, ale z początku to był tylko fizyczny pociąg. – Skrzywił się. – Nie chciała ślubu, ja przeciwnie. Jestem do bólu tradycjonalistą. Nie mógłbym żyć z kobietą na kocią łapę. Chodzę do kościoła – dodał cicho. – Ona uważała, że jestem staroświecki. Bardzo rzadko tu przyjeżdżała. Wiedziałem, że na pierwszym miejscu stawia karierę. Trudno było mi zaakceptować, że zajmuję drugie miejsce. – Westchnął. –

Domyślam się, że była dobrą lekarką. Nie zapraszała mnie do swojego mieszkania w Denver. Cóż, raz się tam pojawiłem, a ona tak się kręciła, taka była podenerwowana, że poczułem się źle i wyszedłem.

– To bardzo dziwne – skomentowała w zadumie.

– Prawda? Jakby coś przede mną ukrywała.

Albo kogoś, pomyślała Abby. Wyglądało na to, że Debby spotykała się z kimś w Denver. Z kimś, o kim jej mąż nie powinien wiedzieć i kogo nie powinien zobaczyć.

– Albo kogoś – rzucił gwałtownie Cody. – Wspominała o jakimś lekarzu, który był jej mentorem z neurologii. Przyszedł na pogrzeb. Płakał. Twierdził, że chciała być pochowana w Denver, nie tutaj. To szalone, nigdy wcześniej o tym nie myślałem.

– Zakochani nie zwracają uwagi na takie rzeczy. – Zamilkła na moment. – Chociaż nic o tym nie wiem. Nigdy nie byłam zakochana. Zadurzona i owszem, raz czy dwa. Ale nigdy tak jak w powieściach, gdzie bohaterka nie może znieść rozstania z ukochanym nawet na kilka minut. – Westchnęła. – Lawrence i Mary byli taką parą, zwłaszcza po narodzinach Lucy.

– Kocham dzieci – rzekł Cody.

– Ja też. – W jej głosie była tęsknota. – Lucy to największe błogosławieństwo w moim życiu.

– Byłoby miło, gdyby miała się z kim bawić.

Abby przytaknęła. Myślała o dzieciach. Na jej twarzy zagościł smutek.

– Co się stało? – spytał czule Cody.

Podniosła na niego wzrok.

– Nigdy nie oddałabym Lucy do domu dziecka – rzekła. – Ale żaden mężczyzna przy zdrowych zmysłach nie będzie chciał wejść do istniejącej już rodziny, jeśli pan wie, o czym mówię.

Uśmiechnął się powoli.

– Proszę cierpliwie poczekać. Jest pani tu zaledwie od paru tygodni.

– To prawda. Czasami w naszej kancelarii pojawiają się bardzo przystojni mężczyźni. Są głównie żonaci, ale jest taki jeden... – Zamyśliła się. – Pracuje jako prywatny ochroniarz dla jakiejś lokalnej osobistości, ale nie chce zdradzić dla kogo. Prawdziwy z niego przystojniak, wysoki, o ciemnych włosach i oczach. Wszystkie kobiety, nawet mężatki, bez przerwy się na niego gapią. Jest taki atrakcyjny, że mógłby grać główne role w filmach.

Cody poczuł nagły ból. Czy to zazdrość? Nie pamiętał, by kiedykolwiek ją czuł.

– Chyba go znam – rzekł po chwili. – Pracował ze mną przy pewnej sprawie, to znaczy z naszym biurem. Nazywa się Lassiter. Jego ojciec ma agencję detektywistyczną w Houston.

– Houston? To co on tu robi? – spytała.

– Poszukujemy tego samego zbiega i sądzimy, że może ukrywać się w tej okolicy. – Nie mógł zdradzić więcej. Ta sprawa mogła zostać uznana za tajną. Ten człowiek wyglądał tak przeciętnie i niepozornie, że mógł się ukryć nawet w małym mieście. Dopuścił się morderstwa i jeszcze gorszych zbrodni. Nie będzie łatwo go znaleźć.

– Jest pan bardzo zamyślony – powiedziała.

– Przepraszam. Przez chwilę pochłonęła mnie ta sprawa. Proszę uważać, jak będzie pani wychodziła sama. – Jego uśmiech zgasł. – To dotyczy was wszystkich. Ten człowiek powiedział, że nigdy nie wróci do więzienia, więc pewnie nie zawaha się zabić, jeśli będzie potrzebował pieniędzy, żeby mieć z czego żyć. Rozumie pani?

– Rozumiem i dziękuję za troskę. Mamy z Lucy tylko siebie nawzajem i Hanne.

– Macie mnie. – Dotknął jej policzka. – Możecie na mnie polegać, jeśli będę potrzebny.

Spojrzała na niego. Wzrok miała łagodny, ale była mocno poruszona.

– A pan może na nas liczyć w razie potrzeby. Tak jak dzisiaj.

Odpowiedział uśmiechem, po czym odetchnął i oznajmił:

– Jestem prawie trzeźwy.

– Nie trzymamy tu alkoholu – powiedziała stanowczo.

– Nie prosiłem o więcej – rzucił wesoło. – Jestem trochę zmęczony bieganiem do łazienki, żeby go zwrócić. –

Spoważniał. – Dziękuję za to, co pani zrobiła. Niektórzy wyśmialiby mężczyznę, który szaleje z rozpaczy po stracie psa.

– Tylko ludzie bez serca – odparła cicho. – Anyu była pięknym psem i spędziliście razem sześć długich, dobrych lat. Jeśli będzie pan pamiętał ten dobry czas i zachowa pan w sercu wdzięczność, że była z panem tak długo, może będzie łatwiej. No i znów pan się z nią spotka – dodała z absolutną wiarą. – Kiedy pan stąd odejdzie, kiedy nadejdzie pana czas, ona przywita pana u bram.

– Bardzo mi pani pomaga, naprawdę.

– Cieszę się.

– Pora spać, już późno. Spędziłem miły wieczór, jeszcze raz dziękuję.

– Jak będzie pan miał wolny wieczór, zawsze może pan do nas wpaść i zagrać z nami w monopol. Rzadko oglądamy telewizję, tylko jak jest zła pogoda.

– Zapamiętam. Dobrej nocy.

– Dobranoc, Cody.

– Dobranoc, Abby.

Słyszając swoje imię z jego ust, poczuła się wyjątkowa. A on nagle pochylił się i pocałował ją. Zanim coś powiedziała, był już na górze i zamykał za sobą drzwi pokoju gościnnego.

Abby długo nie mogła zasnąć, myśląc o tym pocałunku. A kiedy w końcu zasnęła, miała słodkie sny.

Śniadanie było wyjątkowo smaczne. Hanna upiekła świeże bułeczki, naszykowała kielbaski oraz jajecznicę i podała domową konfiturę z truskawek i fig.

– Bije na głowę spalone grzanki i gumową jajecznicę – stwierdził Cody, kiedy przekroił drugą bułeczkę, żeby ją posmarować masłem i konfiturą.

– Niech pan kiedyś wpadnie, to nauczę pana gotować – zażartowała Hanna. – Albo – dodała, zerkając psotnie na Abby – niech pan codziennie wpada na śniadanie.

– Och, byłoby bardzo miło – spontanicznie powiedziała Abby i od razu spiekła raka.

– Też bym chciała. – Lucy opuściła rękę i pogłaskała małego białego psa o wesołych oczach. – Moja suczka też by chciała, prawda? Widzi pan? Śnieżka się śmieje.

Wszyscy dorośli również się zaśmiali, a Cody spojrział na szczeniaka z pełnym bólu westchnieniem.

Abby położyła dłoń na jego rękę.

– Lucy będzie potrzebowała pomocy ze szczeniakiem. Śniadanie to dobra pora, żeby o tym porozmawiać. – Zawahała się. Trudno było czytać w jego myślach. – Oczywiście jeśli ma pan ochotę.

Odwrócił rękę i ścisnął jej dłoń.

– Mam ochotę. Jeśli nie będę przeszkadzał.

– Przeszkadzał? – Hanna prychnęła. – Gdyby pan wiedział, ile rzeczy w tym domu wymaga męskiej ręki. Ona jest

beznadziejna, gdy weźmie do ręki śrubokręt – wskazała na Abby – i niebezpieczna, gdy dać jej młotek.

Cody wybuchnął śmiechem.

– W takim razie będę bardzo wdzięczny za śniadanie, a w zamian naprawię wszystko, co wymaga naprawy.

– To bardzo szczodra propozycja. – Hanna uśmiechnęła się do niego.

– Naprawdę bardzo szczodra – zawtórowała jej Abby – zwłaszcza że pasek w suszarce się poluzował.

– Zaraz na to spojrzę.

– A jak nie zdążę w porę odrobić wszystkich lekcji, pomoże mi pan rano przy śniadaniu? – z nadzieją w głosie spytała Lucy.

Uśmiechnął się do dziewczynki.

– Z przyjemnością ci pomogę, Lucy.

Spojrzała na niego rozpromieniona, a potem wróciła do jedzenia.

Cody zaczął się czuć jak członek tej rodziny. To było miłe uczucie. Nigdy nie czuł tego przy Debby. Mógłby się kopnąć za tę myśl. Przecież żona kochała go tak, jak on ją kochał. Nie zasługiwała na to, by tak o niej myślał, to niegodne z jego strony.

Dokończył śniadanie, wziął swoją torbę i ruszył do wyjścia odprowadzany przez większość domowników. Na schodkach się zatrzymał, bo uświadomił sobie, że nie ma jak wrócić do domu, gdyż przyjechał tu z Abby.

Za plecami usłyszał dźwięk kluczyków.

– Gotowy? – Abby uśmiechnęła się do niego. – Lucy odwożę do szkoły dopiero za godzinę.

– Okej. I dziękuję. Za wszystko.

– Sąsiedzi sobie pomagają – zacytowała Cody’ego. – Chodźmy.

Abby podjechała pod jego ganek od frontu. Cody nie ociągał się z wysiadaniem, po prostu się uśmiechnął, raz jeszcze jej podziękował i wszedł do domu.

Abby odjechała z poczuciem niedokończonej sprawy. Cody wciąż opłakiwał Anyu, rana była bardzo świeża. Zapewne nadal opłakiwał też Debby. Strata psa, który był ostatnim ogniwem, jakie go z nią łączyło, tylko pogłębiła ból. Współczuła mu. Chciała zostać i pocieszyć Cody’ego, ale bez słów dał jasno do zrozumienia, że czuje się już dobrze i chce zostać sam.

Cóż, z całą pewnością czekała na niego praca, która zajmie mu myśli. Poza tym obiecał, że wpadnie na śniadanie. Abby już cieszyła się na kolejne spotkanie. Tylko dlaczego? Był dobrym i miłym człowiekiem, wzbudził jej sympatię. Kiedy nie było go obok, czuła pustkę. Dziwne uczucie, ale nie miała czasu się w to zagłębiać, bo Lucy spóźni się do szkoły, a ona do biura. A to było nie do pomyślenia.

Abby wspomniała panu Owensowi o ewentualnych oskarżeniach wobec pana Whatleya, informując go przy okazji o zbiegłym przestępcy, którego dotąd nie znaleziono, a który potrzebuje pieniędzy. Bardzo prawdopodobne, że to właśnie on

napadł na bank, a tymczasem miejscowe plotki oskarżały pana Whatleya. Na szczęście jeszcze go nie aresztowano. Spytała pana Owensa, czy mógłby wyznaczyć adwokata, który by go bronił.

Odparł, że tak, ale najpierw musi spotkać się z panem Whatleyem i upewnić się, czy on się na to zgadza. To dziwne, bo gdy wspomniała, że przestępca wciąż jest na wolności, pan Owens wyglądał, jakby kamień spadł mu z serca. Ale potem zajęła się pracą i o tym zapomniała.

Tymczasem Horace Whatley był bliski paniki. Przypadkiem podsłuchał w mieście urywki rozmowy, z której wynikało, że sprawca napadu na bank jest dokładnie jego wzrostu. Wszyscy wiedzieli, że najpierw próbował udawać znawcę bydła, a potem detektywa, który zarzekał się, że znalazł ciało. Dla ludzi to był dowód na to, że nie ma problemu z łamaniem prawa. Jeśli dopuścił się tamtych oszustw, czemu nie miałby napaść na bank? Na domiar złego ostatnio miał problem z płynnością finansową. Jeden z czeków, którym płacił w miejscowym sklepie żelaznym, został odrzucony. Człowiek, który rozpaczliwie potrzebuje gotówki, automatycznie staje się jednym z potencjalnych sprawców, kiedy dochodzi do napadu na bank.

Abby słyszała fragmenty tych plotek i była nimi przerażona. Pan Whatley, choć niewątpliwie ekscentryczny, nie był złym człowiekiem. Zastanawiała się, czemu nie ma dostępu do pieniędzy. Jej brygadzysta Don, który przeprowadził małe śledztwo, twierdził, że Whatley posiada fortunę. Jego starsza

siostra mieszkała w rezydencji na Florydzie, skąd wysyłała bratu pieniądze do Wyoming. Don mówił też, że gdy do niej zadzwonił i rozmawiał z nią o bracie, nie sprawiła na nim wrażenia osoby skąpej. Zdawało się, że szczerze troszczy się o brata i pragnie dla niego wszystkiego, co najlepsze. Owszem, pan Whatley miał problemy ze zdrowiem psychicznym, ale po lekach czuł się lepiej, jeśli tylko je zażywał. Niestety zatrudnił osobę broniącą praw pacjentów, która pomogła mu uwolnić się od terapii, w tym także od konieczności zażywania leków.

Abby zastanawiała się, czy jego siostra wie, że kupił ranczo, które na niego zarabiał. W końcu uznała, że ktoś powinien do niego zadzwonić i zadać mu to pytanie.

Gdy nazajutrz rano podczas śniadania poruszyła ten temat, Cody oznajmił:

– Wybacz, kochanie, ale jestem krok przed tobą... – Odchrząknął. To czułe słówko jakoś mu się wysnęło. Zignorował je i mówił dalej: – Jego siostra ma chłopaka o bardzo kosztownych upodobaniach, a ona dogadza mu kosztem pana Whatleya. Kochaś naciska na nią, żeby przestała z rodzinnego majątku finansować młodszego brata, który powinien sam zarabiać na życie.

Cody powiedział jej, że pan Whatley jest ekscentryczny, ale nikomu nie zagraża, i że jeśli nadal będzie wstrzymywała należne mu pieniądze, to gotów jest pozwać ją do sądu i pozbawić wszystkich pieniędzy należących do masy spadkowej.

Słuchała go zaszokowana. Wyjąkała, że nie zamierzała przestać wysyłać czeków, ale jej chłopak ją do tego namówił. Obiecała, że bardzo szybko zacznie je znów wysyłać, prawdopodobnie za pośrednictwem swojego adwokata, żeby jej chłopak się o tym nie dowiedział.

Cody, który na podstawie swojego doświadczenia z prawem wyczuł tu jakąś nieuczciwość, spytał jakby mimochodem, jak się nazywa jej chłopak. Odpowiedziała bez namysłu. Nazywał się Bobby Grant. Kiedy spytał, z czego się utrzymuje, zająknęła się, a po chwili odparła, że nadzoruje pewną inwestycję i chciałaby, żeby zainwestowała w to większość swoich pieniędzy. Cody natychmiast doradził, że powinna to przedyskutować ze swoimi prawnikami, zanim podejmie jakąkolwiek decyzję.

Kobieta przyznała, że to bardzo dobry pomysł, i obiecała, że tak właśnie zrobi. Cody dodał na koniec, że jeśli ona nie ma nic przeciwko temu, jeszcze się do niej odezwie. Wyjaśnił, że pracuje nad pewną sprawą w swoim mieście, z którą jej brat może mieć coś wspólnego. Kiedy spytała o szczegóły, wytłumaczył jej, o co chodzi. Zaszokowana kobieta zamilkła, aż wreszcie powiedziała:

– On nigdy nie napadłby na bank. Nigdy! Mój brat nigdy nie skrzywdził żadnej żywej istoty. Zatrzymuje się samochodem na środku drogi, gdy zobaczy żółwie, i przenosi je na pobocze. Jest niewinny. Znam go całe moje życie i wiem, do czego jest zdolny, a do czego nie. On nie jest złodziejem.

Wtedy Cody wspomniał, że czek, którym jej brat chciał zapłacić, został odrzucony, podobnie jego karta kredytowa.

Gdzieś w tle Cody usłyszał jakiś cichy niski głos.

– Ja... – znów odezwała się kobieta. – Zaraz to sprawdzę. Muszę kończyć. Gdyby potrzebował pan więcej informacji, proszę dzwonić.

– Dziękuję, zadzwonię. A gdyby wydarzyło się coś... cokolwiek nadzwyczajnego, proszę mi dać znać.

Zapadła cisza, potem ponownie usłyszał czyjś coraz bardziej zniecierpliwiony cichy głos.

– Tak. Do widzenia.

Kobieta się rozłączyła, zostawiając Cody'ego z zatroskaną miną i rosnącymi podejrzeniami. Wpisał imię i nazwisko jej chłopaka oraz lokalizację w VICAP, programie zbierającym informacje na temat przestępstw, i czekał, aż program przeszuka katalog podejrzanych.

W końcu pojawiły się dwa potencjalnie trafne wyniki. Oba dotyczyły hrabstwa Dade. Jeden z mężczyzn był dobrze znanym kierowcą wyścigowym Grand Prix, którego uczciwość nie ulegała wątpliwości. Drugi miał na swoim koncie wyłudzenie pieniędzy od kobiet, przy czym za każdym razem udawał kogoś innego. Był aresztowany, dwukrotnie postawiono mu zarzuty, lecz tylko raz skazano go za wykroczenie, które nie w pełni spełniało znamiona kradzieży. Przy okazji co najmniej pięciu aresztowań ofiary odmawiały złożenia pozwu. Twierdziły, że mężczyzna posiada urok i potrafi go wykorzystać, a one temu

uległy. Był również notowany za atak z bronią. Kiedy brat jednej z ofiar oskarżył go o kradzież, Grant go zaatakował. Później ktoś przeciął bratu opony, włamał się do jego domu i go zdewastował, ale nie znaleziono dowodu, który pozwoliłby oskarżyć Granta. Zresztą to nie było takie ważne, bo za napaść z bronią w rękę Grant i tak odsiedział dwa lata. Cody uniósł brwi ze zdziwienia. Zadzwoił do szefa policji w mieście, gdzie doszło do tamtego ataku, i dowiedział się, że o tym żigolaku krąży pewna uporczywa plotka. Ponoć szuka sposobu, jak pozbyć się brata swojej nowej kobiety. Gdyby mu się udało, poślubiłby ją i przejął kontrolę nad jej majątkiem. Gdyby jej brat zniknął, a potem także ona, ten oszust byłby ustawiony do końca życia.

Cody stwierdził, że to chyba przesada. Szef policji zaprzeczył. Ten człowiek był podejrzanym w sprawie o śmierć siostry kobiety, którą wcześniej uwiódł w Denver i z którą zamierzał się ożenić. To podejrzenie sprawiło, że kobieta zerwała z nim wszelkie kontakty, twierdząc z bólem, że zbyt późno odzyskała rozum, by uratować siostrę. Grant nie miałby problemu z zabiciem kolejnej osoby, która stała na jego drodze do zdobycia pieniędzy. Szef policji wciąż był wściekły, że nie doprowadził go do oskarżenia o morderstwo, niestety nie miał wystarczających dowodów, żeby przedstawić je ławie przysięgłych.

Potem szef policji zrobił coś dziwnego. Ostrzegł Cody'ego przed młodym Whatleyem. Stwierdził, że Horace nie ma poważnych kłopotów ze zdrowiem psychicznym, jest tylko ekscentrykiem uwielbiającym wcielać się w różne role, ale to

mija, gdy bierze leki. Ostrzegł go też przed mężczyzną, który właśnie zaleca się do siostry pana Whatleya, zauroczonej nim kobiety po czterdziestce, zachwyconej atencją dużo młodszego partnera.

– Słyszałem o nowym chłopaku Nity Whatley. Rozmawiałem z nią przez telefon, zanim do pana zadzwoniłem. Wydaje się bardzo miła. Trochę naiwna, jeśli pan wie, co mam na myśli.

– To prawda, jest naiwna, a także miła – odparł szef policji. – Mieszka w Miami na tej samej ulicy co ja. Cóż, ona mieszka w rezydencji, a ja w niewielkim mieszkaniu na pobliskim osiedlu. Przy mojej pensji nie stać mnie na willę.

– Witam w klubie – z uśmiechem podsumował Cody. – Ale przecież nie pracujemy dla pieniędzy, prawda?

– No właśnie. Co z ochroną pana Whatleya? Też go lubię.

– Będę miał na niego oko – obiecał Cody. – Kupił tu ranczo, można powiedzieć, że został kimś w rodzaju maskotki w naszym mieście. Tak naprawdę to zamknięte dla obcych małe miasteczko, ale on się tu wpasował. Całkiem nieźle zarządza tym ranczem. Miał pewne radykalne pomysły, które wszyscy zbagatelizowaliśmy, lecz wprowadził je w życie na swoim ranczu i ma z tego dochody. Już niedługo będzie wypłacalny.

– Miło słyszeć. Zawsze go lubiłem. Nita Whatley miała narzeczonego, który zginął na Bliskim Wschodzie podczas inwazji na Irak. Byliśmy w tym samym oddziale. Nigdy się po tym nie podniosła. Przez lata nie chciała nawet rozmawiać z mężczyznami. Kilka tygodni temu poznała tego wysoko

mierzącego drania i zachowuje się jak nastolatka. – Jęknął. – Wielka szkoda. To była miła i rozsądna kobieta. Zasługuje na coś lepszego.

– Mam nadzieję, że ma pan na nią oko – rzekł Cody.

– Niech pan mi wierzy, że mam. – Szef policji urwał. – Wie pan, kiedy sprawdzałem gościa w VICAP, natknąłem się na podobną sprawę, i to akurat w Denver. Zalecał się tam do pewnej kobiety. Jej siostra zmarła, ale on zaprzeczał, żeby miał z tym cokolwiek wspólnego. Policja przeprowadziła śledztwo, niestety nie znaleziono wystarczających dowodów, żeby go skazać. Wkrótce potem opuścił stan i ja go odziedziczyłem, kiedy przeniósł się do hrabstwa Dade. Gdyby miał pan ochotę przejechać się do Denver i porozmawiać z tą kobietą, dam panu adres.

Cody pomyślał o zmarłej żonie, która mieszkała w Denver. Chciał wybrać się do jej dawnego mieszkania i porozmawiać z ludźmi, którzy ją znali. To przyniosłoby mu pociechę. Nadal ją kochał i wciąż za nią tęsknił. Tak jak za Anyu.

– Pojadę tam – odparł Cody. – Może mi pan przesłać informacje SMS-em. – Podyktował numer swojej komórki. – Będę wdzięczny za każdą informację, jaką uda się panu zdobyć. Pracuję nad sprawą napadu na bank, i to w Catelow. Od lat nic podobnego się u nas nie zdarzyło.

– Powodzenia. My mieliśmy dwa w tym tygodniu. Przestępcy nie mają wakacji. Chętnie bym odpoczął. Jesteśmy przepracowani i płacą nam za mało.

– Taki już nasz los... Dzięki za pomoc.

– Nie ma za co.

Cody wybrał się na ranczo nazwane – tak, tak – Dumnym Wybiegiem, żeby porozmawiać z Horace’em.

W drzwiach przywitała go uśmiechnięta Julia Donovan, gospodyni Whatleya.

– Szeryf Banks, jak miło pana widzieć. Proszę wejść.

Zaprowadziła go do kuchni, gdzie jej szef pił kawę i czytał gazetę.

Podniósł wzrok i uśmiechnął się.

– Szeryfie! Jak się cieszę! Kawy?

– Bardzo chętnie. – Cody położył kapelusz na pustym krześle, po czym sam usiadł. – To był długi dzień.

– Jaką pan pije, szeryfie? – spytała Julia.

– Czarną i mocną. Dzięki temu jestem przytomny.

– Czym mogę panu służyć? – spytał Whatley. Był pogodny, nie wiercił się nerwowo, nie wahał, nie okazywał niepokoju w związku z wizytą szeryfa.

– Rozmawiałem z pańską siostrą.

Uśmiech gospodarza zgasł.

– Tak, ja też. Ten mężczyzna! Sprzedał ulubiony stary i cenny obraz naszej matki, a ona mu na to pozwoliła. Jestem taki wściekły.

Cody podziękował Julii za kawę. Wypił łyk. Była idealna, mocna i pełna smaku.

– Chłopak pańskiej siostry ma policyjną kartotekę – wyjawiał, a Whatley natychmiast się ożywił.

– Był o coś oskarżony? – spytał z zainteresowaniem.

– Tak, o napad. Zaatakował i omal nie zabił jedyne go brata swojej poprzedniej dziewczyny. Mówiono, że chciał przejąć jej majątek, a jedynym sposobem, żeby to osiągnąć, było pozbycie się podejrzliwego brata.

– O mój Boże.

– To nie wszystko. Uważamy, że zabił siostrę swojej kolejnej ofiary, tym razem w Denver. Uniknął oskarżeń, ale wszyscy wiedzieli, że siostra mu nie ufała, a była jedyną poza jego dziewczyną dziedziczką rodzinnej fortuny.

– Moja biedna siostra – powiedział cicho Whatley. – Tak długo była sama. Pewnie jest bezbronna i uległa temu mężczyźnie, a on ją wykorzystuje.

– Tak właśnie uważam. Szef lokalnej policji się ze mną zgadza.

– On się w niej kocha od wielu lat, ale był dowódcą oddziału, w którym służył jej narzeczony, kiedy zginął. Ta tragedia zabiła jego wszelkie nadzieje. Niestety powstrzymuje go też jej bogactwo. Nie chce zostać oskarżony o to, że zależy mu na jej pieniądzach.

– O, brzmi znajomo – powiedział Cody. – To samo przydarzyło się przed laty mojemu przyjacielowi, ale pokonali tę przeszkodę.

– To mi coś przypomina. Zna pan tu kogoś z pogotowia dla zwierząt? Muszę z kimś porozmawiać o łosiu, który się zainteresował naszą krową mleczną. Nie chcę, żeby coś mu się stało – dodał szybko. – Chciałbym tylko wiedzieć, czy można go przewieźć do parku narodowego i tam wypuścić na wolność.

– Witamy w fascynującym świecie farmerów, panie Whatley – rzucił rozbawiony Cody. – Naprawdę się pan do tego nadaje.

– Dzięki. Gdybym jeszcze tylko mógł rozwiązać problem mojej siostry, zanim ten jej zdeprawowany chłopak doprowadzi nas oboje do bankructwa i wylądujemy przez niego na ulicy.

– To się nie zdarzy. Rozmawiałem z pańską siostrą i powiedziałem jej, że jeśli nadal nie będzie przysyłała panu czeków i zasilala rachunku pańskiej karty kredytowej, może mieć poważne problemy. Będzie je przysyłała, tyle że przez swojego adwokata. Pewnie obawia się swojego chłopaka, ale jest zbyt zakochana, żeby się do tego przyznać.

– Też tak myślę. Jeśli chodzi o pieniądze, ulżyło mi po tym, co od pana słyszę – dodał cicho. – Jestem po uszy w długach. Wyczyściłem nawet kartę kredytową. Bez przychodzących regularnie czeków znajdę się na ulicy.

– Nie, nigdy nie skończy pan na ulicy. Nie tutaj. Ktoś z nas by pana przygarnął do swojego domu.

– Co? – Whatley aż się zaczerwienił.

– Miałby pan gdzie mieszkać, i jeszcze mógłby pan wybierać. Nie ma pan pojęcia, jak bardzo jest pan tu lubiany. Wpasował się pan tu.

Whatley podniósł wzrok.

– Wie pan, że pierwszy raz mieszkam w miejscu, gdzie się wpasowałem? – odparł, nie kryjąc emocji. – Jestem ekscentrykiem. W domu nasi przyjaciele robili sobie ze mnie żarty i mnie wyśmiewali.

– To znaczy, że nie byli przyjaciółmi, prawda?

– Tak, raczej nie byli – odparł powoli. – Siostra nigdy nie potrafiła trafnie oceniać ludzi. Jest lekkomyślna. Kiedyś przyjęła do domu bezdomną, która zaczęła sprowadzać znajomych, a Nita za bardzo się bała, żeby ich wyprosić. Narobili mnóstwo szkód, aż wreszcie namówiłem ją, żeby zadzwoniła na policję, bo wiedziałem, że Dan Brady sam do niej pojedzie i rozwiąże problem. Gdyby tylko Nita spojrzała na niego życzliwie. To dobry człowiek. Takiego właśnie jej trzeba.

– To ten szef policji? Znałem jego nazwisko, ale imienia nie. Lubi go pan.

– Tak, jest w porządku. Chociaż raz mnie aresztował za napad rabunkowy, ale właściciel mnie bronił i powiedział, że niczego nie ukradłem. Kilka tygodni później znaleźli człowieka, który to zrobił i przyznał się do winy. – Podniósł wzrok. – Gdyby nie dobrzy ludzie, pewnie dostałbym wyrok i odsiadywał karę.

– Nie w Catelow – rzekł Cody. – Nigdy. Nie za mojej kadencji.

– W takim razie, szeryfie, co pana do mnie sprowadza?

Cody najpierw się zaśmiał, po czym odparł:

– Napad na bank.

– Och, ktoś uważa, że ja to zrobiłem? – spytał i nawet nie wydawał się zdenerwowany.

– Pańskie nazwisko pojawiło się wśród paru innych. Jeden to pastor metodystów. Mówiąc delikatnie, był zaszokowany oskarżeniem.

Whatley wybuchnął śmiechem.

– Kto go oskarżył?

– Członek kościoła. Był zły na pastora, że nie wprowadza takich zmian, jakie są dokonywane w kościołach w dużych miastach.

– To małe miasteczko i wciąż jesteśmy ludźmi bogobojnymi – oznajmił Whatley z przekonaniem. – Gdyby duchowny stracił dach nad głową, mógłby u mnie zamieszkać. Mam nadzieję, że obstaje przy swoim. Rząd nie powinien się wtrącać w służbę zdrowia i religię. Nie ma do tego odpowiednich kwalifikacji, nie jest do tego powołany.

– Nie mógłbym się bardziej zgodzić. – Cody wstał i wziął kapelusz.

– Skoro jestem jednym z podejrzanych, czemu pan mnie nie przesłucha? – spytał Whatley, odprowadzając go do wyjścia,

Cody zatrzymał się na górnym stopniu.

– Właśnie to zrobiłem. Trudno byłoby mi znaleźć bardziej niewinnego człowieka. Miłego dnia.

– Też panu życzę miłego dnia, szeryfie. – Pan Whatley się uśmiechnął.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Cody otrzymał od władz miasta pozwolenie na wyjazd do Denver wraz z pokryciem wydatków, a także na przesłuchanie ofiary zalotów oszusta, skoro miało to związek z podejrzanym o napad na bank w Catelow, Horace'em Whatleyem. Gdyby ten oszust miał współnika, który stara się wrobić Whatleya w napad, pozbyłby się go i zdobył na wyłączność jego siostrę Nitę oraz jej pieniądze. I nikt z rodziny nie miałby prawa się wtrącać.

Cody powiedział swoim dziewczynom, bo tak już myślał o Abby, Lucy i Hannie, że nie będzie go kilka dni, ponieważ wyjeżdża w związku ze śledztwem dotyczącym chłopaka siostry mieszkańca ich miasteczka, którego jedna z ofiar mieszka w Denver.

– Pewnie chodzi o siostrę pana Whatleya, która mieszka na Florydzie – domyśliła się Abby.

– Skąd wiesz? – zdumiał się Cody.

– Ktoś powiedział komuś, kto powiedział komuś, a że mówił to w barze, ktoś podsłuchał i posłał dalej... Mniej więcej tak to było. Panną Whatley zainteresował się perfidny oszust. Mam

nadzieję, że tuż przy mrowisku przywiążą go do drzewa z tabliczkę na piersi, gdzie będą wypisane jego winy.

– Średniowieczne – prychnął, zając się pysznym omletem usmażonym przez Hannę.

– To średniowiecze powinno wrócić! – Hanna też prychnęła. – Co to dzisiaj ludziom nie uchodzi na sucho! Nie wspominając o tym, co uchodzi na sucho politykom. I czemu naszym krajem rządzi banda zniedołężniałych staruchów?

– Hanno! – zawołała Abby. – Mamy świetnych polityków w starszym wieku, którzy robią mnóstwo dobrego.

– Nie o nich mówię. Mówię o tych hałaśliwych łobuzach, którzy bez przerwy stoją przed kamerą i ostro krytykują ludzi o przeciwnych poglądach.

– Powinnaś przestać oglądać wiadomości – poradziła jej Abby. – Zamiast tego znajdź jakiś stary dobry film. – Przerwała na moment. – Jeśli chcemy żyć, tak jak ludzie dawniej żyli, bliżej Boga i ziemi, to powinniśmy mieszkać w Catelow. To najlepsze, co możemy zrobić.

– Amen – poparła ją Hanna.

– Cóż, musimy żyć z tym, co mamy – podsumował Cody. – Jutro rano będzie mi brakowało śniadania w waszym towarzystwie, a przede wszystkim was.

– Mam nadzieję, że znajdziesz coś, co pomoże rozwikłać tę sprawę – powiedziała Abby.

– Ja też.

Nie powiedział tego, ale Abby to wiedziała, że spędzi jakiś czas, wspominając Debby, która zmarła w szpitalu w Denver. Znał ten szpital, bo odwiedzał tam żonę, choć niezbyt często. Abby miała nadzieję, że to pomoże mu zaleczyć rany. Wciąż żył przeszłością zawłaszczoną przez ducha pięknej Debby. Żadna żyjąca kobieta nie mogła konkurować z tym idealnym wspomnieniem. Abby chciałyby spróbować, ale była zbyt ostrożna, zbyt wycofana, podobnie jak on. Zachowywał się wobec niej przyjacielsko... i tylko przyjacielsko. Może wizyta w Denver pomoże mu dokonać ostatecznego rozrachunku z przeszłością i zapomnieć. A przynajmniej choć na chwilę wyrwie się z domu, gdzie wciąż opłakiwał Anyu.

– Mam nadzieję, że podczas wyjazdu odpoczniesz psychicznie, niezależnie od tego, w jakim celu tam się wybierasz – powiedziała Abby, gdy całą trójką zegnały go na ganku.

– Nie zostanę tam długo. Gdybyście czegokolwiek potrzebowały, dzwońcie do mojego zastępcy. On wie, co robić.

– Dobrze. Uważaj na siebie – powiedziała.

Uśmiechnął się.

– Zawsze uważam. Do zobaczenia za parę dni.

Kiedy Cody zajechał do Denver, czuł się tak, jakby cofnął się w czasie. Podczas całego małżeństwa tylko kilka razy odwiedzał tu Debby. Najlepiej zapamiętał szpital, gdzie umarła. Z rozpacz stracił rozum, krzyczał na wszystkich, którzy ją otaczali, kiedy

pielęgniarki i rezydenci starali się ratować jej życie. Nawrzeszczał też na Abby i Lucy, i do dziś się tego wstydził.

W szpitalu robili wszystko, co w ich mocy, mimo to Debby nie udało się uratować. Jej ostatnie słowa były niezrozumiałe. Dziwne, że teraz je sobie przypomniał, wjeżdżając na parking motelu obok szpitala. Mówiła, żeby Słodki Misiaczek nie zapomniał nakarmić Muttsy'ego. Kim, do diabła, był Słodki Misiaczek? I kto to albo co nazywa się Muttsy?

Przez sześć lat nie wracał do tego myślą, lecz teraz to wspomnienie przyplęnęło do niego z całą siłą. Debby majaczyła w gorączce, pewnie nie wiedziała, co mówi. Może chodziło o coś z jej dzieciństwa? Wciąż tak żywo pamiętał ostatni moment, kiedy straciła przytomność. Ale przynajmniej go poznawała. Uśmiechnęła się zmęczonym uśmiechem i powiedziała, że jej przykro. Co to mogło znaczyć?

Tak długo żył z pamięcią o Debby. Tyle lat spędził pogrążony w żałobie, nie kwestionując niczego, co dotyczyło ich wspólnej przeszłości. Teraz, gdy znów był w Denver, przypominał sobie dziwne zdarzenia i niewyjaśnione zachowania, które pogrzebał razem z Debby.

Jedną z największych zagadek była Anyu. Dostała się w jego ręce tylko dzięki liścikowi, w którym Debby napisała, że szczeniak jest prezentem dla najdroższego mężczyzny w jej życiu. Oczywiście chodziło o niego, był o tym przekonany. A zatem odszukał pielęgniarkę, która na ten czas przygarnęła szczeniaka. Wybrał się więc do niej, a mała suczka z miejsca zdobyła jego serce. Debby zostawiła mu piękną, miękką

futrzaną kulkę o niebieskich oczach. Od razu się w niej zakochał.

A jednak kiedy przyszedł po psa, pielęgniarka zachowywała się dziwnie. Podał jej liścik Debby i powiedział, że salowa w szpitalu przekazała mu, że w mieszkaniu tej pielęgniarki czeka na niego niespodzianka i że ostatnim życzeniem Debby było, żeby Cody ją dostał.

W końcu pielęgniarka się pozbierała i przyznała, że Debby zostawiła psa dla swojego męża, chociaż była zaszokowana, kiedy Cody mówił o ich małżeństwie, ambicjach żony i swoim bólu. Pielęgniarka знаła Debby i też ją opłakiwała. Suczka wiele znaczyła dla Cody'ego. Po pogrzebie Debby zabrał ją ze sobą do domu i nazwał Anyu, i odtąd była jego powierniczką, jego skarbem, aż do swojej śmierci. Tracąc Anyu, czuł się, jakby raz jeszcze stracił Debby.

Zameldował się w motelu i zastanowił, po co tu przyjechał. Szukał odpowiedzi na pytania dotyczące Debby, ale miał też pracę do wykonania, i było to dla niego zadanie priorytetowe.

Zaczął od wizyty u Violet Henry, ale wyciągnięcie od niej czegokolwiek nie było proste.

– To ja zabiłam moją siostrę – oznajmiła po tym, jak odmówiła odpowiedzi na wszystkie naprowadzające pytania Cody'ego.

Drobna i chuda nie była ładną kobietą, w jej długich włosach w kolorze ciepłego brązu połyskiwały siwe pasemka. Choć

minęło już sporo czasu, mówienie o tym, co się kiedyś stało, wciąż było dla niej bardzo trudne.

– Panno Henry, nie wszystko w życiu zależy od nas – powiedział cicho Cody. – Nieraz chcielibyśmy cofnąć czas z powodu różnych naszych uczynków, ale tak się nie da. Życie to nie taśma filmowa, którą można cofnąć. Trzeba iść naprzód, krok po kroku. I nie, nie zabiła pani siostry – dodał zdecydowanym tonem. – Zakochała się pani w mężczyźnie, który okazał się najgorszym draniem. To było poza pani kontrolą.

Do jej oczu napłynęły łzy. Uniosła do ust filiżankę z kawą. Wcześniej także Cody’emu proponowała kawę, ale odmówił.

– Wydawało się, że jest odpowiedzią na moje modlitwy – podjęła. – Był taki przystojny. Nie mogłam wyjść ze zdumienia, że taki mężczyzna w ogóle mnie zauważył, że cokolwiek mu się we mnie podobało. – Zaczerwieniła się. – Nie jestem ładna – stwierdziła cicho – ale przy nim czułam się ładna. Przynosił mi drobne prezenty, zabierał do restauracji i na tańce. – Zaśmiała się smutno. – Nawet nie zwróciłam uwagi, że pozwalał mi za to wszystko płacić. Zapłaciłam nawet za grę w kasynie, a on w jednym okrążeniu ruletki stracił trzydzieści tysięcy dolarów. – Skrzywiła się. – Moja siostra, Candy, nie lubiła go i nie ukrywała tego przede mną. Mówiła, że chodzi mu tylko o moje pieniądze. Zatrudniła nawet prywatnego detektywa. Nie wiedziałam o tym aż... aż do jej śmierci. Policja mi powiedziała, że jest prowadzone śledztwo, a on brał udział w jakichś przestępstwach. Ale wtedy było już późno. Biedna Candy... –

Osuszyła oczy chusteczką. – Kochała mnie. Była jedyną rodziną, jaka mi pozostała, a on mi ją odebrał. – W jej oczach zapłonęło pragnienie zemsty. – Chciałabym go zobaczyć na krześle elektrycznym, jeśli jeszcze z nich korzystają. Sama bym je uruchomiła, gdyby mi pozwolili.

– Teraz podaje się zastrzyk z trucizną – odparł Cody. – Jest równie skuteczny.

– Domyślam się. – Odetchnęła głęboko. – Mam wszystkie rzeczy Candy. – Spojrzała na niego pustym wzrokiem. – Miała rację, żałuję, że jej nie słuchałam.

– Mogłaby pani przejrzeć te rzeczy i sprawdzić, czy jest jakiś dowód, jakaś notatka, która by mi podpowiedziała, jak znaleźć detektywa zatrudnionego przez pani siostrę? – spytał.

– Czy to pomoże panu schwytać tego człowieka?

– To bardzo prawdopodobne – odparł z przekonaniem.

– W takim razie przejrzę je dziś wieczorem. Może mi pan podać swój numer?

– Tak. – Podał jej numer komórki. – Będę w mieście jeszcze co najmniej dwa, trzy dni. Zatrzymałem się w motelu Starlight przy Spruce Lane.

– Zaraz zacznę szukać. – Przyglądała mu się. – Czy on znów to robi? Znów próbuje oszukać jakąś nieszczęsną kobietę?

– Tak, bogatą dziedziczkę z Florydy. Najwyraźniej wziął na cel jej brata, jedyne żyjącego krewnego. – Potrząsnął głową. – Nigdy nie byłem bogaty i nigdy nie będę, ale nie wyobrażam

sobie, jak można zrobić coś tak ohydneho miłej kobiecie i jej rodzinie wyłącznie dla pieniędzy.

– Ja też nie – odparła panna Henry. – Ten człowiek to potwór, będzie to dalej robił i nie cofnie się przed niczym. To oszust, złodziej i urodzony morderca. – Jej oczy zaszyły mgłą. – Nadal uważam, że zabił moją siostrę, ale nigdy nie będę w stanie tego udowodnić.

– Przy odrobinie szczęścia pomogę w tym pani – odparł Cody. – Mężczyzna, któremu zagraża, jest mieszkańcem mojego hrabstwa. – Uśmiechnął się smutno. – Ma drobne problemy psychiczne, ale to miły i dobry człowiek. Bardzo bym nie chciał, żeby łowca posagów zrobił go w zbrodnię, której nie popełnił, żeby usunąć go z drogi.

– Jeśli tylko mogę jakoś pomóc, może pan na mnie liczyć – powiedziała panna Henry. – Jeśli trzeba, będę zeznawać w sądzie. Takiemu człowiekowi morderstwo nie powinno ujść na sucho. Nikomu nie powinno... Niewykluczone, że detektyw przynajmniej znalazł dowód jakiegoś innego przestępstwa, które popełnił.

– W to nie wątpię. – Cody westchnął. – Mało sypiam, może pani do mnie napisać nawet o drugiej w nocy, jak pani na coś trafi.

Uważne mu się przyjrzała i spytała:

– Stracił pan kogoś w ostatnim czasie?

– Tak, suczkę rasy husky. Nazywała się Anyu i była moją jedyną rodziną. Miała tylko sześć lat.

– Współczuję panu – powiedziała łagodnie. – Ja straciłam mojego Nickiego. Był tylko kotem dachowcem, ale miałam go przez szesnaście lat. Był taki słodki. Wiele tygodni go opłakiwałam. – Zerknęła na Cody'ego. – Kiedy przychodził Bobby, musiałam go oddawać do sąsiadki. Bobby Grant, tak się nazywał mój były chłopak. Nienawidził zwierząt i dzieci...

Cody znów coś szybko zanotował.

– To może nam pomóc. Pamięta pani coś jeszcze?

– Cóż, tak. Kiedy zaczął narzekać, że siostra jest o mnie zazdrosna i planuje się mnie pozbyć, odparłam, że nigdy by czegoś takiego nie zrobiła. Wtedy stał się... agresywny. Przycisnął mnie do ściany, uderzył w twarz i powiedział, że mi to udowodni. Potem ruszył do wyjścia. Powiedział, że jeśli chcę spędzić resztę życia w szpitalu dla psychicznie chorych, to moja sprawa, nie jego. – Uśmiechnęła się smutno. – Oczywiście błagałam, żeby został. Przeraziło mnie to. Zdarza mi się na przykład widzieć ludzi, których nie ma. Siostra o tym wiedziała. Więc to wcale nie było takie przesadzone, że mogłaby pomyśleć o wysłaniu mnie do szpitala. Nie zrobiłaby tego, a jednak mnie przestraszył. – Spuściła wzrok. – Niedługo potem Candy nie wróciła do domu z randki, a po kilku dniach znaleźli jej ciało w rzece. – Zacisnęła powieki i zadrżała. – Candy najbardziej na świecie bała się utonięcia. Nigdy nie dowiedzieliśmy się, z kim się umówiła.

– Mam pewną hipotezę – rzekł Cody.

– Ja też. Założę się, że Candy umówiła się z Bobbym, żeby go skonfrontować z tym, czego dowiedziała się od detektywa, a on

ją zabił. Mój Boże, zawsze była ode mnie silniejsza. – Pokręciła głową. – Nigdy sobie nie wybaczę tego, co się z nią stało. Jeśli uda się panu dopaść tego okrutnego oszusta, będę panu wdzięczna do końca życia.

– Obiecuję, że zrobię wszystko, co w mojej mocy. – Cody podniósł się. – Dziękuję, że znalazła pani dla mnie czas, panno Henry.

– Nie ma za co, szeryfie Banks. Jeśli cokolwiek znajdę, natychmiast pana poinformuję.

– Będę zobowiązany. Przykro mi, że przywołałem tak wiele bolesnych wspomnień.

– Myślę o tym każdego dnia. Ale życie toczy się dalej – dodała ze smutkiem.

– To prawda, panno Henry.

Cody wrócił do motelu. Wcześniej zjadł kolację w sąsiedniej restauracji. Wciąż rozmyślał o tym, co usłyszał od panny Henry. Jeśli prywatny detektyw trafił na jakiś dowód wskazujący, że Grant umówił się z siostrą panny Henry, a potem ją zamordował, to pomogłoby nie dopuścić do aresztowania pana Whatleya.

A tak Grant bezkarnie krążył po świecie. Udało mu się uniknąć oskarżenia o morderstwo, choć gdy tylko panna Henry wspomniała o prywatnym detektywie, uciekł na Florydę.

Cody myślał, że detektyw, jeżeli zdoła do niego dotrzeć, może wyjaśnić niewyjaśnione wątki. Liczył na to, że panna Henry dokopie się choćby do nazwiska albo numeru telefonu.

Był wykończony, więc wcześniej położył się do łóżka. Nazajutrz rano po śniadaniu wciąż nie miał wiadomości od panny Henry, więc postanowił spotkać się z policyjnym detektywem, który prowadził śledztwo w sprawie morderstwa.

Okazało się, że nie ma go w mieście i wróci dopiero następnego dnia, ale obiecał, że się spotkają, by porozmawiać o sprawie. Tym sposobem Cody miał trochę wolnego czasu, więc wybrał się do domu, gdzie mieszkała Debby, i spytał gospodarza, czy mógłby zobaczyć jej mieszkanie, jeśli jest akurat wolne.

Szczerząliwym trafem było wolne. Gospodarz zaprowadził tam Cody'ego i powiedział:

– Długo nikt tu nie mieszkał. Nie wiem dlaczego. Mieliśmy lokatorkę, która prawie dwa lata wynajmowała to mieszkanie. Była mężatką, ale jej mąż nie nocował tu codziennie. Dziwni ludzie i dziwnie to wyglądało, ale wydawali się bardzo ze sobą związani. Oboje byli lekarzami, pracowali w szpitalu na naszej ulicy.

Serce Cody'ego zamarło.

– Czy kobieta nazywała się może Debora Banks? – spytał.

– Tak, Debora, ale podała inne nazwisko. Stern. Ten lekarz nazywał się Craig Stern.

Cody czuł się jak sparaliżowany. To był lekarz z pogrzebu Debby.

– Nosila obrączkę, więc zakładałem, że są małżeństwem – ciągnął gospodarz, nieświadomy szoku, jakiego doznał Cody. –

To byli dobrzy najemcy. Płacili zawsze w terminie, niczego nie zniszczyli. Ona zmarła z powodu jakiegoś wirusa. Jej mąż kompletnie zwariował, musieli go zabrać do szpitala i uspokoić. Wyprowadził się z tydzień później. Nigdy nie widziałem, żeby ktoś tak przeżywał śmierć. Biedny człowiek.

Cody poczuł się chory. Jego życie właśnie się rozpadało, wspomnienia były nic niewarte.

Gospodarz otworzył drzwi.

– Jest umeblowane – powiedział, wprowadzając Cody’ego do środka. – Nic tu nie było ruszane od śmierci tej lekarki. Doktor niczego stąd nie chciał, zostawił wszystko kolejnym najemcom. Kiedy się wyprowadził, zabrał swojego małego puchatego psa Muttsy’ego. Śliczne stworzenie. Kochał go, ale jego żona ledwie tolerowała zwierzaka. – Zaśmiał się. – Jak to się w życiu plecie, co? Myślę, że była zazdrosna, bo doktor poświęcał psu dużo uwagi.

– Zapewne – rzekł Cody udręczonym tonem, bo pamiętał, co Debby powiedziała na łożu śmierci. Żeby Słodki Misiaczek zaopiekował się Muttsym.

– Proszę się tu rozejrzeć – rzekł gospodarz. – Jak pan skończy, proszę do mnie zajrzeć, żebym zamknął mieszkanie. – Urwał. – Znał pan tę parę lekarzy?

– Nie za bardzo – powiedział, bo taka była prawda. – Lekarka mieszkała krótko w moim mieście w Wyoming. Przyjechałem tu w innej sprawie.

– Och, rozumiem. Cóż, będę u siebie.

Mężczyzna wyszedł i zamknął drzwi. Cody krążył po mieszkaniu. Meble były nowoczesne, jedyny obraz wisiał nad kominkiem, była to duża martwa natura. Wszedł do kuchni, która wyglądała, jakby nikt z niej nie korzystał. Potem zajrzał do sypialni, jedna była bardzo duża, druga mała. Przypominały pokoje w motelu, w którym się zatrzymał. Szybko stamtąd wyszedł.

Przez lata opłakiwał zmarłą żonę. Teraz właśnie usłyszał, że mieszkała z innym mężczyzną, udając, że to jej mąż. Czemu nie rozwiodła się ze mną i nie poślubiła Sterna? – dopytywał się w duchu. Ale nie znał odpowiedzi.

Być może istniał powód, dla którego doktor nie mógł ożenić się z Debby. Rozważając to, Cody zacisnął wargi. Może lekarz był żonaty i małżeństwo Debby, choć było związkiem na odległość, uwalniało ich w pracy od podejrzeń.

Cody boleśnie pamiętał, co właśnie powiedział gospodarz. Ta para najwyraźniej była małżeństwem, choć tylko kobieta mieszkała tu na stałe. Lekarz, najprawdopodobniej jej mąż, rzadko tu bywał. To miało sens. Cody był wściekły. Z całego serca nienawidził Craiga Sterna. Miał chęć go dopaść i zrobić mu coś złego. Spędził dwa lata w hrabstwie Carne w stanie Wyoming ożeniony z kobietą, która była nieobecną żoną i nie życzyła sobie, żeby odwiedzał ją w Denver, a sama sporadycznie bywała w domu.

Przez te lata kochał Debby jak wariat, był tak zaślepiiony, że zrobiłby wszystko, żeby ją zatrzymać. Ona przez lata żyła

w kłamstwie w ramionach innego mężczyzny, udając jego prawowitą żonę.

Cody nie zamierzał iść do szpitala, ale nogi same go tam zniosły. Podszedł do informacji i spytał o doktora Craiga Sterna. Recepcjonistka uśmiechnęła się i spytała, czy jest jego znajomym. Tak, odparł Cody, doktor był bliskim przyjacielem jego zmarłej żony. A ponieważ przebywał akurat w mieście, chciał z nim porozmawiać.

Doktor był w swoim gabinecie, w mniejszym budynku, naprzeciwko głównego gmachu szpitala. Recepcjonistka podała Cody'emu numer pokoju.

Ruszył do drugiego budynku, gdzie trafił na kolejną recepcjonistkę, a po chwili został poproszony do gabinetu doktora Sterna.

To był szok. Doktor śmiertelnie pobladł. Rozpoznali się z pogrzebu Debby.

Cody był wściekły i musiał się kontrolować.

– Rozumiem, że to pana moja żona nazywała Słodkim Misiaczkiem? – spytał chłodno, przechodząc od razu do ataku na polu przeciwnika.

Doktor Stern nabrał głęboko powietrza i usiadł za biurkiem.

– Tak... – Spojrzał na Cody'ego smętnym wzrokiem. – Jestem żonaty. Moja żona pije jak szewc i nienawidzi mojej pracy, przez większość czasu podróżuje ze swoimi przyjaciółkami. Kiedy chciałem się z nią rozwieść, wpadła w szal i groziła, że oskarży mnie o molestowanie córki, żeby mieć pewność, że nigdy więcej

jej nie ujrzę. – Podniósł wzrok, jego twarz była uosobieniem udręki. – Chciałem, żeby Debby poprosiła pana o rozwód, ale ona uważała, że dopóki oboje mamy małżonków, nie będziemy budzić podejrzeń ani prowokować plotek. Kochałem ją ponad życie. Ona mnie też. Tak mi przykro – dodał w końcu. – Nie chciałem, żeby tak się stało. Ale oboje byliśmy związani, każde na swój sposób, a pan... jakby przy okazji... ucierpiał.

– Nigdy mnie nie kochała... – W końcu dotarło to do Cody'ego.

– Bardzo pana lubiła i była nieszczęśliwa, że pana oszukuje – odparł cicho Stern. – Byłem jej mentorem, a ona była wyjątkowo zdolna. Miała przed sobą świetlaną przyszłość. – Odchylił się na krześle. – Z jej śmiercią skończyło się też moje życie. Kocham moją pracę, to jedyne, co mnie powstrzymuje przed skokiem z dachu wysokiego budynku.

– Nic o tym nie wiedziałem – powiedział Cody lodowatym tonem. – Nigdy do głowy mi nie przyszło, że może być niewierna. Że prowadzi podwójne życie. Kochałem ją najbardziej na świecie. Zostawiła mi szczeniaka...

– Tak, suczkę husky... – Jego oczy się zamgliły. – Miała być ostatnim prezentem dla mnie, ale pielęgniarzka źle zrozumiała wiadomość i dała psa panu. Suczka miała być kompanem dla Muttsy'ego. – Spojrzał na spiętą twarz Cody'ego. – Kocham psy. Ona nie przepadała za zwierzętami, ale tolerowała psa, kiedy ją z nim odwiedzałem. – Skrzywił się. – Moja żona nienawidzi psów, podobnie jak mnie.

Cody był zbyt zdruzgotany, żeby mu współczuć.

Lekarz to widział.

– Zostaje tu pan na parę dni?

– Tak – odparł Cody. – Zbieram informacje w sprawie morderstwa, które może mieć związek ze sprawą, którą prowadzę w Wyoming.

– To niech pan wraca do hotelu, wypije coś mocnego i prześpi się kilka godzin. Przeżył pan szok. Bardzo mi przykro, że mam w tym swój udział, ale nic nie mogłem na to poradzić. Też kochałem Debby. Kochałem ją bardziej niż własne życie – wyznał z widocznym na jego twarzy cierpieniem.

Cody walczył z szokiem, bólem zdrady, złością i wieloma innymi traumatycznymi emocjami. Pamiętał, że lekarz omal nie upadł na pogrzebie Debby. Pamiętał, że po jej śmierci był tak załamany, że musieli go hospitalizować i podawać mu leki uspokajające.

– Obaj jesteśmy ofiarami – stwierdził po chwili Cody.

Doktor potaknął ponuro.

Cody skinął głową i wyszedł z gabinetu. Potem ruszył przed siebie i długo włóczył się po mieście, aż niemal opadł z sił. Dotarł do restauracji obok motelu, zamówił w barze mocny alkohol i wypił. W końcu udał się do pokoju i padł na łóżko.

Kiedy się obudził, miał w telefonie dwie nowe wiadomości. Jedną od panny Henry, która prosiła, żeby do niej zadzwonił. Drugą od Abby, która napisała: *Wszystko w porządku? Martwimy się wszystkie o Ciebie. Uważaj na siebie.*

Ta wiadomość, choć tak krótka, podniosła go na duchu i sprawiła, że czarne chmury, które spowijały jego duszę, w mig się rozwiały. Abby się o niego niepokoiła. Jedyna kobieta na świecie, która miała dobry powód, żeby go nienawidzić, martwiła się o niego. Nie tylko ona, także Lucy i Hanna. Jego dziewczyny. Uśmiechnął się pod nosem.

Musiał jednak zająć się pracą, zanim zacznie myśleć o czymkolwiek innym. Wybrał numer panny Henry.

– Znalazłam coś – oznajmiła, gdy tylko się przedstawił. – Niewiele, ledwie parę słów, które napisała do agencji detektywistycznej, najwyraźniej tamtego wieczoru, kiedy wybierała się na randkę, z której już nie wróciła – powiedziała ze smutkiem. – Agencja mieści się w Houston, w Teksasie.

– Lassiter! – zawołał Cody, przypominając sobie, że detektyw o tym nazwisku był w Catelov w sprawach służbowych.

– Tak, skąd pan wie? – spytała panna Henry.

– Największa agencja detektywistyczna w Houston to agencja Lassitera. Łatwo zgadnąć.

– Brawo, szeryfie. Sądząc z tego, co napisała siostra, detektyw jest synem założyciela agencji. Czy to panu w czymś pomoże?

– Tak, owszem. Proszę dalej szukać. Czy siostra pisała może pamiętnik?

– Tak! – Panna Henry odetchnęła głęboko. – A ja nawet go nie szukałam... Ale jestem pewna, że morderca go nie znalazł.

Trzymała go w sekretnym miejscu, które znałyśmy tylko my dwie. Zaraz tam zajrzę, i jeśli go znajdę, to od razu zadzwonię.

– Czekam niecierpliwie, panno Henry, i dziękuję.

– Jesteśmy po tej samej stronie – odparła i rozłączyła się.

W końcu, pomyślał Cody, może jakiś przełom w sprawie. Gdyby tylko udało im się postawić tego żigolaka przed sądem i uratować pana Whatleya.

Nakazał sobie spokój. Nie ma sensu zadręczać się tym, co może się nigdy nie zdarzyć. Wiedział, że prawo musi działać krok po kroku.

Wrócił myślami do śmierci Debby i obecności doktora w jej życiu.

Wierzył, że Debby jest mu wierna. Bóg jeden wie, że on nigdy jej nie zdradził, a przecież funkcjonariuszowi prawa nie brak ku temu okazji. Wiele podejrzanych o popełnienie przestępstwa kobiet jest gotowych zrobić niemal wszystko, byle ich nie postawiono w stan oskarżenia i nie skazano na odsiadkę. Są też kobiety, które obsesyjnie zadurzają się w mundurowych i mięśniach wypełniających ich uniformy. Cody'ego to nigdy nawet nie kusilo. Był do szaleństwa zakochany w żonie. Był tak szczęśliwy, że się z nią ożenił, że nie zauważał czerwonych chorągiewek, które już lata temu mogły doprowadzić go do prawdy.

Teraz musiał stawić czoło prawdzie i z nią żyć, a nie miał pojęcia, jak sobie z tym poradzi. Tak długo żył wspomnieniami z Anyu, która nawet nie była dla niego przeznaczona. Stracił

obie, Debby i Anyu. Z życia pełnego radości i smutku, jakie wiódł we własnym mniemaniu, nie zostało mu nic, gdyż okazało się fikcją. Debby kochała innego mężczyznę, który nie mógł do niej należeć. Lekarz, którego kochała, nie mógł dla niej porzucić żony.

Jak ujął to doktor Stern, Cody ucierpiał „przy okazji”. A przecież to on został najbardziej skrzywdzony, choć nic o tym nie wiedział. Gdyby nie ruszył się z Wyoming, gdyby tu nie przyjechał w związku z prowadzoną przez siebie sprawą, próbując ratować Horace’a Whatleya, nigdy by się nie dowiedział o Debby i jej kochanku.

Ból przeszył go niczym błyskawica niebo. Usiadł, oparł łokcie na kolanach i chwycił się za głowę.

– Dlaczego? – jęknął głośno. – Na Boga, Debby, czemu mi nie powiedziałaś?

Nie mogła tego zrobić. Teraz to rozumiał. Musiała utrzymać małżeństwo, by chronić mężczyznę, którego naprawdę kochała, który był częścią świata, do którego Cody nie należał.

Poczuł w sobie zimną pustkę, której dotąd nie znał. Miał świadomość, że potrzebuje czasu, by zaakceptować tę nową rzeczywistość i się w niej odnaleźć. Musi mieć na to czas.

Nie mógł jednak pozwolić, by problemy osobiste przeszkadzały mu w śledztwie dotyczącym morderstwa. Musi wszelkimi sposobami ratować pana Whatleya, ponieważ żigolak zapewne zrobi wszystko, by pozbyć się niewygodnego brata i mieć pełny dostęp do fortuny Nity Whatley. Jeżeli Grant

skutecznie usunął z drogi siostrę panny Henry, to był więcej niż zdolny do powtórki. Jeśli faktycznie uniknął oskarżenia o morderstwo i zaczął nowe życie na Florydzie z nową ofiarą, czuł się kompletnie bezkarny.

To dawało Cody'emu i szefowi policji hrabstwa Dade, Danowi Brady'emu, pewną przewagę, gdyż posiadali informacje, o których Bobby Grant nie miał pojęcia. Gdyby jeszcze panna Henry znalazła pamiętnik siostry, pomyślał Cody, to mogłoby rozwiązać mnóstwo problemów.

Panna Henry oddzwoniła do niego po półgodzinie.

– Zabrała go stąd – oznajmiła z żalem. – Wiem, że tu go trzymała. Obie lubiłyśmy skrytki i tajemnice. Oczywiście siostra ze mną mieszkała, więc dzieliłyśmy się sekretami. Nie sądzę jednak, żeby on go znalazł – dodała. – Nigdy nie był tu sam dostatecznie długo, żeby gdzieś grzebać, no i nie miał pojęcia, że Candy pisze pamiętnik. Ale skoro ja nie mogę go znaleźć, to nigdy się nie dowiemy, co pisała.

– Rozmawiała z panią o tym? – spytał.

– W zasadzie nie... – Przerwała na moment. – Głośno wyrażała swoją opinię na temat Bobby'ego Granta. Nie znosiła go, nie chciała nawet być w domu, kiedy się pojawiał, żeby zabrać mnie na randkę. Z całą pewnością nie powiedziałaaby mu, że pisze pamiętnik. Nie było ku temu żadnego powodu.

– Chyba że go tym szantażowała – zauważył cicho Cody.

Zapadła cisza, wreszcie panna Henry powiedziała:

– Nie przyszło mi to do głowy, ale kto wie? Tak mi przykro, byłam pewna, że znajdę go w skrytce. Ale będę dalej szukać, nie poddaję się.

– Czy siostra miała może skrytkę depozytową? – spytał.

– Tak, ale trzymała tam tylko rodzinne pamiątki, przede wszystkim biżuterię z brylantami. Tydzień temu miałam okazję tam zajrzeć i biżuteria była na miejscu. Wie pan, zastanawiałam się, czy o tym wiedział, czy nie zrobił sobie kopii kluczyka.

– Czy mógł wiedzieć, gdzie jest ta skrytka depozytowa? – spytał.

– Nie wiedział o niej. Byłam zbyt zajęta wysłuchiwaniami jego przechwałek na swój temat, żeby wspomnieć, że odziedziczyłyśmy z Candy fortunę w biżuterii po dziadkach.

– Dobrze się składa.

– Tak, ale to kiepskie pocieszenie. Wolałabym stracić pieniądze niż jedyną siostrę – powiedziała ze smutkiem.

– Jeśli jednak znajdzie pani dziennik, proszę dać mi znać. W każdej chwili.

– Obiecuję.

– Jeszcze coś wpadło mi do głowy. Może spyta pani szefa banku, czy ktoś prócz pani i siostry zaglądał do waszej skrytki depozytowej.

– To mało prawdopodobne – odparła, a on słyszał w jej głosie lekki uśmiech. – Ale pewnie nie zaszkodzi spytać. Znam

wszystkich kasjerów w banku, a każdy, kto chce zajrzeć do skrytek, musi złożyć podpis, żeby mieć dostęp. Podpisy są weryfikowane.

– Nie wiedziałem. – Nie miał skrytki depozytowej, bo nie miał na tyle cennych rzeczy, by płacić za ich przechowywanie.

– Codziennie uczymy się czegoś nowego – odparła. – Jeśli wsadzi pan tego człowieka za kratki, proszę mnie zawiadomić, a ja urządzę wielką fetę. Jest pan zaproszony razem ze swoimi przyjaciółmi.

Cody się zaśmiał. Po raz pierwszy od dwudziestu czterech godzin.

– Nie omieszkać tego zrobić – obiecał.

Cody zadzwonił do Agencji Detektywistycznej Lassiter w Houston w stanie Teksas i porozmawiał z jej założycielem, Dane'em Lassiterem, który rozpoznał jego nazwisko.

– Był pan zaangażowany w sprawę dotyczącą braci Kirków – powiedział od razu. – Śledztwo w sprawie morderstwa. Jeden z naszych tajnych agentów, Ty Harding, tam był.

– Doskonale pamiętam tę sprawę – odparł Cody. – W mojej części świata zabójstwa są rzadkością – dodał.

– Wyobrażam sobie. To mała społeczność.

– Zgadza się. Natomiast ta sprawa ma związek z playboyem, który moim zdaniem próbuje zrobić jednego z członków naszej małej społeczności w napad na bank. Niewykluczone też, że zamierza go zamordować. Na szali jest fortuna. Rozkochał

w sobie jej dziedziczkę do tego stopnia, że hojnie dzieli się z nim wszystkim, co należy do niej i jej brata.

– Czy to nie zbieg okoliczności? – rzekł z namysłem Lassiter. – Mój syn zajmuje się w Denver sprawą morderstwa, które może być powiązane z pańską sprawą.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

– Nie mam zwyczaju dzielić się informacjami ze śledztwa, które jest w toku – powiedział Lassiter do Cody’ego – ale ta sprawa jest jedną z najbardziej niepokojących, jakimi się zajmowaliśmy. Według mnie ten człowiek zabił siostrę swojej ofiary, żeby przejąć kontrolę nad jej majątkiem. Poza siostrą nie było innych spadkobierców, a ona dość podejrzliwie traktowała sprawcę przestępstwa. To tragiczna historia. Jesteśmy prawie pewni, że to on zabił, jednak uniknął kary, a mój syn nie zdobył dostatecznie mocnych dowodów, żeby przedstawić je lokalnym władzom. – Westchnął. – Poza tym przestępca uciekł z miasta i zniknął.

– Nie, nie zniknął – odparł Cody. – Jest cały, zdrowy i bezpieczny, mieszka w małym mieście na Florydzie i próbuje przekonać najnowszą ofiarę, żeby odcięła brata od rodzinnej fortuny. A ponieważ dotąd mu się to nie udało, jestem niemal pewien, że ma plan B, czyli zechce pozbyć się na zawsze mieszkańca naszego miasta.

– Jest jeszcze zaginiony pamiętnik – powiedział Lassiter. – Mój syn miał go dostać od autorki, niestety kobieta umarła.

– Wiem o tym pamiętniku. Właśnie rozmawiałem przez telefon z Violet Henry. To ona mnie poinformowała, że pańska agencja ma związek z moją sprawą.

– Jaki ten świat mały – zauważył Lassiter.

– Bardzo mały... Czy pański syn znalazłby czas na przyjazd do Wyoming i przedyskutowanie ze mną tych kwestii? Stać nas na to, żeby mu zapłacić. – Przynajmniej mam taką nadzieję, dodał w duchu Cody.

– Skoro sprawa jest w toku, nie potrzebujemy dodatkowych pieniędzy z pańskiego biura – powiedział Dane Lassiter i zaśmiał się. – Zaczynałem jako gliniarz w Houston w Teksasie. Wiem, jaki jest budżet policji, i wiem, jak to wygląda w małych miastach, miałem też kontakt z biurami szeryfów na terenach wiejskich. Nadal mam z nimi kontakt.

– Jesteśmy biedni, ale uczciwi – powiedział Cody.

– Wyślę do pana syna i powiem, żeby spotkał się z panem w piątek. Odpowiada panu? Mieszka w Wapiti Ridge, jakąś godzinę jazdy od Catelow. Dlatego zajmuje się sprawą panny Henry. Ma do niej bliżej niż ja z Houston, gdzie mieści się główna siedziba mojej agencji.

– Panna Henry to interesująca osoba – stwierdził Cody. – Polubiłem ją.

– Mój syn także. Cholerna szkoda, że jej siostra tak skończyła. Tego drania trzeba zatrzymać, bo może dokonać kolejnych morderstw.

– Z przyjemnością będę z panem współpracował w każdy możliwy sposób.

– Wiem, dziękuję. Będziemy w kontakcie. – Lassiter się rozłączył.

Nadzieje Cody'ego na rozwiązanie sprawy wzrosły, więc nastrój też mu się poprawił. Wciąż jednak martwił się o Horace'a Whatleya. Ten człowiek miał pewne problemy psychiczne, dlatego potrzebował opieki i ochrony. Cody jeżył się na samą myśl, że jakiś podstępny łajdak szuka sposobów na wrobienie brata swojej ofiary w przestępstwo albo po prostu chce go zabić, żeby położyć łapę na fortunie Whatleyów. A skoro w Denver popsuto mu szyki, zapewne był jeszcze bardziej zdeterminowany, by kuć żelazo póki gorące. Na pewno domyślał się, że Violet Henry nie zaprzestanie prób udowodnienia, że zabił jej siostrę, więc z tym większą determinacją szuka dużych pieniędzy, by położyć na nich łapę i gdzieś zniknąć.

Dzięki Bogu Cody był zaprzątnięty sprawą i nie skupiał się na rewelacjach, jakie na niego spadły na temat żony i jej kochanka. Zajęty śledztwem nie chciał o tym myśleć. Odsunął też od siebie rozpamiętywanie śmierci Anyu, gdyż nie miał czasu pogrążyć się w bólu. Praca jest znakomitym panaceum, pomyślał, skutecznym sposobem na radzenie sobie z cierpieniem. Jeśli będzie nią zaabsorbowany, nie znajdzie czasu na rozpamiętywanie przeszłości.

Tyle że Cody chciał o tym porozmawiać, a nawet tego potrzebował. Tak naprawdę poza kuzynem Bartem Riddle'em

nie miał już nikogo z rodziny. Przyjaźnili się, a jednak się wahał, czy podzielić się z nim tak osobistymi informacjami. Potem przypomniał sobie Abby, która trzymała go w objęciach, kiedy nie radził sobie ze stratą Anyu, zaprosiła do swojego domu i otoczyła go opieką. Na to wspomnienie zalało go miłe ciepło. Abby nie przypominała żadnej ze znanych mu kobiet poza jego zmarłą matką, która była trochę świętą. Abby była taka sama. Szczerze troszczyła się o ludzi, którzy ją otaczali. Słuchała i nie osądzała. Uśmiechnął się pod nosem. A zatem miał z kim porozmawiać. Miał kogoś, kto go wysłucha, i to z troską.

Spakował się i opuścił Denver, nie oglądając się za siebie. Potrzeba czasu, żeby poradzić sobie z tym, czego dowiedział się o Debby i doktorze Sternie. Współczuł mu, lecz nienawidził tego, co ten człowiek robił razem z Debby. Ukrywanie się i zdrada było czymś, czego Cody w ogóle nie brał pod uwagę w swoim, tak przecież dziwnym małżeństwie z Debby, którą kochał nad życie.

Przyszło mu na myśl, że należy do ludzi, którzy kochają głęboko i na zawsze, i tylko raz. Nie wyobrażał sobie, że mógłby pokochać inną kobietę. Oczywiście polubił Abby. Była dobrym człowiekiem i okazała się prawdziwym przyjacielem. Jednak nie pozwoli, żeby pociąg, jaki do niej poczuł, zdominował jego życie. Nie było dla nich przyszłości. Nie chciał się znów żenić, ryzykować, że znów będzie cierpiał. Tak długo żył w raju, przynajmniej w myślach. Był szczęśliwie żonaty z cudowną lekarką, która kochała go tak mocno jak on ją i chciała spędzić resztę życia jako jego żona. Tyle że to było kłamstwo. To wszystko było kłamstwem. Nawet jej ostatnia myśl, żeby

sprezentować szczeniaka ukochanemu, nie dotyczyła jego. Szczeniak był prezentem dla doktora Sterna. Cody zaśmiał się ponuro. Nic dziwnego, że pielęgniarka, koleżanka Debby, tak się zdenerwowała, kiedy przyszedł po psa. Mogła w ogóle nie wiedzieć, że on jest mężem Debby. Mogła też być we wszystko wtajemniczona i dlatego to jej Debby powierzyła szczeniaka i misję przekazania go mężczyźnie, którego kochała najbardziej na świecie. A tym mężczyzną nie był Cody Banks.

Tyle lat kłamstw. Jęknął w duchu, jadąc z powrotem do Catelow. Stwierdził, że jest największym frajerem na świecie. Jeśli był tak złym sędzią ludzkich charakterów, to pewnie nie miał odpowiednich kwalifikacji do wykonywania swojej pracy. Z drugiej strony każdy może popełnić błąd. Jeśli tak, jego błąd był największym błędem jego życia. Kiedy Debby przestała przyjeżdżać do domu na weekendy, powinien się domyślić, że ma kogoś w Denver. Powinien przynajmniej zadać jej kilka pytań. Nie zrobił tego, wolał ją widzieć w domu raz na jakiś czas, niż nie widzieć jej już nigdy więcej. Bał się za bardzo naciskać ze strachu, że całkiem ją straci. Nie był jednak zupełnie wolny od podejrzeń. Choćby po wizycie w jej mieszkaniu, gdy cały czas rozglądała się nerwowo. Czy po tym, jak odwiedził ją w szpitalu, a ona była spięta i szybko go pożegnała.

Tak bardzo ją kochał. W szkole średniej przeżywał nastoletnie miłości. Zadurzył się też w recepcjonistce z jednej z lokalnych agencji, aż mu wyznała, że zakochała się w kimś innym – prawdę mówiąc, w jednym z jego zastępców, i spotykała się z Codym, by mieć okazję go widywać. Pobrali się,

poszedł nawet na ich ślub, nie żywił żalu. Jego życie miłosne nie obfitowało w sukcesy, a teraz, już po śmierci Debby, musiał stawić czoło rzeczywistości. Jego żona nigdy go nie kochała ani nie pragnęła. Żyła w skrytym związku z innym żonatym mężczyzną.

Kiedy dotarł do domu, było już późno. Zadzwoił do biura i dowiedział się, że nie działo się nic ważnego, tylko jakieś drobne zajścia. Tak to wygląda w służbach, które zajmują się egzekwowaniem prawa. Bywają dłuższe okresy, gdy nie wydarza się nic poza typowymi zdarzeniami drogowymi, nieporozumieniami rodzinnymi, anonimowymi telefonami czy groźbami. A potem przychodzą dni, kiedy wydaje się, że funkcjonariuszom zwalają się na głowę wszelkie możliwe przestępstwa i brakuje zastępców, którzy by to ogarnęli. Parę razy musiał dzwonić po pomoc, zwłaszcza podczas pamiętnego pościgu samochodowego, o którym głośno było nawet tak daleko na północ jak w Billing w Montanie. Potrząsnął głową. To właśnie różnorodność tej pracy sprawiała, że wciąż budziła jego zainteresowanie. Nie wyobrażał sobie siedzenia tygodniami, dzień za dniem, za biurkiem w nieodmiennej nudnej rutynie. Bardzo mu pasowało, że nigdy nie wiedział, co go czeka.

Jednakże nazajutrz, kiedy wszedł do biura i dowiedział się, że Horace Whatley został aresztowany i siedzi w areszcie hrabstwa, Cody przeżył szok.

Spojrzał na zastępcę.

– Co do diabła?

– Spokojnie, szefie – odparł Jeb Chandler. – Nie jest tak źle, jak się wydaje.

– Za co go aresztowano? – spytał ze złością Cody.

– Za napad na bank.

– Och, szlag! – wybuchnął.

– Jest świadek, który widział, jak Whatley włożył maskę i wyjął broń przed wejściem do banku – ciągnął Jeb.

Cody’emu zabrakło słów. Gdy w końcu je znalazł, Jeb już kontynuował relację, nie dając mu dojść do głosu:

– To był pomysł prywatnego detektywa, żeby go zamknąć w areszcie jako potencjalnego podejrzanego. Będzie tam bezpieczniejszy niż we własnym domu, nic złego mu się tu nie przydarzy.

Cody nie był pewny, co sądzić o tym, że prywatny detektyw spoza miasta podejmuje decyzje za jego biuro. Z drugiej strony pomysł nie był taki głupi. Żigolak albo jego wspólnik mogli łatwo dopaść Whatleya w jego domu.

– Znamy dane świadka? – spytał Cody.

– O tak. – Jebowi rozbłysły oczy.

– Więc? – niecierpliwił się Cody.

– Świadkiem jest Cappy Blarden – powiedział zastępca, ściągając wargi.

– Cappy... – Cody był jak rażony piorunem.

– Cappy nie powiedziała słowa prawdy, nawet gdyby mu zapłacono więcej, niż dostał jako świadek napadu na bank. Ten prywatny detektyw z agencji z Houston to bystrzak. Już sprawdził konto bankowe Cappy’ego. – Jeb się uśmiechnął.

Cody znał ten uśmiech i uspokoił się.

– Rozumiem, że pojawiła się nowa wpłata.

– Tak, z rachunku bankowego na Florydzie.

– W końcu jakiś dowód na papierze.

– To był czek kasjerski, ale Lassiter kazał to sprawdzić komuś w hrabstwie Dade i kasjerka opisała osobę, którą obsługiwała. Zna tego mężczyznę, bo często wybiera pieniądze z konta Nity Whatley w tym samym banku.

– Zwycięstwo! – zawołał Cody.

– Czyli oskarżenie o napad na bank to lipa.

– Oczywiście. Nita Whatley oburzyła się, kiedy jej powiedziałem, że jej młodszy brat jest podejrzany o napad na bank. Wiedziała, że nie jest sprawcą.

– Tak czy inaczej, wciąż nie mamy podejrzanego – stwierdził Jeb.

– Wiem, ale go znajdziemy. Rzymu nie zbudowano w jeden dzień.

– Aha, Lassiter zostawił swój numer i prosił, żebyś zadzwonił, jak wrócisz – dodał Jeb. – Mówił, że wczoraj wieczorem rozmawiał o sprawie ze swoim ojcem.

– Też rozmawiałem z jego ojcem – odparł Cody. – Inteligentny człowiek, a jego agencja cieszy się świetną reputacją.

– Lassiter pojawił się u nas w chwili, kiedy siostry Corrie wpadły spytać o pracę, bo szukamy recepcjonistki. – Pokręcił głową. – Stały z otwartymi ustami i gapiły się na niego, ale muszę przyznać, że Lassiter to przystojny gość. Gdyby mi się nie podobała starsza siostra, Michelle, może nawet bym go polubił.

Cody zaśmiał się pod nosem. Jeb nie przepadał za kobietami, ale nie krył, że jest oczarowany Michelle Corrie, dlatego często wpadał do kawiarni, gdzie pracowała jako kelnerka na niepełny etat. Jej rodzina, niegdyś zamożna, boleśnie odczuła zmiany w trudnych czasach. Były trzy siostry Corrie. Najmłodsza wciąż chodziła do szkoły, dwie starsze pracowały i opiekowały się nią. Ich ojciec zmarł przed kilku laty, matka była częściowo niepełnosprawna. Jeb podkochiwał się w Michelle, ale lubił też pozostałe siostry.

– Na szczęście nie jestem zainteresowany żadną z sióstr Corrie, więc nie mogę powiedzieć, że mnie to martwi – odparł bardzo z siebie zadowolony Cody.

– Była też u nas panna Brennan z listem do ciebie od swojego szefa, pana Owensa. Zostawiła go Missy. – Missy pracowała w recepcji, ale niedługo zwolni etat, bo była w zaawansowanej ciąży. – Lassiter bardzo zainteresował się Abby. Tak bardzo – dodał Jeb, zerkając na szefa, który zagotował się ze złości – że aż się zarumieniła.

Coś w nim eksplodowało. Lassiter tu, w Catelow, flirtuje z jego dziewczyną? Cody stał znieruchomiał jak posąg, zazdrość zżerała go od środka.

Jeb z satysfakcją zauważył jego minę.

– Więc sędzę, że dopóki jest w mieście, żadna wolna dziewczyna nie jest bezpieczna. Aha, tak przy okazji, on ma dyplom z MIT. – Jeb ruszył do swojego pokoju.

Pojawiła się Missy z pustym kubkiem.

– Witamy z powrotem, szeryfie Banks – powiedziała z radością. – Wycieczka się udała?

– To nie były wakacje, Missy – mruknął.

– Och, wiem, ale Denver to duże miasto i pewnie jest tam co robić.

– Byłem tam w sprawie śledztwa dotyczącego morderstwa.

– Chyba nie poświęca pan tak drobnej sprawie całych dni i nocy – skwitowała beztrąsko.

Cody tylko westchnął i wszedł do swojego pokoju. Missy nie za bardzo rozumiała, na czym polegają śledztwa prowadzone przez szeryfa i jego zastępców. Poza mężem, którego uwielbiała, niewiele ją obchodziło.

Cody jej zazdrościł. Nigdy się nie denerwowała, nic nie wyprowadzało jej z równowagi, zawsze była uśmiechnięta i miła. Pocieszała krewnych osób, które złamały prawo, gdy przychodzili spytać, jakie są oskarżenia. Dlatego była dobra w swojej pracy. Cody myślał o zatrudnieniu starszej siostry

Corrie, lecz obawiał się, że Jeb w ogóle przestałby pracować, tylko całymi dniami by wzdychał i gapił się na nią.

Usiadł za biurkiem z kubkiem gorącej kawy, którą po drodze wziął z niewielkiej kuchenki, i sprawdził swój telefon.

Ani nie usunął wiadomości od Abby, ani nie zadzwonił do niej po powrocie do domu, ani nie napisał do niej SMS-a. Zdenerwował się jej spotkaniem z Lassiterem. Abby była spokojna, staroświecka i raczej zamknięta w sobie. Mieszkała i pracowała w Denver, ale wiedział, że jej kontakty z mężczyznami są dość ograniczone. Skrzywił się, przypominając sobie powód jej nastawienia do płci przeciwnej. Taki mężczyzna jak Lassiter, przystojny, inteligentny i prawiący komplementy, może zrobić na niej wrażenie. Tyle że on pójdzie własną drogą, a ona zostanie ze złamanym sercem. Wyobraził sobie zalaną łzami Abby, kiedy beztroski detektyw Lassiter wyjedzie z miasta.

Jego ciemne oczy zabłysły. Jeszcze nie spotkał Lassitera, a już był przekonany, że go nie polubi.

Po długim dniu pracy pojechał do domu, ale wciąż nie zadzwonił do Lassitera. Odkładał to do chwili, aż ochłonie i detektyw przestanie budzić w nim złe skojarzenia.

Gdy zastanawiał się nad kolacją, patrząc na puszki z chili i zupą, zadzwonił telefon.

Sięgnął po niego, myśląc o kolacyjnym menu.

– Banks – mruknął.

– Przyjechałem tu, żeby skraść panu dziewczynę. Zamierzam złamać jej serce i porzucić pogrążoną w rozpacz. A także pozbawię pana zastępcę nadziei, że zdobędzie dziewczynę, w której się durzy, i z rozpaczycy ucieknie na Tahiti... Czy dobrze zgaduję pańskie myśli?

– CIA posiada program, który pozwala tajnym agentom czytać w myślach – szorstko odparł Cody. – Założę się, że wie pan o tym więcej, niż mi pan kiedykolwiek wyjawi.

Z drugiej strony rozległ się śmiech.

– Ja nie czytam w myślach. Słucham, kiedy ludzie do mnie mówią. Pański zastępca mnie nie lubi. Powiedział nawet dlaczego. Ale obaj jesteście w błędzie. Kobiety mnie nie interesują. Koniec, kropka.

– Lubi pan mężczyzn? – spytał Cody.

– Lubię pi – odparł Lassiter

– Słucham?

– Pi.

– Pi jak...?

– Liczba pi, stosunek obwodu koła do długości jego średnicy. Kocham fizykę, nie znoszę kobiet.

– W takim razie – stwierdził Cody – witamy w Catelow. Gdyby zechciał pan powtórzyć to pannie Corrie, pannie Brennan i innym lokalnym damom na wydaniu, zastępca szeryfa i ja z przyjemnością zabierzemy pana na hamburgera i frytki.

– Chciałbym wpaść do pana rano. Tylko proszę uprzedzić lokalne damy na wydaniu, żeby w tym czasie unikały biura szeryfa. To naprawdę bardzo kłopotliwe, kiedy depczą mi po piętach.

– Ciekawe, jakim cudem pański ojciec zachowuje trzeźwy umysł. Słyszałem, że jest wzorem opanowania i spokoju ducha, pracując głównie z za biurka od świtu do nocy – stwierdził Cody.

– Niewiele mam po ojcu, za to moja siostra wdała się w niego i zasuwa w biurze od dziewiątej do piątej – powiedział Lassiter. – Ja bym zwariował.

– Ja też. – Cody roześmiał się. – Dlatego kocham moją pracę. – Spoważniał. – To nie jest zły pomysł, żeby jakiś czas potrzymać pana Whatleya w ustronnym miejscu.

– Nic lepszego nie przyszło mi do głowy po rozmowie z pańskim zastępcą, kiedy próbowaliśmy coś wymyślić – odparł Lassiter. – Bardzo miły człowiek, jak się zdaje. Trochę nieogarnięty, z tych, co to żyją w chmurach, ale na pewno nie jest niebezpieczny. Polubiłem też jego siostrę.

– Był pan na Florydzie? – spytał Cody.

– Nie, ale rozmawiałem z nią przez telefon. Jest wściekła z powodu aresztowania brata, a ja musiałem ją pożegnać w stanie kobiecej furii. Nie może niczego zdradzić swojemu gachowi do czasu, aż go wsadzimy za morderstwo.

– Podoba mi się pański tok myślenia.

– Niech pan to powie mojemu tacie. Naprawdę o to proszę, bo uważa mnie za ekscentryka. – Przerwał na moment. –

I pewnie ma rację...

Cody'ego zaintrygowały te słowa, ale Lassiter mówił dalej:

– Chciałbym wpaść do pana rano. Mógłby pan po mnie przysłać wóz patrolowy?

– Gdzie się pan zatrzymał? – spytał Cody.

– W motelu Trzy Pierścienie.

– To pół przecznicy stąd.

– To prawda, i chciałbym, żeby pański zastępca założył mi kajdanki, a ja narobię szumu. Wie pan, nic nie zrobiłem, jestem przejazdem, czego ode mnie chcecie? Takie rzeczy.

– Czemu pan chce, żeby zakuć pana w kajdanki? – zdumiał się Cody.

– Żeby miał powód zadzwonić do Nity Whatley i poinformować ją, że jej brat siedzi za kratkami i ja też, a chciałem tylko pomóc go stamtąd wydostać.

– Okej, teraz mam już poważny ból głowy – stwierdził Cody.

– Chcę ją skłonić do wynurzeń na temat jej gacha, a potem zasugeruję, że wiem, co zrobić, żeby jej brat zrzekł się rodzinnego majątku. Mogę powiedzieć, że pan Whatley opowiedział mi o swoich problemach psychicznych i swojej siostrze, i że nie musi się o nią martwić, bo jej chłopak się nią zaopiekuje.

– Człowieku, powinien pan pisać powieści – podsumował Cody.

– To niemożliwe. U mnie dominuje lewa półkula mózgu. Za dużo teorii i analizy, żebym został dobrym pisarzem. Ale znam kogoś takiego. To matka mojego najlepszego przyjaciela. Jest szalona, ale nadzwyczaj inteligentna. Gra w gry wideo, jeździ niebezpiecznymi kolejkami górskimi i tak szybko zasuwa jaguarem, że ustanowiła w swoim hrabstwie nowy rekord w liczbie mandatów za przekroczenie prędkości.

Cody wybuchnął śmiechem, pytając przy tym:

– Czemu ja nie spotkałem takiej kobiety?

– Wszystko przed panem, ale niech się pan pośpieszy, bo ona ma już siedemdziesiąt cztery lata. – Gdy Cody zaśmiał się jeszcze głośniej, dodał: – Słyszałem plotki o panu i asystentce adwokackiej z kancelarii Owensa, Abby Brennan. Spotkałem ją wczoraj w pańskim biurze.

Cody walczył z nowymi dla niego i dziwnymi emocjami. Nie był pewien, co na to odpowiedzieć. Gdy czekał na boską interwencję, zadzwonił telefon w jego gabinecie i recepcjonistka przekazała mu wiadomość.

– Na autostradzie doszło do wypadku. Podobno są ranni, i to poważnie.

– Okej, dzięki – odparł. – Muszę kończyć – powiedział do Lassitera.

– Nie ma sprawy, pogadamy jutro rano. Proszę nie zapomnieć. Stawiam opór podczas aresztowania, szarpie się i krzyczę. Proszę wziąć ze sobą kajdanki, dobrze?

– Dobrze – zgodził się Cody, kręcąc głową. Nie znał drugiego takiego człowieka jak Lassiter.

Abby Brennan siedziała zamyślona. Tęskniła za Codym. Wiedziała, że wrócił do miasta, ale do niej nie zadzwonił, nie napisał, w ogóle nie dał znaku życia. Czuła pustkę. Czyżby zmienił zdanie i już nie był nią zainteresowany? Nie byłaby zaskoczona. Wiedziała, jak bardzo kochał Debby. Może poczuł się winny. Czytała, że mężczyźni, którzy stracili żony, mają problem z nawiązaniem nowej relacji z inną kobietą. A ten problem polegał na tym, że wciąż czuli się żonaci.

Abby westchnęła. To byłoby jak życie z duchem zmarłej, pomyślała ze smutkiem. Żadna kobieta nigdy nie dorówna Debby z marzeń Cody’ego. Ona wciąż w nim żyła, stojąc między nim a każdą potencjalną nową damą serca.

Nie, Abby nie chciała wiązać się z Codym. Owszem, musiała przyznać, że nieźle całuje, ale małżeństwo to dużo więcej niż pocałunki.

Omam głośno nie jęknęła, uświadamiając sobie, o czym myśli. Cody z pewnością nie rozważał kolejnego małżeństwa, przecież wszyscy wiedzieli, co czuł do Debby. Po prostu ją wielbił, a kiedy zmarła, omam nie oszalał. Jak taka przeciętna kobieta jak ona mogłaby rywalizować z duchem?

Zdawało się, że przed wyjazdem Cody’ego do Denver bardzo się do siebie zbliżyli, jakby coś się między nimi zaczynało, ale teraz odnosiła wrażenie, że Cody chce się od niej zdystansować. Nawet nie zadzwonił, by powiedzieć, że jest już w domu.

Cóż, niech ją ignoruje, pomyślała zirytowana. Ten detektyw, Lassiter, był bardzo ujmujący i od razu jej się spodobał. Natychmiast znaleźli nić porozumienia. Wydawał się nią ogromnie zainteresowany.

Uśmiechnęła się pod nosem. Minęło sporo czasu, odkąd słyszała od kogoś podobne komplementy. Cody był troskliwy i czuły, lecz jednocześnie jakby nieobecny, jak gdyby był od niej daleko, i taka sytuacja mu odpowiadała. Ale Lassiter to zupełnie coś innego. Od pierwszej chwili ją czarował i otwarcie wyrażał zainteresowanie jej osobą.

Nie był stąd, a jednak najwyraźniej pragnął poznać Abby. Spodobało jej się to, co zdążyła zobaczyć. Chętnie poznałaby go bliżej. Jeżeli szeryf Banks pragnął żyć przeszłością ze swoim pięknym duchem, czemu miałyby się tym przejmować? Na świecie nie brakowało mężczyzn, a los właśnie podrzucił jej Lassitera, mężczyznę gotowego do wzięcia.

Nagle dobiegło ją znaczące chrząknięcie. Abby podniosła wzrok. Przy jej biurku stał pan Owens.

– O rety, bardzo przepraszam – wypaliła, bo było jasne, że stał tam dłużej niż minutę.

– Nie ma za co – odparł cicho. Twarz miał ściągniętą, wyglądał na swój wiek. – Abby, chciałbym cię prosić, żebyś wyszukała pewien precedens w bibliotece w sądzie. – Doprecyzował, o jaką sprawę chodzi, i zczekał, aż Abby to zapisze. Dodał też, jakie szczegóły są dla niego ważne. – Gdybyś mogła z tym do mnie wrócić jeszcze dzisiaj, byłbym ogromnie zobowiązany. Wiem, że to mało czasu.

– Płaci mi pan za to, żebym robiła wszystko na bieżąco, panie Owens – odparła z uśmiechem. – Nie ma problemu. Zaraz się tym zajmę.

– Dziękuję, Abby. – Uśmiechnął się jak ktoś bardzo znużony. – Zadzwoń do mnie, kiedy skończysz, dobrze? A jeszcze lepiej wyślij mi wiadomość. Mój bratanek zostaje u nas dwa tygodnie, a ma dziwne zwyczaje, jeśli chodzi o sen.

– Z przyjemnością to dla pana zrobię – zapewniła.

– Sprawa jest wrażliwa, więc nikomu o tym nie wspominaj – dodał. – Zwłaszcza szeryfowi.

Pomyślała, że to dziwna prośba, ale tylko się uśmiechnęła.

– Życie jest czasami potwornie skomplikowane... – Pan Owens urwał i spojrzał na Abby. – Podobno szeryf spędził noc w twoim domu? – dodał z błyskiem w oku.

Zaczerwieniła się.

– Wie pan, on stracił psa i czuł się naprawdę bardzo źle. Zabrałam go do siebie, pocieszałyśmy go razem z Lucy i Hanną. Strata ukochanego zwierzaka to poważna sprawa.

– Wiem. W zeszłym miesiącu straciłem czternastoletnią sukę, golden retrievera. – Pokręcił głową. – Przez pierwsze dni myślałem, że się z tego nie otrząsnę.

– Bardzo mi przykro. Chorowała?

– Mój bratanek ją przejechał... – Głęboko wciągnął powietrze. – Obiecałem bratu, kiedy leżał na łożu śmierci, że się nim zaopiekuję, ale to trudniejsze, niż mogłoby się wydawać.

Oczywiście nie przejechał psa celowo. Kochał Goldie tak samo jak my. Płakał, jak to się stało. Śpieszył się na jakieś spotkanie i kiedy cofał samochód, nie spojrział w lusterko. To mógł być jeden z moich wnuków. Obawiam się, że potraktowałem go dość surowo.

– Też bym tak zrobiła – odparła. – To boli, kiedy trzeba się rozstać z takim futrzanym dzieckiem. W dzieciństwie miałam psa i kiedy go straciłam, płakałam wiele dni. – Nie powiedziała nic więcej, a wyraz jej twarzy nie zachęcał do drążenia tematu.

Owens wiedział, że miała trudne dzieciństwo, wiedział o jej agresywnym ojcu. Jak wielu innych mieszkańców Catelow wiedział również, że ojciec zabił jej psa podczas kłótni. To było chore. Ówczesny szeryf zaarrestował go za okrucieństwo wobec zwierząt i postawił mu zarzuty, a dla Abby to był początek serii tragedii.

Wstała, wzięła torebkę, płaszcz, notes i pióro.

– Poszukam tych informacji, a potem sprawdzę opinie prawne w internecie.

– Jesteś skarbem, Abby – powiedział Owens. – Nieustannie jestem pod wrażeniem tego, ile informacji potrafisz wyciągnąć z najbardziej ogólnikowej sprawy.

– Mnie też to zdumiewa – odparła wesoło. – Dam znać, gdy tylko coś wynajdę.

– Raz jeszcze dziękuję.

– Nie ma za co – powiedziała. – Lubię wyzwania.

– Powinnaś skończyć studia prawnicze.

– Myślałam o tym, ale nie umiałam sobie wyobrazić, że stoję przed tak licznym gronem na sali sądowej. Trema by mnie zżarła. Najlepiej radzę sobie tam, gdzie nie muszę przemawiać. – Spoważniała. – Poza tym obrona kogoś, kto popełnił przestępstwo zagrożone karą śmierci, jest potwornie trudna. Trzeba mieć odwagę, żeby stawać w takiej sprawie, prezentować dowody w sposób zrozumiały dla sędziów, trzeba umieć rozmawiać ze świadkami i wyciągać od nich prawdę. – Pokręciła głową. – Nie nadaję się do tego.

– Nic podobnego – sprzeciwił się. – Byłabyś świetna. Musisz w siebie wierzyć, Abby.

– To całkiem inny problem, panie Owens... – Przerwała na moment. – Wyślę panu wiadomość, gdy tylko do czegoś się dokopię. Ale to może być już późna pora.

– Nie przejmuj się tym, Abby.

Była ciekawa, czego dotyczą sprawy, nad którymi pracuje pan Owens. Zajmował się prawem podatkowym, a także majątkowym. Teraz zażyczył sobie materiałów dotyczących pewnego precedensu w sprawie karnej, na mocy którego wyklucza się pewne osoby z odbywania kary, jeśli zostały skazane.

Ale to nie jej interes, powiedziała sobie. Wiedziała, że szef ma mnóstwo przyjaciół w kręgach prawniczych, więc może ktoś go poprosił, żeby dyskretnie to sprawdził.

Darzyła pana Owensa ogromną sympatią. Był dobrym szefem. W jego kancelarii czuła się jak w rodzinie. To było miłe uczucie.

Cody dotarł do domu późnym wieczorem, w głowie wciąż mu wirowało od tego wszystkiego, czego dowiedział się o podwójnym życiu Debby. Miał nadzieję, że zadzwoni do Abby i porozmawia z nią kilka minut, ale po tym, co usłyszał o niej i Lassiterze, zabrakło mu na to odwagi. Mogłaby poczuć się zażenowana, gdyby o tym wspomniał, zwłaszcza jeśli Lassiter rzeczywiście jej się spodobał.

A zatem usiadł na kanapie, w roztargnieniu szukając wzrokiem Anyu, i natychmiast zdał sobie sprawę, że już nigdy więcej jej tu nie będzie, nie podniesie na niego wzroku i nie będzie na niego patrzyła śmiejącymi się oczami. Zacisnął zęby. Musi przestać o tym myśleć, bo inaczej naprawdę zwariuje.

Zjadł jajecznicę z kiełbaską i zamierzał wcześniej położyć się do łóżka, kiedy otrzymał wezwanie. Młody mężczyzna porwał dziewczynkę, która nie skończyła jeszcze dwunastego roku życia, i chciał ją wywieźć. Jej ojciec wyszedł z domu z bronią i groził porywaczowi, a dziewczynka rozpaczliwie krzyczała, usiłując uwolnić się z uścisku. Nóż przyłożony do jej gardła powstrzymał jej krzyk i ojca, który mierzył z broni do porywacza.

Cody znalazł adres w komputerze i wysłał współpracownikom sygnał, że jest w drodze. Na miejscu był już Jeb, a także drugi zastępca szeryfa i trzech policjantów z Catelow, którzy usłyszeli, co się dzieje, i pośpieszyli z pomocą.

Cody był wdzięczny za wsparcie, obawiał się jednak, że tylu funkcjonariuszy może skłonić przestępcę do desperackiego kroku.

Zebrał ich wszystkich.

– Mamy tu kogoś, kto kiedyś już prowadził negocjacje?

Jeden z oficerów policji podniósł rękę.

– Jakiś czas pracowałem w Denver i ukończyłem kurs dla negocjatorów, ale potem to rzuciłem, za dużo pracy.

– Może pan negocjować ze sprawcą? – spytał Cody.

– Hm... Uczyłem się tego ze dwadzieścia lat temu.

Podjechał do nich samochód, a kiedy się zatrzymał, wysiadł z niego wysoki i niewiarygodnie przystojny mężczyzna. Miał na sobie T-shirt z napisem „Kot Schrödingera Żywy/Zmarły”. Idiotyczna koszulka. Dołączył do grupy stojących mężczyzn.

– J.R. Lassiter – przedstawił się. – Mamy tu zakładnika? Jestem wyszkolonym negocjatorem. Proszę pozwolić, że się tym zajmę.

Cody gotował się ze złości. Mężczyzna był przystojny. Zbyt przystojny. Już go nienawidził.

– Okej – zgodził się, bo wiedział, że Lassiter ma do tego najlepsze kwalifikacje.

– Wiecie, jak on się nazywa? – spytał Lassiter.

– Nie mam pojęcia. Hej! – zawołał Cody do mężczyzny, który trzymał dziewczynkę. – Jak się nazywasz?

– Tony! A po co ci to? – odparł agresywnie.

– A więc nazywa się Tony – powtórzył Cody. – No to do roboty.

– Z przyjemnością. – Lassiter ruszył w stronę porywacza tak wolno, jakby miał na to cały dzień.

– Hej, nie zbliżaj się. Kim jesteś? – spytał mężczyzna.

– Jestem twoim nowym najlepszym przyjacielem – odparł Lassiter. – Źle trzymasz nóż, jeśli chcesz zrobić wrażenie na stróżach prawa.

Porywacz zamrugał. Tak bardzo był zaskoczony, że nie zauważył, jak blisko podszedł Lassiter.

– Co? – mruknął rozkojarzony. – Czemu miałbym zrobić na nich wrażenie?

– Bo oni starają się zrobić wrażenie na tobie. Spójrz tylko. – Odwrócił głowę i wskazał palcem.

Porywacz, jak można było przewidzieć, też odwrócił głowę, a wtedy Lassiter chwycił go za rękę i wykręcił ją do tyłu, aż mężczyzna wypuścił z niej nóż, potem rzucił go na ziemię i usiadł na nim.

– Okej, chłopaki, jest wasz! – zawołał do Cody'ego i pozostałych funkcjonariuszy. I nawet się uśmiechał.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

– Interesujący T-shirt – zauważył Cody, kiedy więzień był już w areszcie i czekali, aż dotrze tu FBI, żeby go przewieźć do więzienia federalnego.

– Rzuca się w oczy, prawda?

– W college’u miałem kurs z fizyki – dodał Cody. – Musiałem z niego zrezygnować, bo nie zdałem testów.

– To trudny dział nauki, ale go kocham. Gdy musiałem zdecydować, czy pójść w ślady ojca, czy zostać nauczycielem, zagrałem w orła i reszkę. Uznałem, że gdybym musiał utrzymać porządek w klasie, skończyłbym w kajdankach. Nie jestem politycznie poprawny.

– Ja też – musiał przyznać Cody. – Nie ma pan kajdanek.

– Oczywiście, że nie. Pański zastępca zabrał mnie do więzienia, a ja się wykupiłem.

– To miło, że pan nam pomaga. Współczuję pani Whatley, a jeszcze bardziej jej bratu. Można powiedzieć, że cała nasza miasteczkowa społeczność go zaadoptowała. Bardzo dobrze się tu odnalazł.

– Oczywiście trzeba mnie będzie znów aresztować – dodał Lassiter. – Usłyszałem, jak jeden z zastępców mówił o impasie, i zadzwoniłem do taty, żeby wpłacił za mnie kaucję. Przez lata negocjowałem z porywaczami.

– I jest pan w tym skuteczny – rzekł szeryf z zainteresowaniem.

Lassiter zaskoczył go odpowiedzią:

– Służyłem w CIA. Tata był wściekły, gdy opuściłem nasze miasto, żeby zacząć nową karierę. Wyjechałem z kraju i pracowałem dla jednego z najgroźniejszych szaleńców na świecie, zbierając na niego obciążające dowody. Odwaliłem swój kawałek roboty jako egzekutor, pracując dla teścia innego szeryfa w Teksasie. – Zaśmiał się. – To baron narkotykowy. Sympatyczny gość. Nie popełnił żadnych błędów po swojej stronie granicy. Niedawno urodziła mu się wnuczka i nie chce ryzykować utraty przywileju wizyt.

– Sporo pan podróżuje – zauważył Cody.

– Tak, owszem, ale w końcu wróciłem do agencji, żeby ojciec całkiem nie posiwiiał. Martwili się z mamą.

– To miło wciąż mieć rodziców. Moi już dawno zmarli.

– Bardzo mi przykro. Nie wiem, co bym bez nich zrobił.

– Cóż, wsadzimy pana znów za kratki z panem Whatleyem – powiedział Cody po chwili. – Gdyby ktoś pytał, zamierzył się pan na mnie.

– To nawet wiarygodne – skomentował rozbawiony. – Dzięki. Zastanawiałem się, jak tam wrócić.

– Podoba mi się pański sposób negocjacji – szczerze powiedział Cody.

– Lepiej działa z ukrytą bronią – z uśmiechem odparł detektyw. – Ale w beznadziejnej sytuacji wystarczy taekwondo i judo. W wojsku byłem trenerem klasy mistrzowskiej.

– Gdzie pan służył?

– W korpusie piechoty morskiej. Nawet zastanawiałem się, żeby zostać w wojsku, ale to było podczas ostatniej kampanii na Bliskim Wschodzie. Widziałem tyle trupów, że wystarczy mi do końca życia.

– Witam w klubie – odparł Cody. – Stacjonowałem jakiś czas na Bliskim Wschodzie, to było więcej niż dosyć.

Horace Whatley siedział w celi na dolnej pryczy i wyglądał na zagubionego. Podniósł na Cody'ego pełen nadziei wzrok, ale gdy ujrzał Lassitera, schował twarz w dłoniach, opierając łokcie na kolanach.

– Wróciłem – powiedział radośnie Lassiter, kiedy Cody zamknął drzwi. – Jak leci, Horace?

– Myślałem, że wpłacił pan kaucję.

– Wpłacił, ale potem mnie uderzył – wyjaśnił Cody.

Whatley ciężko westchnął i spytał Cody'ego z iską nadziei:

– Czy siostra zapłaci za mnie kaucję?

– Jeszcze nie – odparł szeryf. – Proszę posłuchać, tu jest pan bezpieczny. Nikt pana nie skrzywdzi.

– Z całą pewnością – powiedział z powagą Lassiter.

Zdumiony Whatley patrzył to na Lassitera, to na szeryfa, i w końcu trochę się uspokoił. Swoje myśli zachował dla siebie, ale uznał, że to, co się dzieje, bardzo przypomina areszt prewencyjny, a mężczyzna, który stał naprzeciwko niego, nie przypominał żadnego z przestępców, jakich widział. Był zbyt elegancki i schludny, a także emanował pewnością siebie. Whatley spojrział na nich i się uśmiechnął.

Cody odpowiedział mu uśmiechem.

– Będę w pobliżu – obiecał i zostawił ich obu, żeby porozmawiali.

Abby poszła otworzyć drzwi w turbanie z ręcznika na głowie.

– Cody! – zawołała i jej twarz się rozpromieniła.

Nagle ponury świat Cody’ego także pojaśniał. Uśmiechnął się do niej.

– Cieszysz się, że mnie widzisz? – zażartował.

– Bardzo. Wchodź. Hanna zaparzy kawę, a ja tylko wysuszę włosy.

– Daj mi ten ręcznik. – Zabrał go od niej i poprowadził ją na fotel w pokoju dziennym. Potem zaczął wycierać jej włosy ręcznikiem. Miała piękne włosy, długie, gęste i bardzo miękkie. Z wielkim zaangażowaniem wycierał kosmyk po kosmyku.

Abby starała się uspokoić, co nie było łatwe, gdy Cody był tak blisko.

– Bardzo lubię twoje włosy – powiedział cicho, nadal je wycierając.

– Ale ich mycie jest kłopotliwe. Chciałam je nawet ściąć, ale przyzwyczaiałam się do tej długości i pewnie bym żałowała.

– Też bym żałował. Bardzo lubię długie włosy.

– Jak poszło w Denver? – spytała.

Na kilka sekund zamarł.

– Och, pytasz o śledztwo... – dotarło do niego.

– Tak. A było coś jeszcze?

Otworzył usta, ale w tym momencie z pralni wyszła Hanna.

– O, witam, szeryfie Banks, brakowało nam pana.

– Dzięki. A gdzie moja najmilsza dziewczyna? – Rozejrzał się. – I szczeniak?

– Śnieżka jest w pokoju gościnnym, śpi jak suseł, a Lucy poszła na przyjęcie urodzinowe.

– Może kawy i kawałek ciasta? – spytała Hanna. – Czekoladowe.

– Moje ulubione – odparł Cody, kończąc osuszać włosy Abby.

– Moje też. – Wzięła od niego ręcznik. – Dziękuję, teraz potrzebna tylko gumka.

– Co? – spytał, marszcząc czoło.

– Gumka do włosów, żeby je zebrać na czubku głowy – odparła z uśmiechem. – Zaraz wracam.

Kiedy wróciła, Cody jadł ciasto i popijał kawą.

Hanna przyniosła też kawę i ciasto dla Abby.

– Będę w sypialni na tyłach domu, gdybym była potrzebna – oznajmiła, wychodząc z pokoju.

– Dobre ciasto – powiedział Cody.

– Dziękuję – odparła Abby z niepewnym uśmiechem. – Sama je upiekłam.

– Potrafisz robić wiele rzeczy.

– Musiałam się nauczyć. A teraz opowiadaj o Denver.

Cody przełknął ostatni kęs ciasta, popił kawą i podniósł wzrok na Abby. Była piękna, piękna na swój sposób, a on uwielbiał to, jak na niego patrzyła.

– Debby miała kochanka – wypalił.

– Co?! – zawołała Abby.

– Miała kochanka. Udawali małżeństwo. – Odchylił się, patrzył gdzieś w przestrzeń. – Też jest lekarzem, tej samej specjalności. Jest żonaty i nie miał nadziei na rozwód, więc spotykali się w wynajmowanym przez nią mieszkaniu.

– Tak mi przykro – powiedziała ze współczuciem. Tak bardzo kochał Debby. To, co zrobiła, było okrutne.

– Nie chciała, żebym się o tym dowiedział. Anyu tak naprawdę miała być prezentem dla tamtego lekarza, z którym

żyła. – Zamknął oczy. – To był bardzo zły dzień. Dowiedziałem się rzeczy, których wolałbym się nigdy nie dowiedzieć.

Nie miała pojęcia, co powiedzieć. Patrzyła na niego z czułością.

– Chcesz się przytulić? – spytała cicho.

Nie odpowiedział, tylko rozłożył ręce.

Podeszła do niego, a on posadził ją sobie na kolanach, objął mocno i ukołysał w ramionach.

– Aż do tej chwili nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo tego potrzebowałem – szepnął wtulony w jej gęste, miękkie, słodko pachnące włosy. – Żyłem w świecie kłamstwa i nie miałem o tym pojęcia. Debby przyjeżdżała tu od czasu do czasu, więc uważałem, że nadal jestem dla niej ważny, ale było dokładnie odwrotnie. Zostawiła mnie, kiedy byłem chory, zbeształa mnie, kiedy cierpiałem, bo musiałem postrzelić kogoś znajomego.

– Czemu? – zastanowiła się.

– Nigdy mnie nie kochała. – Mówiąc to, czuł, że serce mu pęka. – Byłem zasłoną dymną dla jej zakazanego romansu. Skoro ona była mężatką, a on był żonaty, mogli udawać niewinnych. To wszystko było oszustwem.

– Powinna się z tobą rozwieść, nawet jeśli nie mogła poślubić tamtego – powiedziała Abby z oburzeniem.

– Byłem głupcem.

– Nie – zaprotestowała, gładząc jego ramię przez koszulę. – Byłeś tylko zakochanym mężczyzną.

Cody mocno ją przytulił, potem poluzował uścisk.

– A skoro mowa o mężczyznach, co z tym Lassiterem?

– Lassiter. – Ściągnęła brwi. – A, ten człowiek, który był w twoim biurze.

– Prawdę mówiąc, teraz siedzi w celi – powiedział. – Uderzył mnie pięścią.

– Zabawne, nie sprawił na mnie wrażenia typka, który łamie prawo. Dziwaka, i owszem. Widziałeś jego T-shirt?

– Tak, to szajbus. Wsadziłem go razem z Whatleyem.

– Dobry pomysł. Zaopiekuje się nim. Znalazłeś coś, co mogłoby pomóc jego siostrze?

– Całkiem sporo, ale kiedy się dowiedziałem tych... rewelacji o mojej zmarłej żonie, odłożyłem to na później.

– Naprawdę ogromnie mi przykro – powiedziała, patrząc w jego ciemne oczy. – Wiem, że to musi potwornie boleć.

– Bolało, teraz już mniej. Dziękuję... – Delikatnie pocałował ją w usta. – Dzięki tobie najgorsze problemy stają się mniej ważne.

Uśmiechnęła się. Pocałunek ją poruszył, ale wzięła się w garść i niczego po sobie nie pokazała.

– Cieszę się. Zawsze możesz na mnie liczyć – dodała z uśmiechem. – Zawsze chętnie cię wysłucham.

– Zauważyłem. – Postukał ją w czubek nosa.

– Co z siostrą pana Whatleya?

– To interesująca historia, ale jeszcze nie mogę się nią podzielić. Opracowuję plan, jak ją uratować.

– Nie zapytam jak ani przed kim. – Oczy jej zabłysły. – Mam przeczucie, co się dzieje, ale nie powiem ani słowa. Obiecuję.

Znów ją pocałował.

– To się staje uzależniające – szepnął z wargami przy jej wargach.

– Jak bardzo? – Objęła go za szyję.

– Bardzo...

Pocałunek stał się namiętny, z każdą chwilą głębszy, gorętszy, a oni siedzieli jakby do siebie przyklejeni w pustym, cichym pokoju.

Abby jęknęła, a Cody podniósł ją i wstał, po czym posadził ją w fotelu, kładąc jej ręce na ramionach.

– Możemy to dawkować. – Odchrząknął. – No wiesz, żeby nie przesadzić.

– Jak chcesz... – Od żaru namiętności wciąż kręciło jej się w głowie.

Spojrzał na nią i powoli uniósł kąciki ust. Podobało mu się, że wyglądała na oszołomioną i więcej niż tylko trochę zainteresowaną.

– Ale co jakiś czas powinniśmy ćwiczyć, żeby nie wyjść z wprawy.

– Tak, tak, ćwiczenie czyni mistrza. Bardzo tego chcę.

– Ja też. Ale teraz muszę wracać do pracy.

– Lucy prosiła, żebyś w sobotę przyszedł na kolację – powiedziała. – Zrobiła coś dla ciebie w szkole.

– Tak? – Jego twarz pojaśniała. – W takim razie przyjdę z wielką przyjemnością.

– Czekamy na ciebie o szóstej.

Pochylił się i potarł nosem o jej nos.

– O szóstej. I nie całuj się z innymi facetami.

– Ja? – Uniosła brwi. – Nigdy w życiu! – Chciał coś powiedzieć, ale ona jeszcze nie skończyła. – I nigdy tego nie robiłam, a ty natychmiast z tym skończ – oznajmiła stanowczo. – Nie całuj się z innymi kobietami!

– Jakimi kobietami? – spytał dociekliwie.

Abby odchrząknęła.

– Sobota.

Kiwnął głową z uśmiechem.

– Sobota.

Patrzyła, jak odjeżdżał. Od dawna nie miała tak dobrego dnia.

Horace Whatley chciał, żeby ktoś zapłacił za niego kaucję, by mógł opuścić celę. Lassiter go uspokajał.

– Niech pan posłucha – powiedział. – Jest pan jedyną osobą, która stoi na drodze nowego chłopaka pańskiej siostry, a jego celem jest przejęcie waszych pieniędzy. Jeśli udało mu się doprowadzić do tego, że wsadzili pana do więzienia, to może to uznać za swój sukces. A najbardziej by się ucieszył, gdyby pana zabił. Wtedy poślubi pana siostrę, a po jakimś czasie ona zginie w tragicznym wypadku.

– Nie! – zawołał przerażony Horace. – Na pewno jej nie skrzywdzi. To dobry człowiek.

– Zaatakował inną kobietę w Denver i omal jej nie zabił – odparł Lassiter. – Doprowadziła do tego, że został skazany. Odsiedział dwa z sześciu lat wyroku. Adwokat wyciągnął go dzięki apelacji do sądu wyższej instancji.

– Mój Boże... – Do Horace'a zaczęła docierać prawda. – Możemy ją jakoś uratować?

– Pracujemy nad tym. A teraz pan jest tu ze mną i zapewniam, że nikt pana nie tknie.

Horace popatrzył na niego z wielką powagą. I z naiwną niewinnością.

– Nawet mnie pan nie zna... – zaczął.

– Panie Whatley, wszyscy w Catelow pana znają – wpadł mu w słowo Lassiter. – Jest pan ważny dla mieszkańców tego miasta.

– J...ja? – Horace zaczerwienił się. – Przecież ich okłamałem, mówiąc, że jestem doświadczonym hodowcą bydła, wymyśliłem też historię o trupie... – Jeszcze bardziej poczerwieniał.

– Wie pan, jak to jest, nie zawsze kogoś lubimy dlatego, że jest ideałem – wyjaśnił Lassiter. – Dał pan pracę ludziom, którzy rozpaczliwie jej potrzebowali. Choćby pańskiej gospodyni, która była brutalnie traktowana przez męża. Zatrudnił pan ludzi, których tak naprawdę pan nie potrzebował, ale oni potrzebowali pracy. – Uśmiechnął się. – Zdziwiłby się pan, gdyby się pan dowiedział, kto protestował przeciwko pańskiemu aresztowaniu. Był wśród nich nawet szef policji.

– Szef policji?

– Tak, właśnie on. Powiedział, że z chęcią będzie zeznawał na pana korzyść, jego żona też tak powiedziała.

– Ale ja tylko pożyczyłem im sprzęt, kiedy ich się popsuł.

– I wysłał pan mechanika, żeby go naprawił – dodał rozbawiony Lassiter. – Byli też osieroceni chłopcy, którzy po śmierci rodziców nie mieli gdzie się podziać. Pan i Julia, czyli pana gospodyni, wzięliście ich do siebie do czasu, aż ich krewni z innego stanu przyjechali, żeby ich zabrać do ciotki, która chciała się nimi zaopiekować. – Pokręcił głową. – Jest pan już znany ze swoich dobrych uczynków, więc ludziom nie spodobało się, że został pan aresztowany. Ale na razie musi pan tu zostać, i musimy zachować w tajemnicy powód naszej decyzji.

– Czemu? – spytał Horace.

– Bo żigolak nie może powstrzymać pańskiej siostry przed wysyłaniem panu czeków. Według nas stara się znaleźć przekupnych świadków, którzy będą świadczyć przeciwko panu. Musi pan wiedzieć, że jednego już znalazł. Chce albo pana zapuszkować na dłużej, albo na zawsze się pozbyć.

– Ujmę to tak, że żadna z tych opcji mi się nie podoba – stwierdził Horace.

– Mnie i szeryfowi również, dlatego jakiś czas spędzi pan w zamknięciu. Będę tu z panem albo niedaleko razem z jednym czy dwoma naszymi agentami. Dopóki ja pana pilnuję, nikt pana nie tknie.

– Dziękuję – z głębi serca powiedział Horace.

– Nie ma sprawy. Pomaga nam pan w sprawie, która jest z tym związana.

– Ktoś jeszcze jest w takiej sytuacji jak ja?

– Niezupełnie... – Lassiter znalazł wygodniejszą pozycję na pryczy. – Jedna z kobiet, które uwiódł ten drań, miała siostrę, która traktowała go podejrzliwie i zmarła w dość tajemniczych okolicznościach. Kobieta omal nie oszalała z rozpaczy. Gość uciekł z miasta, bał się, że ona dowiedzie jego winy. Poznał pańską siostrę na Florydzie i myśli, że urządził się do końca życia.

– Nie skrzywdzi jej, prawda? – spytał Horace płaczącym tonem.

– Mało prawdopodobne, bo gdyby to zrobił, pan by po niej dziedziczył. Uważamy, że w tej chwili to pan jest jego głównym

celem, a potem...

– Tak, rozumiem. Gdybym miał wybór, wolałbym, żebym to był ja niż moja siostra – odparł Whatley. – Mogę tu siedzieć, jeżeli uważacie, że tak trzeba. – Zacisnął zęby. – Ale co z Julią? Jest na ranchu całkiem sama.

– Niezupełnie. Mamy tam swojego człowieka, który zatrudnił się jako pomocnik. Zamieszkał razem z innymi pracownikami. Pana brygadzista nie ma pojęcia, kim naprawdę on jest, bo tak lepiej. Ten człowiek dopilnuje, żeby nic złego nie stało się Julii ani pańskiemu ranchu.

– Dzięki.

– Dzień jak co dzień. – Lassiter uśmiechnął się, widząc, że Whatley wyraźnie się uspokoił. I zaczynał rozumieć, dlaczego ten młody mężczyzna został czymś w rodzaju maskotki Catelów.

Cody martwił się o siostrę Horace’a Whatleya. Lassiter przekazał mu treść rozmowy, jaką odbył z nim w celi.

– On pewnie czeka na właściwy moment, żeby się przekonać, czy Whatley zostanie postawiony w stan oskarżenia za napad na bank – powiedział Lassiter. – Jestem pewien, że Nita Whatley poinformuje go, że jej brat jest podejrzany.

– On już to wie – odparł Cody. – Jeb powiedział mi o czeku kasjerskim, który pojawił się na rachunku tak zwanego świadka, który zeznał, że widział, jak Horace Whatley napadł na bank.

– Więc w każdej chwili może pan wypuścić Whatleya z aresztu.

– Owszem, ale wtedy znów naraziłbym go na niebezpieczeństwo. Ten żigolak na pewno obserwuje, co się tu dzieje. Założę się też, że Nita Whatley przekazuje mu wszystko, co wie.

– Taka miłość to musi być piekło – stwierdził Lassiter. – Cieszę się, że jestem na to odporny.

Cody milczał. Sporo wiedział o obsesyjnej miłości, sam padł jej ofiarą.

– Więc póki co będziemy tyrać i nie zrobimy nic, żeby pomóc Whatleyowi w ucieczce z więzienia? – spytał Lassiter.

– Tak, i dzięki temu, kiedy będziemy się starali powiązać chłopaka Nity Whatley z morderstwem kobiety w Denver, Whatleyowi nic nie zagrazi – podsumował Cody.

– Mam kumpla w FBI. Jest spokrewniony z szefem policji, który podkochuje się w Nicie Whatley.

– Ona wyczuje pismo nosem, gdy ktoś z zewnątrz się w to wtrąci.

– Gdyby on faktycznie był z zewnątrz. Mój kumpel i szef policji są kuzynami pierwszego stopnia, dorastał razem z Nitą. – Czarne oczy Lassitera zabłyśły. – Zdaje się, że szef policji jest zdesperowany, żeby uratować Nitę Whatley przed tym chciwym żigolakiem.

– Mam nadzieję, że nam się uda – powiedział Cody. – Polubiłem pana Whatleya. Bardzo bym nie chciał, żeby spotkało go coś złego.

– Ani ja – odparł Lassiter. – Skontaktuję się z ojcem i sprawdzę, czy dopisało mu szczęście w poszukiwaniach dziennika siostry Violet Henry.

– To byłby istotny dowód, gdyby znalazło się w nim coś na temat Bobby’ego Granta i jego obsesji na punkcie majątku panny Henry.

– Siostra tylko próbowała ją chronić – stwierdził Lassiter. – Że też musiało jej się przytrafić coś tak strasznego. Chciałbym doczekać chwili, kiedy ten drań za to zapłaci.

– Ja też – poparł go Cody. – Tak naprawdę to nie moja sprawa, zajmuję się tylko oskarżeniami wobec pana Whatleya, ale jeśli policja z Denver znajdzie sposób, żeby zamknąć Granta do końca życia, pomogę w tym z największą radością.

– Witam w klubie.

Abby nikt nie poinformował, czemu pan Whatley wciąż przebywa w więzieniu, ale ponieważ była inteligentną kobietą, miała swoją teorię, którą nie dzieliła się z innymi.

Pod koniec tygodnia wybrały się z Lucy na lodowisko. W piątek uczniowie mieli wolne, więc Abby wyszła wcześniej z biura i pojechała z bratanicą na łyżwy.

Przypadkiem była tam również Karina Torrance, która wykonywała na lodzie nieśpieszne pętle, piruety i obroty, a jej

przybrana córka Janey obserwowała ją z zachwytem i fascynacją.

– Pewnego dnia będę taka dobra jak ty. – Janey uściskała ją gorąco.

– Tak, będziesz, kochanie – z wesołym błyskiem w oku odparła Karina Torrance. – Jeśli tylko będziesz ćwiczyć.

– O, przyszła Lucy! – zawołała Janey. – Jest nowa w naszej szkole. Ma szczeniaka i kotki.

Podjechały, żeby się przedstawić.

– Słyszałyśmy o pani – powiedziała Abby. – Mamy w Wyoming prawdziwą legendę. Jest pani jedyną złotą medalistką olimpijską, jaką poznałam. Kiedyś marzyłam o takiej karierze.

– Teraz jestem zwyczajnym szarym człowiekiem – sprostowała. – Mój syn ma dwa lata, a my kłócimy się z Janey, kto ma go karmić. – Przyciągnęła bliżej dziewczynkę.

– Ale zwykle się nim dzielimy – dodała rozbawiona Janey.

– Jak się pani podoba w Catelow? – spytała Karina.

– Och, jest wspaniale, a po Denver wyjątkowo wspaniale – odparła Abby. – Miałyśmy tam małe kiepskie mieszkanie i żadnych znajomych. A tutaj jest cudowna społeczność i znakomite szkoły. Lucy bardzo lubi swoją nauczycielkę.

– Wszyscy nauczyciele są mili – powiedziała Janey z uśmiechem.

– Tak, i mieszkamy na ranczu – pochwaliła się Lucy. – Mam małego kotka i szczeniaczka... a ciocia Abby nauczy mnie jeździć konno. – Jej entuzjazm był zaraźliwy.

– Naprawdę czujemy się tu jak w domu – stwierdziła Abby, nie wchodząc w szczegóły swojej przeszłości i nie wspominając, że wychowała się w Catelow w całkiem innych realiach. Bo to już przeszłość.

– Bardzo lubię patrzeć, jak jeździcie na łyżwach – z podziwem powiedziała Lucy. – Nigdy się nie odważę skoczyć, tylko się ślizgam – dodała z błyskiem w oku.

– Trzeba się inaczej odepchnąć – żartobliwie zganiła ją Abby i przytuliła bratanicę.

– Miło było was poznać – powiedziała trochę niepewnie Lucy, ćwicząc dobre maniery.

– Bardzo miło – wtórowała jej Abby.

– Nam też było miło. Ups, wygląda na to, że ktoś się za nami stęsknił – zażartowała Karina, wskazując wysokiego krzepkiego mężczyznę w kurtce z kożucha, dżinsach i wysokich butach, który stał w drzwiach z rękami na biodrach i patrzył na nie. – Czuje się samotny – dodała. – Lepiej już chodźmy. Skoro on tu jest, to znaczy, że Burt opiekuje się naszym synem, a on rozpuści go jak dziadowski bicz, zanim będziemy w połowie drogi do domu.

Burt, który pełnił rolę gospodyni, stał się miejscową legendą. Karina i jej mąż Micah nie mogli się go nachwalić. Nie tylko

doskonale opiekował się ich dzieckiem, lecz również świetnie gotował.

Wysoki mężczyzna w drzwiach szeroko się uśmiechnął, kiedy Karina założyła ochraniacze na łyżwy i pośpieszyła w jego stronę. Uniósł ją i całował, nie zważając na to, że nie są sami. Wkrótce wszyscy troje opuścili lodowisko, a Karina i Janey pomachały nowym znajomym na pożegnanie.

– Są super – stwierdziła Lucy.

– To prawda. – Abby westchnęła. – Nigdy nie będę tak jeździć na łyżwach, ale ja też lubię się ślizgać, tak jak ty.

Lucy się uśmiechnęła.

Abby powoli jeździła wokół lodowiska, wracając myślami do biura. Przez cały dzień pan Owens był niezwykle podenerwowany. Zatraskana Abby spytała, czy może mu jakoś pomóc.

Mocno czymś przejęty odparł, że wszystko w porządku i nie potrzebuje pomocy. Podziękował jej za troskę, ale nie przyznał się, co go dręczy. Abby przypuszczała, że ma to coś wspólnego z jego bratankiem. Kilka dni wcześniej chłopaka zatrzymano jako podejrzanego o kradzież, a pan Owens wpłacił za niego kaucję. Chłopak konsekwentnie utrzymywał, że jest niewinny, jednak Abby bardzo w to wątpiła. Chłopak patrzył rozbieganym wzrokiem, nie wzbudzał zaufania, nie wydawał się też całkiem trzeźwy, choć nie poczuła od niego alkoholu. Biedny pan Owens. Miał miłą rodzinę poza tym gburowatym i agresywnym bratankiem. Ale to nie jej interes. Pan Owens w ten czy inny

sposób sobie z tym poradzi. Przekazała mu informację, o którą prosił, a która dotyczyła pewnego precedensu. Niestety to go nie uspokoiło, a nawet wręcz przeciwnie. Zastanawiała się, jak taki prawy i szlachetny człowiek może mieć takiego zdeprawowanego bratanka. Chłopak najwyraźniej nie pracował i ciągle przychodził do kancelarii z prośbą o pożyczkę, której pan Owens zawsze mu udzielał. Ale to też nie jej interes.

Śnieżka dawała im wiele radości. Lucy ją pokochała i spędzała z suczką każdą wolną chwilę. Śnieżka odpowiadała na jej miłość i pieśczoły, wyrastając na kochającego i dobrze wychowanego psa.

W sobotni wieczór, tuż przed przyjściem Cody'ego Banksa, który miał wpaść do nich na kolację, Abby włożyła czyste niebieskie dżinsy i luźną bawełnianą bluzkę we wzory. Włosy pozostawiła rozpuszczone, opadały jej na ramiona. Makijaż ograniczyła do lekkiego muśnięcia warg szminką.

– Ładnie wyglądasz – powiedziała Lucy.

– Dziękuję, kochanie.

– Myślę, że szeryf cię lubi – dodała dziewczynka z powagą.

– Też go lubię – z uśmiechem odparła Abby.

– Ja też. Jest miły. – I dodała: – Założę się, że ciągle tęskni za swoim psem.

– Pewnie tak. Człowiekowi jest ciężko, gdy traci zwierzaka, z którym przeżył tyle lat – powiedziała Abby.

– Ale my nie stracimy Śnieżki, prawda? – spytała dziewczynka.

– Nigdy w życiu. – Abby ją przytuliła. – Będzie z nami mieszkała w domu, a kiedy zechce wyjść na dwór, jedna z nas albo któryś z naszych kowbojów jej dopilnuje. Nie będzie miała szansy uciec. Obiecuję.

– Okej, dziękuję. – Lucy wyraźnie się uspokoiła.

Cody niecierpliwie czekał na kolację ze swoimi dziewczynami. Nie wystroił się przesadnie, ale włożył porządne spodnie i modną koszulę, do tego płaszcz i kapelusz, i ruszył do wyjścia.

Niestety zanim dotarł do drzwi, zadzwonił jego telefon. Cody od razu odebrał.

– Szeryfie? – To był Bill Harris, zastępca szefa policji.

– Tak, o co chodzi, Bill?

– Mamy tu kraknę, i to poważną. Może pan przyjechać i pomóc?

Cody pomyślał o dziewczynach i kolacji, ale przecież ta sprawa na pewno nie zajmie wiele czasu. Poza tym to jego praca.

– Jasne. Gdzie to jest?

Zastępca szefa policji podał mu wskazówki i się rozłączył.

To powinno być proste, a jednak nie było. Kilka osób zostało rannych, dwie były w stanie krytycznym, co znaczyło, że Cody musiał odnaleźć ich bliskich i poinformować, co się stało. Pojawiły się pytania, które wymagały odpowiedzi. Musiał

również wezwać śledczych, żeby zrobili rekonstrukcję wypadku, ponieważ jeden z kierowców zdecydowanie ponosił za to winę i z pewnością wymagało to zaangażowania prawników i firm ubezpieczeniowych.

Kiedy Cody skończył pracę, było już ciemno. Gdy ruszył na ranczo Abby, dostał kolejny telefon w sprawie kolejnego wypadku drogowego. Życie, pomyślał Cody w drodze na miejsce kolizji, z każdym dniem robiło się cięższe.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Abby prosiła Hannę, żeby nie podawała kolacji do przyjazdu Cody'ego. Ale minęła godzina, potem druga, a on wciąż się nie zjawiał.

– Na pewno mu powiedziałaś, że to ma być sobotni wieczór? – spytała Hanna.

– Tak mi się zdaje. – Abby poczuła się przygnębiona. Rzecz jasna Cody nie miał w stosunku do nich żadnych zobowiązań, mógł robić to, na co miał ochotę. Ale jeśli coś obiecywał, zazwyczaj dotrzymywał słowa.

– Może coś mu wypadło – powiedziała Abby.

– Wtedy by do nas zadzwonił, prawda? – spytała Lucy. – To może ty do niego zadzwoń.

– Jeśli pracuje, to mogę mu przeszkodzić – odparła. – Pewnie jest zajęty i o wszystkim zapomniał. Może stało się coś poważnego – dodała, teraz już mocno zaniepokojona. A może miał wypadek? Może był ranny?

Zaczęła się zastanawiać, co powinna zrobić.

Wychodząc ze szpitala, Cody nagle sobie przypomniał, że obiecał zjeść kolację z dziewczynami. Spojrzał na zegarek

i jęknął. Była ósma. Pewnie już dawno zjadły i szykowały się do snu. Nie miał odwagi zaglądać do nich o tak późnej porze.

A jednak to przemyślał, i kiedy już postanowił wpaść do nich po drodze i przeprosić, dojrzał na drodze mrugające światła reflektorów. Zaparkował za radiowozem policji stanowej i zauważył jakąś szamotaninę.

Wyskoczył z SUV-a i pośpieszył z pomocą. Mężczyzna trzymał rękę na broni policjantki i z całych sił próbował ją przejąć. Cody chwycił go za rękę, wykręcił do tyłu i pchnął mężczyznę na maskę wozu patrolowego, sięgając po kajdanki. Policjantka, bardzo drobna blondynka, dziękowała mu wylewnie.

– Pani pierwszy transport, co? – zażartował, uśmiechając się do niej. Była bardzo ładna.

– Samodzielny tak. Było łatwiej, gdy jeździł ze mną oficer szkoleniowy. Dziękuję za pomoc.

– Nie ma sprawy. – Wsadził delikwenta na tylne siedzenie, dbając, by nie uderzył się w głowę. Pomimo kajdanek mężczyzna był agresywny, a do tego nietrzeźwy.

– Niech pani nie zgubi tych kajdanek, to pierwsza para, jaką dostałem. Może mnie pani nazwać sentymentalnym.

– Zrobię więcej, szeryfie – powiedziała, patrząc na niego zalotnie. – Za kilka minut, gdy tylko przymknę tego delikwenta w areszcie, podrzucę je do pańskiego biura.

– Dzięki – odparł z uśmiechem.

– Nie ma problemu. Jeszcze raz dziękuję. – Usiadła za kierownicą, ignorując wściekłe i wulgarne uwagi z tylnego siedzenia, pomachała Cody’emu i odjechała.

I rzeczywiście oddała Cody’emu kajdanki, wpadając do niego na krótką rozmowę. Musiała poczekać kilka minut, ale wcale się nie śpieszyła albo nie przejmowała, że nie wróci na czas do pracy. To była interesująca wizyta. Policjantka była bardzo ładna. Cody nie zwracał uwagi na kobiety, lecz z przyjemnością się przekonał, że może się nim zainteresować taka urodziwa młoda dama.

Spojrzał na zegarek. Teraz było już zdecydowanie za późno na kolację, a jednak powinien się wytłumaczyć, dlaczego się nie pojawił. A zatem mimo późnej godziny postanowił wstąpić na ranczo.

Z nieba spadały duże miękkie białe płatki. Droga do domu na ranczu wiła się jak wstążka. Śnieg przyprószył sosny wydmowe wzdłuż drogi. Dla Abby, która siedziała na ganku na tyłach domu, wyglądało to jak zimowa kraina cudów. Patrzyła na ogród otulona puchową kurtką z kapturem. Westchnęła. Zastanawiała się, czemu Cody nie przyjechał na kolację. Może po prostu stracił zainteresowanie jej osobą. Może uznał, że nie powinien za bardzo zbliżać się do jej rodziny. Miała w głowie mnóstwo pytań, na które nie znała odpowiedzi.

– Zamarzniesz tu – z troską powiedział Cody.

Abby podskoczyła. Nie słyszała podjeżdżającego SUV-a. Rozpromieniła się, zanim spróbowała choć trochę powściągnąć radość.

– Myślałyśmy, że już nie przyjedziesz.

– Niewiele brakowało – przyznał, siadając obok niej na stopniu. – Musiałem pomóc przy dwóch wypadkach samochodowych, a potem natknąłem się na policjantkę, którą chciał obezwładnić więzień, więc zatrzymałem się, żeby jej pomóc. To był długi wieczór...

– Jadłeś coś? – spytała.

– Nie było na to czasu.

Abby wstała i ujęła jego dłoń.

– Zostało mnóstwo jedzenia – powiedziała. – Idziemy, musisz coś zjeść.

– Jeśli to nie problem.

Tylko się uśmiechnęła, poprowadziła go do kuchni i wskazała na nieduży stół. Wyjęła jedzenie z lodówki, nałożyła na talerze i włożyła je do kuchenki mikrofalowej, potem naszykowała coś jeszcze.

– Mam nadzieję, że lubisz babeczki z gulaszem wołowym.

– Uwielbiam – odparł z entuzjazmem, po czym zdjął futrzaną kurtkę, powiesił na oparciu krzesła i położył kapelusz z ochronną folią. – To bardzo miło z twojej strony, zwłaszcza że o tej porze należy się raczej szykować do łóżka.

– Wyglądasz na śmiertelnie zmęczonego – zauważyła, stawiając na stole naczynia i kubek gorącej czarnej kawy.

– Bo tak się czuję. – Uśmiechnął się z zakłopotaniem. – Gdybym pojechał prosto do domu, pewnie położyłbym się bez

kolacji. Jestem zbyt zmęczony, żeby cokolwiek robić.

– Świetnie znam to uczucie.

– Jak ci się podoba nowa praca? – spytał, gdy postawiła przed nim gorący talerz i położyła papierową serwetkę.

– Bardzo. Czuję, że robię tam coś pożytecznego. W Denver byłam taką trochę dziewczyną na posyłki. Przede wszystkim zajmowałam się przekazywaniem dokumentów i wyszukiwaniem materiałów do pracy dla adwokatów. – Skrzywiła się. – To była kancelaria mojego brata. Rozumiałam, że po jego śmierci trzymają mnie tam przez sentyment, a nie dlatego, że byłam naprawdę potrzebna. Czułam się wyjątkowo niekomfortowo, a biedna Lucy nienawidziła swojej szkoły. No i dostałyśmy w spadku ranczo. – Cicho się zaśmiała. – Nigdy dotąd nie byłam taka szczęśliwa, a Lucy jest ze dwa razy szczęśliwsza ode mnie.

– Cieszę się. – Zamknął oczy, smakując gulasz. – To jest nieziemskie. Co wyście tam włożyły?

– To francuski gulasz z jeżynowym winem, cynamonem i gałką muszkatołową. – Gdy Cody szeroko otworzył oczy, roześmiała się. – Tak się to robi. Za pierwszym razem, kiedy czytałam przepis, uznałam, że jest okropny, ale to pyszne danie. Uwielbiamy je z Lucy.

– Mnie też bardzo smakowało. Najlepszy gulasz, jaki jadłem w życiu.

– Głodnemu zawsze smakuje – przekomarzała się.

– Co prawda, to prawda, ale i tak jest to najlepszy gulasz, jaki jadłem.

– Znajdziesz miejsce na deser? Upiekłam szarlotkę.

– Znajdę. Szarlotka to moje ulubione ciasto.

Wyjęła ciasto z lodówki, odwinęła je, ukroiła kawałek i schowała z powrotem do pojemnika. Postawiła przed nim talerzyk z ciastem i widelczykiem.

– Wygląda dobrze – powiedział, a gdy spróbował, zawołał: – To dopiero szarlotka!

Było jej miło, że Cody’emu smakuje jej kuchnia.

– Od dziecka lubiłam gotować – wyznała. – Dobrze się składa, bo odkąd zostałam z Lucy, muszę zwracać więcej wagi na to, żeby jedzenie było zdrowe. Ona wciąż rośnie.

– Jesteś dla niej wspaniałą matką – odparł, patrząc jej w oczy.

– Robię, co mogę. – Była uradowana tą pochwałą. – Wiem, że tęskni za rodzicami.

– Tak jak ty za bratem i bratową.

– No właśnie...

Ujął jej dłonie leżące na obrusie.

– Dziękuję za kolację – powiedział. – Jeszcze bardziej dziękuję za to, że jesteś, że mnie słuchasz, kiedy mi się wydaje, że dźwigam cały świat na barkach. Nie wiem, co bym zrobił po stracie Anyu, gdybyś do mnie nie przyszła.

Zacisnęła palce na jego palcach, czując ich ciepło i siłę, i powiedziała cicho:

– Sąsiedzi sobie pomagają.

– Tak, to prawda. – Zawahał się, jednak wstał z krzesła i oznajmił: – Jutro muszę wcześniej wstać. Spodziewamy się nowego funkcjonariusza, który będzie jeździł wozem patrolowym. Mam nadzieję, że radzi sobie za kółkiem lepiej niż jego poprzednik.

– A co zrobił poprzednik?

– Pierwszego dnia przekoziółkował na drodze. Może ten potrafi jeździć.

– Trzymam kciuki – powiedziała, patrząc na jego męską twarz. – Uważaj na siebie.

– A ty porządnie zamykaj drzwi – odparł z błyskiem w oku.

Rozległo się jakieś drapanie, a zaraz potem drzwi lekko się uchyliły i do pokoju wpadła Śnieżka. Zignorowała Abby, popędziła do Cody’ego i stanęła na tylnych łapach, domagając się pieszczot.

– Mała laleczka. – Cody wziął ją na ręce i pogłaskał. Tak bardzo przypominała mu Anyu. – Słodka dziewczynka.

– Nie trzeba pytać, kto jest jej ulubieńcem – wesoło podsumowała Abby, a gdy zerknął na nią ponad psim łebkiem, dodała z udawaną przyganą: – Pamiętaj lepiej, kto cię karmi, młoda damo.

Śnieżka zaczęła się wiercić, więc Cody ją puścił, a wtedy pomknęła do Abby i polizała ją po ręce.

– Taka mała, a jaka dyplomatka. – Abby podniosła suczkę z podłogi i przytuliła. Potem pociągnęła nosem, ściągając brwi. – Od kiedy używasz perfum Niny Ricci? – spytała po chwili.

– Policjantka nią pachniała – odparł Cody.

– Jaka policjantka? – Abby starała się nie okazać zazdrości.

Cody ucieszył się w duchu. Zgadywał, o czym pomyślała, i od razu zalało go miłe ciepło.

– Mówiłem ci, że zatrzymałem się, żeby jej pomóc z więźniem. Próbowала go wsadzić na tylne siedzenie samochodu, a on ją zaatakował.

– Rozumiem.

Cody ściągnął wargi.

– Pożyczyłem jej kajdanki, które założyłem temu draniowi – dodał, bacznie obserwując Abby. – Wpadła potem do biura, żeby je oddać.

– To miło z jej strony. – Uśmiechnęła się siłą woli i starała się zachowywać nonszalancko.

– Też tak pomyślałem. – Patrzył na Abby. – To były pierwsze kajdanki, jakie dostałem. I wciąż są najlepsze.

– Widzę, że narzędzia pracy budzą w tobie sentyment – odparła, w środku kipiąc ze złości.

– Chcesz coś wiedzieć na temat tej policjantki, prawda? – spytał żartobliwie. – Miała niewiele ponad metr pięćdziesiąt wzrostu, jasne włosy, niebieskie oczy i ciepły uśmiech. Była bardzo ładna.

Abby mierzyła go wzrokiem. Nie znajdowała słów.

Zbliżył się do niej powoli, chwycił ją w tali i przyciągnął do siebie.

– Nawet gdyby była modelką, która prezentuje kostiumy kąpielowe, i stała przede mną w przezroczystej bieliźnie, nie zrobiłaby na mnie wrażenia – oznajmił z powagą. – Abby, musisz wiedzieć, że od jakiegoś czasu nie zwracam uwagi na inne kobiety, widzę tylko ciebie.

Jej serce zabiło tak mocno, że omal nie wyskoczyło z piersi.

– Naprawdę? – spytała bez tchu.

– Naprawdę. – Pocałował ją z wielką czułością, unosząc jej rękę, żeby objęła go za szyję. Potem lekko uniósł ją z podłogi i całował nieśpiesznie, choć ledwie się kontrolował.

Raptownie oderwał od niej wargi.

– Praca – rzucił. – Wybacz. Muszę wracać. To jeden z tych wieczorów, kiedy żałuję, że nie mam dziesięciu dodatkowych zastępców tylko po to, żeby patrolowali drogi. Jeden z moich zastępców zachorował, więc jestem pod telefonem. Może między kolejnymi kraksami uda mi się zdrzemnąć.

Abby nieśmiało go pocałowała i powiedziała:

– Ubierz się ciepło i miej oczy dookoła głowy. – Spojrzała na niego z jawną troską. – Musisz być bardzo ostrożny.

Powoli uniósł kąciki ust.

– Mam dobry powód, żeby na siebie uważać – szepnął, po czym znów ją pocałował i postawił na podłodze. – Ty też, Abby, ty też.

– Brzmi miło – powiedziała ciepło.

– Co robisz jutro po południu?

– Głównie gotuję.

– A co gotujesz?

– To co lubisz – zażartowała.

– Kurczak i knedle.

– To ulubione niedzielne danie Lucy.

– Moje też. – Przyglądał się jej. – Żałuję, że nie umiem go przyrządzić.

– Ja umiem, a ty nam pomożesz je zjeść, jeśli masz ochotę.

– Okej – powiedział zadowolony. – O której?

Podawała mu godzinę.

– A jeśli zdarzy się jakiś wypadek czy będziesz miał inne pilne zajęcia, wyślij mi wiadomość, to zaczekamy na ciebie z obiadem.

– Na pewno. – Pocałował ją czule. – Dziękuję za kolację. I za towarzystwo. – Włożył kapelusz.

– I żadnych ładnych drobnych blondynek – szepnęła.

Z uśmiechem objął ją w talii, przycisnął mocno do siebie i pocałował tak namiętnie, że aż jęknęła.

– Do zobaczenia jutro – rzekł, ruszając do wyjścia. Przystanął jeszcze w drzwiach i spojrzał na nią z błyskiem w oczach. – I żadnych policjantek. Obiecuję.

Odprowadzała go wzrokiem, jej oczy przepelniała miłość. Nawet się nie przejmowała, czy to zauważył.

Cody poszedł do aresztu i zajrzał do celi Whatleya. Okazało się, że jest w kiepskiej formie psychicznej. A zaraz potem trzeba go było hospitalizować z powodu dziwnego ataku, co było zaskoczeniem, bo nigdy wcześniej mu się to nie przytrafiło i zdecydowanie nie cierpiał na epilepsję. W szpitalu przeprowadzono badania, a lekarz, który przyjmował Whatleya, był przekonany, że to nie padaczka.

– Pańskim zdaniem nie to było przyczyną ataku? – spytał Cody.

– Nie. Badamy mu jeszcze krew, ale pierwsze wyniki wskazują na to, że spożył jakąś trującą substancję.

Bobby Grant, pomyślał natychmiast Cody. Ten człowiek znalazł sposób, żeby dotrzeć do Whatleya, który siedział w dobrze strzeżonej celi. To wytrąciło Cody'ego z równowagi.

– Wie pan, co to jest?

– Jeszcze nie. Mogę powiedzieć, że to substancja, która nie jest mi znana. Wysyłamy próbkę do stanowego laboratorium

kryminalistycznego z prośbą o pilną odpowiedź. To może nam powiedzieć dużo więcej, niż wiemy w tej chwili. – Przerwał na moment. – To miły człowiek. Przeprosił nas wszystkich za kłopot.

– Cały on. Można powiedzieć, że nasze miasto go zaadoptowało.

– Czy ma wrogów? – zainteresował się lekarz.

– O tym samym pomyślałem. Tak, ma jednego wroga, nowego chłopaka siostry. On i siostra są warci miliony.

Doktor szybko myślał.

– To aż taka prosta układanka? – Doktor pokręcił głową z niedowierzaniem. – Ten facet chce poślubić jego siostrę, więc lepiej, żeby była jedyną dziedziczką majątku?

– Bingo. Będę potrzebował wszelkich możliwych dowodów, jakie możecie mi dostarczyć, że to było celowe zatrucie, a nie coś, co spożył przypadkiem. Uważamy na to, czym karmimy naszych więźniów.

– Nie wątpię.

Cody podał lekarzowi numer swojej komórki, jeszcze raz bardzo prosząc o natychmiastowe przekazanie wyników badań.

W tym samym czasie, gdy wyszedł ze szpitala, w sklepie spożywczym rozgorzała awantura. Bratanek szefa Abby, pana Owensa, dostał ataku szału, bo zabrakło mu dwóch dolarów, żeby zapłacić za zakupy.

Na widok szeryfa natychmiast się uspokoił, zmierzył wzrokiem dziewczynę za kasą i ruszył do wyjścia.

– Będę chodził głodny! – krzyknął do kasjerki, jakby to była jej wina. – Nigdy nie mam pieniędzy. Ale to się zmieni, i to bardzo szybko. – Wypadł ze sklepu, zostawiając za sobą zdumionych klientów.

– Powiedziałam mu tylko, że brakuje dwóch dolarów... – Kasjerka wybuchła płaczem.

Jeden z kolegów przytulił ją, by wypłakała się na jego ramieniu.

– Wszystko w porządku – powiedział do niej Cody. – W życiu co jakiś czas pojawiają się drobne problemy, ale zwykle życie jakoś nam to wynagradza – dodał z uśmiechem. – Z wiekiem staniesz się twardsza i nie będziesz brała wszystkiego do serca.

– Dziękuję, szeryfie Banks – powiedziała i nawet zdołała się uśmiechnąć.

– Ryzyko zawodowe. – Opuścił sklep i wsiadł do wozu patrolowego. Robiło się późno, miał nadzieję, że w końcu dotrze do domu. Kiedy o tym pomyślał, przez radio huknęła wiadomość o kolejnym wypadku i rannych.

– No cóż... – Włączył się do ruchu.

Dwa dni później rano Cody wpadł do aresztu zobaczyć się z panem Whatleyem, którego wypisano ze szpitala, ale znów trafił do celi, gdzie był trzymany pod zarzutem usiłowania napadu na bank. Ekspert na zlecenie lekarza zbadał próbki jego krwi i odkrył w niej substancję, która może wywołać atak

padaczki. Lekarz był ostrożny, jeśli chodzi o podanie jej nazwy, ale obiecał, że jeszcze tego dnia wróci do Cody'ego z informacją.

Kiedy zastępca otworzył celę, Whatley podniósł wzrok.

– Dzwoniła moja siostra – powiedział żałośnie do Cody'ego. – Zastępca przyjął od niej wiadomość, ale nie pozwolił mi z nią porozmawiać.

Cody się zirytował. Wychodząc, zamienił z zastępcą słowo.

– Jaka to była wiadomość? – spytał.

Whatley westchnął. To było smętne westchnienie człowieka, który uważa się za przegranego.

– Powiedziała, że w przyszłym tygodniu wychodzi za mąż za Bobby'ego Granta. – Siedział przygarbiony ze wzrokiem wbitym w swoje stopy.

– Na pewno nie – odparł na to Cody, a Whatley uniósł głowę i spojrzał mu w oczy. – Będziemy mieć w tej kwestii coś do powiedzenia albo czegoś nie przewidziałem – ciągnął Cody. – Detektyw, który pracuje nad pańską sprawą, był bardzo zajęty i niestety nie mogę powiedzieć panu wszystkiego. Muszę trochę podzwonić. – Uśmiechnął się. – Porozmawiamy później.

– Okej, dziękuję, szeryfie – odparł rozpogodzony Whatley.

– Ważniejsze pytanie brzmi: jak pan się czuje? – dodał Cody łagodniejszym tonem. – Wiele osób słyszało, co się stało. Martwią się o pana.

– Rety. To takie... miłe – wyjąkał Whatley.

– Jest pan członkiem rodziny Catelow – stwierdził Cody. – A my troszczymy się o siebie nawzajem.

– My z siostrą nigdy nie mieliśmy prawdziwej rodziny – odparł Whatley. – Rodzice traktowali nas chłodno, kiedy w ogóle byli z nami, ale nie widywaliśmy ich często. Byli potwornie bogaci. Woleli bardziej rozrywkowe zajęcia niż zmiana pieluchy i podanie butelki. Wychowywała nas gosposia... Gdybym miał dzieci, nigdy bym ich nie zostawił.

– Ani ja – przyznał Cody. – Czuje się pan już dobrze?

– Całkiem dobrze. Nie rozumiem, skąd miałem ten atak. W życiu mi się coś takiego nie zdarzyło... – Urwał i spojrzał na Cody'ego. – Znalazł mnie, tak?

– Obawiam się, że tak. Nie wiem tylko, w jaki sposób. Sprawdziliśmy pańskie posiłki i to, co mogłoby pochodzić spoza aresztu, ale nie znaleźliśmy nic podejrzanego.

– Dostałem normalny posiłek. Co prawda piłem dietetyczną colę. To było dwa dni temu. Strażnik był tak dobry i mi ją przyniósł.

– Była zamknięta? – spytał Cody.

– Prosiłem, żeby ją otworzył – przyznał Whatley. – Ręce mam tak słabe, że nawet tego nie mogłem sam zrobić. Cierpię na artretyzm.

W głowie Cody'ego odezwał się głośny dzwonek, ale tylko kiwnął głową i życzył Whatleyowi dobrego dnia.

Cody zamienił słowo ze strażnikiem, choć nie wyglądało to tak, jak zaplanował.

– Jeśli siostra znów zadzwoni z wiadomością, proszę dać mi znać. Proszę mu nawet nie wspominać, że dzwoniła. Rozumie pan?

Strażnik wybałuszał oczy.

– Jakaś grubsza sprawa?

– Mniej więcej. – Cody spojrział na niego czujnie. – Powiedział, że dwa dni temu przyniósł mu pan colę.

– Tak, musiałem nawet biedakowi otworzyć puszkę. To taki słabeusz.

– Wszyscy to zauważyliśmy. Miło z pańskiej strony, że przyniósł mu pan colę.

– Zna mnie pan, szeryfie, zawsze staram się pomóc. – Uśmiechnął się.

Cody odpowiedział uśmiechem. Nie znał tego człowieka, ale był gotów się założyć, że Lassiter w ciągu pięciu minut znajdzie jego dossier.

Kiedy wrócił do swojego pokoju, zastał tam Lassitera, który siedział naprzeciwko biurka z kubkiem kawy w ręce.

– Mam nadzieję, że przynosi pan dobre wieści. – Cody zatrzymał się, żeby nalać sobie mocnej czarnej kawy.

– Bardzo dobre – odparł zadowolony z siebie Lassiter. – Znalezliśmy zaginiony pamiętnik. To, co tam jest napisane, wystarczy, żeby powiesić Granta. Mamy nazwiska, daty,

oskarżenia. Wszystko to można zweryfikować i stwierdzić, że to Grant stoi za paskudnymi groźbami, a w rezultacie jest winny śmierci ofiary. – Potrząsnął głową. – Jej biedna siostra Violet uśmiechała się, kiedy ją opuszczałem. – Sięgnął do kieszeni kurtki, wyjął z niej nieduży zeszyt schowany w małej foliowej torebce z izolacją termiczną i podał go Cody'emu. – Proszę spojrzeć. – Usiadł z powrotem i wypił łyk kawy.

Cody przejrzał cały pamiętnik i pokręcił głową.

– Okazała się niezłym detektywem. Jaka szkoda, że nie było nikogo, kto by ją pomścił.

– Aż do tej pory – zauważył Lassiter z chłodnym uśmiechem. – Potrzebuję kilku dni, żeby to zakończyć i doprowadzić do aresztowania Granta.

– W przyszłym tygodniu żeni się z siostrą pana Whatleya – wycedził Cody przez zęby.

– Okej. – Lassiter dopił kawę i wstał. – Zrobię to w dwa dni, jeśli zadzwonię do ojca i poproszę go o pomoc.

– Pański ojciec jest nadzwyczajnym człowiekiem – stwierdził Cody.

– To prawda, podobnie moja matka. I moja młodsza siostra – dodał z westchnieniem. – Zajmuje się poszukiwaniem zaginionych dłużników.

– To coś, czemu nigdy nie mógłbym się poświęcić – stwierdził Cody.

– Ani ja – przyznał Lassiter. – Wolę być bliżej ludzi.

– Marzę o bliskim spotkaniu z Grantem – mruknął Cody.

– Tak samo jak policja w Denver. Niech pan się nie przejmuj, mamy dowody jego winy i dostarczymy je komu trzeba. Jego dobra passa dobiega końca. – Spojrzał na Cody'ego. – Tylko niech pan na razie nikomu nie piśnie ani słówka. Nie chcemy, żeby nam zwiął.

Cody przypomniał sobie strażnika z aresztu i jego słowa.

– Dopilnuję, żebyśmy byli przygotowani na każdą ewentualność – obiecał. – Co mi przypomniało o moim strażniku. – Powiedział Lassiterowi o mężczyźnie, którego niedawno zatrudnił, a o którym nic nie wiedział. Wspomniał także o niespodziewanym ataku padaczki i trującej substancji, na temat której miał dopiero otrzymać dokładne informacje.

– Zajmę się tym – zapewnił Lassiter.

Cody mu wierzył. Teraz, gdy Abby jasno określiła swoje uczucia, nie obawiał się, że Lassiter skradnie mu dziewczynę. Jeb, pomyślał, uśmiechając się lekko, może nie mieć tyle szczęścia.

Natychmiast po wyjściu Lassitera Cody ruszył z powrotem do aresztu, znalazł strażnika i wziął go na bok.

– Proszę pamiętać, co mówiłem. Jeśli zadzwoni Nita Whatley, proszę jej powiedzieć, że brat nie może rozmawiać, przyjąć od niej wiadomość i zadzwonić do mnie. I proszę to zachować dla siebie. Do czasu, kiedy osobiście odwołam ten zakaz.

– A potem? – z nadzieją spytał strażnik.

– Potem będzie pan miał pikantną plotkę do rozpowszechniania – obiecał z uśmiechem Cody. – I może zostanie pan wysłany na patrol.

– Naprawdę? – Wyraźnie się ucieszył.

– Naprawdę. Wiem, że praca strażnika w areszcie jest nudna. Mamy zastępcę, który zbliża się do wieku emerytalnego. Jeździł wozem patrolowym, ale już prosił o inny przydział.

– Jeszcze nawet nie ma Bożego Narodzenia – stwierdził strażnik, starając się zachować powagę. – Nie słyszałem ani słowa z tego, co pan mówił, szeryfie. Nigdy wcześniej pana nie widziałem – dodał z powagą, kładąc rękę na piersi.

Wychodząc z aresztu, Cody wybuchnął śmiechem, ale gdy tylko wsiadł do wozu patrolowego, spoważniał. Powinien zachowywać się tak jak zwykle, traktować strażnika jakby nigdy nic. Lassiter prowadził małe śledztwo. Niedługo mogą dowiedzieć się na temat przyjacielskiego strażnika nawet więcej, niż mogliby się spodziewać. Dużo więcej.

Następnej niedzieli Hanna i Abby przyrządziły kurczaka i knedle. Cody zrobił sobie wolne popołudnie i leżał na dywanie w salonie z Lucy i Śnieżką, z radością obserwując psoty małego psa.

– Czy ona nie jest najpiękniejszym psem na świecie? – retorycznie spytała Lucy. – W domu, gdzie wcześniej mieszkaliśmy, nie wolno było trzymać zwierzątka – powiedziała ze smutkiem. – Mamusia chciała mieć kota, ale przepisy na to nie pozwalały. – Jeszcze bardziej posmutniała. –

Szeryfie Banks, myśli pan, że mamusia i tatuś są w niebie? – spytała cicho.

– Oczywiście. – Uśmiechnął się łagodnie. – Twoja ciocia mówi, że byli wspaniałymi ludźmi.

– To prawda. – Twarz Lucy pojaśniała. – Pamiętam ich... ale to było tak dawno.

– Ciocia na pewno ma zdjęcia twoich rodziców.

– Ale one ją zasmucają, więc nie pytałam, czy mogę je zobaczyć.

– Popracujemy nad tym – obiecał Cody. – Nie przejmuj się tym, dobrze?

– Dobrze. – Uściskała go. – Cieszę się, że pan nas odwiedził.

– Też się cieszę. – Oddał jej uścisk. – Poza kuzynami nie mam już żadnej rodziny.

– My też nie mamy już nikogo – stwierdziła Lucy. – Tylko siebie. I pana – dodała z nieśmiałym uśmiechem.

Na te słowa serce zabiło mu mocniej i natychmiast poprawił mu się nastrój.

– Dziękuję. – Gdy spojrzała na niego pytająco, wyjaśnił: – Miło mieć rodzinę.

– Och. – Uśmiechnęła się.

– Co z tą rodziną? – spytała Abby, stając w drzwiach ze ścierką w ręce.

– Powiedziałam, że szeryf Banks jest naszą rodziną – wyjaśniła Lucy. – Bo jest, prawda, ciociu?

Speszona Abby spojrzała na Cody'ego, ale też się uśmiechnęła.

– Tak, jest – odparła bardzo cicho.

Cody'emu serce rosło. Czuł się po prostu fantastycznie.

– A do tego wszystkiego jeszcze kurczak i knedle – powiedział. – Ile radości jest w stanie wytrzymać człowiek, żeby nie wybuchnąć?

– Sprawdźmy to. – Abby podeszła do niego i wzięła w objęcia.

Tez ją wyściskał.

– Ostrożnie, bo naprawdę eksploduję. Farba na ścianach może tego nie wytrzymać.

Abby roześmiała się.

Podczas kolacji było głośno. Abby opowiadała im o sprawie sprzed kilku lat, kiedy uczyła się w Denver, żeby zostać asystentką adwokacką. Pewien mężczyzna zdradzał żonę, a ona go potrąciła, cofając samochód. Jak twierdziła, zrobiła to przypadkiem. Trzy razy.

– Przekładem? Trzy razy? – powtórzył Cody. – A niech ją...

– Tak przysięgała – powiedziała rozbawiona Abby. – My reprezentowaliśmy nieszczęsnego męża.

– Kto wygrał? – spytał, podczas gdy Hanna i Lucy napawały się tą opowieścią.

– Oczywiście, że on, ale to jeszcze nie koniec tej historii. Jego kochanka myślała, że on wciąż sypia z żoną, więc go przejechała swoim samochodem, ale zrobiła to tylko raz i nikt nie mógł udowodnić, że to nie był wypadek, ponieważ wówczas była gęsta mgła i nie brakowało kraks. Na jego pogrzebie dosłownie ryczała. Naszym zdaniem wpadła w histerię dlatego, że cały majątek zmarłego zgodnie z testamentem otrzymała żona. Miliony dolarów, kilka domów, rolls-royce, dwa jaguary i ogromny pies bernardyn.

– Och, co za ironia losu – zaśmiał się Cody.

– Co się stało z kochanką? – chciała wiedzieć Hanna.

– Los nadal nie był dla niej łaskawy – skomentowała Abby między dwoma kęsami kurczaka. – Związała się z kolejnym żonatym mężczyzną, ale tym razem żona nie mściła się na mężu, tylko na kochance. Doprowadziła do tego, że ją aresztowano za kradzież samochodu. – Wszyscy przestali jeść i spojrzeli na Abby, bo pojawił się niespodziewany wątek. – Mąż podarował kochance mercedesa, ale kiedy żona go o to oskarżyła, zaprzeczył. Ponieważ jednak jego nazwisko wciąż figurowało w dokumentach wozu, żona zgłosiła sprawę na policję. Kochanka miała dobrego adwokata, opłacanego przez tego mężczyznę, dzięki niemu wyszła z tego obronną ręką. Wtedy żona złożyła papiery o rozwód. Kochanka natychmiast porzuciła jej męża, bo prawdziwe pieniądze w tej rodzinie należały do żony, ogromny majątek zawierający ziemię, akcje,

obligacje. I tak nieuczciwy mąż został z niczym. Na co zresztą zasługiwał.

Słyszając jej oburzenie, Cody lekko się uśmiechnął, a jednak wyraz jego twarzy był nieprzenikniony. Myślał o Debby i jej romansie z żonatym mężczyzną. Jej kochanek też wszystko stracił.

Hanna sprzątnęła naczynia, a Lucy wyszła z psem na spacer, zostawiając Abby i Cody'ego przy stole.

– Przepraszam. – Abby położyła dłoń na jego dużej dłoni. – Przywołałam złe wspomnienia?

Przytaknął skinieniem głowy i obrócił rękę, chwytając jej palce.

– Myślałem o żonatym kochanku Debby. – Odetchnął głęboko i spojrzał jej w oczy. – Współczułem mu. Wyobrażasz sobie? Oszukiwali mnie, robili to przez lata, a ja mu współczułem. On ją naprawdę kochał. Myślę, że ona też go kochała przynajmniej na tyle, na ile była w ogóle zdolna do prawdziwej miłości. – Popatrzył na nią z uwagą. – Nie była taka jak ty. We wszystkim widziała jakiś interes, dosłownie w każdej sprawie. Jedyne, co się dla niej liczyło, to bogactwo i prestiż. Tak naprawdę nie obchodziło jej, co musi poświęcić, żeby to zdobyć. Kiedyś mi powiedziała, że gdybym się nie pojawił w chwili jej słabości, nigdy by za mnie nie wyszła. Zrobiła to pod wpływem impulsu. Teraz to wiem, ale wiele lat za późno. Chciała mieć pewność, że ona i ten lekarz nie będą podejrzewani o romans. – Splótł palce z palcami Abby i spuścił wzrok na jej dłoń. Była drobna, paznokcie miała pomalowane bezbarwnym lakierem. To była

szlachetna dłoń. – Nigdy jej nie zdradziłem – dodał gorzko. – A miałem kilka okazji.

– Nigdy?

Przechylił głowę, jego ciemne oczy zabłyśły.

– Nigdy. To znaczy, że przez dwa lata małżeństwa prawie nie uprawiałem seksu. – Na widok jej szkarłatnych rumieńców dodał: – Abby, żeby być z tobą całkiem szczery, to nadal nie uprawiam seksu, od sześciu lat.

– Nadal? – Oddech uwiązł jej głęboko w gardle.

Kiwnął głową, zmysłowo gładząc palcami jej dłoń.

– I nie zamierzam tego zmieniać.

– Och. – Nagle wyglądała na zawiedzioną.

Popatrzył znów na jej rękę.

– Oczywiście, można mnie przekonywać, żebym zmienił zdanie – powiedział, nie podnosząc wzroku. – Dla zdeterminowanej kobiety mężczyzna jest łatwą zdobyczą. Takiej jak te dwie ładne dziewczyny, które ostatnio zaglądały do biura – dodał, szelmowsko spoglądając jej w oczy. – I ta drobna ładna policjantka.

– Och, ty! – Pacnęła go wolną ręką.

– To atak na funkcjonariusza, który dba o zachowanie porządku – zaczął.

– Och, z radością bym cię zaatakowała. – Samo wspomnienie o tych kobietach obudziło w niej zaborczość i sprawiło, że była

wściekła z zazdrości.

– Naprawdę? – Podniósł się i przyciągnął ją do siebie, a potem szeroko rozłożył ramiona i zamknął oczy. – Do dzieła – zaprosił. – Marzę o tym, żebyś napadła na mnie.

Abby stała z otwartymi ustami, a w drzwiach zatrzymały się Hanna i Lucy, patrząc na nich jak urzeczone.

Ciszę przerwał temat muzyczny z nowego filmu akcji. Cody otworzył oczy, opuścił ręce, a kiedy zerknął na swoją widownię, lekko się zaczerwienił. Potem sięgnął do etui na komórkę przy pasku od spodni.

– Banks – rzucił do telefonu.

– Lassiter – padła odpowiedź. – Mam dla pana wieści.

– Gdzie pan jest?

– Siedzę w pańskim biurze i piję jedną z najpaskudniejszych kaw, jakie piłem w swoim życiu.

– Zastępca Jones. – Cody westchnął. – Zajmę się tym, jak tam dotrę. Za dziesięć minut. – Rozłączył się.

– Muszę się spotkać z pewnym człowiekiem – powiedział do obu pań i do Lucy.

Abby wyrzuciła do góry ręce.

– A ja myślałam, że się do mnie przywiązałeś.

– Przywiązuję się do ciebie. – Pocałował ją przy świadkach, po czym wziął marynarkę i kurtkę. – Nie wsiadaj do samochodu, dopóki śnieg nie przestanie padać. Nie wypuszczaj

Lucy dalej niż na podwórko. Nie bierz cukierków od obcych i nie całuj się z obcymi mężczyznami – rzucił wesoło.

Abby na niego spojrzała szczerze uszczęśliwiona.

– Okej, to samo dotyczy ciebie – odparła. – Zwłaszcza jeśli chodzi o obcych mężczyzn. Żadnego całowania.

– To Lassiter.

– O rety. – Głośno westchnęła. – On jest naprawdę przystojny, co?

– Absolutnie zakazany. – Zmierzył ją wzrokiem.

– Najwyraźniej nie dla ciebie – rzuciła oskarżycielsko.

Cody uśmiechnął się i wyszedł.

Hanna i Lucy z wielkim zainteresowaniem przyglądały się Abby, która załapała się rumieńcem.

– No co? Lassiter jest bardzo atrakcyjnym mężczyzną – powtórzyła.

– Tak jak pewien szeryf, który wydaje się bardzo do ciebie przywiązany – stwierdziła Hanna z uśmiechem.

– Lubię szeryfa Banksa. – Lucy uściskała ciotkę. – Bardzo bym chciała, żeby był moim wujkiem. – Podniosła wzrok na Abby. – To jak, ciociu? Ten teges?

– Możesz mu się oświadczyć, jak wróci – powiedziała do Abby Hanna. – Gdzieś tu musi być stara zawleczka od puszki coli, możesz jej użyć jako pierścionka zaręczynowego. –

Zmarszczyła czoło. – Twój kuzyn Butler palił cygara. Założę się, że jest tu gdzieś opaska od cygara.

– Nie zamierzam się zaręczać – rzekła stanowczo Abby.

– Dopóki mu się nie oświadczysz – odparła Hanna z uśmiechem. – Dam głowę, że by się zgodził.

– Ja też dam głowę, że się zgodzi – wtrąciła Lucy. – Możesz mu znów ugotować kurczaka i knedle, i upiec szarlotkę, którą lubi, i oświadczyć się przy szarlotce.

Abby po raz kolejny wyrzuciła do góry ręce i poszła do kuchni pomóc w zmywaniu.

Kiedy Cody wszedł do gabinetu, Lassiter siedział w fotelu dla gości naprzeciwko biurka, opierając o nie stopy w wysokich butach.

– Zaparzyłem świeżą kawę – oznajmił, wskazując dzbanek. – Powiedziałem pańskiemu zastępcy, co zrobię, jeśli jeszcze kiedykolwiek go dotknie.

Cody parsknął śmiechem.

– Mam nadzieję, że parzy pan dobrą kawę.

– Owszem. – Uśmiechnął się. – Mam absolutnie świetne wiadomości.

– Więc proszę mówić – zachęcił Cody, nalewając sobie kawę, potem zdjął kapelusz i kurtkę i usiadł za biurkiem.

– Szef policji w miasteczku, gdzie mieszka Nita Whatley, jest w drodze do Granta z nakazem aresztowania.

– Jak Grant zobaczy, że ktoś się zbliża... – wtrącił Cody zafrasowany.

– Wczesnie rano, kiedy Grant jeszcze spokojnie spał, do panny Whatley zadzwonił szef policji. Poinformował ją o wszystkich przestępstwach tego drania, uspokoił ją i poinstruował, co ma dalej robić. Tak więc Grant śpi jak suseł dzięki dwóm pigułkom, które panna Whatley zmieliła i wsypała mu do kawy, a szef policji wziął ze sobą dwóch reporterów z gazety.

– Och, co za radosny dzień! – ucieszył się Cody. – Gdyby to była komedia muzyczna, wstałbym i zaśpiewał.

– Słyszałem, jak pan nucił. – Lassiter zmierzył go spojrzeniem. – Proszę tego nie robić.

Cody popatrzył na niego nieprzyjaźnie.

– Wiem, ludzie mówią, że nie mam słuchu muzycznego. To wszystko kłamstwa, mam nawet doskonałą tonację głosu.

– Ja też, więc jeśli zacznie pan śpiewać, pokażę panu, jak doskonale potrafię ustawić ton głosu.

– Niech pan nawet nie próbuje, bo zadzwonię do Abby i poproszę, żeby przybiegła mi na ratunek – odparł Cody wielce rad z siebie.

– I znów to samo – podsumował Lassiter. – Historia mojego życia. Znów się spóźniłem. Ach, cóż, kocham moją pracę. Przypuszczam, że żadna kobieta, która chciałaby mnie poślubić, nie zaakceptowałaby tego, czym zwykle się zajmuję.

– Co to takiego? – spytał z zaciekawionym Cody.

– Pomagam tacie ścigać osoby, które wyszły z więzienia za poręczeniem i nie pojawiły się na rozprawie. Takie, co to zwykle mają broń i strzelają – dodał z błyskiem w oku. – Tata był kiedyś Strażnikiem Teksasu, zanim przestępca tak go postrzelił, że omal nie pozbawił go zdolności do pracy. Moja mama była kuzynką taty, ale ich rodzice zmarli, zanim mogli się pobrać. Tata długi czas opiekował się mamą, aż w końcu uległ uczuciu. – Pokręcił głową. – Patrząc na nich, można by pomyśleć, że są nowożeńcami.

– W tych czasach rzadko się słyszy o dobrych małżeństwach – stwierdził cicho Cody. – Ja pochodzę z rozbitego domu, podobnie Abby.

– Ja nie – z uśmiechem powiedział Lassiter. – Mieliśmy z siostrą najlepsze dzieciństwo, jakie można sobie wyobrazić. Fantastycznych rodziców. Czasem się z tatą kłócimy, ale tylko dlatego, że on się o mnie martwi.

– To musi być świetne uczucie mieć syna – zauważył Cody i ta myśl zapaliła światełko w jego głowie. Mógłby mieć dziecko z Abby...

Kiedy zaczął zastanawiać się nad imieniem, zadzwonił telefon.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

– Banks – powiedział do telefonu.

Po drugiej stronie najpierw ktoś westchnął, dopiero potem zaczął mówić:

– Szeryfie, mówi Nita Whatley. Pomyślałam, że chciałby pan wiedzieć, że szef policji w Lake Luna, Dan Brady, właśnie przyjechał po Bobby’ego Granta i wiezie go do więzienia. – Jej głos był pełen złości. – Mam numer telefonu pani Violet Henry i zamierzam do niej zadzwonić i porozmawiać z nią. Bardzo mi przykro z powodu jej siostry Candy. Została oszukana przez tego mordercę, któremu zależało tylko na pieniądzach. Można powiedzieć, że obie mamy szczęście, bo jeszcze żyjemy. – Zrobiła pauzę. – Szeryfie, co z Horace’em? – dodała szybko. – Aha, Bobby powiedział mi coś zupełnie bez sensu. Że Horace nie będzie się już wtrącał w moje życie, a on się wszystkim zajmie. Mam wielką nadzieję, że to nie była groźba.

– Nie dopuścilibyśmy do tego – odparł Cody. – Proszę się nie martwić. Pani brat jest w bardzo dobrych rękach. Dbamy o jego bezpieczeństwo.

– Ale wciąż trzymacie go w więzieniu – stwierdziła z ciężkim westchnieniem. – Wiem o tym, bo próbowałam do niego

dzwonić i pański zastępca powiedział, że nie mogę z nim rozmawiać.

– Na moje polecenie – wyjaśnił Cody. – Mieliśmy plany związane z Grantem i nie chcieliśmy ryzykować, że strażnik z aresztu powie pani coś, czego nie powinien mówić.

– Aha, żeby Bobby nie podsłuchał. Rozumiem.

Cody zawahał się, ale nie miał tak naprawdę dobrego powodu, żeby to przed nią ukrywać. W końcu była siostrą pana Whatleya.

– Jest coś jeszcze. Kilka dni temu pani brat został zabrany do szpitala, bo miał atak padaczki – powiedział spokojnie.

– Atak padaczki! – zawołała. – On nie jest epileptykiem. Nikt w naszej rodzinie nie chorował na epilepsję.

– Wiemy o tym. Przeprowadziliśmy badanie krwi na obecność środków odurzających. W napoju, który dostał przed snem, znaleziono egzotyczną trującą substancję.

– Wszystko z nim dobrze? Wyjdzie z tego?

– Dwa razy tak. Zareagowaliśmy we właściwym momencie. Śledczy pracuje nad tą sprawą.

– Czemu od razu nikt do mnie nie zadzwonił? – spytała.

– Po pierwsze dlatego, że byłem po uszy zajęty kraksami, ale chciałem też poznać powód ataku. Nie było sensu pani denerwować. Pan Whatley czuł się dobrze, nic mu nie groziło. Mimo to przepraszam – dodał, krzywiąc się. – To było niedopatrzenie z mojej strony.

– W porządku – odparła. – Powoli przywykam do szokujących informacji, już na mnie tak nie działają. Jest pan pewien, że Horace czuje się dobrze?

– Całkowicie pewien. – Westchnął. – Myślałem, że mój areszt to dla niego najbezpieczniejsze miejsce. Nie powiem pani nawet, jaki byłem poruszony i jak było mi przykro, że coś takiego zdarzyło się, kiedy byłem na służbie.

– Kto go znalazł?

– Ja, gdy tylko dostałem telefon, na szczęście w samą porę, jak powiedział lekarz. – Zawahał się. – Panno Whatley, wie pani może, czy pani chłopak miał jakieś kontakty, które dawałyby mu dostęp do egzotycznych trucizn czy substancji?

Przez chwilę milczała, wreszcie wyjawiała:

– Tak, raz czy dwa był u nas z pewną blondynką. Mówił, że mieszka z wujem w Ameryce Południowej. Tak naprawdę tylko ją widziałam, czekał na nią w drzwiach i rozmawiali na zewnątrz.

– Wie pani, czy ostatnio się z nią spotykał?

– Tak, kilka dni temu. Rozmawiali o podróży, jaką zamierzała odbyć. Nie mam zwyczaju podsłuchiwać. – Zawahała się. – Nieprawda, podsłuchiwałam. Była bardzo ładna. Ale Bobby powiedział, że to tylko kuzynka i nie patrzy na nią jak na kobietę.

– To wszystko, co pani o niej wie? – naciskał.

– Tak, przykro mi, że nie zwróciłam baczniejszej uwagi. Na wiele rzeczy – dodała z westchnieniem. – Szczerze mówiąc, czuję się, jakbym żyła w jakiejś bańce. Zaślepienie to fatalna sprawa.

– Rzeczywiście. Ale pani brat ma się dobrze, a ja podwoiłem straż. Proszę mi wierzyć, nikt się już do niego nie dostanie.

– Wierzę panu. Proszę mu przekazać, że go kocham i przepraszam, że byłam dla niego taka niedobra.

– Przekażę, ale to niekonieczne. On nie chowa urazy.

– Tak, to najlepszy człowiek, jakiego znam. Bobby namówił mnie do okropnych rzeczy, między innymi do wstrzymania czeków, które przekazywałam bratu. Teraz wychodzą regularnie, więc już nie będzie miał problemów z pieniędzmi.

– Na pewno się ucieszy.

– Chciałabym zobaczyć, jak wsadzają Bobby'ego do więzienia za to, co zrobił siostrze tej kobiety w Kolorado – powiedziała. – I bardzo chcę z nią porozmawiać. Łączą nas straszne doświadczenia.

– Wiem, ale byłoby dobrze, gdyby się pani wstrzymała z telefonem do Violet do czasu, gdy Grant znajdzie się za kratkami.

– Chyba nie wyjdzie za kaucją? – spytała przerażona.

– Wasz szef policji postara się, żeby kaucja była na tyle wysoka, by Grant tak łatwo jej nie uciułał.

– Dałam mu pierścionek z brylantem – przyznała Nita Whatley. – Zanim się o tym wszystkim dowiedziałam. Może go sprzedać za tysiące dolarów.

– To nie wystarczy – zapewnił Cody. – Mówimy co najmniej o milionie. On jest oskarżony morderstwo.

– Mój Boże. Będą go musieli przewieźć do Kolorado, żeby tam stanął przed sądem, prawda? A jeśli ucieknie?

– Sam go zawiozę – uspokoił ją Cody i zerknął na Lassitera, który kręcił głową. – Prawdę mówiąc, zrobią to federalni – poprawił się, gdy Lassiter mu to szepnął.

– W takim razie raczej nie zdoła uciec – stwierdziła z wyraźną ulgą. – Byłam taka głupia – dodała. – Chyba straciłam rozum.

– Pewnie większość zakochanych uważa, że zwariowało.

Nita zaśmiała się cicho.

– Zapewne.

– Nie wiem, czy pani wie, ale szef waszej policji jest panią zauroczony – powiedział Cody pogodnym głosem.

– Dan? – Wstrzymała oddech. – Naprawdę? On nie może znieść mojego widoku. Nie przychodził na imprezy, które organizowałam, chociaż go zapraszałam.

– Zapraszała go pani w czasie, kiedy nie było u pani Granta? – spytał rozbawiony.

– Cóż, prawdę mówiąc, nie.

– Może go pani zaprosić na kawę – podsunął Cody. – Żeby przedyskutować sprawę, rozumie pani?

– Tak. Oczywiście, to zawsze mogę. Tylko po to, żeby porozmawiać o sprawie. – Zakasłała. – Myśli pan, że przyjdzie?

– Tak właśnie myślę – zapewnił ją. – Proszę do niego zadzwonić, przekona się pani.

Zaśmiała się cicho.

– Właśnie mi się przypomniała piosenka śpiewana przez moją matkę. *Szukając miłości, popełniamy błędy.*

– Pani jedyny błąd jedzie do Denver, gdzie stanie przed sądem. Bardzo prawdopodobne, że zostanie pani wezwana na świadka.

– Nie ma problemu, zrobię to z przyjemnością. Nie mogę uwierzyć, że byłam aż tak naiwna.

– Niektórzy czują się samotni, a inni czasami to wykorzystują. Przykro mi, że tak się pani ułożyło. Pani Henry jest bardzo do pani podobna. To wyjątkowo miła kobieta.

– Cóż, dziękuję panu...

– Nie ma za co. Mogę panią zapewnić, że pani brat jest w doskonałym zdrowiu i gdy tylko się upewnimy, że nic mu nie grozi, natychmiast wróci do domu. A przy okazji, powinna pani zobaczyć jego ranczo – dodał. – Ma dość rewolucyjne pomysły związane z hodowlą bydła, ale okazuje się, że osiąga lepsze wyniki, niż ktokolwiek mógłby się spodziewać. Powinna pani przyjechać i to zobaczyć.

– Tak, oczywiście przyjadę. Bardzo chciałabym poznać i pana, i tego superdetektywa, który pracował nad tą sprawą. Pan Lassiter, tak? Na stronie jego ojca jest jego zdjęcie. Bardzo seksowny mężczyzna. Szkoda, że nie jest starszy...

Cody roześmiał się.

– Takie jest życie. Będę w kontakcie. Jestem pewien, że Dan Brady też będzie z panią w kontakcie, i proszę nie zapomnieć o kawie.

– Nie zapomnę. Dziękuję, szeryfie Banks.

– To moja praca. Proszę na siebie uważać. I raz jeszcze przepraszam, że nie zadzwoniłem z informacją o bracie.

– Nic mu nie jest, więc nie ma o czym mówić. Pan też niech na siebie uważa. Do widzenia.

Cody rozłączył się i spojrzał na Lassitera z szerokim uśmiechem.

– Panna Whatley uważa, że jest pan seksowny.

– Ups... – Lassiter zrobił minę.

– Niech pan się nie obawia. Nic panu nie grozi. Żałuje, że nie jest pan starszy.

– Jestem wystarczająco stary, a ona jest ładną i miłą kobietą, tyle że w najbliższej przyszłości kobiety mogą dla mnie nie istnieć.

Cody nie zadawał więcej pytań. Zmienił temat i zaczął mówić o aresztowaniu Bobby'ego Granta i związanych z tym oczekiwaniach.

Kiedy wychodził z pracy, pod biuro szeryfa podjechała policjantka, ta ładna drobna blondynka.

– Cześć – powiedziała. – Ma pan chwilę na filiżankę kawy?

Skrzywił się, patrząc na zegarek.

– Przepraszam, ale dziś wieczorem jestem umówiony.

– Nie ma sprawy – odparła. – Często teraz tędy przejeżdżam. Spróbuję innym razem.

Odpowiedział uśmiechem na jej uśmiech. Pomyślał, że jak na policjantkę, ta ładna blondynka jest wyjątkowo pogodną kobietą. Pomachał jej na do widzenia i poszedł do swojego auta.

Cody jechał na ranczo Abby, myśląc o tym, jak niewiele brakowało, by Whatley nie przeżył. Zaciśnął zęby, zdając sobie sprawę, że sam Bobby Grant nie mógł dokonać zamachu na życie Whatleya, ponieważ cały czas przebywał na Florydzie z jego siostrą. Czyli ktoś z Catelow zgodził się to zrobić w jego imieniu. Zastanawiał się, kto to może być i jak Grant zamierzał zapłacić tej osobie, skoro sam trafił do więzienia i zostanie oskarżony o próbę morderstwa, a jeśli do tego dodać oskarżenia z Kolorado i je udowodnić, będzie to morderstwo pierwszego stopnia.

Przypomniał sobie uprzejmego strażnika z aresztu, który podał colę Whatleyowi tego wieczoru, kiedy wylądował w szpitalu. To był jego pierwszy podejrzany. Nie miał żadnej wiedzy na temat mężczyzny poza ogólnymi informacjami, jakie zdobył, zatrudniając go w swoim biurze. Strażnik nigdy nie

miał problemów z prawem, a poprzedni pracodawca, szef policji w sąsiednim stanie, uważał go za godnego zaufania.

Niewiele mu to pomogło. Kiedy lekarz w końcu skontaktował się z Codym o dość późnej godzinie minionego wieczoru, był w stanie powiedzieć jedynie, że substancją, którą zatruł się Whatley, był rzadki egzotyczny proszek zawierający neurotoksynę. I tak, ta substancja mogła odpowiadać za atak padaczki. Zależnie od podanej dawki, może się to nawet zakończyć śmiercią.

Cody czuł się winny, bo ładna drobna blondynka wpadła zwrócić mu kajdanki najpewniej w tym samym czasie, gdy strażnik podawał truciznę Whatleyowi. Cóż, szczerze mówiąc, nie cały ten czas jej poświęcił. Czekala na niego w biurze, gdyż został wezwany do sąsiedniego baru, gdzie doszło do bójki.

Kiedy wrócił, była trochę zarumieniona, zastanawiał się nawet, czy w tym czasie przypadkiem nie pojawił się Lassiter, bo tak właśnie reagowały na niego kobiety. Gdy o to spytał, zaprzeczyła, mówiąc, że nikt tam nie zaglądał i żaden z więźniów nie zachowywał się nieodpowiednio. Przeglądała ulotkę na temat narkotyków, którą znalazła na biurku szeryfa. Nikt więcej tam nie wchodził, chociaż słyszała kroki aresztanta w celi z dala od pokoju szeryfa.

Rozmowa z nią sprawiała Cody'emu przyjemność. Policjantka była atrakcyjna i trochę zdenerwowana. Miał wyrzuty sumienia, bo z każdym dniem bardziej przywiązywał się do Abby i nie powinien poświęcać uwagi innym kobietom.

Co prawda policjantka nie flirtowała z nim nachalnie. Była raczej rzeczowa i skupiona na pracy, chociaż zdawało się, że nie zna nazwiska funkcjonariusza policji stanowej przydzielonego do tej okolicy. Ale za bardzo go to nie zdziwiło, skoro była nowa.

Została tylko kilka minut, potem z uśmiechem uścisnęła mu rękę i poszła do radiowozu. Nie wiozła żadnego bandziora, ale przecież skończyła już służbę, a jednak siedzenie pasażera było zajęte.

Tego wieczoru była sama, przyjechała sportowym autem. To pewnie miłe mieć takie auto, pomyślał Cody, i żałował, że nie porozmawiał z nią o coli, którą strażnik podał Whatleyowi. Z drugiej strony lepiej nie przekazywać takich informacji nawet innemu funkcjonariuszowi porządku publicznego.

Wrócił myślą do sportowego samochodu blondynki. Ale to nic nie znaczyło. Zauważył, że wydziały policji czy biura szeryfa nie aprobują sytuacji, kiedy funkcjonariusze zabierają służbowe samochody do domu. Cody przeciwnie, uważał to za dobry pomysł, zwłaszcza w złą pogodę, kiedy jego zastępcy w każdej chwili mogli otrzymać wezwanie. Samochody policyjne i należące do biura szeryfa różnią się od cywilnych pojazdów. Mają większą odległość między przednią a tylną osią i kilka dodatkowych modyfikacji, które pozwalają im wyprzedzić innych użytkowników drogi, może poza kierowcami jaguarów czy lamborghini.

Po wyjściu ładnej blond policjantki, tuż po tym, jak strażnik podał Whatleyowi colę, Cody dokończył raporty. Potem po raz ostatni zajrzał do Whatleya, bo zamierzał już jechać do Abby,

żeby się wytłumaczyć z nieobecności na kolacji. I całe szczęście, że to zrobił, bo Whatley w połowie zdania dostał ataku padaczki. Lassiter do tego czasu siedział z telefonem i załatwiał sprawy. Cody zadzwonił po karetkę, która zabrała Whatleya do szpitala. Uratowali mu tam życie, chociaż lekarz stwierdził, że to dzięki szybkiej interwencji Cody'ego. Gdyby trucizna została w organizmie Whatleya kilka minut dłużej, żadna ziemską siłą by go nie uratowała.

W drodze do domu Cody wpadł do Abby, żeby spytać, czy u nich wszystko w porządku.

Abby od razu wiedziała, że coś zaprzęta jego myśli. Był czymś zaabsorbowany i nie dało się tego nie zauważyć.

– Czy mogłabym ci w czymś pomóc? – spytała.

– Obawiam się, że nie. – Skrzywił się, pijąc kawę z cukrem i ze śmietanką, którą przed nim postawiła. – Chodzi o naszego pana Whatleya. Parę dni temu zabrali go do szpitala, bo dostał ataku padaczki czy czegoś w tym rodzaju.

– Jest epileptykiem? – spytała zaskoczona.

– Nie, i w tym właśnie problem.

Przyglądała mu się bacznie, ściągając wargi.

– Rozumiem, to coś złego i supertajnego, o czym nie wolno ci mówić.

– Właśnie tak. – Pochylił się, by pocałować czubek jej nosa. – Cieszę się, że już tak dobrze mnie znasz.

– Wcale nie tak dobrze.

– Na pewno lepiej niż większość ludzi. Nie jestem zbyt otwarty, mam naturę samotnika, lubię swoje towarzystwo. Nie przywykłem do tego, żeby obok był ktoś, z kim mogę porozmawiać poza... – Poza jego psem.

Abby odgarnęła mu z czoła kosmyk włosów.

– Ze mną możesz porozmawiać – powiedziała. – Jestem milczkiem, potrafię dochować tajemnicy. I podobnie jak ty, mam zakaz rozmawiania o tym, co robię w pracy. Można rzec, że przeszłam zaawansowane szkolenie w dochowywaniu tajemnic.

– To cię kwalifikuje do pracy w policji – zażartował.

Spuściła wzrok na jego pasek.

– Odzyskałeś kajdanki – zauważyła. Bardzo się różniły od kajdanek, które nosili przy pasku zastępcy. Przypomniała sobie jasnowłosą ładną policjantkę i zmrużyła oczy. – Czy twoja przyjaciółka z policji wróciła? – spytała, patrząc lodowato.

– Tak, przedwczoraj wieczorem – odparł, nie dodając, że również tego dnia wpadła do jego biura. Nie było sensu komplikować i tak skomplikowanej sytuacji.

– Śmiejesz się – zauważyła. – Czemu się śmiejesz?

– Jesteś zazdrosna – odparł, widząc, jak policzki Abby zalewają się purpurą.

– Oczywiście, że nie jestem zazdrosna – skontrowała. – Przecież jestem piękna, mężczyźni stoją w kolejce, żeby się ze mną umówić na...

Urwała w połowie zdania, bo Cody ją przyciągnął i zaczął namiętnie całować.

– Nigdy – znów ją pocałował – nie będziesz miała powodu do zazdrości – przycisnął wargi do jej warg – o inną kobietę.

Abby potrzebowała minuty, żeby złapać oddech. Była mocno zaczerwieniona.

– Cóż...

– Szeryf Banks!

Lucy wpadła do pokoju i rzuciła się w jego ramiona. Chwyił ją w pasie i zakręcił się roześmiany.

– Co za powitanie! – zawołał. – Twoja ciocia też bardzo miło mnie powitała – dodał, patrząc szelmowsko na Abby, co jeszcze przyciemniło jej rumieniec.

Śnieżka drapała łapą w jego buty.

Postawił Lucy i wziął na rękę suczkę, śmiejąc się, kiedy polizała go w policzek.

– Śnieżka pana kocha – powiedziała Lucy.

– Zauważyłem. – Przez chwilę przytulał psa. Przywołało to bolesne wspomnienia Anyu. Praca odwracała od nich jego uwagę, teraz wróciły z całą siłą. Podobnie jak jeszcze bardziej bolesne wspomnienia związane z Debby.

Cody był rozkojarzony. Abby to dostrzegła, ale zakładała, że chodzi o sprawy zawodowe. Wyszedł do domu wcześniej, niż podczas poprzednich wizyt, obiecując, że niedługo znów zajrzy. Powiedział im, że jest bardzo zmęczony.

I częściowo mówił prawdę, bo rzeczywiście był zmęczony. Ale poza tym bardzo przybity. Na zbyt długo odsunął od siebie problem niewierności Debby i śmierć Anyu. Z żadną z tych spraw nie skonfrontował się i nie uporał.

Tego wieczoru po powrocie do domu wszystko to uderzyło go z całą siłą. Patrzył na kanapę, na której tyle wieczorów spędził ze skuloną obok Anyu, oglądał filmy w telewizji albo na DVD, czasami programy popularnonaukowe lub przyrodnicze. Nigdy nie zapomni jej pięknych błękitnych oczu, które się do niego śmiały. Anyu była jego pocieszeniem po śmierci Debby, psem, którego według zostawionej przez nią wiadomości przeznaczyła dla najważniejszego mężczyzny w swoim życiu. Ale to nie on był dla niej najważniejszy. Rzadko przyjeżdżała do domu, tłumacząc się nawałem obowiązków w szpitalu w Denver. A tymczasem tym obowiązkiem był jej mentor, lekarz, który omal nie zabił się po jej śmierci.

Cody zastanowił się, czy naprawdę kochała kolegę z pracy, czy tylko chciała mieć pewność, że pozostanie jego protegowaną i pozna wszystkie rewolucyjne metody terapii, których mógł ją nauczyć. Ta wiedza i doświadczenie umożliwiłyby jej szybciej osiągnąć wyższą pozycję w hierarchii lekarskiej.

Dopóki nie pojechał do Denver i przypadkiem nie dotarł do różnych szczegółów z życia zmarłej żony, nigdy się nie zastanawiał nad postępami w jej karierze zawodowej. Była bardzo skoncentrowana na tym, żeby zarabiać dużo pieniędzy, a pokonywanie kolejnych szczebli kariery prowadziło do tego

właśnie celu. Podzieliła się z nim swoimi marzeniami, wciąż powtarzając, jakie to ważne być najlepszym, a żeby to osiągnąć, trzeba uczyć się u najlepszych. Cieszyła się, że ma świetnego mentora, który dba o to, żeby była na bieżąco z najnowszymi technikami w neurochirurgii.

Biedny doktor był tak samo jak Cody pomostem do sukcesu Debby. Cody był tak zaślepiony miłością, że nie zdawał sobie sprawy z jej wielkich ambicji. Najwyraźniej dotyczyło to również jej mentora w Denver. Wykorzystała ich obu do swoich celów, miłość nie miała z tym nic wspólnego.

Cody mógłby się kopnąć za to, że wcześniej sobie tego nie uprzytomnił, nie zastanawiał się, czemu żona nie przyjeżdża do domu, czemu się nim nie interesuje, czemu jest tak skoncentrowana na dążeniu do wdrapania się na szczyt w swojej wyjątkowej dziedzinie medycyny.

Kiedy zaczął spotykać się z Debby, miał małego psa rasy beagle. Debby nigdy nie przepadała za Barneyem. Teraz, patrząc wstecz, zrozumiał, że w ogóle nie lubiła zwierząt. Tolerowała psa, ale gdy przyjeżdżała z wizytą, co nie zdarzało się zbyt często, Barney był wyganiany do kuchni albo na ganek z tyłu domu. Kiedy Debby spytała Cody'ego, czemu nie odda komuś psa, zignorował pytanie. Nauczył się tak robić, gdy Debby go odwiedzała, i robił to dosyć często. Barney odszedł niedługo po tym, gdy się pobrali.

Po ślubie Debby w łóżku była zimna jak lód, w niczym nie przypominała gorąckrwistej kobiety, która poszła z nim do domu pierwszego wieczoru, kiedy się poznali. Po ślubie,

podczas jej rzadkich wizyt, czekała tylko, aż Cody skończy. Zastanawiał się wówczas, czy chodzi o jakąś dawną traumę, ale kiedy odważył się o to spytać, odparła, że nie jest w stanie angażować się w coś czysto fizycznego. Lubiła rozmawiać z nim o historii, w czym akurat był bardzo dobry. Był inteligentny, a Debby nawet uważała, że w pracy w służbach porządkowych nie wykorzystuje całego swojego potencjału. Nigdy nie rozumiała, czemu wybrał takie zajęcie. Próbował jej to wyjaśnić, opowiadając o swoim dzieciństwie, którym była kompletnie niezainteresowana, i tłumacząc, dlaczego go to predysponowało do pracy, która oznacza pomoc ludziom w sytuacjach zagrożenia życia. Debby odparła, że śmierć jest częścią życia i po prostu się zdarza. Nie miała współczucia dla innych, nawet dla Cody'ego.

Powracało do niego pytanie, jak taka bezduszna osoba może być lekarzem. Większość lekarzy to wrażliwi ludzie i robią wszystko, żeby pomóc tym, którzy są w potrzebie. Ale nie Debby. Ją interesowało wyłącznie to, ile zarobi, kiedy już dotrze na sam szczyt kariery.

Mówiła o tym otwarcie, o ogromnych sumach, jakich będzie żądała, o miejscach, które chciałyby odwiedzić i co chciałyby zobaczyć. Cody powiedział jej kiedyś, że obowiązki służbowe nie pozwalają mu wyjechać na długie wakacje. Spojrzała na niego pustym wzrokiem i spytała, czemu w ogóle miałyby mieć ochotę na takie wyjazdy.

Tyle ostrzeżeń, dzwonek alarmowych, a on ich nie dostrzegał. Nie, poprawił się, nie chciał ich widzieć. Był tak

zakochany, że żył w jakiejś bajce z idealną żoną, która od czasu do czasu przyjeżdża w odwiedziny. Były setki pytań, których nigdy nie zadał, ale teraz było już na to za późno.

Pamiętał, jaki był zdruzgotany po śmierci Debby, jak wrzeszczał na Abby i Lucy na parkingu, obwiniał je, że ją zabiły. Na wspomnienie tamtego zdarzenia aż się wzdrygał. Jego agresja zostawiła blizny na ich psychice. I po co to było? Opłakiwał fikcyjną, nieistniejącą kobietę. Prawdziwa Debby była zimna jak lód i miała kasę zamiast serca. Gdyby to Cody zmarł pierwszy, chciałaby tylko wiedzieć, ile jest warte to, co po sobie zostawił, poza tym nawet by nie mrugnęła.

Wyjął z lodówki zimne piwo i opadł na kanapę. Dzięki Bogu miał wolny wieczór, inaczej by nie pił. Włączył kanał Historia i próbował się zainteresować programem o Aleksandrze Wielkim, ale był niespokojny i nie potrafił usiedzieć w miejscu.

Spojrzał znów na kanapę, na której Anyu towarzyszyła mu przez ostatnie sześć lat. Opłakiwał wówczas starego Barneya, więc Anyu była cudowną niespodzianką. Teraz sobie przypomniał, że Anyu nie była nawet dla niego przeznaczona. Debby chciała ją podarować doktorowi, swojemu mentorowi, i tylko z powodu nieporozumienia Anyu trafiła do Cody'ego.

Cóż, to miłe nieporozumienie, powiedział sobie ze smutkiem. Anyu była częścią jego życia przez wszystkie te lata aż do swojej śmierci. W dzieciństwie nigdy nie mógł trzymać w domu żadnego zwierzaka. Jego ojciec alkoholik byłby dla niego śmiertelnym zagrożeniem, zaś zwierzak idealnym

narzędziem zemsty, kiedy Cody oskarżył ojca o agresję, zgłaszając to na policję.

Anyu była jak oddech wiosny. Tak bardzo za nią tęsknił. Niestety zachorowała i cierpiała z bólu, ale zawsze patrzyła na Cody'ego śmiejącymi się oczami. Nic nigdy jej nie przygnębiało. Ogromnie za nią tęsknił, niezależnie od tego, że trafiła do jego domu za sprawą ślepego losu.

Przeczesał palcami gęste włosy i pomyślał o Abby. Sprawa stawała się poważna, ale on nie był pewny, czy jest gotowy choćby na myśl o małżeństwie. Nie był pewny, czy jest zdolny do takiego zobowiązania. Lubił swoją samotność. Lubił siedzieć na kanapie i oglądać ulubione programy w telewizji. Z Abby, Lucy i Hanną nie byłoby to możliwe. Owszem, smaczniej by jadał, lecz jego dom miał tylko dwie sypialnie, a to zbyt mało dla czterech osób. Oczywiście mógłby wprowadzić się do Abby. Na ranczu nie brakowało miejsca.

Wypił kolejny łyk piwa. Miał mnóstwo czasu, żeby o tym pomyśleć. Włączył znów kanał Historia i obejrzał do końca film dokumentalny o Aleksandrze Wielkim.

Minęły dwa dni, a Cody nie zadzwonił do Abby ani do niej nie zajrzał. Za to do jego biura znów wpadła z wizytą drobna jasnowłosa policjantka, która akurat przejeżdżała obok, żeby się z nim przywitać. Cody pomyślał, że jest naprawdę śliczna, i starał się zdusić poczucie winy wywołane tym, że podał jej kawę w swoim gabinecie.

– Doskonała kawa. Najbardziej lubię kolumbijską. To kolumbijska kawa? – spytała, szeroko otwierając oczy.

– Właściwie nie wiem – odparł.

– Zdecydowanie kolumbijska – powiedział Lassiter zza pleców Cody’ego.

– Siedzi pan w celi – rzucił oschle Cody.

– Ojciec zapłacił za mnie kaucję – odparł Lassiter, przenosząc spojrzenie ciemnych oczu na ładną jasnowłosą policjantkę, która patrzyła na niego z tym samym wyrazem twarzy co większość kobiet.

Cody się zirytował.

– J.R. Lassiter. Pani... – zawahał się. – Przepraszam, nie wiem, jak pani się nazywa.

Zaśmiała się. Nawet śmiała się ładnie.

– Bella – odparła. – Bella Cain.

– Miło mi poznać. – Lassiter chwycił jej dłoń i trzymał w uścisku dłużej niż należało.

– Och, cała przyjemność po mojej stronie – odparła.

Lassiter wyciągnął krzesło i usiadł, ignorując pełną poczucia winy minę Cody’ego. Wiedział przecież, że szeryf jest zainteresowany Abby, a teraz siedział i flirtował z inną kobietą. Co za niezręczna sytuacja.

– Pracuje pani w tej okolicy? Przepraszam – dodał z uśmiechem. – Nie wiem, jak to wygląda na prowincji. Mieszkam w Houston.

– Och, w Teksasie. – Zamruczała. – Mam tam kuzynkę.

– W jakiej części?

– Niedaleko Dallas. – Przerwała na moment. – Ale ja wychowałam się w Douglas w Arizonie. – Pochyliła się do przodu. – Krążą plotki, że rodowód mojej rodziny sięga czasów, kiedy Pancho Villa walczył w pobliżu i że jeden z moich przodków wówczas mu towarzyszył.

– No, no – powiedział Lassiter. – Interesujące dziedzictwo. Mówi pani po hiszpańsku?

– O tak. – Spojrzała na niego. – A pan?

– Jasna sprawa. Mieszkam w Houston, ale często pracuję w południowym Teksasie, krainie rancz. Tam hiszpański się przydaje.

– Tak, to prawda. – Spojrzała na zegarek i zrobiła przerażoną minę. – Muszę wracać do pracy, miałam godzinę na lunch. Czas to pieniądz, nie mogę narażać na straty mojego pracodawcy – dodała z szelmowskim uśmiechem.

– Jesteśmy z tej samej gliny – rzekł Lassiter, a kiedy Bella Cain wstała, obaj z Codym poderwali się z miejsc.

– Jacy dżentelmeni – powiedziała z ciepłym uśmiechem. – Miło się rozmawiało.

– I nawzajem.

– Ten człowiek, o którym mówił strażnik, który tu siedział za napad na bank, został skazany? – spytała niewinnie.

– Wciąż czeka na rozprawę – odparł Cody, nie zdradzając, jak bardzo podejrzenie zabrzmiało to niespodziewane pytanie.

Wiedział, że blondynka miała kontakt ze strażnikiem tamtej nocy, gdy Whatley został zabrany do szpitala, ale nie dał niczego po sobie poznać.

– Och, te wszystkie prawne procedury w naszym kraju trwają tak długo – dodała, kręcąc głową. – W innych częściach świata rozprawiają się z takimi przestępcami najszybciej, jak to możliwe. Cóż, takie jest życie. Miło było pana znowu widzieć, szeryfie. Miło było poznać, panie... Lassiter, tak?

Skinął głową z uśmiechem.

– I nawzajem.

– Do zobaczenia – powiedziała do Cody'ego, podchodząc do niego z uśmiechem. – Nie ma pan nic przeciwko, żebym czasem wpadła?

Cody odchrząknął. Pachniała fantastycznie.

– Oczywiście, że nie.

Znów się do niego uśmiechnęła, a wychodząc, pomachała.

– No, to było interesujące – stwierdził Lassiter po jej wyjściu.

– Która część?

– Zna się pan choć trochę na damskich perfumach czy wodach toaletowych?

Cody przez chwilę się zastanowił.

– Abby wspomniała coś na temat wody kolońskiej, którą poczuła na mojej koszuli. Powiedziała, że pachnę jak Nina Ricci, ktokolwiek to jest.

Lassiter się zaśmiał.

– To nie osoba, tylko perfumy. Przypadkiem ulubiony zapach mojej siostry. Diabelnie drogi. Ona zamawia mydło w Paryżu, a kostka kosztuje czterdzieści dolców – dodał, na co Cody uniósł brwi. – Interesujące, że pańską znajomą policjantkę stać na takie perfumy z policyjnej pensji, prawda?

– Jeszcze bardziej interesujące – rzekł Cody – że miała kontakt ze strażnikiem tamtego wieczoru, kiedy Whatleya zabrano do szpitala. Strażnik przyniósł mu otwartą puszkę coli.

– Nita Whatley mówiła, że Bobby’ego Granta odwiedzała w jej domu ładna blondynka z Ameryki Południowej.

– Ciekawe powiązanie – podsumował szeryf.

– Sam zaczynam kilka dostrzegać.

– Ja też. Myślę, że lepiej zostawię ze dwóch dodatkowych ludzi w biurze, jak mnie tu nie będzie.

– Niezły pomysł. Ten cały Grant wije się bardziej niż piskorz. Udało mu się wywinąć z oskarżenia o morderstwo w Denver. Wygląda mi na takiego, który już wcześniej był w tarapatach... No tak, spędził dwa lata w pudle za napaść – dodał Lassiter z namysłem. – Mam przyjaciół, którzy są mi winni przysługę. Proszę pozwolić, że się z nimi skontaktuję, niech ktoś z nich tu siedzi i pilnuje, jak pana tu nie będzie.

– Nie wiem, czy nasz budżet to udźwignie – zaczął Cody.

– To nie będzie pana kosztowało ani grosza. Jak już mówiłem, są mi winni przysługę, a ja jej potrzebuję.

- Naprawdę ma pan sporo kontaktów.
- Proszę mi wierzyć, że nie zgadłby pan, gdzie i jakich.
- Och, wierzę panu. – Cody się zadumał.

Cody wracał z pracy do domu, wciąż rozmyślając o swoich uczuciach do Abby i zastanawiając się, dokąd prowadzi ta relacja, kiedy jakiś ruch z boku drogi przyciągnął jego uwagę.

Zatrzymał samochód, cofnął i zjechał na pobocze. Wysiadł zaniepokojony, ponieważ zdawało mu się, że widzi jakieś zwierzę wykonujące dość gwałtowne ruchy.

Kiedy podszedł bliżej, przekonał się, z czym ma do czynienia. Był to malamut pokryty świerzbem, cały w kołtunach, zagłodzony prawie na śmierć i potrącony przez jakiś pojazd.

– Biedaku – rzekł łagodnie Cody, bo był to pies, nie suka. – Wszystko w porządku, staruszkule, zawiozę cię do weterynarza. – Otworzył tylne drzwi radiowozu, wyjął koc, który trzymał w bagażniku, żeby chronić tylne siedzenie przed pijakami, a potem pochylił się i podniósł psa, który zaskomlał, ale nie próbował go ugryźć. – Wszystko dobrze – mówił dalej Cody. – Nie skrzywdzę cię. Już nikt nie zrobi ci krzywdy. Przeżyłeś trudne chwile, co?

Delikatnie położył zwierzę na tylnym siedzeniu. Pies leżał tam, patrząc na niego żałośnie i z cieniem nadziei.

– Zabiorę cię do weterynarza – powtórzył Cody. – Wyjdiesz z tego, obiecuję.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Kiedy weterynarz, doktor Clay, zobaczyła psa, była zaszokowana.

– Nigdy nie zrozumieć, jak można doprowadzić zwierzę do takiego stanu. Aresztował pan właściciela?

– Nie wiem, kto go tam porzucił. Znalazłem go na poboczu drogi – powiedział Cody. – Nie sądzę, żeby miał właściciela, a nawet jeśli miał, to dawno temu.

– Cóż, może ma pan rację.

– Wygląda na malamuta – zauważył.

– Tak, trochę za duży, żeby to był husky – zgodziła się, oglądając psa. – Ale ma niebieskie oczy, a malamuty zwykle mają brązowe. Może to mieszaniec obu ras. – Skrzywiła się, kiedy pies zaskowyczał. – Chyba ma złamaną łapę. Zrobię mu prześwietlenie... Czy chce pan, żebym go uspiła? – spytała nagle.

Spojrzał w zmęczone oczy starego psa i zobaczył tam beznadzieję. Znał to uczucie. Zaciśnął zęby. Cóż, jego furgonetka obejdzie się bez ekstrawaganckich kołpaków, na które zbierał. Nie będzie mu ich brakowało.

– Proszę zrobić prześwietlenie i wszystko, co konieczne. –
Gdy spojrzała na niego pytająco, szybko dodał: – Pokryję koszty.

– Imię?

Już zaczął mówić swoje, po czym zaśmiał się i spojrzał na psa, który przekrzywił łeb. Przypomniawszy sobie program oglądany w telewizji na kanale Historia.

– Aleksander – powiedział do lekarki. – Nazywa się Aleksander. Może pani poprosić groomera, żeby zrobił z nim porządek? Biedny staruszek.

– Jasne, że tak – odparła. – Groomerka, z którą na stałe współpracujemy, ma zajęte terminy przez najbliższe trzy miesiące, ale na szczęście dla pana ma uczennicę. Poproszę, żeby się nim zajęła za jakieś dwa dni. Najpierw trzeba go przebadać na pasożyty i inne choroby.

– Proszę zrobić wszystko, co trzeba.

– Zatrzyma go pan? – spytała lekarka, a gdy skinął głową, dodała łagodnie: – Wiem, to nie jest Anyu, ale może to dobrze, że nie będzie pan miał psa, który jest jej wierną kopią. To będzie nowy początek. – Zerknęła na Aleksandra, który próbował pomachać ogonem, jakby rozumiał, o czym mówią. – Dla was obu.

Aleksander został odrobaczony i ostrzyżony, przeszedł na dietę weterynaryjną i w końcu Cody zabrał go na swoje ranczo z łapą w gipsie. Gdy pies pozbył się kołtunów i pasożytów, prezentował się zupełnie nieźle, a kiedy już całkiem

wyzdrowieje i futro mu odrośnie, będzie naprawdę ładnym psem.

– Nie wyglądasz już tak źle, staruszkule – powiedział do niego Cody, uśmiechając się, kiedy pies położył się na dywanie przed telewizorem. – Pooglądamy razem telewizję, a jak poczujesz się lepiej, pójdziemy na spacer.

Aleksander podniósł wzrok i spojrzał na niego niebieskimi oczami. Zdawało się, że śmieje się tak samo jak Anyu. Oczy Cody'ego zaszły mgłą, pochylił się i pogłaskał dużego psa.

– Wypełnisz pustkę w moim sercu – powiedział cicho. – Wielką pustkę. Witaj w domu, Alex.

Pies pomachał ogonem.

Oczywiście po całym Catelow rozniosła się wieść, że Cody ma nowego psa. Abby dowiedziała się o tym od kogoś trzeciego, bo Cody przez kilka dni nie pojawił się na jej ranczu.

– Jest na nas zły? – spytała zaniepokojona Lucy.

– Myślę, że jest teraz bardzo zajęty – odparła Abby radośnie, choć wcale się tak nie czuła.

– On też ma nowego psa – powiedziała ze smutkiem Lucy i pogłaskała Śnieżkę, z którą się nie rozstawała. – Myślałam, że może będzie chciał go nam pokazać.

– Pies ma łapę w gipsie – wtrąciła Hanna. – Znalazł go na poboczu. Samochód go potrącił, był w kiepskim stanie. – Zerknęła na nie. – Jedna z moich kuzynek jest uczennicą groomerki, która pracuje u weterynarza. – Wzruszyła

ramionami. – Mówiła, że jeszcze nie widziała tak zabiedzonego stworzenia, ale jak go wykąпали i doprowadzili do porządku, okazał się zaskakująco ładny.

– To chłopiec? – spytała Lucy.

– Chłopiec – odparła Hanna. – Nazywa się Aleksander.

– Dziwne imię dla psa – stwierdziła Abby. Starła się nie pokazać, jak bardzo ją boli, że Cody najpewniej przestał się nią interesować. Słyszała też o ostatniej wizycie jasnowłosej policjantki w biurze szeryfa, i to również ją zabolalo. Do tej pory nie zdawała sobie nawet sprawy, jak wiele uczuć zainwestowała w szeryfa.

– Bardzo bym chciała go zobaczyć. – Lucy westchnęła. – Hanno, czy twoja kuzynka powiedziała, co to za pies?

– Malamut. Są podobne do husky, tylko dużo większe. Ale ten to pewnie mieszaniec z husky, bo ma niebieskie oczy – wyjaśniła Hanna.

– Założę się, że to miły pies – powiedziała Lucy.

Aleksander był miłym psem. Dla Cody'ego był uroczym kompanem podczas jego samotnych wieczorów. Pies nie spuszczał go z oka, chodził za nim po całym domu, nie zważając na gips, a przez resztę czasu siedział obok wpatrzony w Cody'ego z miłością.

– Jesteś najlepszym znaleziskiem, na jakie trafiłem, Alex – powiedział Cody do starego psa i nachylił się, żeby go poklepać.

Alex spojrział na niego z uwielbieniem, jakby chciał powiedzieć: To jest nas dwóch.

– Kiedy wyzdrowiejesz, wybierzemy się na spacer.

Duży pies zawył.

Cody się zaśmiał. Husky i malamuty nie szczekają. One wyją.

– Cieszę się, że się zgadzasz – powiedział do psa.

Włączył telewizor, licząc na to, że nie otrzyma żadnego wezwania. Był piątkowy wieczór, a on nie miał dokąd pójść. Zacisnął zęby. Oczywiście, że miał dokąd pójść, ale nie było go u Abby na tyle długo, że czułby się skrępowany, wpadając bez zaproszenia. Mogłaby zatrzaskać mu drzwi przed nosem, zwłaszcza jeśli doszły ją wieści o ostatniej wizycie policjantki. Całe miasto o tym mówiło.

Był zdumiony własnym zachowaniem. Lubił spędzać czas z Abby, Lucy i Hanną, ale gdy zbliżyli się do siebie z Abby, stał się bardziej ostrożny. Nigdy nie poznasz człowieka, dopóki z nim nie zamieszkasz, pomyślał. Abby wydawała się uczciwą, miłą i dobrą kobietą. Ale Debby z początku też robiła takie wrażenie. Potem wywróciła jego życie do góry nogami. Jego duma wciąż cierpiała z powodu jej romansu z mentorem z Denver.

– Może Abby nie jest taka – powiedział Cody do Aleksandra, kiedy oglądali telewizję. – Ale skąd mam to wiedzieć?

Aleksander podniósł wzrok, spojrział na niego błękitnymi oczami i lekko pomachał ogonem.

Cody wyciągnął rękę i pogłaskał psa.

– Sporo przeżyłeś, co, staruszkę? – rzekł czule. – Nie martw się, tu jesteś bezpieczny.

Aleksander westchnął i położył głowę na wyciągniętych przednich łapach.

– Bezpieczny – mruknął Cody pod nosem. Rozejrzał się po salonie i jadalni i zastanowił, czy kiedykolwiek czuł się bezpieczny. Bardzo w to wątpił.

Gospodyni Horace'a Whatleya, Julia Donovan, często wpadała do aresztu, przynosząc swojemu pracodawcy świeże domowe ciasto i ciasteczka. Była nieśmiała i starała się unikać Cody'ego oraz strażnika, choć w tych warunkach było to trudne.

– Słyszałam, co się stało z panem Whatleyem – powiedziała do Cody'ego podczas jednej z wizyt. – Wie pan, mam na myśli atak padaczki. – Przygryzła dolną wargę. – Jeśli pan chce, żeby ktoś sprawdził, co mu gotuję, to bardzo proszę – powiedziała spokojnym tonem. – To znaczy nie mam nic przeciwko. Nie chcę, żeby coś mu się stało, ale pan mnie nie zna, szeryfie Banks – dodała z lekkim uśmiechem. – Więc w każdej chwili może pan sprawdzić jedzenie. Bardzo proszę.

Cody się zaśmiał.

– Panno Donovan, jest pani ostatnią osobą, którą bym podejrzewał o to, że chce się pozbyć pracodawcy. Naprawdę.

Zmusiła się do uśmiechu.

– Dziękuję. To miłe. – Westchnęła. – Nie mogę uwierzyć, że ktoś oskarżył pana Whatleya o obrabowanie banku. Przecież on ma pieniądze i jest najlepszym człowiekiem, jakiego znam. – Podniosła wzrok i zobaczyła, że szeryf na nią patrzy. Zalała się rumieńcem. – Jest naprawdę dobry dla wszystkich, którzy dla niego pracują. Mamy płatne wakacje i ubezpieczenie. – Zaśmiała się nerwowo. – Mój zmarły mąż był okrutny. Pan Whatley jest inny, jest łagodnym człowiekiem.

– To prawda, ja też nie wierzę, żeby kogokolwiek obrabował, panno Donovan, ale mówię to pani w tajemnicy. Muszę zajmować się faktami. Został oskarżony przez osobę, która twierdzi, że była świadkiem zdarzenia.

Julia pokręciła głową.

– Ten człowiek jest znanym kłamcą, za pieniądze robi wszystko. Tak samo jak podstępny bratanek pana Owensa – dodała. – Próbował pożyczyć pieniądze od pana Whatleya. Pan Whatley był miły i nawet zaoferował mu pracę. W życiu nie słyszałam takiego języka, nawet od mojego męża. Pewnie do pracy się temu młodemu człowiekowi nie śpieszy.

– Pewnie nie – zgodził się.

– A pan Owens jest taki dobry. Wydaje się, że najlepszym ludziom trafiają się krewni, którzy żyją tylko po to, żeby próbować im wszystko odebrać.

– Krewni? – W głowie zaczęły mu krążyć bardzo mgliste pomysły.

– Ten chłopak, Jack, bratanek pana Owensa – powiedziała. – Jest tylko ciągłym kłopotem dla rodziny i przynosi jej wstyd. Bez przerwy wpada w jakieś tarapaty. Przecież pan wie, bo musi go pan od czasu do czasu przymykać.

– Współczuję panu Owensowi. To uczciwy człowiek.

– Tak, to prawda. A nowa asystentka, ma na imię Abby, która dla niego pracuje, też jest bardzo miła – powiedziała, nie zauważając, że na dźwięk imienia Abby policzki Cody'ego nieco pociemniały. – Wszystkich traktuje tak samo życzliwie.

– Tak, jestem pewien, że dla niego to cenny nabytek – rzekł sztywno Cody.

– Razem z małą bratanicą wybrały się wczoraj na przejażdżkę samochodową z panem Lassiterem... – Nie rozumiała, dlaczego szeryf nagle zamarł. – Cieszę się, że pan go wypuścił za kaucją. Nie rozumiem, jak taki człowiek mógłby mieć problemy z prawem. Jest też bardzo przystojny.

Abby umawia się z Lassiterem? Cody wpadł w furję. Abby, jego Abby, z tym kobieciarzem?!

W chwili, gdy myślał, by z powrotem wsadzić go za kratki i wyrzucić klucze, drzwi pokoju się otworzyły.

Stała w ich drobna ładna blondynka w mundurze.

– Przyszłam nie w porę? – spytała z wahaniem.

– Och nie, właśnie wychodzę. Mówiłam poważnie o tym jedzeniu, szeryfie – powiedziała Julia ze słodkim uśmiechem.

– Nie trzeba sprawdzać niczego, co pani przynosi, zapewniam panią – odparł.

– Dziękuję. Cóż, wracam do domu, do swoich obowiązków. – Zmarszczyła czoło. – Jest pan pewny, że Horace... to znaczy pan Whatley będzie bezpieczny?

– Tak – skłamał, bo nie mógł tego obiecać.

Uśmiechnęła się.

– Okej. Dziękuję. – Posłała mu nieśmiały uśmiech, potem odwróciła się do blondynki, która ją zignorowała, i ruszyła do wyjścia.

– Jaka szara myszka – powiedziała blondynka ze śmiechem.

Cody zmierzył ją wzrokiem.

– Piękno to nie tylko uroda.

– Przepraszam – wycofała się szybko. – Miałam ciężki poranek. Szamotałam się z mężczyzną, którego aresztowałam za przewóz narkotyków. – Pokazała mu siniak na przedramieniu i skrzywiła się, zginając rękę. – Czy praca w policji to zawsze tyle przemocy? – spytała, patrząc na niego, jakby był stary i mądry, i znał wszystkie odpowiedzi.

Zastanawiał się, ile ona ma lat. Wydawała się starsza niż Abby, ale wciąż była bardzo ładna.

– Tak, bywa sporo przemocy – odparł. – Zawsze w razie potrzeby może pani otrzymać wsparcie miejscowych funkcjonariuszy.

Spojrzała na niego zalotnie.

– Myślałam, że pan to powie. Trudno mi przyzwyczać się do tej pracy. Liczyłam, że znajdzie pan chwilę, żeby mi udzielić kilku wskazówek przy kawie. W tym nowym barze na rogu mają cappuccino. To moja ulubiona kawa.

Nastrój Cody'ego od razu się poprawił. Skoro Abby może wozić się z Lassiterem, nie będzie czuł się winny, zapraszając tę ładną drobną blondynkę na kawę.

Wstał zza biurka i wziął kapelusz.

– W zasadzie mam chwilę – odparł z uśmiechem. – Chodźmy. – Po drodze powiedział zastępcy, gdzie go szukać, ale gdy tylko wyszli na ulicę, musiał odebrać telefon.

– Oj, zostawiłam podkładkę do pisania w pańskim biurze. Zaraz wracam – szepnęła blondynka, kiedy wyjaśniał jakiemuś mężczyźnie skarżącemu się na korki przepisy ruchu drogowego. Cody kiwnął głową, pogrążony w rozmowie. Zajęła mu tylko minutę czy dwie, a kiedy się rozłączył, jasnowłosa policjantka w nieskazitelnym mundurze stała obok niego z podkładką. Zaczekał, aż ją schowa w samochodzie i do niego dołączy.

Abby, która szła właśnie do sądu, zobaczyła ich razem, jak wchodzi do baru. Serce ją zakłuło, oczy zwilgotniały. Tak dobrze jej się układało z Codym. Bardzo lubił jej towarzystwo, a także towarzystwo Lucy i Hanny... przynajmniej tak sądziła. Stał się częścią ich rodziny. Ale teraz był z tą ładną blondynką. Abby się załamała.

Nie mogła sobie rościć żadnych praw do Cody'ego. Byli tylko przyjaciółmi. Budowała w myślach wspólną przyszłość na kilku pocałunkach, ale najwyraźniej była w wielkim błędzie. Zła, że Cody zniknął z jej życia, i z powodu plotki, że spotyka się z blondynką, przyjęła zaproszenie Lassitera na przejażdżkę po okolicy. Miała nadzieję, że Cody się o tym dowie, chciała mu pokazać, że nie siedzi w domu sama, czekając na jego telefon albo wizytę. Tymczasem obróciło się to przeciwko niej. Roześmiany Cody z ładną drobną blondynką weszli do baru, jego duża dłoń spoczywała na jej ramieniu.

Cóż, teraz przynajmniej wie, na czym stoi. Tak naprawdę nigdy nie była związana z mężczyzną, ale miała nadzieję, że z Codym jej się uda. Głupie marzenie. Może była zbyt bezpośrednia albo bezpodstawnie brała jego obecność w swoim życiu za niezmienną oczywistość. A może strach go obleciał na myśl, że zwiąże się z kobietą, która już ma rodzinę. Wydawało się, że bardzo lubi Lucy, ale to nie znaczy, że chce być za nią odpowiedzialny, a tak by się stało, gdyby wzięli ślub. Ślub, pomyślała. Też coś! Teraz to było marzenie ściętej głowy, jeśli w ogóle kiedyś miało szansę się ziścić. Cody kochał swoją zmarłą żonę. Nawet jeśli miała kochankę, nawet jeśli była bardzo niesympatyczną osobą. Jeśli się kogoś kocha, kocha się go pomimo wszystko.

Wiedziała, że tęsknił za Debby niezależnie od tego, co odkrył w Denver. Współczuła mu. To musi być straszne, kiedy kocha się kobietę, która ma kochankę, a męża traktuje jak śmiecia i tygodniami go ignoruje. Był żonaty, a jakby nie miał żony. To,

czego się o niej dowiedział, musiało zranić jego dumę. Być może bał się znów zaryzykować.

Rozmyślając tak, Abby doszła do wniosku, że to właśnie jest powód, dla którego Cody jej unika. Pewnie sądził, że Abby zależy na małżeństwie, zwłaszcza że miała pod opieką małą Lucy. Zaczerwieniła się. Nigdy by niczego od niego nie oczekiwała, ale nie znał jej dość dobrze i mógł się tego przestraszyć.

Nigdy nie porzuciłaby Lucy, dla żadnego mężczyzny. Może to i lepiej, że Cody przeniósł swoje zainteresowanie na inną kobietę, która też była sama, tak jak on. Cóż, Abby zakładała, że blondynka jest singielką. Raz jeszcze spojrzała ze smutkiem na oddalającą się parę i pojechała do sądu.

– Czemu szeryf Banks nie odwiedza mnie i Śnieżki? – spytała Lucy pewnego sobotniego wieczoru, kiedy usiadły do kolacji.

– Przypuszczam, że jest zajęty – odparła Abby.

– Zajęty oprowadzaniem tej blondynki po mieście – powiedziała pod nosem Hanna, zajadając idealne purée ziemniaczane.

– Dzieci mają gumowe uszy – ostrzegła ją Abby.

Hanna przeniosła wzrok z Abby na Lucy i skrzywiła się.

– Przepraszam.

– Czemu dzieci mają gumowe uszy? – spytała Lucy.

– To taka przenośnia – odparła Abby i zaśmiała się siłą woli. – Może po kolacji obejrzymy ten halloweenowy film, który

tak lubimy?

– Och tak, proszę! – zawołała dziewczynka.

– Ja też go lubię – wtrąciła Hanna z uśmiechem. – Wyobraźcie sobie Marsjan, którzy słyszą stare słuchowisko Orsona Wellesa o wojnie światów i ruszają na podbój Ziemi.

Abby wybuchnęła śmiechem.

– Wiem, to komiczne.

– Uwielbiam tego małego chłopca przebranego za kaczkę – powiedziała Lucy. – Jest słodki.

– Przeuroczy – odparła Abby. – Całkiem jak ty, Lucy. – Wyciągnęła rękę i dotknęła miękkiego policzka dziewczynki. – Tak się cieszę, że ze mną jesteś.

– Ja też cię kocham, ciociu – odparła Lucy z szerokim uśmiechem. – I bardzo się cieszę, że zamieszkałyśmy na ranczu.

– Ja też – rzekła Abby, choć z mniejszym entuzjazmem.

Hanna patrzyła na nią, jak grzebała widelcem w talerzu. Było jej żal Abby. Cody Banks przypuszczalnie zmienił zamiary, skoro spotykał się z inną, ładniejszą kobietą. To musiało zranić dumę Abby, zwłaszcza że chyba coś do niego czuła. Cody po prostu się bał, myślała Hanna, że trafi na drugą Debby, która tak jak żona będzie udawała miłość, a potem go porzuci.

Abby nie była taka. Zostałaby z nim do końca życia, na dobre i na złe, w głodzie, ogniu i powodzi. Gdyby Cody wszystko stracił, podwinęłaby rękawy i pomogłaby mu to odzyskać. Wyglądało jednak na to, że do tego nie dojdzie. Zabierając

blondynkę na kawę, Cody publicznie się zdeklarował. W tak małym mieście jak Catelow plotki szybko się rozchodzą. To zabolę Abby. I to bardzo.

– No to ja chyba zrobię trochę popcornu – zaproponowała Hanna. – Miło coś pochrupać przed telewizorem – dodała.

Lucy ją uściskała.

– Ty to o wszystkim pomyślisz, Hanno.

– Cóż, nie o wszystkim. – Hanna westchnęła, zerkając na Abby, która dzielnie starała się ukryć przygnębienie. – Nie o wszystkim.

Drobna jasnowłosa policjantka z wigorem opowiadała o miejscach, które odwiedziła, i o ludziach, których poznała. Dla Cody'ego, szeryfa z małego miasteczka, to były fascynujące historie. Nigdy nie znał nikogo takiego jak ta kobieta. Była wolna jak ptak i dała jasno do zrozumienia, że takie życie jej odpowiada.

Wzrok Cody'ego przyciągnął łańcuszek, który nosiła na szyi. To musiało być prawdziwe złoto. Na łańcuszku wisiał talizman, wisiołek w kształcie zaciśniętej dłoni z kciukiem wystającym spomiędzy palców. Cody już gdzieś to widział, lecz nie pamiętał gdzie i kiedy. Gdy kobieta zaczęła nową opowieść, zapomniał o tym.

Drobna blondynka była zajmującą rozmówczynią. Czas upływał miło. Była starsza od Abby i najwyraźniej już długo była sama. A jednak Cody wciąż wracał myślami do Abby, nawet uśmiechając się do swojej towarzyszki przy stole.

Abby, Hanna i Lucy myślały zapewne, że je porzucił. Miał wyrzuty sumienia, że nie zaglądał na ich ranczo, a nawet je omijał. Z Abby i Lucy wiązała się odpowiedzialność. Nie chciał brać odpowiedzialności za rodzinę. Nie teraz, a może nawet nigdy. Lubił mieć własną przestrzeń, robić to, na co ma ochotę. Człowiek, który mieszka sam, nabiera pewnych przyzwyczajzeń i przywyka do pewnej rutyny. Abby i Hanna by to zmieniły, a Lucy byłaby nieustającą przeszkodą. Dziecko było...

Skrzywił się. Lucy była radością. Miłą, dobrą dziewczynką, która kocha zwierzęta i Cody'ego. Czuł się winny, że jej nie odwiedził. Po prostu nie był gotowy. Zdawało się, że to, czego się dowiedział o zmarłej żonie, nie odcisnęło na nim trwałego piętna, a jednak teraz, kiedy pierwszy szok minął, odezwał się ból. Czuł się największym głupcem świata. Debby go oszukiwała, a on jej na to pozwolił. Był szeryfem z małego miasteczka. Ona była lekarką z dużego miasta, która robiła specjalizację i szykowała się do prowadzenia lukratywnej praktyki dla zamożnych pacjentów. Jak rozwinęłyby się ich relacja po zakończeniu jej specjalizacji? Nie chciał nawet o tym myśleć. Nie był jednak głupi. Podczas służby w wojsku skończył college. Ale daleko mu było do neurochirurga, a nawet neurologa. Patrząc wstecz, zdał sobie sprawę, że to mundur przyciągnął do niego Debby. To on jej się spodobał, nie Cody. Raz nawet wspomniała, tylko raz, że jest bardzo konwencjonalny w łóżku. Wówczas niewiele myślał o tych słowach, był zbyt zadurzony, by uznać, że Debby się skarży. Nie miał bogatego doświadczenia seksualnego, a wyglądało na to, że Debby wie dużo więcej w tym temacie.

Z kolei Abby była dość naiwna. Wyobrażając ją sobie z Lassiterem, zacisnął zęby. Nie była ładna w ogólnie przyjętym rozumieniu tego słowa, ale była miła, dobra i empatyczna. Najwyraźniej Lassiter dostrzegł te jej cechy i uznał je za atrakcyjne.

– Powiedziała, że muszę wracać do pracy. – Blondynka zaśmiała się, machając mu ręką przed nosem, żeby zwrócić jego uwagę.

– Och. – Zaśmiał się zażenowany. – Przepraszam, myślałem o sprawie, nad którą pracuję. – Wstał i zapłacił za cappuccino. Zauważył, że jego towarzyszka nawet nie zaproponowała, że zapłaci za swoją kawę. W tych czasach większość kobiet tak robi, a już zwłaszcza Abby.

Rozstał się z nią przy jej samochodzie. To był nowy sportowy model nieznanego mu marki.

– Gdzie pani radiowóz? – spytał.

Zamrugła.

– Och, u mojego kuzyna – odparła. – Pożyczyłam jego mały samochód, żeby przyjechać do miasta. – Uśmiechnęła się. – Do zobaczenia wkrótce.

Odprowadzając ją wzrokiem, Cody pomyślał o Debby. Ona też taka była. Towarzyszka, inteligentna, fascynująca rozmówczyni. I znów poczuł się jak ofiara. Chociaż nie zamierzał wiązać się z policjantką. Z nikim nie zamierzał się wiązać.

Pogrążony w myślach wrócił do pracy i zajął się bieżącymi obowiązkami. W pewnym momencie podniósł się zza biurka i spojrzał na zdjęcia na ścianie, szukał czegoś, co odwróci jego uwagę. Dręczył go niepokój i był śmiertelnie znudzony.

– Chyba tracę rozum – powiedział pod nosem.

– Mówienie do siebie to zły zwyczaj – zauważył Lassiter, stając w drzwiach.

Cody odwrócił się i zmierzył go wzrokiem.

Lassiter nie musiał pytać, o co chodzi. To było małe miasto i pewnie wszyscy już wiedzieli o jego przejażdżce po okolicy z Abby i Lucy.

– Nie jestem winny – rzekł Lassiter, siadając na krześle obok biurka Cody'ego. – Prowadza się pan z ładną blondynką. Taka kobieta jak Abby nie będzie długo sama. – Widząc spojrzenie szeryfa, które z każdą chwilą stawało się groźniejsze, ściągnął wargi. – Podobno pana kuzyn Bart Riddle prosił ją nawet na tańce.

Cody nic o tym nie wiedział. Wpadł w jeszcze większą złość.

– Pomogłem policjantce obezwładnić niesubordynowanego więźnia, który dał jej się we znaki na drodze – powiedział.

– Cóż, w lokalnej kawiarni nie ma chyba zbyt wielu przestępców – stwierdził Lassiter.

Cody odwrócił wzrok. Był funkcjonariuszem publicznym. Nie wyglądałoby to dobrze, gdyby wyrzucił gościa na ulicę. A nawet bardzo źle.

– Wiedział pan, że Bobby Grant wyszedł za kaucją z więzienia na Florydzie? – spytał nagle Lassiter i spoważniał.

– Jak to?! – zawołał Cody. – Szef policji obiecał, że kaucja będzie niebotycznie wysoka. Grant nie mógł uzbierać tyle pieniędzy.

– Pojawił się nowy sędzia, któremu zrobiło się żal biedaka, porzuconego, aresztowanego i oskarżonego o zbrodnie, których nie mógł przecież popełnić – wyjaśnił Lassiter.

– Niech pan nic więcej nie mówi. Tym sędzią była młoda kobieta, którą Grant oczarował.

– Zgadza się – odparł Lassiter. – Pamięta pan ten pierścionek z brylantem, który dała mu panna Whatley? Sprzedał go. Miał więcej niż dość na zmniejszoną kaucję i jeszcze na to, żeby komuś zapłacić za unieszkodliwienie pana Whatleya. Tym razem przestępca, którego nasłał, może być bardziej skuteczny.

Cody zacisnął zęby.

– Podwoję strażę.

– To nie pomoże – rzekł Lassiter. – On płaci więcej niż jednej osobie. To wszystko, czego mój człowiek dowiedział się do tej pory, ale dalej nad tym pracuje.

– Świetnie, po prostu świetnie. – Cody zerknął na Lassitera. – Nie sądzę, żeby Julia, gospodyni Whatleya, była jedną z tych osób. Przynosi mu coś do jedzenia.

– Trzeba to sprawdzić – poradził Lassiter. – W tej chwili nikt nie jest poza podejrzeniami.

– Dobry pomysł. – Cody usiadł za biurkiem. – Cóż, zacznę od jutra. Już zjadł kawałek ciasta, które mu wczoraj przyniosła. Strażnik mi o tym powiedział. Pytał nawet, czy to w porządku. – Przewrócił oczami. – A co z Nitą Whatley? Mam nadzieję, że szef policji jej pilnuje.

– Tak, Grant już jej groził.

– Chciałbym go przymknąć – powiedział poirytowany Cody.

– Nie jest pan sam. Podobno szef policji dosłownie skakał z wściekłości, kiedy Granta wypuszczono za kaucją. Wciąż pracujemy nad tym, żeby zdobyć dowody i wytoczyć mu proces w Denver. Odbędzie się ekshumacja ciała siostry panny Violet Henry, Candy. Violet trzeba było do tego przekonać. Jest głęboko religijna i bardzo kochała siostrę, ale nie chce, żeby Grantowi morderstwo uszło na sucho. Sprawdzamy również daty i rozmawiamy z różnymi ludźmi na temat ostatniego wieczoru przed zabójstwem Candy. Naszym zdaniem przed śmiercią jadła kolację z Bobbym Grantem. Pamięta pan, co mówiłem o blondynce, która odwiedzała Granta, kiedy mieszkał w domu Nity Whatley, tej, która miała dostęp do egzotycznych trucizn? Niektórych z nich nie da się wykryć.

– Mam nadzieję, że to nie jest ten przypadek, jeśli Candy została otruta – odparł cicho Cody.

– Ja też. Byłbym wściekły, gdyby gość uniknął odpowiedzialności za morderstwo, zwłaszcza ktoś tak zadowolony z siebie jak Bobby Grant. Wydaje mu się, że jest ponad prawem, zwłaszcza teraz, kiedy wyszedł za kaucją. Mogli go zatrzymać jedynie za napaść, a to nie była brutalna napaść.

Panna Whatley oświadczyła, że tylko ją lekko uderzył w policzek. – Zerknął na Cody'ego. – Oczywiście panna Whatley miała siniak, ale Grant powiedział sędziemu, że miała go już wcześniej, a szef policji się w niej durzy, więc naturalnie jest do niego uprzedzony.

– Dajcie spokój! – wybuchnął Cody.

– Myślę, że bała się przyznać, jak mocno ją uderzył – kontynuował zirytowany Lassiter. – Wielokrotnie jej groził, a pomimo opieki szefa policji, ona jest w domu sama. – Odchylił się. – Kiedyś byłem młody i łatwo ulegałem wpływom. – Lassiter westchnął. – Wydaje się, że minął milion lat, ale trochę pamiętam, jak łatwo było mną kierować. – Zaśmiał się. – Tak właśnie się tłumaczyłem, kiedy w pierwszej klasie liceum znaleziono przy mnie dwa papierosy z marihuaną. Mój tata tego nie kupił. Miałem szlaban na dwa tygodnie. Nie byłem na szkolnym balu, a miałem bardzo seksowną dziewczynę. Wściekałem się i rzucałem czym popadnie. Nic nie pomogło. Mój ojciec – dodał – ma trudny charakter.

– Podobnie jak mój – wspomniał Cody. Jego twarz stwardniała. – Jak pił, brał, co miał pod ręką, i używał tego przeciwko mnie albo mojej matce.

– Mój nigdy tak nie robił – odparł Lassiter z uśmiechem. – Kocha nas wszystkich, a zwłaszcza moją matkę. Rozplakała się z powodu tych papierosów z marihuaną, dlatego ojciec wpadł w taką furję. Przypomniał mi, że to jest używka, która prowadzi do mocniejszych narkotyków. – Przewrócił oczami. – Teraz marihuana jest legalna w kilku stanach, ale dziesięć lat temu

było inaczej. Mama się załamała. Bała się, że mnie aresztują i wsadzą do więzienia.

Cody'emu bardzo spodobał się ten pomysł, kiedy sobie przypomniał, że Lassiter zabrał Abby na przejażdżkę, ale wziął się w garść. To nie pora na osobistą zemstę.

– Nie są w stanie o nic oskarżyć Granta, żeby go zatrzymać za kratkami?

– Proszę mi wierzyć, szef policji nad tym pracuje. Podobnie zastępca prokuratora okręgowego, który zna rodzinę Whatleyów i jest wściekły z powodu tego, co spotkało pannę Whatley. – Skrzyżował długie nogi. – Niewykluczone, że bratanek miejscowego adwokata ma związek ze sprawą.

– Bratanek Owensa? – zawołał Cody. – W jaki sposób?

– Od miesięcy próbował wyciągnąć pieniądze od różnych ludzi, zamęczał też tym wuja. A teraz ni stąd, ni zowąd paraduje w nowych ciuchach i jeździ nowym samochodem, i właśnie wprowadził się do wynajętego domu. Nie sądzi pan, że to dziwne?

– Bardzo interesujące – przyznał Cody.

– Moi ludzie nad tym pracują, w tym i moja siostra. Ona potrafi dokonać niemożliwego. Ciekawa jest też data, kiedy bratanek Owensa wpłacił pieniądze na swój rachunek w banku. Tego samego dnia Grant został wypuszczony z więzienia. To był przelew.

– Ta sprawa z każdym dniem coraz bardziej się komplikuje.

– I staje się ciekawsza – dodał Lassiter. – A skoro jest, jak jest, to lepiej, żeby mnie pan aresztował za włóczęgostwo czy co tam pan chce i wsadził z powrotem za kratki razem w Whatleyem. On nie jest tu bezpieczny, zwłaszcza teraz.

– Muszę się z panem zgodzić. Jeśli naprawdę pan tego chce.

– Nie wygląda na to, żebym miał wybór – odparł Lassiter. – Jeśli chcemy zachować Horace’a przy życiu.

– Proszę za mną. – Cody wstał. – Znajdę panu ładną miłą celę obok celi Horace’a.

– Mogę liczyć na śniadanie do łóżka, jakieś magazyny sportowe i pudełko najlepszych brownie? Och, i dobre cappuccino. Zabrał pan tę ładną blondynkę na kawę – dodał z czystą złośliwością.

Cody otworzył celę, patrząc na niego wilkiem.

– Niech pan uważa, bo jak mnie pan naprawdę wkurzy, mogę panu załatwić ciekawych współtowarzyszy niedoli.

Lassiter wszedł do celi i patrzył, jak Cody ją zamyka.

– Może pan poprosi Abby, żeby mnie odwiedziła – dodał niewinnie. – To jest taka kobieta, która czekałaby długie lata, aż jej mężczyzna odsiedzi swoje. Poza tym świetnie gotuje.

Cody ledwo nad sobą panował. Miał wielką ochotę wyciągnąć Lassitera z celi i porządnie mu dołożyć. Ale to było wykluczone.

– Witam, szeryfie! – zawołał Horace Whatley. Cody zatrzymał się przy jego celi, sąsiadującej z celą Lassitera. –

Znów pan zaaresztował pana Lassitera? To już, niech policzę, trzeci raz, prawda? – spytał z troską. – Miał pan jakieś wiadomości od mojej siostry?

Cody zawahał się, ale nie było powodu, by to przed nim ukrywać.

– Bobby Grant został wypuszczony z więzienia za kaucją. Ale proszę się nie niepokoić – dodał, kiedy twarz Horace’a ściągnęła się ze zmartwienia. – Pilnują jej osoby, o których nawet nie wie, no i szef policji ma na nią oko.

Whatley skinął głową.

– Dan zawsze się w niej podkochał. A ona nie lubi broni, wie pan, więc nie chciała się z nim umawiać. – Uśmiechnął się. – Ale chyba czasy się zmieniają.

– Podobnie jak ludzie – odparł Cody.

– Niech pan zachowa ostrożność, szeryfie – powiedział cicho Whatley. – To znaczy jeśli Nita i ja jesteśmy w niebezpieczeństwie, panu też może coś grozić. Także miłemu panu Lassiterowi, w ogóle wszystkim, którzy są z panem blisko. Grant będzie wściekły, że stracił majątek mojej siostry. Może mieć listę osób do zlikwidowania.

Cody się zaśmiał.

– Ogląda pan za dużo filmów gangsterskich, panie Whatley – powiedział. – To bardzo mało prawdopodobne, żeby wybrał za cel szeryfa, nawet gdyby miał sposób na to, żeby się mnie pozbyć. Ja jestem tu, w Wyoming, a on na Florydzie.

– Mój wuj był w CIA podczas kryzysu kubańskiego w sześćdziesiątym drugim – odparł Whatley z powagą. – Mówiło się, że do pozbycia się Castro zaangażowano członków gangu. Mój wuj twierdził, że była masa różnych ludzi pałających chęcią zemsty. I że dopóki ktoś nie umrze tajemniczą śmiercią, nigdy nic nie wiadomo. Domyślam się, że wuj wiedział, o czym mówi, ponieważ pewnego dnia po lunchu zmarł na atak serca, chociaż nigdy nie miał problemów z sercem. Mieszkał w małym mieście w Montanie – dodał nie bez kozery. – Oni dopadną człowieka w każdym miejscu.

– Przykro mi – rzekł szczerze Cody. – Ale nie jesteśmy na Kubie, a w okolicy nie mamy gangów.

– Ma pan – odparł Whatley zdumiony. – Bratanek pana Owensa spotyka się z dziewczyną, która jeszcze niedawno była związana z gangiem z Chicago. Nie wiedział pan?

Cody’ego rozbolała głowa. To było tak nowe i nieoczekiwane, że był pewny, iż mózg mu się gotuje. Gang? Tu? W Catelow?

– Sprawdzę to – zapewnił. – Proszę się nie przejmować. Zadbamy o pańskie bezpieczeństwo.

Horace Whatley zawahał się, jakby chciał coś jeszcze powiedzieć, lecz ostatecznie tylko się uśmiechnął.

Trzy dni później Cody udał się do pralni chemicznej, żeby oddać do czyszczenia mundur, i omal nie zderzył się w drzwiach z Abby.

– Och, przepraszam – powiedziała i uśmiechnęła się uprzejmie, jakby miała przed sobą obcego.

Zawahał się. Kiedy była tak blisko, serce biło mu jak szalone.

– Abby... – zaczął, szukając słów, których nie mógł znaleźć.

– Przepraszam, mam przerwę na lunch. Miło widzieć, szeryfie. – Oddaliła się.

Cody odprowadzał ją wzrokiem. Był zdenerwowany i zasmucony. Poczuł, że drzwi się zamykają. Zmroziło go, jakby mu ktoś przyłożył lód do pleców.

Do tego doprowadziły go obawy i wątpliwości. Abby minęła go, jakby był obcym człowiekiem. Najwyraźniej wiedziała o drobnej jasnowłosej policjantce. Zamiast zachować się agresywnie, impertynencko czy złośliwie, zrobiła coś o wiele gorszego. Zredukowała go do statusu dalekiego znajomego.

Jak mógł mieć jej to za złe? Sam sobie na to zasłużył. Nie wiedziała, że zaprosił policjantkę na kawę po tym, jak usłyszał o jej przejeździe z Lassiterem.

Zostawił mundur w pralni i wyszedł na zimne powietrze, w którym krążyły płatki śniegu. Przypomniał sobie, jak Abby do niego przyszła, kiedy się dowiedziała, że uśpił Anyu. Zaopiekowała się nim. Wspomniał jasnowłosej policjantce, że ma nowego psa, a ona śmiała się z niego, że zajął się starym schorowanym kundlem. Powiedziała, że nie lubi zwierząt. Jakim trzeba być szaleńcem, żeby trzymać w domu zwierzę? – dziwiła się.

Cody nic na to nie odpowiedział, ale jej słowa zaboląły, jakby go ktoś przebił rozpalonym stalowym prętem. Kobieta, której ranne zwierzę jest tak obojętne, nie miałaby wiele współczucia

dla rannego człowieka. Znał szefa policji stanowej w tej okolicy, służyli razem w wojsku. Może powinien do niego zadzwonić. Zauważył, że policjantka nosi smitha & wessona kaliber .32, a wiedział z doświadczenia, że nową bronią przeznaczoną dla policji stanowej w 2021 roku był SIG sauer 9 mm. To drobiazg, ale utkwiał mu gdzieś z tyłu głowy. W końcu nie zaszkodzi sprawdzić ludzi. Pewnie wpadał w paranoję.

A jednak okazało się, że nie. Szef jednostki był kompletnie zaszokowany, kiedy Cody spytał o nową policjantkę, która jeździ wozem patrolowym, ładną drobną blondynkę. Potem opisał, jak się poznali.

Nastąpiła długa znacząca pauza.

– Nowa funkcjonariuszka nie jest blondynką, tylko brunetką, pochodzi z plemienia Wron, ale ma w sobie domieszkę krwi plemienia Lakota. Kiedy ma do czynienia z przestępcą, jest miła jak kobra. Za cholerę nie potrzebowałyby pomocy z kajdankami.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Cody zrzucił buty i podreptał do kuchni zrobić sobie kawę. Niespodziewane spotkanie z Abby wytrąciło go z równowagi. Najwyraźniej uznała, że się wycofał, i zachowywała się stosownie do sytuacji. Gdy wymienili dwa słowa, nawet nie spojrzała mu w oczy.

Nie była ładna, choć miała zgrabną figurę i ładne oczy. Pewnie widziała go z drobną atrakcyjną blondynką i zdała sobie sprawę, że z tą rywalką przegrywa. Mógł jej powiedzieć, że to tylko niezobowiązująca znajomość, ale Abby wzięła sobie to do serca. Miał wyrzuty sumienia, że tak ją potraktował. Mógł być szczery i przyznać, że nie radzi sobie z niewiernością Debby, z zagrożeniem dla Whatleya i jego siostry, ze śledztwem w sprawie morderstwa. Tymczasem zniknął z jej życia bez słowa. To na pewno ją zabolalo, skoro nie mogła nawet na niego patrzeć. A jeśli Abby uważała, że je porzucił, to co myślała Lucy?

Zatrzymał się nad dzbankiem kawy, zastanawiając się nad tym. Poczul się winny. Lucy była słodkim dzieckiem i bardzo się z nim zżyła. Tymczasem on odsunął ją na bok, jakby nic dla niego nie znaczyła, porzucił ją tak jak Abby.

Po prostu nie był gotowy zmierzyć się z tymi wszystkimi problemami. A przynajmniej nie teraz, kiedy miał nawał pracy. Poza tym, przypomniał sobie chłodno, Abby wozila się z Lassiterem!

Nie znosił samej myśli o tym człowieku. Lassiter był trudnym rywalem. A jeśli rozważał przyszłość z Abby, myślał o tym, jaką byłaby żoną? Cody musiał przyznać, że byłaby idealną żoną. Kochającą, dobrą i wspierającą.

Takie w każdym razie robiła wrażenie. Bo przecież tak naprawdę jej nie znał. A gdyby okazała się podobna do Debby? Gdyby go zdradzała, tak jak teraz z Lassiterem?

Aleksander przykuśtykał z nogą w gipsie i spojrzał z nadzieją na plasterki pastrami, które Cody kładł na kanapkach z ciemnego pieczywa razem z serem szwajcarskim. Nie lubił żadnych dodatków do kanapek, więc nie miał majonezu ani musztardy. Zdawało się, że jego nowy towarzysz to docenia.

– Jesteś głodny, staruszkule? – spytał łagodnie i poklepał dużą głowę psa. – Mogę się z tobą podzielić.

Aleksander pomachał ogonem i uśmiechnął się do niego.

Cody westchnął.

– Miło mieć kogoś, z kim można pogadać – powiedział do psa.

Aleksander cicho zawył, jakby go zrozumiał. Cóż, czemu nie? Wydawało się, że Anyu zawsze rozumiała, co do niej mówił. Husky i malamuty to inteligentne psy.

Skończył szykować kolację i wrócił do pokoju, rozsiadł się wygodnie na kanapie z kanapkami i mlekiem, natomiast Aleksander usadowił się u jego stóp i pracował nad miną wygłodzonego psa. To pewnie nie była tylko mina, pomyślał Cody. Biedny pies był w tak fatalnym stanie, kiedy go znalazł, że większość ludzi wolałaby go raczej uśpić.

– Chyba lubię ciężkie przypadki – powiedział Cody.

Aleksander cicho zawył.

– Jutro wpadnę do sklepu i kupię nam coś więcej – rzekł Cody, kiedy zjedli całe pastrami i większość sera szwajcarskiego.

Aleksander dyszał pełen nadziei.

Cody wrócił do pracy z sercem ciężkim jak ołów. Chciał zadzwonić do Abby i wyjaśnić, albo przynajmniej spróbować wyjaśnić, czemu tak długo trzymał się na dystans.

Gdy sięgał po słuchawkę telefonu stacjonarnego stojącego na stoliku obok kanapy, otrzymał wezwanie przez radio. Odebrał niechętnie. Kolejny wypadek na drodze, tym razem prawdziwa katastrofa z licznymi rannymi. Drogi już były śliskie i stawały się jeszcze bardziej śliskie od gołoledzi. Nic dziwnego, że dochodziło do wypadków, zazwyczaj wówczas, kiedy ludzie mieszkający na niżej położonych terenach usiłowali wjechać wyżej.

– Już jadę – powiedział Cody i cieszył się, że wypił mleko, a nie piwo, jak zwykle, kiedy miał wolne.

Po załatwieniu sprawy z wypadkiem drogowym Cody podzielił się z Lassiterem informacją na temat ładnej blondynki. Mówił szeptem, żeby nie słyszał go strażnik zwykle kręcący się w pobliżu.

– Blondynka – mruknął Lassiter.

– Tak. Czy gościem Bobby’ego Grata na Florydzie nie była ładna blondynka, obieżyświatka?

– Tak właśnie było.

Cody spojrział gniewnie.

– Ja też miałem coś sprawdzić, ale zapomniałem. Miała na szyi wisiołek w kształcie zaciśniętej pięści z kciukiem wystającym spomiędzy palców.

– Figa – rzucił Lassiter.

– Co?

– Taki symbol, najpierw we Włoszech miał wulgarne znaczenie, ale potem zaczęto go używać w Ameryce Południowej, gdzie nosi się go dla ochrony przez złem.

– Teraz pamiętam – przypomniał sobie nagle Cody. – Oglądałem program na Amazonie i jeden z gości miał coś takiego. Prowadzący rozmowę spytał go, co to jest, a mężczyzna wyjaśnił. Nic dziwnego, że wisiołek wydał mi się znajomy.

– Więc już wiemy, kto jest trzecim członkiem grupy Granta – stwierdził Lassiter. – I co teraz?

– Po kolei. Jest bratanek Owensa, blondynka i tak zwany świadek, który twierdzi, że widział, jak pan Whatley napadł na

bank. Nie mogę nikogo aresztować, nie mając dowodów. Na razie to wyłącznie podejrzenia.

– Gdy tylko dostaniemy raport z autopsji siostry Violet Henry, Candy, może będziemy mieć coś więcej. Jeżeli blondynka pochodzi z Ameryki Południowej i zna się na trujących substancjach, znajdzie się sposób na to, żeby wykazać jej związek z morderstwem. Zależnie od tego, czy nadal da się wykryć truciznę w organizmie Candy i czy można ją powiązać z konkretnym miejscem lub osobą. Musimy odnaleźć pisemny dowód podróży blondynki. Jeśli była niedawno w Denver, to już początek.

– Niech pan sprawdzi bilety samolotowe – powiedział Lassiter. – Jak ona się nazywa?

– Przedstawiła się jako Bella Cain.

– To już coś – rzekł Lassiter z uśmiechem. – Niezły początek.

Cody wstał.

– Tak.

Lassiter przyglądał mu się w milczeniu.

– Może pan zadzwonić do koronera w Denver i poprosić, żeby zatrzymał wszystkie możliwe dowody. Trzeba je przesłać do laboratorium kryminalistycznego FBI. Ci goście potrafią prześledzić historię pojedynczego włosa aż do Adama i Ewy.

Cody się zaśmiał.

– To prawda. Zwrócę na to uwagę. – Zerknął na Horace'a, który zapadł w drzemkę. – Niech pan nie traci czujności –

powiedział cicho.

– Nigdy tego nie robię.

Cody kiwnął głową i zostawił Lassitera, myśląc o tym, jak łatwo dał się nabrać fałszywej policjantce. Zaskoczyła go własna naiwność. Kobieta była dokładnie taka jak Debby. Jednak tym razem nie wpadł w pułapkę. Był mądrzejszy. No i stale gdzieś z tyłu głowy miał Abby. Skrzywił się. Abby, która go skreśliła, myśląc, że ją zamienił na ładną blondynkę. Teraz bardziej niż kiedykolwiek żałował swojego zachowania.

Widok Cody'ego wstrząsnął Abby, choć szybko się otrząsnęła. Była dumna, że zdołała zachować obojętność. Wycieczka z Lassiterem była bardzo niewinna i sprawiła ogromną przyjemność Lucy. Wybrali się też do kina na film rysunkowy, który zachwycił dziewczynkę. Lassiter lubił dzieci. To było zaskakujące u takiego samotnika. Miał złożoną osobowość, a Abby szczerze go polubiła. Ale była zakochana w Codym Banksie, który, jak wszystko na to wskazywało, romansował z jasnowłosą policjantką.

Siedziała przy biurku, pracując i dumając. Kilka dni wcześniej w kancelarii pojawił się bratanek pana Owensa, błagając o pieniądze. Tymczasem poprzedniego dnia wmaszerował tu w drogich markowych dżinsach i podobnej koszuli i oznajmił wujowi, że ma świetną nową pracę i sam sobie poradzi. Najwyraźniej był na haju, bo przekazał swoje wieści głośno w obecności wszystkich pracowników kancelarii, używając słów, na wspomnienie których Abby nadal się czerwieniła.

Od tamtej pory pan Owens był dziwnie zatroskany, widziała go w lokalnej kawiarni z jednym z zastępców prokuratora okręgowego. Nie słyszała, o czym rozmawiali, ale później pan Owens wyglądał, jakby na barkach dźwigał ciężar całego świata.

Kiedy zamieszanie w kancelarii się skończyło, Marie przysiadła obok Abby. Bratanek pana Owensa wyszedł z kancelarii, trzaskając drzwiami, a biedny pan Owens wrócił do swojego gabinetu.

– Krąży plotka – zaczęła Marie szeptem – że bratanek pana Owensa ma konszachty z kimś stąd, kto planuje pozbyć się pana Whatleya.

Abby szczęka opadła.

– Marie, skąd, na Boga, wiesz takie rzeczy?

– Mój mąż ma pewne dość podejrzane kontakty, co nie znaczy, że sam jest na bakier z prawem, w końcu jest praktykującym prokuratorem. Tak czy owak – ciągnęła – mówi się, że jakiś człowiek z Florydy zapłacił bratankowi pana Owensa i jeszcze dwóm osobom, w tym jakiejś kobiecie, żeby pozbyli się pana Whatleya, bo wtedy jego siostra będzie jedyną spadkobierczynią majątku.

– Powinnaś o tym komuś powiedzieć! – zawołała Abby.

– Komu? Jak powiem szeryfowi, będzie chciał wiedzieć, skąd mam takie informacje – odparła żałośnie Marie. – Mój mąż już powiedział, że wszystkiemu zaprzeczy, jeśli ktoś go o to zapyta. Lubi swoją pracę – dodała z długim westchnieniem.

Abby ściągnęła wargi i zmrużyła oczy.

– Chyba znam kogoś, kto może pomóc – oświadczyła.

– Posłuchaj, wiem, że przyjaźnisz się z Codym Banksem – zaczęła Marie.

– Nie, chodzi o kogoś innego, kto zachowa to dla siebie. On też ma znajomości. Obiecuję, że nie wspomnę o tobie ani o twoim mężu.

Marie trochę się uspokoiła.

– Dzięki – powiedziała cicho. – Wszystkie małżeństwa przechodzą różne etapy – dodała tajemniczo. – Nie chcę, żeby Matthew dorastał bez ojca. I kocham mojego durnego męża, bez upiększeń.

– Jesteś wielką szczęściarą – powiedziała Abby z zazdrością. Kiedyś marzyła o małżeństwie i dzieciach. Teraz musi się zadowolić małą bratanicą, nie córką, i życiem bez mężczyzny. No i dobrze, pomyślała. Cody najwyraźniej już się nią nie interesował.

Abby zaczekała do momentu, gdy, jak wiedziała, Cody miał być w sądzie, i wtedy wybrała się do aresztu, żeby zobaczyć się z Lassiterem.

Strażnik, podejrzliwy i wścibski człowiek, wpuścił ją do celi Lassitera, ale stał w zasięgu ich głosu, co Abby wydało się dziwne. Lassiterowi przeciwnie.

Udawała, że przyszła zobaczyć, jak on się czuje i czy niczego mu nie potrzeba. Nieoczekiwanie do biura weszła drobna

blondynka, która nagabywała Cody'ego. Abby ją zobaczyła, choć ta druga miałaby kłopot, żeby ją dojrzeć w celi Lassitera. Blondynka dała jakiś znak strażnikowi, który za nią wyszedł.

– Powiem to szybko – zaczęła Abby, nachylając się do Lassitera. – Bratanek pana Owensa przyszedł do kancelarii w drogich markowych ciuchach i zrobił koszmarną scenę. Potem moja znajoma – dodała, chroniąc Marie – powiedziała mi, że jakiś człowiek z Florydy, który siedział w więzieniu, został z niego wypuszczony i zapłacił trzem osobom w Catelow, w tym bratankowi Owensa, a także jakiejś kobiecie, żeby pozbyli się pana Whatleya.

– Dziękuję – odparł Lassiter. – Sprawdzę to.

Policjantka się odwróciła i wyszła zwawym krokiem, a zdezorientowany strażnik zawrócił w kierunku cel.

– Przepraszam, ale to mu trochę namiesza. – Lassiter gwałtownie przyciągnął Abby, kładąc rękę na jej karku, i zaczął ją namiętnie całować.

Strażnik, przestraszony, że umknęło mu coś ważnego, co powinien wiedzieć, tylko wytrzeszczał oczy. Uspokoił się, zaśmiał pod nosem i odchrząknął.

Lassiter uniósł głowę i spojrzał w jego stronę.

– Ona powinna już wyjść – rzekł strażnik, wskazując na Abby.

– Tak, powinnam. – Uśmiechnęła się do Lassitera. Lubiała go, ale pocałunek był ledwie przyjemny. Żadnych dreszczy, żadnych zawrotów głowy. Nie obudził jej zmysłów.

Lassiter odczuł to identycznie jak Abby. Szkoda, pomyślał. Była kobietą, którą by uwielbiał. Z drugiej strony nigdy nie pasowałyby do jego brutalnego świata.

– Proszę mnie znów odwiedzić – szepnął.

– Na pewno. Upiekę ciasto i ukryję w nim pilnik do paznokci – powiedziała na tyle głośno, by strażnik ją słyszał.

– Żadnych pilników – rzucił. – Mamy tu wykrywacz metalu. – Wskazał na urządzenie tuż przed wejściem do celi.

– No cóż, w takim razie wymyślę coś bardziej oryginalnego. – Posłała strażnikowi kokieterijne spojrzenie.

Zmierzył ją wzrokiem.

– Do zobaczenia – powiedziała do Lassitera.

– Tak, z pewnością – zapewnił ją.

Kiedy Cody wrócił do biura, strażnik złożył mu raport, donosząc, że Lassiter miał gościa.

– Blondynkę – powiedział.

– Tę policjantkę? – przerwał mu Cody, zaniepokojony, że kobieta już wie, iż jest podejrzaną.

– Nie, policjantka wpadła, żeby spytać, czy pójdzie pan z nią coś zjeść, ale pana nie było, więc musiała wracać do pracy. Tamta to była inna blondynka. Szczupła, z długimi włosami. Poszła do Lassitera. Chyba coś ich łączy, bo całowała go w celi, i to jak.

Cody poczuł, że eksploduje. Przejazdźka z Lassiterem to jedno. Pocałunki wskazywały na większą zażyłość. Czuł się, jakby spadł z dużej wysokości. To nie było miłe uczucie. Stracił Abby. Zaś ładna blondynka, która, jak się wydawało, była nim zainteresowana, próbowała jedynie zabić jego więźnia i chciała mieć Cody'ego na oku. Kompletnie się załamał.

– Co z panem Whatleyem? – spytał w zamyśleniu.

– Whatley? Śpi. Dużo śpi.

Serce Cody'ego zabiło mocniej. Odprawił strażnika i mijając celę Whatleya, wszedł do Lassitera.

– Czy ktoś był w jego celi? – spytał, zniżając głos.

Lassiter podniósł wzrok, skrzywił się i wskazał na swój telefon.

– Przepraszam, byłem zajęty. Strażnik przeniósł Horace'a do dalej położonej celi, kiedy u niego sprząтали.

Cody wrócił do Whatleya z grymasem przerażenia i otworzył drzwi. Horace leżał na pryczy z zamkniętymi oczami.

– Panie Whatley? – odezwał się Cody.

Horace otworzył oczy i zamrugał.

– O, cześć, szeryfie. – Usiadł i ziewnął. – Źle spałem w nocy, więc postanowiłem się zdrzemnąć. Teraz czuję się dużo lepiej.

– Miło mi to słyszeć – rzekł Cody.

– Szeryfie, ma pan chwilę? – zawołał Lassiter, kiedy Cody kierował się do wyjścia.

Cody miał chęć chwycić go za spodnie i wyrzucić na ulicę tylnymi drzwiami. Musiał jednak pamiętać, że jest urzędnikiem państwowym. Zawrócił do celi.

– Może pan wejść? – spytał Lassiter, kiedy Cody stał jak przyklejony do podłogi.

– Może mi pan powiedzieć przez kraty, co ma pan do powiedzenia? – burknął Cody.

Lassiter wydawał się rozbawiony.

– Nie za bardzo.

Cody zastanawiał się, czy wejść do celi, gdzie siedział człowiek, któremu bardzo chciał zrobić krzywdę.

– To nie to, co pan myśli – zaczął Lassiter, zauważając powściąganą wściekłość Cody'ego i odgadując jej powód. Zniżył głos. – Jeśli mnie pan zabije, ktoś zauważy, że kopie pan dół na tyłach aresztu.

Miał tak anielski wyraz twarzy, że Cody mimo woli wybuchnął śmiechem. Wszedł do celi i podszedł do Lassitera.

– Trafna ocena – zauważył.

– Przecież wiem, czym jest ta mordercza wściekłość – rzekł Lassiter żartobliwie i spojrział ponad ramieniem szeryfa na strażnika.

Cody to zauważył.

– Jones, niech pan idzie coś zjeść.

– Ale szeryfie, nie wychodzę na lunch o tej...

– Niech pan idzie teraz, jak powiedziałem – przerwał mu Cody, zniżając głos.

Strażnik głośno przełknął ślinę. Spojrzenie jego ciemnych oczu było niczym naładowana broń wycelowana w Cody'ego.

– Już idę.

Cody i Lassiter patrzyli, jak strażnik niechętnie wychodzi i zamyka drzwi.

– Co jest? – spytał Cody.

– Wróci, gdy tylko szybko coś przełknie. Odbił krótką pogawędkę z pana znajomą policjantką, a potem wlepił w nas swój sokoli wzrok. Tak, pocałowałem Abby, żeby odwrócić jego uwagę. Nic więcej – dodał żarliwie. – Słuchał każdego słowa, jakie wypowiedzieliśmy. Nie wiem, o czym rozmawiał z blondynką. Poza tym Abby miała informacje.

– Jakie informacje?

– Wygląda na to, że Grant opłacił dwóch mieszkańców Catelow i jakąś kobietę... obaj wiemy, o kim mowa... żeby zabili pana Whatleya – powiedział cicho, żeby Whatley w sąsiedniej celi go nie usłyszał.

– Co?! – zawołał Cody. – Skąd ona to wie?

– Nie zdradziła. Ale twierdzi, że to wiarygodne źródło. Dowiedziała się tego od kogoś, czyja druga połówka ma kontakty z gangiem. Co znaczy, że przynajmniej jeden ze współników Granta też je ma.

– Szlag – mruknął Cody pod nosem. – Cóż, przynajmniej wiemy, kim oni są. Jack Owens i tak zwany świadek, który widział, jak Horace napadł na bank. Trzecia osoba jest aż nazbyt oczywista. – Pokręcił głową. – Powinienem był ją sprawdzić. To było głupie z mojej strony.

– Wszyscy popełniamy błędy – rzekł Lassiter. – Nawet dla mnie wyglądała uczciwie.

– Dla mnie też, z początku.

– Jedna z moich rozmów przynosi nadzieję. Dziś rano robią autopsję siostry panny Henry, wkrótce powinniśmy poznać wyniki. Z kolei jeden z naszych ludzi w Denver przesłuchuje pracowników restauracji, gdzie Candy, siostra panny Henry, była na randce tego wieczoru, kiedy zginęła.

– Niech lepiej się pośpieszy – rzekł Cody. – Albo zginie więcej osób... choć nie widzę w tym logiki. Bobby Grant nie siedzi już w kieszeni u siostry pana Whatleya.

– Zapewne ma nadzieję, że jeszcze tam wróci – odparł ponuro Lassiter. – Perswazją albo siłą. Proszę pamiętać, że Nita się go boi. Nie mogli go zatrzymać w więzieniu na Florydzie za napaść, bo za bardzo bała się zeznać przeciwko niemu. Potem uwolniła go ta współczująca sędzia.

– Co za burdel. – Cody głęboko westchnął.

Drzwi wejściowe trzasnęły, wrócił strażnik.

– Będę pilnować innych więźniów, szeryfie – powiedział natychmiast.

– Nigdy nie widziałem, żeby ktoś, kto nie umiera z głodu, jadł tak szybko – zauważył oschle Lassiter, lecz tak, by strażnik go nie słyszał.

Cody, który stał plecami do strażnika, zrobił minę.

– Cóż, wracam do pracy, skontaktuję się z pańskim ojcem w sprawie tego kontaktu na Florydzie – dodał zamyślony.

Lassiter szybko zrozumiał.

– Koniecznie. Ojciec ma coś na jednego ze współpracowników Granta – dodał dość głośno, żeby tym razem dotarło to do strażnika.

– Dowiem się, o co chodzi. Sprawy szybko stanęły na ostrzu noża – dodał Cody ze śmiechem. – Polecą głowy, obiecuję panu.

– Niech pan pilnuje swojej – odparł Lassiter.

– A pan niech przestanie całować moją dziewczynę – rzekł nieoczekiwanie Cody, po czym się zaczerwienił, bo jakoś mu się to wymknęło.

Lassiter się zaśmiał.

– Rozważę to – powiedział. – Radzę uważać na kuzyna. Ja nie zamierzam się w tej chwili żenić, ale Bart Riddle i owszem. Jeśli pan wie, o czym mówię.

Oczy Cody'ego zapłonęły.

– Zajmiemy się tym – mruknął, wychodząc z celi. Zatrzymał się obok celi Whatleya, ale ten smacznie spał. Cody zostawił obu mężczyzn i udał się do swojego biura.

Kilka minut później strażnik zajrzał do pokoju szeryfa.

– Szeryfie, z panem Whatleyem chyba coś nie tak – powiedział.

Cody natychmiast poderwał się na równe nogi i pobiegł do celi. Spojrzał na Lassitera, który stał za kratami z poważną miną. Posłał Cody'emu znaczące spojrzenie.

Cody otworzył celę i wszedł do środka. Whatley był niemal w stanie śpiączki.

– Niech pan wezwie karetkę! – krzyknął do strażnika. – I żeby się pośpieszyli.

– Tak, szeryfie.

Cody zaczął robić sztuczne oddychanie przy pomocy maseczki z ustnikiem, którą stale nosił przy pasie policyjnym, na przemian z uciskaniem klatki piersiowej.

– Widział pan coś? – spytał Lassitera.

– Nie, i strażnik się do niego nie zbliżał – odparł zmartwiony Lassiter.

Cody robił sztuczne oddychanie do chwili przyjazdu karetki, potem pojechał z nimi do szpitala.

Lekarz dyżurny był bardzo skrupulatny, zlecił badania krwi, prześwietlenie, a nawet rezonans magnetyczny, żeby się upewnić, czy nie ma ukrytych urazów głowy.

– Proszę sprawdzić, czy nie ma żadnej substancji trującej.

Lekarz, który zwykle dyżurował w izbie przyjęć, był kiedyś lekarzem wojskowym. Lokalna społeczność darzyła go ogromną sympatią.

– Podobnie jak poprzednim razem. – Wraz ze swoimi kolegami pracował nad tym, żeby Horace mógł normalnie oddychać.

– Tak, i nikt niczego nie widział – ze złością stwierdził Cody.

– Pan wie, co trzeba zrobić.

– Owszem. Dokładnie sprawdzimy wszystkich, którzy przynosili mu coś do jedzenia, a pan dokładnie zbada zawartość jego żołądka.

– Właśnie tak – rzekł lekarz.

– Będzie żył?

– Tak, będzie żył.

– Tylko niech pan koniecznie zachowa odpowiednią ilość próbek dla laboratorium FBI – poprosił Cody. – Ta sprawa wymaga działania wielu osób, i to nie tylko w naszym mieście, zanim ją zakończymy.

– Dopilnuję tego. Niech pan na siebie uważa – dodał lekarz.

Cody pokazał mu uniesiony kciuk i wyszedł. Był wściekły. To się zdarzyło pod jego nosem. I to dwa razy. Jeśli strażnik nie miał z tym nic wspólnego, to kto był winny?

Mimo wszystko Cody rozpoczął od przesłuchania strażnika.

– Dziś rano rozmawiała z panem ta policjantka, blondynka – zaczął bez zbędnych wstępów. – Lassiter mówił mi, że tu była.

– Och, no tak, proszę pana, była tu – wygadał się strażnik.

– Po co?

– Szukała pana – odparł. – Pytała, czy pan dziś będzie w biurze, bo chce z panem porozmawiać o jakiejś poważnej sprawie. Powiedziałem, że będzie pan cały dzień.

– Co pan Whatley dziś jadł?

Strażnik wzruszył ramionami.

– Nie miał za bardzo apetytu. Zjadł smażonego kurczaka i kawałek ciasta, które przyniosła pani Julia – powiedział. – Ale wiemy, że ona nie otrułaby swojego szefa. Myślę, że ona się w nim podkochuje.

Cody się skrzywił.

– Potrzebuję resztę ciasta. Resztki kurczaka pewnie pan wyrzucił?

– Nie ma po co tego trzymać. Zostały tylko kostki.

– A ciasto? – nalegał Cody, patrząc na niego wzrokiem, który domagał się odpowiedzi.

– To... no... też chciałem wyrzucić. Włożyłem do woreczka w kuchni...

Z każdą chwilą było gorzej. Cody szybko minął strażnika i znalazł ciasto w torbie leżącej na koszu do śmieci. Dziękował

Bogu, że strażnik nie zdążył ukryć tego, co prawie na pewno stanowiło dowód w sprawie.

Chwycił torbę.

– Ja się tym zajmę – rzucił.

Strażnik się zaczerwienił.

– Jest prawie zjedzone – upierał się.

– Nie zamierzam go jeść – odparł szorstko Cody. Wyszedł z pokoju, kiwnął głową Lassiterowi i ruszył do szpitala.

Oddał ciasto do badania, prosząc techników, żeby nie wyrzucali tego, czego nie zużyją, ponieważ jeśli ciasto zostało zatrute, będzie musiał wysłać próbkę do laboratorium kryminalistycznego FBI.

Wszyscy nadstawili uszu. To było znane laboratorium.

Cody czekał, aż lekarz wróci z wynikami. Nie trwało to długo.

– Jak się ma pan Whatley? – spytał Cody.

– Przeklinał na czym świat stoi – zaśmiał się lekarz. – Ja też bym przeklinał na jego miejscu. Robiliśmy mu płukanie żołądka. Zachowałem próbki dla naszego laboratorium i dla FBI. Wyniki powinny być lada moment. – Gdy mówił, patrzył na swój telefon komórkowy. Kiedy rozległ się sygnał wiadomości, kiwnął głową. – Bardzo wyjątkowa trucizna, roślina, którą można znaleźć tylko w Ameryce Południowej – poinformował.

Cody klepnął go w ramię.

– Będę o panu pamiętał w swoim testamencie.

– Okej – padła odpowiedź. – Zapamiętam, że pan to powiedział – dodał lekarz ze śmiechem. – Chyba pora, żeby wybrał się pan na polowanie i przyrządził gulasz z sarniny. Podobno jest tu sławny.

– To prawda – odparł Cody. – Dziękuję za tak szybką pracę. Czy Horace dojdzie do siebie?

– Dotarł do nas w odpowiednim momencie, ale to paskudna substancja. Nie jest tak znana jak, powiedzmy, kurara, która pochodzi od drzewołazowatych. – Potrząsnął głową. – Do diabła, Cody, trzeba by być botanikiem, żeby w ogóle wiedzieć, że jest taka trująca roślina.

– Mam przeczucie, że znajdę tego gagatka – powiedział Cody z uśmiechem. – Będę w kontakcie.

– Wie pan, gdzie jesteśmy, gdyby nas pan potrzebował. Mogę też złożyć zeznania jako świadek, to tylko do pańskiej wiadomości.

– Dziękuję, przekażę to zastępcy prokuratora okręgowego, który nad tym pracuje.

Później tego samego dnia do Cody'ego dotarł raport na temat siostry Violet Henry. W jej szczątkach wciąż znajdowała się trucizna pochodząca z rzadkiej południowoamerykańskiej rośliny.

Cody podziękował lekarzowi, który do niego zadzwonił na prośbę Violet.

– Wysyłamy naszą próbkę do laboratorium FBI. Byłoby bardzo wskazane, żebyście państwo zrobili to samo z waszą próbką pobraną z ciała Candy Henry.

– Oczywiście to zrobię.

– Zadzwońię do Denver i poproszę, żeby to od pana odebrali. Jeszcze raz dziękuję.

Cody rozłączył się i wykonał kolejne telefony.

Kiedy skończył, poszedł do celi Lassitera.

– Horace zostanie jeszcze ze dwa dni w szpitalu, pod strażą, więc nie ma potrzeby, żeby pan tu siedział.

– Dzięki, powoli dostaję klaustrofobii. – Lassiter się zaśmiał. – Dzięki Bogu, że coś znaleźli podczas autopsji Candy Henry. Będzie konkretny dowód. Sprawdził pan nazwisko, jakie podała panu ta blondynka?

– To ślepa uliczka – musiał przyznać Cody. Zmarszczył czoło z namysłem. – Dwa dni temu powiedziała, że zostawiła wóz patrolowy u kuzyna i przyjechała tu sportowym autem, żeby wypić ze mną kawę. – Zerknął na drugiego mężczyznę. – Zastanawiam się, czy ma tu jakąś rodzinę.

Cody wrócił do swojego pokoju i wyszukał pewien miejscowy numer. Wybrał go. Jeden z jego zastępców mieszkał obok małego domu wynajętego przez Jacka Owensa, bratanka adwokata Jamesa Owensa.

– Cześć, Bob – powiedział, kiedy oficer odebrał. – Mam dla ciebie zadanie.

– Super – odparł oficer. – A co dostanę w zamian? Lepszą zbroję? Większy miecz? Czy złote...

– Dostaniesz zapłatę poniżej normy i klepnięcie w plecy. Pod warunkiem, że coś znajdziesz. Niech będą dwa klepnięcia – rzekł Cody. – Widzę, że nadal siedzisz w tej grze fantasy.

– Jest znakomita. Bardzo się cieszę, że ją odkryłem – zachwycił się zastępca. – Oczywiście nie jem i nie śpię, ale kto by się tym przejmował. W ciągu jednego dnia pokonałem dziesięć poziomów.

Cody zaśmiał się mimo woli.

– Brawo.

– Co miałbym zrobić? Przyjechać do biura?

– Nie ma takiej potrzeby. Chcę, żebyś przejechał obok domu wynajmowanego przez Jacka Owensa i zobaczył, czy nie stoi tam na podjeździe zielony sportowy kabriolet.

– Chciałbym, żeby parkował na moim podjeździe. – Bob westchnął. – Ścigałbym się nim.

– Nie w moim hrabstwie – odparował Cody. – Ruszaj się.

– Zaraz tam pojedę. I tak muszę nabrać paliwa do mojego auta.

– Dobry z ciebie człowiek. Zadzwoń, jak coś zobaczysz.

– Jasna sprawa.

Cody i Lassiter odbyli długą dyskusję na temat komputerów, czekając na telefon. W końcu zadzwonił.

– Szefie? – odezwał się Bob, kiedy Cody odebrał.

– I co? – spytał niecierpliwie Cody. – Jest tam? Mały zielony sportowy samochód?

– Tak, szefie – odparł Bob. – Niech pan zgadnie, co jeszcze tam było?

– Mów.

– Wygląda na to, że mieszka tam ten tak zwany świadek, przez którego pan Whatley siedzi za kratkami – oznajmił Bob. – Byli obaj na zewnątrz, odgarniali śnieg, żeby zabrać samochód z podjazdu. Trochę im to zajmie, bo pada jak cholera. Może by złapać rybkę na haczyk? – spytał ze śmiechem.

– Awansuję cię, jak obaj dołączymy do Legii Cudzoziemskiej i będę oficerem – obiecał Cody. – Na razie jestem ci winien dwa klepnięcia w plecy. Możesz je dostać, kiedy zechcesz. – Rozłączył się.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Cody czuł, że wreszcie wszystkie fragmenty układanki zaczynają do siebie pasować. Zadzwoił do Dana Brady'ego, szefa policji w Lake Luna na Florydzie, który był głęboko zaangażowany w sprawę Bobby'ego Granta.

– Wie pan może, gdzie jest teraz Bobby Grant? – spytał od razu Cody.

– Och, mam nadzieję, że ma pan dobry powód, żeby o to pytać – odparł szef. – Ma pan?

– Trucizna – odparł Cody. – Candy Henry została otruta. Próbowano też otruć Horace'a Whatleya, i to po raz drugi, tyle że tym razem wiemy, co to za substancja. – Przedstawił szczegóły.

– Rzadka roślina z Ameryki Południowej. Czemu to brzmi znajomo... No tak, ta blondynka, o której panu wspominałem, która była w bliskich stosunkach z Bobbym Grantem. Jej ojciec jest botanikiem. Pochodzi z Manaus, to chyba gdzieś w głębi Amazonii.

– Botanik. – Cody się uśmiechnął.

– Dokładnie wiem, gdzie jest Bobby Grant, mamy go stale pod obserwacją.

– Musicie tam mieć naprawdę dobre władze, biorąc pod uwagę wasze nadgodziny – zauważył Cody.

– Bynajmniej. – Dan się zaśmiał. – Mam paru znajomych, których większość ludzi nie chciałaby spotkać. Pomagają, kiedy nie mają akurat zleceń.

– Miło mieć takich przyjaciół.

– Co z Horace'em? – spytał szef policji. – W porządku?

– Tak, on też jest pod obserwacją. A w naszym mieście gości pańska blondynka – dodał ponuro. – Należy do trójki osób zatrudnionych przez Bobby'ego Granta. Ich zadaniem jest pozbycie się Whatleya. Grant planuje, tak mi przynajmniej powiedziano, odzyskać Nitę pochlebstwem albo siłą, cokolwiek zadziała.

– Po moim trupie – rzekł z wściekłością Dan Brady.

– Potrzebuję tylko dowodów, żeby zdobyć nakaz aresztowania – powiedział mu Cody. – Pomaga mi też były profesor MIT – dodał, patrząc z uśmiechem na Lassitera.

– Kto to jest?

– Jego ojciec prowadzi agencję detektywistyczną w Houston w Teksasie.

– A, ten młody człowiek. Tak, poznałem go. Rozmawiał ze mną o sprawie, kiedy Nita była wciąż z Bobbym Grantem. Inteligentny gość. I co, łapie oszustów?

– To, co nas różni, sprawia, że świat się kręci – stwierdził Cody.

– Tak mówią. Proszę mnie informować na bieżąco, co się dzieje.

– Nie ma problemu. Proszę na siebie uważać.

– Pan też niech uważa – rzekł Brady. – Jeśli dostali pieniądze albo mają je obiecane, i ta blondynka jest w to zaangażowana, to kiedy pan zacznie ich aresztować, wszyscy wokół pana znajdą się w niebezpieczeństwie. To może być jakiś ich wspólnik, o którym pan nie wie. A o tej blondynce mówi się, że jest mściwa. A mści się paskudnie. Będzie chciała uderzyć w pański najsłabszy punkt.

Cody natychmiast pomyślał o swoich trzech dziewczynach, Abby, Hannie i Lucy. Nagle ożył w nim instynkt posiadania tak silny jak śmierć. Jego dziewczyny i jego stary pies. To były jego najsłabsze punkty. Gdy zaczną aresztować winnych, musi zapewnić im bezpieczeństwo.

Przygotowanie planu akcji zajęło Cody'emu i Lassiterowi kilka dni. Lassiter miał przyjaciela, który właśnie zakończył jedną pracę i jeszcze nie zaczął nowej, więc zadzwonił do niego z prośbą o pomoc. Zastępca Cody'ego został wyznaczony do pilnowania triumwiratu w domu Jacka Owensa. Cody wybrał się do kancelarii Jamesa Owensa, wuja jednego z głównych podejrzanych.

Kiedy wszedł, Abby pracowała przy biurku. Zatrzymał się, ale ona udała, że go nie widzi. Ze smutnym westchnieniem

podszedł do recepcjonistki, pytając, czy może rozmawiać z panem Owensem.

Nie musiał czekać, od razu go poproszono do gabinetu adwokata.

– Niech pan siada, Cody – powiedział cicho Owens. – Spodziewałem się pana.

– Wie pan, co zamierza pański bratanek? – spytał Cody.

Owens potrząsnął głową.

– Wiem, że jest zaangażowany w jakieś nielegalne działania, ale nie znam szczegółów – odparł. – Mój brat przewraca się w grobie, widząc, co się stało z jego jedynakiem. To są skutki zbytnej pobłażliwości i rezygnacji z roli ojca. Tom chciał być najlepszym przyjacielem syna. A on nie potrzebował przyjaciela, tylko ojca.

Cody wziął głęboki oddech.

– Na pewno robił, co w jego mocy – rzekł.

– Matka starała się dyscyplinować Jacka, ale zmarła, gdy miał zaledwie siedem lat. Zostali we dwóch, Tom i Jack. Tom potwornie rozpuścił syna. Zanim Jack skończył średnią szkołę, co najmniej pięć razy płacił za niego kaucję, żeby go wykupić z aresztu. I zawsze twierdził, że to ktoś inny był winny. Zwykle to policja prześladowała chłopaka – powiedział Owens, przewracając oczami.

– Sam raz czy dwa go przymknąłem – przyznał Cody. – Głównie za drobne wykroczenia. Jim, ale tym razem nie chodzi

o drobne wykroczenie – dodał cicho. – Chodzi o spisek, który ma na celu zabójstwo. Nie muszę mówić, ile lat więzienia może go czekać tylko za to.

Owens pokiwał głową.

– Rozmawiałem już na ten temat z Markiem Sessionsem, zastępcą prokuratora okręgowego. Jego śledczy pracuje nad sprawą. Może się pan z nim skontaktować. – Uśmiechnął się ze smutkiem. – Jest nieprzekupny. Tak jak pan.

– Zrobię to. Muszę też porozmawiać z Julią Donovan. Pan Whatley zatruł się po raz drugi, tym razem ciastem, które mu przyniosła – powiedział Cody.

– Ale Julia jest w nim zakochana do szaleństwa! – zawołał James i zaśmiał się na widok miny Cody’ego. – Moja gospodyni ją zna – wyjaśnił. – Zwierzają się sobie. Powiedziała, że Horace też coraz bardziej zwraca uwagę na Julię. Romans powoli się rozwija. Dwoje samotnych ludzi stara się znaleźć do siebie drogę.

– Byłoby miło, gdyby im się udało – stwierdził Cody. – Ale muszę z nią porozmawiać, chociaż nie mam na to ochoty. I nie chcę iść tam sam, bo wyglądałoby to, jakbym chciał ją nastraszyć.

Owens ściągnął wargi, udało mu się wyglądać całkiem niewinnie.

– Może pan wziąć ze sobą Abby – powiedział. – Będzie robiła notatki, jeśli pan tego potrzebuje.

Serce Cody'ego zabiło mocniej. To może być jego jedyna szansa, by znów zbliżyć się do Abby i naprawić szkody, które wyrządził swoją nieobecnością. Z każdym dniem czuł się bardziej winny. Zwłaszcza teraz powinien być blisko swoich dziewczyn.

– Dobry pomysł. Pod warunkiem, że ona się zgodzi – dodał cicho Cody. – Ostatnio miałem mnóstwo osobistych problemów i trochę odsunąłem się od ludzi.

Owens nacisnął przycisk interkomu.

– Abby, możesz tu przyjść, proszę? – spytał.

Odpowiedziała i po dwóch minutach, po krótkim stukaniu do drzwi, weszła do gabinetu.

Choć serce jej waliło, starała się zachować obojętność. Kiedy weszła do pokoju, obaj mężczyźni wstali. Staroświecka uprzejmość, rzadko spotykana w tych czasach. Abby poczuła miłe ciepło i się uśmiechnęła.

– Tak, panie Owens? – spytała.

Cody, który stał blisko niej, był poruszony. Zbyt długo nie czuł tego wyjątkowego kwiatowego zapachu jej skóry. Jasnowłosa policjantka nie działała na jego zmysły, Abby natychmiast obudziła je do życia.

– Szeryf potrzebuje kogoś, kto z nim pójdzie do Julii Donovan i będzie robił notatki podczas rozmowy.

– Och? – Szukała słów, lecz nagle oniemiała.

– Prowadzę śledztwo w sprawie usiłowania morderstwa – wyjaśnił.

– Och, biedny pan Whatley – powiedziała Abby, kiwając głową, bo już wszyscy w tym małym mieście wiedzieli, że Horace został zatruty. – Jak on się czuje?

– W porządku. Ale trucizna była w cieście, które przyniosła mu Julia.

– Przecież ona się w nim kocha – zaprotestowała Abby i w końcu spojrzała w ciemne oczy Cody'ego swoimi jasnymi oczami. – Nigdy by go nie skrzywdziła.

– Wiemy o tym – odparł pan Owens. – Ale każda osoba, która mogła mieć związek z próbą zabójstwa, musi zostać przesłuchana i zgłoszona.

– Rozumiem – rzekła Abby.

– Więc pójdiesz z Codym? – spytał pan Owens.

– Skoro mnie potrzebuje – zgodziła się, ignorując Cody'ego, który stał obok niej.

– Chciałbym, żebyś ze mną poszła – rzekł w końcu. – Julia będzie się lepiej czuła w towarzystwie drugiej kobiety. Jesteś teraz wolna? – spytał.

– Tak, jest wolna – powiedział pan Owens, uśmiechając się do Abby. – Do końca dnia pracy zostały dwie godziny, a to, nad czym teraz siedzi, będzie mi potrzebne dopiero na pojutrze. Weź swoje rzeczy i idź z Codym, jeśli nie masz nic przeciwko.

– Nie mam nic przeciwko – odparła z walącym sercem.

– Dziękuję, Abby – powiedział Owens.

– Będziemy w kontakcie – rzekł Cody, uśmiechając się do niego.

Owens westchnął.

– Tego się właśnie obawiam – odparł, i mimo wszystko też postarał się o uśmiech.

W samochodzie szeryfa Abby siedziała sztywno jak posąg. Nie znajdowała słów na wyrażenie swoich uczuć, on najwyraźniej też miał z tym kłopot, gdyż milczał aż do skrzyżowania, które prowadziło na ranczo Horace'a Whatleya.

– Wiesz, kto tak naprawdę otruił pana Whatleya? – spytała w końcu Abby.

– Tak – odparł. – To nie Julia.

– Dzięki Bogu.

Spojrzał na jej dłonie, które trzymała na kolanach, nerwowo wykręcając palce. Miała na sobie ładne spodnie, do których włożyła czarne botki, niebieską jedwabną bluzkę i gruby kruczoczarny wełniany płaszcz. Była wyraźnie zdenerwowana jego bliskością.

– Chodzi o Debby. – Poczul, jak palą go policzki. Próbował w ten sposób wyjaśnić, czemu tak długo unikał Abby.

– Debby? – wyjąkała, odwracając się do niego.

– To dla mnie trudne, nie rozmawiam o tak osobistych sprawach. W każdym razie niewiele. Debby mnie zdradziła. Przez wszystkie te lata stawiałem ją na piedestale. Nigdy nie

wiedziałem, co naprawdę do mnie czuła, co robiła w Denver, kiedy mnie tam nie było. Poczułem się jak głupiec. Potrzebowałem czasu, żeby sobie z tym poradzić. – Zawahał się. – Nieprawda. Nadal sobie nie radzę.

– I już nie ufasz kobietom.

– Nie powiedziałbym tego w ten sposób...

– Ale taka jest prawda, tak czy siak. – Wyrzała przez okno. Znow zaczął padać śnieg. – A ja na dodatek mam Lucy.

Przez moment serce zabiło mu mocniej.

– Abby...

– W Denver spotykałam się z bardzo sympatycznym mężczyzną, było to parę miesięcy po śmierci brata i bratowej – podjęła, nie patrząc na niego. – Mówił, że jestem wspaniałą kobietą i że bardzo by chciał się ze mną związać. A jednak dodał, że z powodu Lucy nie ma dla nas przyszłości. Nie chciał wychowywać dziecka innego mężczyzny. Nie chciał wziąć na siebie tej odpowiedzialności.

Słuchając jej, Cody poczuł się chory.

– Więc wcale ci się nie dziwię – podjęła, a nawet udało jej się uśmiechnąć. – Nie porzucę Lucy dla nikogo. Lucy, Hanna i ja mamy miejsce do życia, przyzwoite dochody i przyjaciół. Nasze życie jest w porządku – dodała. – Jestem zadowolona. Jestem pewna, że ty też jesteś zadowolony ze swojego życia. Lubisz swój dom i rutynę. Więc cóż, to znaczy, że nie zamierzałam ci się narzucać ani nic podobnego – wypaliła.

– Abby – jęknął z poczuciem winy.

– Spójrz, tam jest Julia, zamiata ganek – powiedziała szybko, wskazując na ganek od frontu domu Horace’a Whatleya.

Cody wziął się w garść i przybrał obojętną minę, chociaż emocje w nim buzowały.

– Tak, to ona – odparł, zatrzymując się tuż przy schodkach na nowo wybrukowanym podjeździe.

To był typowy stary dom mieszkalny na ranczu. Kiedy Whatley go kupił, był w opłakanym stanie, teraz został odmalowany, wykonano niezbędne naprawy i wyglądał jednocześnie na wygodny i całkiem spory. Na długim ganku stała huśtawka i kilka krzeseł, a także fotel bujany. Julia zmiatała ostatnie jesienne liście i płatki śniegu, które wylądowały na ganku.

– Witam, szeryfie! – zawołała, kiedy Cody i Abby wysiedli z radiowozu. – Czy to Abby? – Uśmiechnęła się szerzej. – Jak dobrze panią widzieć. Jak się ma Horace, szeryfie?

– Dobrze – zapewnił ją szybko i razem z Abby weszli po schodkach. – Julio, muszę pani zadać kilka pytań, a nie będą to miłe pytania.

Skrzywiła się.

– Już wiem, że to przez moje ciasto trafił do szpitala – powiedziała ze smutkiem. – Jeśli chce mnie pan aresztować...

– Dobry Boże, nie – odparł natychmiast.

Wstrzymała oddech.

– Ale to ja upiekłam ciasto, a pan tu przyjechał...

Uśmiechnął się uspokajająco.

– Chcę tylko wiedzieć, jak to ciasto do niego dotarło, kto miał z nim kontakt. Jest pani ostatnią osobą na ziemi, Julio, którą podejrzewałbym o zatrucie kogokolwiek.

– Och, Bogu dzięki. – Odetchnęła z ulgą. – Tak bardzo się o niego martwię – dodała skrzepowana. Odsunęła kosmyk ciemnych włosów, który wysmyknął się z ciasnego koka. – To najlepszy człowiek, jakiego spotkałam.

– To prawda.

– Chociaż miał kilka zwariowanych pomysłów. – Julia ściągnęła brwi. – Nie jest zły, opowiadał różne bajki, bo bardzo mu zależało, żeby się tu wpasować – upierała się. – Aż do teraz nie miał prawdziwego domu ani miejsca, gdzie naprawdę by należał. Tak dobrze poradził sobie z tym domem i z bydłem.

– Stara się pani przekonać przekonanych – powiedział łagodnie Cody. – Znam dobre strony Horace’a. Nikt nie ma nic przeciwko niemu. Cieszy się ogromną sympatią. Nawet pani nie wie, ilu mieszkańców naszego miasteczka wyraziło chęć wystąpienia w roli świadków.

– Pewnie bez sprawy w sądzie się nie obejdzie – stwierdziła ze smutkiem Julia. – Wejdźcie, zapraszam na kawę, powiem wam wszystko, co wiem o moim cieście. Na dworze jest zimno.

– Zapowiadają większe ochłodzenie – powiedziała Abby z uśmiechem. – Prognozy mówią też o dalszych opadach śniegu.

– Cóż, jesteśmy w Wyoming – odparł Cody ze śmiechem. – Tutaj zimy są śnieżne i zimne.

– To prawda – zgodziła się z nim Julia.

Kiedy usiedli w kuchni przy kawie, opowiedziała im, jak przekazała ciasto do biura szeryfa.

– Nikt prócz mnie go nie dotykał – oznajmiła, popijając czarną kawę. – Dałam je strażnikowi i prosiłam, żeby ukroił kawałek, ale patrzyłam, jak to robił.

Cody'emu coś wpadło do głowy.

– Była pani z nim cały czas, jak kroił ciasto? – spytał.

Zmarszczyła czoło.

– No nie, prawdę mówiąc nie. Zajrzała tam taka drobna blondynka w mundurze – powiedziała. – Mówiła, że musi poprosić strażnika, żeby coś panu przekazał, więc poszłam do Horace'a, kiedy oni rozmawiali.

Abby zakłuło serce. Była zazdrosna o drobną blondynkę. To idiotyczne, bo Cody dał jasno do zrozumienia, że nie chce się z nią wiązać.

Cody wyobraził sobie spotkanie strażnika i blondynki, i nie był to miły obrazek.

– Spiszę pani zeznanie. Każę je później przepisać, a pani będzie musiała do nas przyjść i złożyć pod nim podpis – powiedział do Julii.

– Albo ja tu z nim wpadnę i pani Julia je przy mnie podpisze. Jestem notariuszem – oznajmiła Abby.

Nigdy wcześniej mu o tym nie wspominała.

Cody uniósł brwi.

Poczuła się tak głupio, że odwróciła wzrok. Całkiem jakby się przechwalała.

– Notariusz przydaje się w kancelarii.

– Nie krytykowałem cię – rzekł Cody łagodnym i niskim głosem, aż tętno jej przyspieszyło.

– Jest coś jeszcze – odezwała się znów Julia. – Horace powiedział, że ta blondynka była w biurze parę razy podczas pańskiej nieobecności. – Przygryzła dolną wargę i spojrzała na Cody'ego błagalnie. – Szeryfie, sporo się plotkuje o panu i tej blondynce, a dla mnie ona wygląda podejrzanie. Mówiła do strażnika, jakby był psem.

– Słyszała pani, co mówiła? – spytał.

– Słów nie dało się wychwycić, ale była wściekła, i to się dało wyczuć.

– Dziękuję, Julio, za kawę i informacje. Gdyby pani mogła to wszystko teraz napisać, wezmę to ze sobą do biura.

– Zrobię to z przyjemnością – powiedziała Julia.

– Nie trzeba, może mi pani podyktować, szybko piszę – zaoferowała się Abby, po czym wyjęła telefon. – Mam też aplikację, która nagrywa. Jeśli pani to wszystko powtórzy, przepiszę w biurze. Wiem, że pan Owens się zgodzi, jeśli szeryf nie ma nic przeciwko?

– Bynajmniej, Abby – odparł z uśmiechem. – Dziękuję.

– Nie ma za co. – Odchrząknęła, zła z powodu lekkiego rumieńca, który zabarwił jej delikatną skórę, i wybrała aplikację do nagrywania rozmów.

Kwadrans później wracali do miasta.

– Kawa była naprawdę dobra – powiedziała po chwili Abby.

– Bardzo dobra. – Cody na nią zerknął. – Jak się mają Lucy i Hanna?

– Bez zmian. Lucy za tobą tęskni – wypaliła.

Cody odetchnął głęboko. Zbliżali się do centrum.

– Próbowałem ci powiedzieć, kiedy jechaliśmy na ranczo, że jeszcze sobie nie poradziłem z niewiernością Debby. Kiedy przyjechałem do domu z Denver, gdzie poznałem prawdę, byłem w szoku. Nie od razu mnie to uderzyło. Byliśmy małżeństwem przez dwa lata. To był jedyny raz w moim życiu, kiedy byłem tak głęboko zakochany, i myślałem, że moje małżeństwo jest idealne. Do głowy mi nie przyszło, że ona może prowadzić drugie życie w Denver i w rzeczywistości kocha innego mężczyznę.

Widząc ból na jego spiętej twarzy, Abby odezwała się z wahaniem:

– Skąd wiesz, że Anyu była przeznaczona dla tamtego lekarza?

– Gdy poszedłem do niego, sam mi to powiedział. Tuż przed śmiercią Debby zostawiła liścik. Było tam napisane, że szczeniaka ma dostać najważniejszą mężczyzna w jej życiu.

Kiedy poszedłem po Anyu, pielęgniarka, która się nią opiekowała, koleżanka Debby, była zaskoczona moim widokiem i właściwie nie chciała mi oddać psa. Wówczas się nad tym nie zastanawiałem. Teraz rozumiem. Widzisz, nie wiedziałem, że najważniejszą mężczyzną w życiu Debby był jej mentor, ten neurolog.

– Bardzo mi przykro, Cody – powiedziała szczerze Abby.

– Poczuję się jak kompletny głupiec i nadal się tak czuję. Zostałem zdradzony w najgorszy możliwy sposób. Gdyby mnie poprosiła o rozwód, nie robiłbym jej problemów. Ale ona chciała pozostać mężatką, żeby nikt nie podejrzewał, że ona i doktor oszukują swoich współmałżonków. – Zawahał się. – Lekarz powiedział, że żona zagroziła mu, że jeśli ją zdradzi, rozpowszechni paskudne kłamstwo na temat jego relacji z córką. A zatem milczał. Nie mógł się rozwieść. – Zatrzymał się na światłach i zerknął na Abby. – Było mi żal tego przekłętego człowieka. Był tak samo nieszczęśliwy jak ja. Kochał ją tak bardzo jak ja. To było tak dezorientujące, że jeszcze pogorszyło sytuację. Chciałem go nienawidzić, ale nie mogłem.

– Mnie nigdy nikt nie zdradził – wyznała. – Może poza ojcem, który pił ponad miarę, a kiedy pił, używał przemocy. Trudno mi było tu wrócić, biorąc pod uwagę moją historię w Catelów. Małym miasteczku – dodała z uśmiechem – gdzie wszyscy wiedzą wszystko o wszystkich. Ale nikt nawet nie wspomniał o mojej przeszłości, więc jest łatwiej. Lucy nie była szczęśliwa w Denver. Ja też. Tu obie jesteśmy szczęśliwe.

– Cieszę się. I przepraszam, że tak długo się z wami nie kontaktowałem. – Zaciśnął wargi i ruszył, gdy światło się zmieniło. – Wydaje mi się, że połowę życia zajmuję się Debby, panem Whatleyem i jeszcze Lassiterem.

– Lassiterem? – spytała.

– Interesuje się moją dziewczyną – odparł krótko.

Abby głośno przełknęła i wyjrzała przez okno.

– No tak, tą jasnowłosą policjantką.

– Nie policjantką! Tobą.

Cody wypatrzył wolne miejsce na parkingu, zajął je i wyciągnął rękę do Abby.

– Cody... – zdążyła tylko powiedzieć, zanim zaczął ją całować. To nie był słodki, delikatny pocałunek, taki jak wcześniej, ten był namiętny, natarczywy, nieokiełznany. Uległa mu, nie protestując, była w nim tak zakochana, że nie przyszło jej do głowy prosić, żeby przestał.

Cody ssał jej górną wargę, starając się nad sobą zapanować.

– Wybacz – szepnął. – Miałem chwilę słabości.

– Ty...? – zająknęła się, bo jego wargi znów znalazły się na jej wargach.

– Uhm. – Nieznośnie powoli przesunął wargi wzdłuż jej ust.

– Myślisz... myślisz, że mógłby ci się zdarzyć kolejny moment słabości? Gdybym poprosiła? – szepnęła.

Zobaczyła, że lekko się uśmiechnął, potem mocno ją przytulił i w niezwykłej ciszy całował do utraty tchu. To było jak uczta dla głodnego, jak woda dla spragnionego. Abby nigdy nie przeżyła czegoś podobnego. Sądząc z długich, namiętych pocałunków Cody'ego, to samo można było powiedzieć o nim.

Dopiero kiedy jego komórka zaczęła dzwonić, oderwał od niej wargi.

Puścił ją z wyraźną niechęcią i sięgnął po telefon przypięty do pasa policyjnego.

– Szeryf Banks – rzucił.

– Gdzie pan się podziewa, szeryfie?– odezwał się przeciągle zmysłowy głos. – Pański strażnik dał mi pana numer. Przyjechałam na kawę i po radę. Jest pan wolny?

– Będę za jakieś dziesięć minut – odparł i się rozłączył.

Abby wciąż na niego patrzyła oszołomiona. Nieoczekiwana przerwa w pieszczotach pozbawiła ją zdolności prowadzenia zwyczajnej rozmowy.

– Muszę wracać do biura – rzekł Cody z zapartym tchem, pełen emocji, tak jak Abby.

– Oczywiście – odrzekła.

Powiódł po niej spojrzeniem ciemnych oczu, dostrzegając wszystkie drobne sygnały zdradzające jej pożądanie. Abby mogła nawet nie być ich świadoma. Widział ich wiele. Jego twarde nabrzmiałe wargi powoli uśmiechnęły się zmysłowo.

– Możemy się w któryś weekend umówić na lodowisku. Lucy lubi jeździć na łyżwach, prawda?

Kiwnęła głową.

– Przepraszam – rzekł cicho. – Byłem tak pochłonięty sobą i swoimi problemami, że nie chciałem towarzystwa. Nawet ludzi, którzy są mi drodzy.

Abby poprawiła się na siedzeniu.

– Rozumiem. Prowadzisz śledztwo w sprawie morderstwa.

– Macki tej zbrodni sięgają daleko. – Uruchomił samochód, kiedy zapięli pasy. – Mam podejrzanych tu, w Catelow, którzy mogą stanąć przed sądem w Denver, a nawet na Florydzie.

– No, no – powiedziała cicho.

Zerknął na nią, po czym dołączył do ruchu.

– Możesz widzieć i słyszeć rzeczy, które dadzą ci mylne wrażenie o tym, co robię. Staraj się nie wyciągać pochopnych wniosków. Jestem między młotem a kowadłem, próbuję poskładać wszystkie elementy tej układanki.

Kiwnęła tylko głową.

– Okej.

– Może będziesz miała na ranchu dodatkowe towarzystwo. Lassiter ma znajomego, który jest akurat bezrobotny. Prosił go, żeby tu przyjechał i pomógł. Jest zawodowcem.

Patrzyła na niego, podziwiając twarde rysy przystojnej twarzy.

– Czym się zajmuje? – spytała nagle.

Uśmiechnął się.

– Nie wiem. Ale zadba o bezpieczeństwo moich trzech dziewczyn.

– Przed czym będzie nas bronił? – chciała wiedzieć.

Zatrzymał się na parkingu przed jej biurem, wyłączył silnik i odwrócił się do niej.

– Kiedy zacznę aresztowania, a to stanie się już niedługo, ty, Hanna i Lucy możecie razem ze mną być wystawione na niebezpieczeństwo. Nie wspominając o moim psie – mówił z powagą. – Jeden z podejrzanych jest znany z tego, że szukając zemsty, wybiera najsłabsze cele. – Spojrzał jej w oczy. – Nikt nie skrzywdzi moich dziewczyn.

Powiedziawszy to, ujął jej twarz i pocałował ją powoli z zapierającą dech czułością.

– I koniec z niedzielnymi przejażdżkami z Lassiterem, zrozumiałaś? – szepnął z wargami przy jej wargach.

Abby z trudem łapała oddech.

– A co z tobą i tą drobną blondynką? – wypaliła, po czym zalała się rumieńcem.

Patrzył jej głęboko w oczy.

– Przez dwa lata byłem żonaty. Nigdy nie zdradziłem żony. Przez sześć lat ją opłakiwałem. Parę tygodni temu odkryłem, że moje małżeństwo było fikcją. Wciąż się z tym mierzę. Ale w końcu sobie poradzę – dodał z powagą. – Potrzebuję trochę

czasu. Musisz mi zaufać. Dzieją się rzeczy, które w twoich oczach mogą wyglądać źle. Nie mogę ci powiedzieć, co się dzieje. Musisz wypośredkować to, co ci mówię, i to, do czego mogę być zmuszony, zbierając dowody.

Wydawało jej się, że go zrozumiała. Pewnie miał na myśli, że będzie go można zobaczyć z takimi ludźmi jak bratanek pana Owensa.

– Zamierzasz nawiązać stosunki towarzyskie z przestępcami?

Powiódł palcem wskazującym wzdłuż jej lekko nabrzmiałych ust, czemu winne były jego wargi.

– To będzie wyglądało, jakbym cię na dobre rzucił. Dasz sobie radę? Bo to nieprawda. Chociaż pozory będą wskazywać inaczej.

Serce waliło jej tak mocno, aż drżała na całym ciele.

Cody przyciągnął ją do siebie.

– Tęskniłem za tobą – szepnął i wygłodniały znów ją pocałował, ujmując jej twarz w dłonie.

– Ja też za tobą tęskniłam – zdołała powiedzieć między pocałunkami. – I Lucy, i Hanna.

– Niedługo to wszystko się skończy, obiecuję – szepnął, patrząc jej w oczy. – Lucy nie stanowi dla mnie żadnego problemu. Mówię na wypadek, gdybyś się nad tym zastanawiała. – Uśmiechnął się. – Ale uważam, że fajnie mieć kilkoro dzieci – dodał mimowolnie.

Abby wstrzymała oddech.

– Byłam nieszczęśliwa, nie mając rodzeństwa.

– Ja też. – Po raz ostatni musnął jej wargi pocałunkiem. – Muszę jechać do pracy. To może nie wyglądać na pracę, więc cokolwiek zobaczysz albo usłyszysz, nie wierz w to.

– Okej – odparła.

Uśmiechnął się.

– To tak, jakbym wrócił do domu z długiej podróży.

– Co? – spytała i zaczęła otwierać drzwi.

– Jak cię całuję, kochanie – odparł, patrząc na nią z pożądaniem.

Abby szukała słów, ale ich nie znalazła. Nigdy jeszcze tak czule jej nie nazwał. Nikt tak do niej nie mówił. A w każdym razie żaden mężczyzna.

– Będę w kontakcie. Uważaj na siebie – dodał cicho. – Nie chodź nigdzie sama. Nie puszczaj Lucy samej, nawet na ranczu. To dotyczy też Hanny.

– Przerażasz mnie, Cody.

– Nie miałem zamiaru. Chcę tylko, żebyś była bezpieczna.

Wciągnęła powietrze.

– Okej – powiedziała. – Ja też chcę, żebyś był bezpieczny. Więc uważaj na siebie.

Uśmiechnął się powoli.

– Nigdy nie miałem lepszego powodu, żeby na siebie uważać.

Abby uśmiechnęła się w odpowiedzi, wysiadła i zamknęła drzwi.

Cody ruszył do swojego biura.

Drobna jasnowłosa policjantka siedziała w fotelu przy jego biurku.

– Spóźnił się pan – zganiała go. – Powiedział pan „dziesięć minut”.

– Niektóre rzeczy zajmują więcej czasu, niż przewidujemy – odparł, zdejmując ciepłą kurtkę. – Czym mogę pani służyć?

– Pomyślałam, że miło byłoby wypić razem cappuccino.

Uśmiechnął się, siadając za biurkiem.

– Owszem, ale czekam na telefon z laboratorium FBI. Stąd moje spóźnienie – skłamał. – Będą do mnie dzwonić w ciągu godziny w sprawie dowodu, który im wysłałem.

– Och. Dowód w sprawie? – chciała wiedzieć.

– Tak, w sprawie o otrucie. – Odchylił się na fotelu. – I morderstwo w Denver – dorzucił.

Nie zareagowała, może tylko jej twarz była odrobinę bardziej spięta.

– Czy to nie wykracza poza pańską jurysdykcję?

– Cóż, normalnie by tak było. Ale trucizna, którą podano jednemu z moich współmieszkańców, jest identyczna jak ta, którą wykorzystano do zabicia kobiety w Denver. – Uśmiechnął

się powoli. – Pochodzi z bardzo rzadkiej rośliny, która rośnie tylko w Ameryce Południowej.

Tym razem zareagowała. Wstała z krzesła, nie przestając się uśmiechać.

– Cóż, brzmi fascynująco, ale muszę wracać do pracy. Może przełożymy kawę na inny termin? – dodała.

– Proszę do mnie zadzwonić, gdy znów będzie pani w mieście – odparł jakby nigdy nic. – Prawie zawsze można mnie tu znaleźć.

Zmusiła się do uśmiechu.

– Dobrze, w takim razie do zobaczenia.

– Do zobaczenia.

Kiedy zniknęła mu z widoku, Cody poszedł do aresztu, gdzie siedział strażnik. Wyglądał na przestraszonego i niepewnego.

– Jakież problemy z osadzonymi? – spytał go Cody.

– Nie, szeryfie, cisza i spokój.

Mężczyzna wyglądał na tak zdenerwowanego, że Cody wziął go na stronę.

– No dobra. Co się dzieje? – spytał szorstko.

– Nic..

– Niech pan nie kłamie – rzucił Cody. – Chcę wiedzieć, co się dzieje.

– Chodzi o tę blondynkę – wydusił strażnik.

– Którą? – spytał Cody, bojąc się, że chodzi o groźbę wobec Abby.

– Tę, która mówi, że jest policjantką. – Popatrzył Cody'emu w oczy. – Ona nie jest policjantką. Znam jednego z policjantów, który pracuje w hrabstwie Carne, i spytałem go o nią. Mówi, że nie ma u nich żadnej blondynki.

Cody nie był zaskoczony. Małe społeczności żywią się plotkami.

– Co z nią?

Strażnik się skrzywił.

– Ciągłe czegoś ode mnie chce.

Cody uniósł brwi.

– Co takiego?

– No, kazała mi dać panu Whatleyowi otwartą colę. Wie pan, wtedy, kiedy został otruty. Powiedziałem coś, a ona spytała, czy mam... – Urwał gwałtownie.

– Co? – naciskał Cody.

Strażnik odetchnął głęboko.

– Byłem notowany... – Zaczerwienił się. – Zhakowałem pliki i zamieniłem poważne przestępstwo na wykroczenie. Przepraszam – dodał. – Moja żona jest w ciąży, nie może pracować. Muszę mieć pracę, a kto zatrudni byłego przestępcę?

Cody mu współczuł. Mężczyzna był wyraźnie przejęty swoim oszustwem.

– Za co pan siedział? – spytał.

– Uderzyłem mężczyznę, który obraził moją żonę – przyznał z ciężkim westchnieniem. – Upadł na stos drewnianych palet i złamał biodro. Nie chciałem mu tego zrobić, ale uderzyłem dużym kawałkiem drewna, nie pięścią. Uznali to drewno za narzędzie zbrodni, a mnie nie było stać na adwokata. Poszedłem do więzienia. Po roku mnie zwolnili za dobre zachowanie, ale to będzie mnie prześladowało do końca życia. – Milczał przez chwilę. – Ta mała blondynka to wygrzebała. Powiedziała, że jeśli nie wykonam jej polecenia, wszystko panu powie.

– Cóż, dobrze, że się pan przyznał – stwierdził Cody. – A tak dla pamięci, nie interesuje mnie, co ktoś kiedyś robił, ale to, co robi teraz. Do czego jeszcze pana zmusiła?

– Kazała mi podsłuchiwać, co pan mówi do pana Whatleya. I wysłała mnie po kawę, kiedy przygotowywałem lunch dla osadzonych. Nie wyglądało na to, żeby zrobiła coś złego, ale potem pan Whatley zjadł ciasto i się rozchorował. – Patrzył na szeryfa martwym wzrokiem. – Więc jeśli chce pan mnie zwolnić, to w porządku, zasłużyłem na to.

Cody położył rękę na jego ramieniu.

– Właśnie został pan istotnym świadkiem w śledztwie o morderstwo i nie zamierzam pana zwolnić.

Strażnik na moment osłupiał, dopiero po chwili spytał:

– To znaczy, że mogę tu dalej pracować?

– Oczywiście – odparł Cody. – Na Boga, zdaje pan sobie sprawę, ilu byłych przestępców mamy w Catelow? I wszyscy gdzieś pracują. My nie jesteśmy społecznością. Jesteśmy dużą rodziną.

Strażnik był bliski łez.

– Właśnie z żoną się o tym przekonujemy. Ludzie przynoszą jej kocyki i ubranka dla dziecka, nawet fotelik samochodowy na później, jak podrośnie. Ludzie, których nawet nie znamy. W Phoenix było inaczej. Stamtąd pochodzimy. Kiedy wyszedłem z więzienia, pomyślałem, że to będzie dobre miejsce do życia. Zaznaczyliśmy z żoną Catelow na mapie. Na chybił trafił. – Uśmiechnął się do szeryfa. – Mój Boże, nie mogliśmy lepiej wybrać.

Cody uśmiechnął się.

– Rzeczywiście. To może teraz popilnuje pan więźniów, a ja porozmawiam z panem Whatleyem?

– Szeryfie, to dla mnie przyjemność.

Cody poklepał go po plecach i ruszył do celi Horace'a.

– Dobrze pana widzieć, szeryfie – powiedział Whatley z uśmiechem. – Co słyhać na moim ranczu?

– Wszystko dobrze – odparł Cody. – Musiałem przesłuchać Julię w sprawie ciasta. Chociaż wiem, że to nie ona pana otruła – dodał.

– Ja też to wiem. – Horace zamrugał. – Ale skąd pan to wie?

Cody się zaśmiał.

– A czy pan wie, że Julia jest w panu zakochana?

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Oczy Horace'a Whatleya zrobiły się wielkie jak spodki, zdawało się, że nagle wypuścił całe powietrze.

– Julia... mnie kocha?! – zawołał, a potem się uśmiechnął.

– Tak, kocha – powtórzył Cody. – I parzy najlepszą kawę na świecie.

– Ona mnie kocha. – Horace nie słyszał szeryfa. Siedział na pryczy i rozanielony patrzył w przestrzeń.

Cody przeniósł się do drugiej celi, otworzył drzwi i wypuścił Lassitera, który spytał:

– Sprawy stają na ostrzu noża?

– Błyskawicznie, jak burza. Strażnik został istotnym świadkiem. W obu przypadkach, kiedy Horace został otruty, może zeznawać przeciwko drobnej blondynce. Szantażowała go. Był notowany.

– Nic dziwnego, że zawsze wygląda na udręczonego. Zwolni go pan?

– Nie, do diabła. Umie gotować. – Zaśmiał się. – Nie jest też złym strażnikiem. Więźniowie go lubią.

– Zauważyłem. Jedzenie jest całkiem smaczne.

– Dzięki, robimy, co w naszej mocy.

– I co teraz? – spytał Lassiter, kiedy znaleźli się za zamkniętymi drzwiami gabinetu szeryfa.

– Mamy wystarczające dowody, żeby dostać nakaz aresztowania – odparł. – Chcę się tylko upewnić, że zapewni pan ochronę Abby, Lucy i Hannie, zanim pójde porozmawiać z sędzią sądu hrabstwa.

– Mój znajomy przyjechał wczoraj wieczorem. Pracuje jako kowboj dla brygadzysty Abby. Kilka dni temu starał się o tę pracę. Rozumiem, że brygadzysta był dość zdesperowany. Na szczęście mój znajomy wychował się na ranczu i potrafi jeździć na wszystkim, co ma cztery nogi.

– Abby wie, kto to jest? – spytał Cody.

– Nie, uznaliśmy, że będzie lepiej, żeby nie wiedziała.

– Czy on posiada pozwolenie na noszenie broni w ukryciu i może strzelać w razie potrzeby?

– To agent FBI – wyjawiał Lassiter.

– Dobry Boże.

– Jest na urlopie... no, w pewnym sensie. Przełożeni dali mu parę tygodni wolnego, żeby wydobrzeł po strzelaninie, a on robi mi przysługę.

– Co to za agent federalny? – chciał wiedzieć Cody.

– Na pewno nie zwyczajny. Nie musi pan wiedzieć. Bez urazy.

– O ile zapewni bezpieczeństwo moim dziewczynom, nie interesuje mnie to.

– Chyba w końcu pan dostrzegł, że Abby jest w panu zakochana? – Gdy Cody uniósł brwi, dodał: – I pewnie pan nie wie, że wszyscy w mieście i pies wiedzieli o tym przed panem?

Cody roześmiał się.

– Wiedziałem, że mnie lubi. – Poczul się tak, jakby wygrał na loterii. – Cóż.

– Proszę jej nie mówić, że panu to zdradziłem – ostrzegł Lassiter. – Jest moją przyjaciółką, a ja nie mam wielu przyjaciół.

Cody spojrzał na niego z zaciekawieniem.

– To był udawany pocałunek, żeby odwrócić uwagę pańskiego strażnika. Nic więcej. Żadnych dreszczy, motyli, nic takiego. Okej?

Cody odetchnął z ulgą.

– Okej.

– Czyli wszyscy gracze są na miejscu, pańskie dziewczyny są bezpieczne. Ma pan świadków. Co pan teraz robi? – spytał Lassiter.

Cody sięgnął po telefon.

– Zdobę nakaz aresztowania – odparł z błyskiem w ciemnych oczach.

Na szczęście dla Cody'ego sędzina, z którą się spotkał, okazała się prawdziwą obrończynią praworządności. Kiedy go wysłuchała i poznała fakty, nie wahała się wydać nakazu aresztowania Jacka Owensa oraz tak zwanego naocznego świadka, który widział, jak Horace Whatley napadł na bank, a także jasnowłosej kobiety udającej policjantkę, podejrzanej nie tylko o otrucie Horace'a Whatleya, ale również Candy Henry w Denver. Oczywiście fałszywej policjantki nie można było w Catelow oskarżyć o morderstwo w Denver, została tu tylko oskarżona o usiłowanie morderstwa. Ale Cody był gotów się założyć, że w sprawie morderstwa w Denver to federalni postawią jej zarzuty, wobec czego będą prosili o jej ekstradycję, a Cody zwróci się do sędzi o zgodę w tej sprawie. Lepiej żeby pseudopolicjantka stanęła przed sądem za morderstwo niż usiłowanie morderstwa. Poza tym federalne oskarżenia gwarantowały surowsze kary.

Wyruszając aresztować podejrzanych, Cody wziął ze sobą zastępcę. Kiedy podjechał pod dom, Jack Owens siedział na ganku. Sprawiał wrażenie pijanego i był opryskliwy.

– Hej, witam, szeryfie Banks! – zawołał. – Co pana sprowadza w tę okolicę? Chce mnie pan aresztować za przechodzenie przez ulicę w niedozwolonym miejscu? – dodał z ironią.

Cody pokręcił głową, dając znak zastępcy, który podciągnął Jacka na nogi i obrócił go do siebie plecami, żeby założyć mu kajdanki.

– Co pan, do diabła, robi? – oburzył się Jack.

– Aresztuję pana za spisek, którego celem było popełnienie morderstwa – odparł Cody. – Tym razem pański wuj nie będzie mógł pociągnąć za żadne sznurki w pańskiej sprawie. – Zwrócił się do zastępcy: – Wsadź go do samochodu i szybko wracaj.

Słyszając głosy wewnątrz, Cody wyciągnął pistolet. Ruszył do środka, a zaraz za nim biegł zastępca z wyciągniętą bronią.

Po wejściu do domu Cody pokazał odznakę, zanim dwie siedzące w pokoju osoby miały szansę zareagować. Trzymał je na muszce, podczas gdy zastępca zakładał im kajdanki, które wziął ze sobą Cody.

– Szeryfie, co pan wyprawia? – spytała blondynka płaczącym tonem. – Jestem funkcjonariuszem policji.

– Zabawne, bo pani szef twierdzi, że nie ma u siebie żadnej jasnowłosej policjantki – odparł Cody. – Poza tym wiemy, że pani ojciec jest botanikiem i mieszka w Ameryce Południowej. Sprawdziliśmy, że trucizna, którą wykorzystano do próby morderstwa, pochodzi z rośliny, która rośnie tylko na tym kontynencie.

Twarz blondynki paskudnie się wykrzywiła.

– Nigdy nie uda się panu postawić mnie przed sądem – powiedziała cicho groźnym tonem. – Nawet pan nie podejrzewa, jak pan zapłaci za tę przemoc. Dowie się pan, kiedy będzie już za późno.

– Niech pani pokaże, do czego jest zdolna – odparł Cody i odwrócił się do zastępcy. – Przeczytaj im ich prawa. Zrobimy wszystko według zasad, żeby nie dawać im żadnej furtki.

– Jak pan każe – odparł zastępca. – Jackowi już przeczytałem jego prawa.

– Bardzo dobrze.

– Wszyscy za to zapłacicie – odgrażała się blondynka.

– Nie, to wy zapłacicie – odparł Cody bez uśmiechu. – Jest pani poszukiwana w Denver w związku z morderstwem. Federalni posiadają dowody i rozpoczną proces ekstradycji, gdy tylko panią wsadzimy za kratki.

– Denver? – Jej głos lekko zadrżał. – Niczego mi nie udowodnią. Nigdy nawet nie byłam w Denver.

– Może to pani skonsultować z sądem we właściwym czasie – odparł chłodno.

– Nie ma żadnych dowodów – upierała się.

– Ekshumowano ofiarę – powiedział Cody, patrząc na nią bacznie. – Została otruta. Przesłuchano świadków w restauracji. – Uśmiechnął się, widząc, że jej mina uległa zmianie. – Są też rachunki z lokalnej stacji paliw, tego samego dnia płaciła tam pani za zakupy kartą kredytową.

Blondynka milczała. Zastępca wyprowadził ją do swojego wozu patrolowego i wsadził oboje podejrzanych na tylne siedzenie.

Cody zadzwonił do swojego śledczego i poprosił, żeby ze współpracownikami pojawił się w domu Owensa i dokładnie go przeszukał. Zanim wyszedł z sądu, poprosił też sędzinę o nakaz przeszukania, wymieniając wszystkie ewentualne dowody,

jakie przyszły mu do głowy, a także nakaz konfiskaty i przeszukania samochodu blondynki.

To była najtrudniejsza sprawa, nad jaką pracował. Chciał mieć absolutną pewność, że robi wszystko zgodnie z regułami, żeby blondynka czy Jack Owens nie wywinęli się od oskarżeń z powodu jakichś technicznych zaniedbań.

Cody wszedł z powrotem do domu, gdzie na kanapie z rękami zaciśniętymi na kolanach siedział zdenerwowany tak zwany świadek Cappy Blarden.

Jak większość funkcjonariuszy organów ochrony porządku publicznego, Cody był wyposażony w kamerę, która rejestrowała każdy jego ruch. Stanął przed młodym człowiekiem i czekał bez słowa, patrząc lodowatym wzrokiem.

– Ona mnie do tego zmusiła – wypalił. – Ta blondynka. Kazała mi zeznawać, że Horace Whatley obrabował bank. Nigdy go tam nie widziałem.

– Jak pana do tego zmusiła? – spytał Cody.

Cappy odchrząknął.

– Wsypała truciznę do kawy mojej matki w kawiarni – odparł chropawym głosem. – I powiedziała, że ma na to lekarstwo, które da mamie, jeśli zgodzę się tak zeznawać. Oczywiście, że się zgodziłem. Kocham mamę... – Odwrócił głowę. – Powiedziała, że ma więcej trucizny i następnym razem, jeśli spróbuję się wycofać, nie będzie odtrutki.

– Więc nigdy nie widział pan, żeby Horace Whatley kogoś napadł?

– Nie widziałem – rzekł ciężko, podnosząc wzrok na szeryfa. – Pójdę do więzienia?

– To nie zależy ode mnie. Ale teraz musi pan ze mną pójść – dodał Cody. – Złożenie fałszywego zeznania przeciwko niewinnej osobie jest przestępstwem.

– Tak myślałem. – Cappy wstał. – Przynajmniej nie muszę się już martwić o mamę.

Odwrócił się, żeby Cody założył mu kajdanki.

– Pańska matka będzie bezpieczna. Zamierzam poprosić o wysokie poręczenie za naszą tak zwaną policjantkę, nie wspominając o Jacku Owensie. Spisek w celu popełnienia morderstwa to poważne przestępstwo.

– Taa, tak myślałem. Mam nadzieję, że nigdy nie wyjdą z więzienia – dodał chłodno. – Nigdy w życiu nie zrobiłem nic złego – powiedział. – Pewnie mnie też wsadzą za ten spisek.

– Niech pan weźmie dobrego adwokata i stwierdzi, że działał pan pod przymusem. Nigdy nie zostanie pan oskarżony o zbrodnię, Cappy – rzekł spokojnie Cody. – Prawdopodobnie otrzyma pan status osoby, która po raz pierwszy popełniła przestępstwo, niezależnie od oskarżeń.

Więzień Cody'ego był w mieście znany jako notoryczny kłamca, ale nigdy nie usiłował nikogo skrzywdzić. To działało na jego korzyść. Cody wsadził go do wozu patrolowego i zawiózł do aresztu.

Kiedy blondynka została postawiona w stan oskarżenia, wyszło na jaw, że tak naprawdę nazywa się Domenica Alvarez

i pochodzi z Manaus w Brazylii. Była arogancka, zaprzeczała, że brała w czymkolwiek udział, i oskarżała szeryfa o wszystko, co się dało, od niewłaściwego zachowania do bezprawnego zatrzymania.

Sędzia ją zignorował i dalej przedstawiał oskarżenia. Blondynka nie przyznała się do winy i została zabrana z powrotem do celi. Mijając Cody'ego, uśmiechnęła się lodowato.

– Niech pan uważa na swoich bliskich, szeryfie – powiedziała schrypniętym głosem. – Byłoby szkoda, gdyby coś im się stało.

Cody tylko się uśmiechnął.

Blondynka odwróciła głowę i szła dalej.

Jack Owens to całkiem inna historia. Załamał się, a nawet rozpłakał, kiedy czytano mu listę oskarżeń. Cody mu współczuł. Chłopak był potwornie rozpuszczony przez ojca, a teraz nikt nie stał u jego boku.

A jednak nie. James Owens podszedł do ławki bratanka i usiadł obok niego. W pierwszej chwili chłopak wyglądał na zaskoczonego, ale potem był wyraźnie wdzięczny. Wciąż płakał. James oznajmił, że będzie występował na rozprawie jako adwokat swojego bratanka. Sędzia skinął głową i uśmiechnął się ze smutkiem. James Owens przez całe swoje życie nie zrobił nic niezgodnego z prawem. Niezależnie od tego, krew to krew. Jack był jedynym krewnym, jaki mu pozostał.

Cody poklepał go po ramieniu.

– Wiem, rodzina to rodzina. Robimy, co trzeba, żeby jakoś się to kręciło.

James przekrzywił głowę.

– A co z panem i Abby? – spytał.

Cody się zaśmiał.

– Jeśli się pokajam, to może zostanę znów zaproszony.

– Tylko niech pan się nie odwraca plecami i ma oczy dookoła głowy. Ta Alvarez jest niebezpieczna. Nie sądzę, żeby zatrzymał pan wszystkich jej wspólników. Mieliśmy przecież napad na bank, a jestem pewien, że Horace Whatley nie brał w tym udziału.

– Wiem. Mam nagrane zeznanie świadka, który mówi, że Whatley nikogo nie obrabował. Alvarez mu groziła. Zatrwała jego matkę.

James zagwizdał.

– Będą zeznawać?

– On tak. Z matką muszę dopiero porozmawiać. Ale oskarżenia z Denver są poważne. To morderstwo, spisek w celu popełnienia morderstwa.

– Rozumiem, woli pan, żeby usłyszała oskarżenia od federalnych w Denver.

Cody skinął głową z ponurą miną.

– Chcę się jej pozbyć z miasta, zanim zaczniesz szukać sposobów, żeby się na mnie zemścić.

– Niech pan się upewni, że ludzie Abby dobrze jej pilnują – zasugerował James.

– Jestem dwa kroki przed panem. I wypuściłem Lassitera z aresztu. Mieszka teraz razem z pracownikami Abby – dodał szeptem.

James się zaśmiał.

– Niech pan lepiej uważa na tego młodego człowieka. Moje podwładne uważają go za dobrą partię.

– Zauważyłem, ale mam nad nim przewagę – powiedział bardzo zadowolony z siebie Cody.

James tylko się uśmiechnął.

Kiedy Abby nakrywała do kolacji, wydawało się, że ma dwie lewe ręce. Zaprosiły Lassitera, jego tajemniczego przyjaciela, a także Cody'ego Banksa.

Hanna zauważyła jej zdenerwowanie i zastanawiała się, czy chodzi o młodego detektywa. Potem zobaczyła spojrzenia, jakie Abby wymieniała z Codym, i uśmiechnęła się w duchu.

– Wygląda dobrze – rzekł Cody. – Bardzo lubię gulasz wołowy.

– Ja też – przyznał Lassiter.

– Nie macie nic przeciwko temu, że przyprowadziłem ze sobą Aleksandra? – spytał Cody, wskazując na słodkiego starego malamuta, który leżał przed kominkiem ze Śnieżką Lucy.

– Ależ skąd. Jest taki miły – odparła Abby z uśmiechem.

– Śnieżka go lubi – wtrąciła Lucy, uśmiechając się do Cody'ego.

– Ja też tak myślę, Lucy – odparł.

– Nie oddzwoniłaś do Barta w sprawie tańców, Abby – przypomniała nagle Hanna.

Oczy Cody'ego zabłysły. Abby to dostrzegła i po cichu się ucieszyła.

– Oddzwoniłam – odparła, nie patrząc na Hannę. – Odmówiłam mu.

Cody odetchnął. Powoli uniósł kąciki ust i tak długo patrzył w oczy Abby, aż jej się zdawało, że unosi się w powietrzu.

– Abby, bułeczki? – powiedziała Hanna.

Abby się otrząsnęła.

– Aha, bułeczki... Tak, już podaję.

Zaczerwieniona pośpieszyła do kuchni, ręce znów jej się trzęsły. Ale teraz się uśmiechała.

Kolacja upływała w miłym nastroju. Lassiter opowiadał o sprawach, nad którymi pracował i w których nastąpił zabawny zwrot akcji. Cody, nie chcąc być gorszy, przywołał podobne sprawy, w których brał udział. Nieznajomy, przyjaciel Lassitera, niewiele mówił. Zjadł wszystko, co miał na talerzu, wypił kawę, cicho podziękował Abby i wyszedł tylnymi drzwiami.

– Pański przyjaciel nie jest zbyt rozmowny – powiedziała Abby do Lassitera.

– Jest małomówny – zgodził się. – Ale jest bardzo dobry w swojej pracy.

– Miał pistolet w kaburze pod flanelową koszulą – zauważyła Hanna.

– Ma pozwolenie na noszenie broni. Proszę się nie martwić – uspokoił Lassiter. – Nie zacznie strzelać, dopóki sam nie będzie celem.

– Nie lubię broni, proszę wybaczyć – stwierdziła Hanna.

– Nie ma sprawy. – Uśmiechnął się do niej.

– Abby to nie przeszkadza – rzekł Cody, patrząc jej w oczy.

– Nie, nie przeszkadza – odparła z długim westchnieniem.

– To dobrze – powiedział Lassiter.

Cody skinął głową.

– Kiedy wybierzesz się na polowanie na jelenie, Cody? – spytała Hanna, gdy po kolacji siedzieli przy drugiej filiżance kawy.

Zmarszczył czoło.

– Czemu pytasz?

– Potrawka z jeleniny – powiedziała, oblizując wargi.

– Potrawka z dziczyzny? – zainteresował się Lassiter.

– Kiedy Cody idzie na polowanie, przyrządza wielki gar potrawy i zaprasza wszystkich znajomych – wyjaśniła Hanna. Zamknęła oczy. – Śni mi się ta potrawka. Nikt nie potrafi przygotować jej tak jak Cody.

– Pochlebiasz mi. Postaram się dopaść ładnego tłustego samca. I tym razem przyrządzę całą kadź.

– Trzymam cię za słowo – zażartowała Hanna. – A teraz muszę iść pozmywać. Panna Lucy idzie się umyć i do łóżka.

– Tak, już pora – przyznała Abby.

– Nie chcę jeszcze iść spać, jak przyszedł Cody z psem – jęknęła Lucy.

– Niedługo znów przyjdę z Aleksandrem – obiecał Cody. – Co powiesz na to, żebyśmy w sobotę wybrali się na lodowisko z twoją ciocią?

– Bardzo bym chciała. – Lucy go uściskała i pocałowała w policzek. – Tęskniłyśmy za tobą – powiedziała, patrząc dużymi śmiejącymi się oczami. – Ciocia Abby cały czas była strasznie smutna.

– Lucy – przerwała jej zarumieniona Abby. – Idź już się umyć, okej?

– Okej, ciociu Abby. – Lucy cmoknęła ciotkę, a potem Hannę. – Mogę powiedzieć dobranoc Śnieżce i Aleksandrowi?

– Idź – odparła Abby z rezygnacją. – Och, to zwlekanie.

Abby usiadła między psami i uściskała je oba. Aleksander położył głowę na jej drobnym ramieniu i polizał ją.

– Jest całusny – zaśmiał się Cody. – Zrobił się z niego wspaniały domowy zwierzak. Świetny towarzysz. – Jego twarz złagodniała. – Biedny staruszek leżał na poboczu drogi ze złamaną łapą, był w fatalnym stanie. Weterynarz spytała, czy

chcę go uśpić, ale nie mogłem tego zrobić. Tak na mnie patrzył smutnym wzrokiem, jakby już stracił wiarę w ludzi i nie chciał żyć.

– Jest piękny nawet z gipsem – powiedziała Abby. – Zrobiłabym tak samo.

Spojrzał na nią.

– Wiem.

Lassiter odchrząknął.

– Kolacja była pyszna, bardzo dziękuję, ale muszę już wracać do motelu i skontaktować się z kilkoma osobami.

Abby uśmiechnęła się do niego.

– Okej, proszę wpadać, kiedy pan zechce.

– Dzięki – odparł z uśmiechem. – Na razie, Lucy! – zawołał, kiedy dziewczynka wbiegła do pokoju, zatrzymała się przed Lassiterem i wyciągnęła rękę. Chwycił ją roześmiany, uniósł i pocałował w policzek. Oddała mu całusa.

– Pa – powiedziała. – Przyjdiesz do nas jeszcze, prawda?

– Tak, kochanie – obiecał, stawiając ją na podłodze.

Abby obserwowała to ze zdumieniem. Lassiter lubił dzieci. A nie sprawiał takiego wrażenia. Cóż, prawdę mówiąc, Cody również, a tymczasem Lucy właśnie usiadła mu na kolanach i zaczęła opowiadać o rysunku, który zrobiła w szkole.

Abby i Hanna odprowadziły Lassitera do drzwi. Kiedy wsiadł do samochodu, pomachał im i odjechał.

– Lucy, kąpiel – poganiała Abby.

– Muszę, ciociu? – spytała płaczkliwym tonem dziewczynka, kiedy Cody zsunął ją z kolan na podłogę.

– Tak, musisz – odparła Abby z uśmiechem.

– Ale musisz mnie otulić.

– Zawsze to robię – powiedziała Abby.

– Cody też może do mnie przyjść? – spytała Lucy, patrząc na niego.

Abby się zawahała.

– Zrobię to z przyjemnością. – Uśmiechnął się do niej.

– Okej, to biegnę się wykąpać.

– Puszczę wodę – powiedziała Hanna, kiedy Abby ruszyła w stronę łazienki.

– Dziękuję, Hanno! – zawołała za nią Lucy.

– Nie ma problemu.

Abby została w pokoju sama z Codym. Wziął ją za rękę i delikatnie przyciągnął. Stał blisko i tylko patrzył na jej rozpromienioną twarz, na błyszczące oczy. Tak, pomyślał z powagą, ona go kocha. Zdumiewające, że wcześniej tego nie zauważył. Przypomnił sobie słowa Lassitera, który powiedział, że gdyby mężczyzna, którego kocha Abby, wszystko stracił, ona zostałaby u jego boku i pomogła mu się podnieść.

Musnął jej wargi pocałunkiem.

– Nigdy nie oszukałabyś mężczyzny – szepnął. – Masz zbyt dobre serce. Nie wiem, czemu potrzebowałem tyle czasu, żeby sobie to uświadomić.

– Byłeś zajęty swoją przyjaciółką z policji – stwierdziła ze smutkiem.

Przygryzł jej wargę, aż zalała ją fala rozkosznych dreszczy.

– Ona nie jest moją przyjaciółką – szepnął. – Aresztowałem ją i w jednej z moich cel czeka na ekstradycję do Denver.

– Co?! – zawołała, szeroko otwierając oczy.

– To ona otruła Horace’a Whatleya, ale nic o tym nie wiesz – rzekł stanowczo.

– O mój Boże. Przecież to policjantka...

– Nie pracuje w policji – przerwał jej. – Współpracuje z Bobbym Grantem, człowiekiem, który chciał pozbyć się Horace’a, żeby zmusić jego siostrę Nitę Whatley do małżeństwa. Potem także jej przydarzyłyby się jakże dogodny śmiertelny wypadek.

– Dobry Boże!

Cody chwycił ją w talii i przycisnął do siebie.

– Ładnie pachniesz – powiedział i znów ją pocałował namiętnie i natarczywie.

Abby jęknęła schrypniętym głosem, czując, jak ten kontakt rozpala w niej ogień.

Nie usłyszeli dwóch pierwszych kaszlnięć, więc Hanna zamknęła drzwi w holu. I to głośno.

Odskoczyli od siebie zdyszani, wyglądali jak dwie sarny zniecka oślepienie światłem reflektorów na drodze.

Hanna przygryzła wargę, powstrzymując śmiech.

– Lucy się wykąpała, leży w łóżku i czeka na was – oznajmiła.

– Wykąpała się. – Abby łapała oddech. – Przecież dopiero poszła do łazienki.

– Piętnaście minut temu – odparła Hanna przeciągle, patrząc na nich znacząco.

Cody odchrząknął. Czuł się trochę skrępowany, ale uratowała go tabliczka mnożenia, dzięki której jakoś się otrząsnął.

– Powinniśmy iść i otulić ją kołdrą – powiedziała Abby.

– Tak, powinniśmy. – Cody splótł palce z jej palcami i się uśmiechnął.

– Okej – odparła szczęśliwa.

Cody patrzył na nią jak urzeczony. Była taka ładna, kiedy się śmiała. Czuł się przy niej młody, pełen nadziei, dała mu nowe życie. Gdy tylko wróciła do Catelow, wzbudziła jego sympatię.

Poszli razem do pokoju Lucy i stali obok łóżka, kiedy dziewczynka odmawiała pacierz. Potem Abby otuliła ją kołdrą i pocałowała. Cody zrobił to samo.

Na znak Abby Śnieżka wskoczyła w nogi łóżka. Twarz Abby promieniała.

Cody czuł, jakby ziemia pod jego nogami się zatrzęsła. Abby była najlepszą kobietą, jaką znał. Przypominała mu matkę, co nie znaczy, że darzył ją takim samym uczuciem. Odwróciła się i spojrzała na niego, a jego serce zabiło mocniej. Patrzył na nią, jakby doznał olśnienia. Czemu wcześniej sobie tego nie uświadomił? On... kochał Abby. Naprawdę szczerze ją kochał. I nie zdawał sobie z tego sprawy aż do tej pory, kiedy ujrzał ją z Lucy i nagle pomyślał o innym dziecku, swoim dziecku, które tuliłby do snu. Głośno wciągnął powietrze i wstrzymał oddech, poczuł, że policzki mu poczerwieniały. Wyglądał na zaszokowanego.

Abby spojrzała na niego z niepokojem.

– Dobrze się czujesz? – spytała łagodnie.

Dobrze? Był pogrążony w cudownym zdumieniu. Pławił się w fantazji. Powoli się uśmiechnął.

– Dobrze. W życiu nie czułem się lepiej.

Abby go nie zrozumiała. Mimo to uśmiechnęła się do niego, a potem odwróciła się znów do Lucy.

– Śpij dobrze – powiedziała – Dobranoc, pchły na noc, karaluchy do poduchy, a szczypawki do zabawki.

Lucy się zaśmiała.

– Ciociu Abby, u nas nie ma pcheł.

Abby zmarszczyła nos.

– Śpij dobrze, tak czy owak – rzekła z uśmiechem i raz jeszcze pocałowała bratanicę. – Do zobaczenia rano.

– Okej, dobranoc.

– Dobranoc – powtórzyli Cody i Abby.

Abby zgasiła światło i zamknęła drzwi, więc zostali z Codym sami w ciemnym holu.

Cody przyciągnął ją do siebie i trzymał, kołysząc w swoich silnych ramionach. Czuł się, jakby po długiej nieobecności wrócił do domu. Nigdy nie doświadczył takiej czułości, nawet gdy był do szaleństwa zakochany w Debby. To było coś całkiem innego.

Abby milczała. Stała w jego objęciach, wdychając jego zapach i ciesząc się bliskością. Najchętniej już by się stąd nie ruszyła.

Po chwili, co prawda niechętnie, Cody ją puścił, muskając jej wargi pocałunkiem.

– Musimy poćwiczyć powściągliwość – zauważył.

– Tak? – powiedziała z roztargnieniem, wlepiając wzrok w jego wargi.

Odchrząknął.

– Abby, mężczyznom trudno ukryć emocje, kiedy noszą obcisłe spodnie – powiedział wprost.

Dopiero po chwili zrozumiała, co miał na myśli. Zaczerwieniła się, a potem zaśmiała, wreszcie lekko uderzyła go w ramię.

Uśmiechnął się do niej.

– Okej – powiedziała. – Co powiesz na kawę?

– Kawa brzmi dobrze. – Pochylił się do jej ucha. – A kiedy nie będziemy musieli martwić się, że ktoś nas zobaczy, nie będą się przejmował spodniami.

Parsknęła śmiechem.

Splótł palce z jej palcami i poprowadził ją do kuchni, gdzie Hanna najpierw objęła ich znaczącym spojrzeniem, a potem naląła im kawy do kubków.

Abby nigdy w życiu nie była tak szczęśliwa. Kochała Cody'ego ponad życie, i wyglądało na to, że on odwzajemnia jej uczucia. A przynajmniej już się nie wycofywał. Przestał uciekać. Może naprawdę poradził sobie ze zdradą Debby i był w stanie myśleć o przyszłości.

Kiedy fałszywy świadek Cappy Blarden został osądzony i zamknięty w więzieniu, szczęśliwy Horace Whatley wyszedł na wolność. Pojechał prosto do domu do uszczęśliwionej Julii, która powitała go w drzwiach domowym ciastem i taką miną, że czuł się, jakby trafił do nieba. W ciągu następnych dni wielu mieszkańców Catelów odwiedziło Horace'a i życzyło mu wszystkiego dobrego, a jeden z nich zauważył, że Julia ma na palcu nowiusieńki pierścionek z brylantem.

W weekend Cody zabrał Abby i Lucy na miejskie lodowisko.

Okazał się całkiem dobrym łyżwiarzem. Naprawdę dobrym. Abby tylko kręciła głową, gdy instruował Lucy, jak najlepiej podnieść się po upadku, jak bezpiecznie upaść, jak się

zatrzymać, zbliżając ku sobie czubki łyżew. Przekazał jej jeszcze kilka innych podstawowych informacji, których Abby nie posiadała.

– Skąd tyle wiesz o jeździe na łyżwach? – spytała.

– Przed laty brałem lekcje – odparł. – To był sposób na to, żeby uciec z domu – dodał, a Abby wiedziała, że nawiązuje do swojego ojca alkoholika.

– Naprawdę doskonale sobie radzisz – zauważyła, patrząc na Lucy, która trzymała się blisko balustrady i też czyniła postępy.

Cody podjechał bliżej i nachylił się ku niej.

– Z innymi rzeczami też nieźle sobie radzę – szepnął szelmowsko. – I jestem bardzo skromny.

Zaśmiała się, patrząc w jego łagodne oczy. Zatonęła w nich.

Odsunął luźny kosmyk jej włosów, patrząc na nią bacznie.

– Abby...

Zanim zdołał powiedzieć coś więcej, zawołała ich Lucy.

– Ciociu, widzisz, co robię? – zademonstrowała figurę, której nauczył ją Cody, i którą cierpliwie ćwiczyła.

– Świetnie, kochanie – zawołała Abby w odpowiedzi.

Cody'ego rozbawiła jej przerażona mina.

– Mamy mnóstwo czasu na rozmowy – powiedział cicho, patrząc jej w oczy. – Teraz się bawmy i cieszymy wspólnym czasem.

Oczy Abby rozbłysły.

– Tak, cieszymy się.

Po długim popołudniu Cody odwiózł je do domu swoją furgonetką. Miał akurat wolne, więc włożył spodnie khaki, niebieską bawełnianą miękką koszulę, kurtkę z kożucha i brązowy kapelusz. Furgonetka miała podwójną kabinę, więc Lucy siedziała na tylnym siedzeniu, zaś Abby obok Cody'ego.

Padał śnieg. Późnym popołudniem, kiedy w domach zapalały się światła, Catelow wyglądało bardzo ładnie.

– Z tego miejsca wygląda jak miniaturowa wioska. – Abby westchnęła, gdy zjeżdżali ze wzgórza w stronę miasta. – Jedna z tych, które ludzie ustawiają wokół kolejki elektrycznej. Brat mojej najlepszej przyjaciółki miał takie zabawki. Gasiliśmy w pokoju światło, zapalaliśmy w małych domkach i patrzyliśmy, jak kolejka je okrąża.

– Lata temu kupiłem taką kolejkę, ale nie miałem gdzie jej rozłożyć.

– U nas jest duży pokój zabaw, Cody – powiedziała Lucy. – Możesz rozłożyć kolejkę i wszyscy będziemy na nią patrzeć.

Zaśmiał się.

– Jeśli Abby nie ma nic przeciwko, możemy...

Uderzenie było bardzo mocne. Furgonetka zjechała z drogi i wpadła w poślizg na świeżym śniegu. Cody'emu udało się utrzymać samochód na powierzchni, żeby się nie przewrócił, ale wszędzie było potłuczone szkło, a Lucy płakała.

Cody paskudnie zaklął pod nosem, patrząc na oddającą się ciężarówkę, która w nich uderzyła. Wyjął telefon i zadzwonił do swojego zastępcy, opisał pojazd i polecił, żeby wydano nakaz jego poszukiwania. Zadzwonił również do Wydziału Policji w Catelow, ponieważ znajdowali się w granicach miasta i to była ich jurysdykcja.

Szef policji Bruce Eller, który właśnie wrócił z urlopu spowodowanego narodzinami dziecka, osobiście przyjechał na miejsce z jednym ze swoich oficerów patrolowych Emmy Sawyer.

– Ma pan pojęcie, kto was uderzył? – spytał Eller, kiedy Cody pomagał oszołomionej i posiniaczonej Abby wysiąść z przedniego siedzenia, a płaczącej Lucy z tylnego.

– Nie wiem, kto w nas uderzył, ale domyślam się, na czyje polecenie – odparł Cody. Zauważył, jak niewiele brakowało, żeby wszystko zakończyło się inaczej. Gdyby samochód się przewrócił, wszyscy troje zginęliby na miejscu.

– Ktoś, kto traktował to poważnie – przyznał Eller z powagą. Skrzywił się, patrząc na zalaną łzami twarz Lucy. Miał córkę mniej więcej w tym samym wieku. – Zawiozę was do szpitala, żeby dokładnie was zbadali, tak na wszelki wypadek.

– Dobry pomysł. – Cody objął w pasie roztrzęsioną Abby i przytulił Lucy. – Nigdy zbyt wiele ostrożności. Dziękuję.

– Na tym polega nasza praca. Wydał pan nakaz poszukiwania?

Cody skinął głową.

– Od razu, jak się zatrzymałem, zadzwoniłem do mojego zastępcy i dokładnie opisałem ciężarówkę. Jeżeli szczęście nam dopisze, znajdą ją, zanim się oddali.

Kiedy dotarli do samochodu szefa policji, zadzwonił telefon Cody'ego. Szeryf posadził Abby i Lucy na tylnym siedzeniu radiowozu i odebrał.

– Banks – rzucił.

– Niech pan zgadnie, kogo zgarnęliśmy i już siedzi w areszcie? – spytał zastępca szeryfa Jeb zadowolonym z siebie głosem.

– Nie wiem – odparł Cody. – Kogo?

– Skazanego przestępcę, który napadł na bank, z kartoteką policyjną tak długą jak moja ręka. Na dodatek powiedział mi, że pewna blondynka obiecała mu dwa tysiące dolarów, jeśli zepchnie pana z drogi. Zapłacone z góry. Przelewem. Niech pan zgadnie, z jakiego banku?

Z każdą chwilą nastrój Cody'ego się poprawiał.

– Z Florydy? – głośno myślał.

– Brawo – zaśmiał się zastępca. – Wiedziałem, że jest pan jasnowidzem.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Cody był zachwycony obrotem zdarzeń. Najwyraźniej uwięziona blondynka do tego stopnia straciła panowanie nad sobą, że stała się nieostrożna. Przelew to był rzeczywiście poważny błąd, bo dzięki temu mogli oskarżyć ją dodatkowo o kolejne usiłowanie morderstwa, nie wspominając już o jej chłopaku Bobbym Grancie. Już po kilku godzinach szef policji na Florydzie wsadził Granta za kratki, oskarżając go o spisek mający na celu morderstwo. Grant miał tam spędzić tyle czasu, aż w Denver zbiorą wystarczająco dużo dowodów, żeby postawić go przed sądem za zbrodnię morderstwa razem z jego przyjaciółką Domenicą Alvarez.

Horace Whatley i Julia ogłosili swoje zaręczyny w ukazującej się raz w tygodniu gazecie. Po wyjściu Horace'a z więzienia i uwolnieniu go od zarzutu napadu na bank, tych dwoje często widywano razem w mieście. Faktyczny sprawca napadu na bank czekał, aż stanie za to przed sądem, a także za atak na Cody'ego i jego pasażerki. Zważywszy na to, że był na zwolnieniu warunkowym po wyroku za inną napaść, miał wrócić do więzienia i odsiedzieć całą karę plus dodatkowy czas za kolejne przestępstwa.

Dla Cody'ego i Abby nie robiło to już większej różnicy, poza tym, że we właściwym czasie, gdy dojdzie do rozprawy, mieli zeznawać przed sądem.

Zostawili Lucy, Śnieżkę i Aleksandra pod opieką Hanny i wybrali się na spacer po śniegu.

Było zimno, więc włożyli ciepłe kurtki i rękawiczki. Idąc zasypaną śniegiem ścieżką między sosnami, trzymali się za ręce. W pewnej chwili Cody przystanął, odwrócił ku sobie Abby i zapatrzył się na nią ciemnymi, pełnymi pożądania oczami.

– Dobrze nam jest razem – zaczął.

– Tak, dobrze – odparła z uśmiechem.

– Lubimy te same rzeczy, oboje należymy do Kościoła metodystów, mamy podobne poglądy polityczne... – Zawahał się. To był poważny krok. Pod wieloma względami najpoważniejszy krok w jego życiu. Zupełnie jakby skoczył z klifu.

Abby położyła rękę na jego piersi.

– Jakiś czas możemy się tak spotykać – powiedziała z uśmiechem. – Nie musimy się śpieszyć. Mamy mnóstwo czasu.

Odetchnął głęboko. To miało zmienić jego życie. Ale nie ufał Lassiterowi, niezależnie od jego zapewnień, że nie jest zainteresowany Abby. Niepokoiło go również, że kuzyn Bart próbował zapraszać ją na randki. Straci ją, jeśli będzie się tak długo wahał. A na świecie nie było drugiej takiej jak Abby. Była po prostu jedyna.

Ujął jej twarz i głęboko spojrzął w oczy, potem pochylił głowę i dotknął wargami jej ust w tak czułym pocałunku, jakiego nigdy dotąd nie doświadczyła. Był niczym wyznanie miłości, choć Cody nie szepnął „Kocham cię, Abby”. Chwilę potem stał się namiętny i żarliwy.

Abby czuła jego niecierpliwe pożądanie i uśmiechnęła się, stając na palcach, żeby oddać pocałunek.

Objął ją z całej siły i ukołysał w ramionach.

– Jestem przepełniony bezsensownym niepokojem i wstydem – przyznał. – Ale nie mogę cię stracić dla innego mężczyzny. Bez ciebie nie dam sobie rady, Abby – szepnął schrypniętym głosem. – Więc czy... czy zastanowisz się nad tym, żeby za mnie wyjść?

Zadrzała z rozkoszy i mocniej się w niego wtuliła.

– Jak długo?

– Hm?

– Jak długo mam się zastanawiać? – spytała.

– No... może kilka dni.

– A co powiesz na kilka sekund? – Wspięła się na palcach i musnęła jego wargi pocałunkiem. – Zrobię to.

Trzymając ją mocno, uniósł głowę i spojrzął jej w oczy.

– Co zrobisz? – przekomarzał się z nią, a wszystkie dawne troski nagle poszły w zapomnienie, rozplynęły się jak mgła w słońcu.

– Wyjdę za ciebie.

Pocałował ją, jakby życie od tego zależało.

– Powiedz to – szepnął.

– Już powiedziałam.

– Nie to. To drugie.

Dopiero po chwili uświadomiła sobie, o co mu chodzi. Uniosła ku niemu rozpromienioną twarz.

– Kocham cię – wyznała cicho. – Zawsze będę cię kochać. Do końca życia, a nawet dłużej.

Cody był poruszony. Nigdy nie otrzymał tego od Debby, żadnych miłosnych wyznań, żadnych obietnic, żadnych czułości. Kobieta, którą trzymał w ramionach, oferowała mu to wszystko i obietnicę szczęścia. Zdawało mu się, że poszybuję wysoko jak ptak na niebie.

– Do końca życia – powtórzył jej słowa. – A nawet dłużej.

Znalazł znów jej wargi i stali tak w śniegu, aż jakiś głos zawołał, pytając, czy to przesłuchanie do roli śnieżnych bałwanów.

Unieśli głowy i zobaczyli rozbawioną Hannę w starym płaszczu i wysokich butach, która wskazywała na nich palcem.

Wtedy zrozumieli, co miała na myśli. Na kapeluszu Cody'ego i na ramionach jego kurtki leżało kilka milimetrów śniegu. Warstwa śniegu podobnej grubości pokryła wełnianą czapkę Abby i jej kurtkę. Spojrzeli na siebie i parsknęli śmiechem.

– Zaparzyłam gorącą kawę – zawołała Hanna z uśmiechem. – Wracajcie do domu. Możecie się zamknąć w salonie i robić to w przyzwoitych warunkach.

– Zawsze wiedziałem, że cię Kocham, Hanno! – zawołał Cody w odpowiedzi.

Pomachała mu i zawróciła, a oni ruszyli w ślad za nią.

Abby usiłowała przekonać przyjaciół, że ładny biały kostium będzie idealnym strojem na ślub, ale nikt jej nie słuchał. Horace Whatley wycarterował samolot i zabrał ją do Neimana Marcusa w Dallas. Przy okazji poleciała z nimi Julia, żeby kupić dla siebie wyprawę panny młodej. Oczywiście w Denver był odpowiedni sklep, ale pan Whatley miał ulubiony salon w Dallas, dlatego się tam udali, wcześniej zapowiedziawszy wizytę, żeby kupić dla Abby suknię ślubną od znanego projektanta. To był prezent ślubny od pana Whatleya.

Oszołomiona liczbą kreacji do wyboru, Abby ostatecznie zdecydowała się na suknię z długimi zebranymi w mankiet rękawami i łożką na dekolcie. Biała satyna była pokryta koronką z importu, która pojawiała się też na welonie. Suknia miała długi tren, jakby była przeznaczona dla księżniczki. Abby została namówiona do jej kupna, ale co więcej, Julia, na prośbę pana Whatleya, skłoniła ją do zakupu delikatnych jedwabnych halek i bielizny, i delikatnych kapci, a także bielizny, halki i pantofli do ślubnej sukni. I oczywiście podwiązki, którą miała później rzucić.

– Jak ja wam się za to wszystko odwdzięczę? – spytała Abby.

Horace i Julia tylko się uśmiechali.

I oto Abby ruszyła nawą miejscowego kościoła metodystów, który po brzegi wypełniała połowa mieszkańców Catelów, zajmując ławki i wszystkie miejsca stojące. Oczywiście były też Lucy i Hanna oraz Marie, koleżanka z pracy, która występowała na zmianę w roli druhny, starościny wesela i dziewczyny sypiącej kwiatami. Cody wybrał na drużbę Horace'a Whatleya, co bardzo pochlebilo młodemu ranczerowi.

Kuzyn Cody'ego, Bart Riddle, poprowadził Abby do ołtarza, co bardzo wszystkich rozbawiło, gdyż Bart był za młody, by wcielić się w rolę jej ojca. Mimo wszystko wydawał się zachwycony, że otrzymał takie zadanie.

Nieprzyzwoicie wystrojony Lassiter siedział wśród gości, przyciągając spojrzenia wszystkich obecnych tam kobiet.

Po złożeniu małżeńskiej przysięgi Cody uniósł welon Abby i patrzył na nią kilka długich sekund, zanim ją czule pocałował. Potem ruszyli z powrotem nawą, zbierając po drodze gratulacje, i wyszli na zewnątrz, gdzie obsypano ich płatkami róż.

Przyjęcie odbywało się w sali przykościelnej, o catering zadbała lokalna kawiarnia. Cody i Abby karmili się nawzajem weselnym tortem, pozując fotografowi, który uwieczniał wszystkie momenty najszcześniejszego dnia w ich życiu.

Lucy uściskała państwa młodych i oznajmiła, że teraz ma swojego własnego wujka i zamierza dobrze się nim opiekować. Cody uściskał dziewczynkę tak wzruszony, że nie mógł wydusić słowa.

Poważny krok, który właśnie zrobił – a którym było poślubienie Abby – nagle wydał mu się najbardziej naturalną rzeczą na świecie. Niewartą tych wszystkich udręk, które przeżywał. Tak naprawdę znaczenie miało tylko to, że się kochali. To unieważniało wszelkie wątpliwości.

W podróż poślubną wybrali się na Jamajkę, do Montego Bay, gdzie prawie nie wychodzili z hotelowego pokoju.

Początki intymnej relacji mogły nie być miłe, ale Cody się nie śpieszył, był czuły i cierpliwy. Budował erotyczne napięcie delikatnymi pocałunkami i lekkim jak piórko dotykiem palców, zachęcając Abby, by poznawała jego ciało, tak jak on ją poznawał. I nim przygniótł ją swoim ciężarem, była tak rozpalona namiętnością, że niemal szlochała.

– Cii – szepnął, kładąc się na niej i powoli w nią wchodząc. – Zwolnij, kochanie, wszystko jest w porządku. Nie ma pośpiechu.

– Tak... jest! – zaszlochała w miłosnym uniesieniu.

Zaśmiał się.

– Powoli, Abby – powtórzył, wchodząc wciąż głębiej.

Otworzyła oczy, rozsunęła nogi i uniosła biodra, z każdym uderzeniem jego bioder o jej biodra głośno łapiąc oddech.

Cały ten czas Cody na nią patrzył. Pragnął jej, ale wyznaczył sobie taki rytm, żeby była gotowa, zanim on zrobi ostatni krok. Gdy tak się stało, Abby krzyknęła, wstrząsana falami dreszczy orgazmu, po którym nastąpił kolejny i jeszcze następny. Wbiła paznokcie w jego plecy, a on zasłonił jej usta, żeby ją uciszyć. Jej silna gwałtowna reakcja łechtala jego męskie ego. Prowadził ją

od jednego szczytu do drugiego, przemieszczając się z jednej strony ogromnego łóżka na drugą. To był prawdziwy maraton seksu, który zakończyli dopiero wtedy, gdy nie mieli już siły na nic innego poza snem.

Kiedy Abby się obudziła, zobaczyła wpadające przez okno promienie słońca i usłyszała wysokie fale rozbijające się o brzeg.

Uniosła się i z podziwem popatrzyła na męża.

Cody otworzył oczy i spojrzał na nią, powoli unosząc kąciuki ust.

– Mam nadzieję, że od razu chcesz mieć dzieci – rzekł przeciągle.

Przypomniała sobie o prezerwatywie leżącej na nocnym stoliku, ale była tak zdesperowana, że to była ostatnia rzecz, o jakiej myślała. Uśmiechnęła się.

– Lucy nie powinna być jedynaczką. – Musnęła jego wargi pocałunkiem.

– Tak właśnie myślałem – odparł żartobliwie, obrócił ją i znów zaczął pieścić. – Uwielbiam dzieci.

– Ja też.

Nabrał głęboko powietrza.

– Chciałbym znów wrócić do tego, co robiliśmy w nocy, ale...

Objęła go za szyję.

– Ale?

Pochylił głowę.

– Wszystko mnie boli.

Wstrzymała oddech, po czym wybuchnęła beztroskim śmiechem.

– Czy to nie zbieg okoliczności? Bo ja też jestem obolała – szepnęła w odpowiedzi.

Pocałował ją i mocno przytulił.

– O Boże, kocham cię – rzekł schrypniętym głosem.

– Ja też cię kocham, Cody. – Spojrzała mu w oczy. – Nigdy cię nie zdradzę, zawsze będę cię kochać.

Powiódł palcem wzdłuż jej brwi.

– Będąc z Debby, żyłem złudzeniami – rzekł. – Jakbym miał zamknięte oczy. Tym razem moje oczy są szeroko otwarte i kocham to, co widzę. To jest prawdziwy raj... – Pocałował ją po raz kolejny. – Będę się tobą opiekował. Przez całe życie.

Wtuliła się w niego z cichym westchnieniem.

– A ja będę się tobą opiekować całą sobą – powiedziała sennie.

Przytulił ją i przykrył ich kołdrą. Na zewnątrz palmy leniwie kołysały się na wietrze, ciszę zakłócał jedynie śmiech dzieci w pobliskim basenie. Wewnątrz spało w objęciach dwoje szczęśliwych ludzi, śniąc słodkie sny.

DIANA PALMER, a właściwie Susan Spaeth Kyle, jest bestsellerową autorką New York Timesa, uznaną za jedną z dziesięciu najlepszych amerykańskich pisarek romansów. Posiada niezwykle talent do opowiadania najbardziej zmysłowych historii z właściwym sobie urokiem i humorem.

Pierwszą powieść napisała w 1979 roku. Wcześniej przez szesnaście lat pracowała jako dziennikarka prasowa. Wydała ponad sto książek, które przetłumaczono na kilkanaście języków.

Jest członkinią licznych towarzystw, zrzeszeń i organizacji dobroczynnych. W wieku czterdziestu pięciu lat wróciła na uczelnię, by uzupełnić wykształcenie – ukończyła historię, archeologię oraz filologię hiszpańską. W wolnym czasie uprawia ogródek, czyta książki i słucha muzyki. Uwielbia iguany. Mieszka z rodziną w Cornelia w stanie Georgia.

Polecamy powieści Diany Palmer

Zgrany duet

Desperado

Szczęśliwa gwiazda

Ocalona

Władca pustyni

Papierowa róża

Wyzwolona

Pewnego razu w Paryżu

Pozory mylą

Po północy

Dżinsy i koronki

Księżniczka z Teksasu

Wygrane marzenia

Odzyskane uczucia

Magia uczuć

Serce jak gład

Nieodparta pokusa

Droga do serca

On i ja

Niezwykły dar

Po drugiej stronie

Nigdy nie zapomnę

Miłość i reszta życia

Gorączka nocy

Osaczony

Dwa kroki w przyszłość

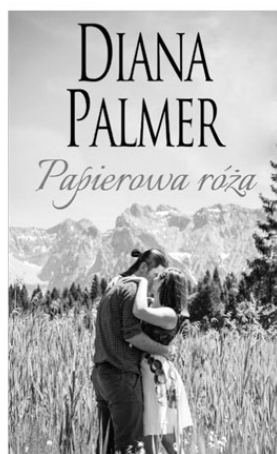
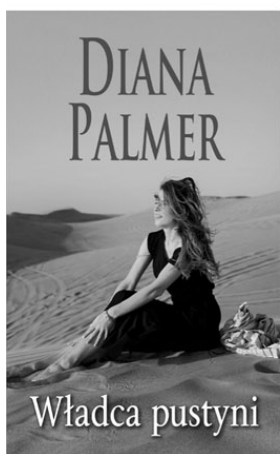
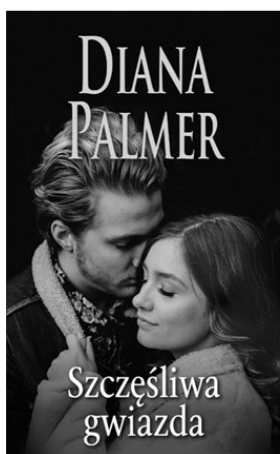
Do dwóch razy sztuka

Nora

Magnolia

Pewnego razu w Arizonie

www.harpercollins.pl



SPIS TREŚCI:

OKŁADKA

STRONA TYTUŁOWA

ROZDZIAŁ PIERWSZY

ROZDZIAŁ DRUGI

ROZDZIAŁ TRZECI

ROZDZIAŁ CZWARTY

ROZDZIAŁ PIĄTY

ROZDZIAŁ SZÓSTY

ROZDZIAŁ SIÓDMY

ROZDZIAŁ ÓSMY

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

ROZDZIAŁ JEDENASTY

ROZDZIAŁ DWUNASTY

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

ROZDZIAŁ SZESNASTY

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY